



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

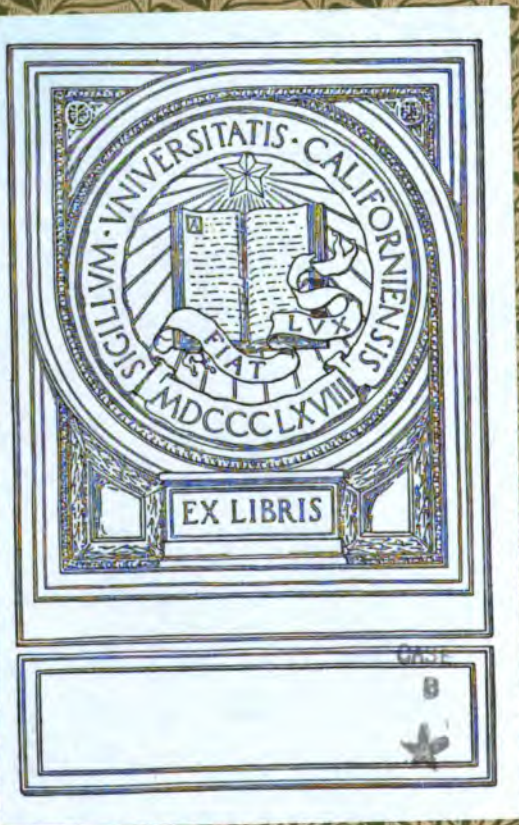
About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

UC-NRLF



B 3 794 091



ONE

B







CHIMERA

TOM III ZESZYT 7 - 8
REDAKCYA I ADMINISTRACYA:
WARSZAWA KSIĄŻECIA 7

PG 7001
C4
v. 3
MAIN

TREŚĆ.

Nr 7-8. — LIPIEC - SIERPIEŃ 1901.

RAMON DE CAMPOAMOR.	<i>Licencyat Torralba (Część II)</i>	1
Inicjały EDW. OKUNIA.		
CHRYSZTYAN D. GRABBE.	<i>Żart, satyra, ironia i głębsze zna-</i> <i>czenie</i>	41
	Nagłówki i zakończenia — z <i>Libri Sententiarum</i> z XIV w. (Mss. № 12 — Bibl. Bawor. we Lwowie), przerysowane przez ST. DĘBICKIEGO (str. 41, 69 i 70), oraz ze starego rękopisu francuskiego (str. 102).	
JAN KASPROWICZ	<i>Hymn św. Franciszka z Assyżu.</i>	103
	Ozdoby M. WAWRZENIECKIEGO.	
WACŁAW BERENT	<i>Próchno</i>	123
	Ozdoby ST. TURBIA-KRZYSZTAŁOWICZA.	
STANISŁAW WYRZYKOWSKI.	<i>Skrsydlate ognie</i>	221
	Nagłówek M. WAWRZENIECKIEGO; zakończenie ST. DĘBICKIEGO.	
MARCELI SCHWOB	<i>Krucjata dziecięca</i>	229
	Inicjały M. WAWRZENIECKIEGO.	
JOHN KEATS	<i>Hyperton (Księga II)</i>	255
	Nagłówek HIROSHIGE'A; zakończenie M. WAWRZENIECKIEGO	
WASYL STEFANYK	<i>Dziadek, Skon, Szara godzina, Dro-</i> <i>ga, Zwiastuny</i>	271
	Nagłówek i zakończenie z motywów ludowych, według rysunku W. MATŁAKOWSKIEGO.	
JAN LEMAŃSKI	<i>Towarzystwo</i>	286
	Inicjał z <i>Biblia Sacra</i> z r. 1389 (Mss. № 7. — Bibl. Baw. we Lwo- wie), przerysowany przez ST. DĘBICKIEGO.	

KRONIKA MIESIĘCZNA. 300

TREDECIM	<i>Glosy</i>
MIRIAM	<i>Powieść</i>
Z. P.	<i>Teatr</i>
#	<i>Musyka</i>
	<i>Książki i czasopiśma nadesłane</i>
CHIMERA	<i>Varia</i>

FELICYAN BOPS	<i>Wielka litra.</i>
JAN STANISŁAWSKI.	<i>Topole</i> (litografia oryginalna w pięciu kolo- rach, odbijana w zakładzie A. PRUSZYŃSKIEGO w Krakowie).
STANISŁAW DĘBICKI	Rysunek na okładce

Kliske rysunków wytrawiono w zakładach: B. WIERZBICKIEGO i S-ki, KIPMANA
i SZYDŁOWSKIEGO, oraz w Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczym.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pillica.”
Składali: FELIKS DĄBROWICZ i MAKSYMILIAN HECKER.
Lamał FELIKS DĄBROWICZ. Odbijał na maszynie ALEKSANDER TATAROWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Августа 1902 года.

TO VMI
ABSTRAO

Digitized by Google

Digitized by Google

THE
SACRED
ARTS



THE
SACRED
ARTS



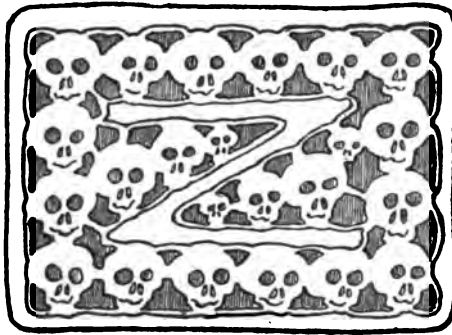


Licencyat Torralba.

CZĘŚĆ DRUGA.
MĘŻCZYZNA.

Pieśń piąta.
TORRALBA SZUKA SZCZĘŚCIA W DUCHU.

I.



awsze licencyat z po-
[bożnością kłeczy
Przed miłością bez
[żadnej osłony:
Lecz teraz walką ciała
[jest znudzony,
I nostalgia ducha go
[dreczy.
I za fałsz dzisiaj
[wyzna

*Te, co niegdyś wygłaszał, doktryny,
Że w niewiernej rasie Mesaliny,
Dusza, bardziej niż ciało, działa jak trucizna.*

II.

*Gdy z zasztyletowanego ciała
Dusza kobiety cudnej uleciała,*

*Widzi Torralba w powietrzu istotę,
Twór, niżli rzeczywisty, raczej widziadlany,
Co, kiedy się oddala czy też stanie zbliżka,
Jako obłoczek biały wśród chmurzyska,
Ma księżycy lub słońca cienie bladozłote.
To Kataliny dusza ukochanej,
Co zda się światłem zbliżka, cieniem w dali,
I dookoła głowy licencyata
W nieokreślonej fali
Krąży wciąż i ulata,
W niewyraźne zmieniona kontury
Snu niecałkiem przerwanego...
Przeto, gdy licencyatem owłada
Ten cień nieziemskiej natury,
On pyta i sam odpowiada:
Do czego służy dusza? — Do wszystkiego!*

III.

*Mija czas — a choć do rycerzy
Licencyat Torralba należy,
Powie, siebie do świętych zapisując cechu,
Że w miłości mu wszystko zdaje się bez grzechu.
Zawsze kusiciel! Teraz żądsza go pokera,
By ta powietrzna, droga mu istota
Zapłonęła istotnym płomieniem żywota,
Co rodzi się i płonie, pali i umiera.
Ale na jego uczuć rzeczywistość,
Ona się platońską czułością odzywa,
I — jak to zazwyczaj bywa —
Niby słó, tak go drażni ta miłosna czystość.
Melancholia w nim budzi się straszliwa;
Szaleje, ducha spokój traci,*

*I coraz w nim się żądzę powiększa ognistość
Ku tej nieziemskiej postaci:
Podobnie rozgrzewa
Lodowa piękność owocu, wprost z drzewa.
I tak czuje Torralba, w jałowej boleści,
Jak żądse w nim są coraz srożej głodne.
Ona zaś tak go czule pieści,
Jak matka dziecię pierworodne.
I, kiedy coraz bardziej wre mu w duszy smętność
Tej nieskończonej uludy,
Widzi Torralba, że dusza wstydliva,
Którą nie wstrząsa namiętność,
Jest to małżonka tkliwa,
Co jednak wywołuje samotności nudy.*

IV.

*W miłosnej walce tego poganina
Z mistycznym Kataliny cieniem,
Ona boskim gorzała płomieniem,
On się miłości ludzkiej dopomina.
I w tem zmysłowym przedsięwzięciu,
Piękności jej chcąc być panem,
Ku ustom duszę jej chyli w napięciu —
Co bardziej od rozkoszy, w uludy zakłęcia,
Pocałowaniem zda się, danem
Jakoby we śnie...
Ale mu się to przykrzyt zaczyna boleśnie,
Bowiem oddech jej zimny, jako tchnienie lodu,
W oczach ma blask, lecz blask ten świeci niecielesnie,
I raz, gdy w szale rosnącego głodu,
Chciał się połączyć z ukochanym cieniem,
Wyciągnął ramię, — próżnię ogarnął ramieniem.*

*Więc, że mu dać nie mogła rozkoszy ta zmarła,
 Taka wściekłość jego była,
 Że krew wezbrana wśród gardła
 Niby supel go dusiła...
 Naciera! lecz jałowa mara:
 Choć się miłość zwierzęcą swoją wcielić stara,
 Niczem nie oddziała na nią,
 Żeby sam pełną żądzę nawet był otchłanią.
 Prawda! w walce rozpaczna przyswieca mu wiara —
 Ale to wdzięczne ciało z światłości różanej
 Pocałunkami swemi usta mu zamraża,
 A gdy nakoniec pojmie sprawy tej omamy,
 Nuda go aż do szpiku gangreną zaraża.
 Chwiejny, niezdolny wytrwać dłużej,
 Już wyznaje Torralba złamany,
 Że, bardziej niż materya, i cięży, i nuży
 Dusza, jako świat oderwany.
 Ród Adamowy, grzechów splamiony żałobą,
 Żyje skazany na wieczną dwulicość:
 Rzeczywistość z marzeniem w powiązaniu z sobą
 Toczą wojnę, co nigdy pewnie się nie skończy,
 A kiedy jedno z drugim się rozłączy:
 Rzeczywistość — to śmierć, ideał — to nicość. —*

V.

*Pojąwszy, że próżnicą marzenia
 Jest, czego ludzka nie okrywa glina,
 Jego rozum skruszony znów kochać zaczyna
 Materyę — alмам matrem istnienia.
 I z ust mu słowa rozpaczne wybiegą:
 Do czego służy dusza? Do niczego!
 A pragnąc bcz odmiany,*

*Żądze swoje oblec w ciało
W tej istocie z mgły świetlanej,
Po omacku kręci głową,
Jak ten, co kwiatów szuka pod śnieżycą białą.
Więc sądząc duszę tę różową,
Od ciała odłączoną,
Jako oszustkę, która łamie słowo,
Gdyż żądze pozostawia w nim nienasyconą:
— Przeklęta! — tak ją zowie w ducha swego zgrzynie,
Wołając głosem chrapliwym od złości:
— Kto jeno duszę kocha, strąca życie
W otchłań otchłani nicości!—*

VI.

*Gdy potem sobie przekłada
Fałszywe owo pojęcie
Mędrca, który wręcz powiada,
Że miłość — to jedynie jest ciało w fermentcie, —
— Zapewne — rzecze —
Kiedy żył bóg Pan na świecie,
Kwitło już rozkoszy kwiecie,
A przecież dusze człowiecze
Spały jeszcze w nicości odmęcie.
A że dobrze mi wiadomy
Krag ewolucyi, co po światach wlecze
Boga materyi nieznikomej,
Który wieczyście igra z życiem i mogiłą:
Kobietę więc bez duszy zrobię arcymitą,
Na cześć owego boga bez chwały na czole,
Który w czasach minionych i nienarodzonych
Widział tyle bóstw strąconych,
Porzuconych w historii stodoł!*

*Gdy się uwinę,
Za pomocą tajnych panacei,
Które najmędrsi złożyli doktorzy,
Zbuduję miłosną maszynę,
Wszelki z rzeczywistości startszy ślad idei,
A tak moja alchemia kobietę utworzy,
Doskonałą samice — lecz bez treści bożej. —*

VII,

*Wziął tygiel, gdzie się na ogniu rozpicia
Fibr pozbawionej krwi rzeka,
Dużo krochmalu z jęczmienia
I twaróg z kobyłego mleka.
I dodaje wstrząsając miksturę:
— Zrobię swoją kreaturę
Z całą miłością sztuki pogańskiej geniusza,
I za błąd uznanem będzie
Wierzyć, że piękno — to zawsze i wszędzie
W zdrowem ciele zdrowa dusza. —
A gdy spostrzegł w tyglu na dnie,
Jako światło gęste i drżące,
Ciało śniegiem i różami lśniące,
Torralba, wnet z radością w półobłądnem oku,
W tej piękności bloku,
Z tyłu, z przodu, z boku,
Okrągławe kontury wyrzeźbił dokładnie,
Dość pełne, lecz nie tłuste, właśnie jak wypadnie.
I jak artysta, zaufany w muzach,
Z wiarą, niżeli grzeczną, ślepą raczej
— Niby Wenerze greckiej — licencyat wyznaczy
Czaszkę o doskonałych nierozumu guzach.
I gdy na koniec martwą raczej niż uśpioną*

*Widzi tam, na dnie kotła urodzoną,
Kobietę piękną niezwykajnie,
Którą za wielką mógłbyś złota miarę
Do haremu sprzedać na stajnię, —
Straciła jego wiedza i spokój i wiarę,
Bo znów nienasycony — pośród żądz upału —
Zrozumiał ową tajemnicę,
Że pochodni konieczne światło, dusza — ciało.*

VIII.

*Widząc, że pozbawione duszy
Żadnem drgnieniem go nie wzruszy
To ciało świeże, niby perłowa macica,
Lub marmur wykąpany w promieniach księżycy, —
Do chytrego mnicha Fray Pedra mistrz zmierza,
Który mu takich rad udziela:
— Twoje ciało bez ducha jest rodzajem zwierza,
Co zapach górskiej kozicy wydziela.
Wiesz, boś czytał, co pisze Platon, mędrzec boży,
Że wszystko, co duch tworzy,
Przyodziane w materję się wciela.
Że cokolwiek istniało, cokolwiek istnieje,
Ucieleśnia jakowąż, ideję,
Nie pomięszalesz nieczystego z czystem,
I tej kobiecie — choć twój empiryczny system
Tej rzeczy wcale nie ocenia —
Braknie owego z góry idącego tchnienia,
Coby w niej niecielesne zbudziło napięcia,
Czy to w formie modlitwy, czy w formie zaklęcia. —
I dając mu papier — rzecze:
— Weź to. Opuść Rzymu nadrzecze.
Ten drogowskaz rad ci udzieli.*

*Czarownicy szukaj Estrelli,
 Co nosi szatę długą jak całuny,
 A którą nie raz wieszczów opiewały struny.
 Dzięki jej, wróżki ci dadzą
 Tajemniczą ingrediencję,
 Owoc mądrości, co swą władzą
 Granicy nieba dociera,
 A sądzę, że na wieżach tej zakłęcie
 Znajdziesz sposób, by odkryć, gdzie to się zawiera
 Owo quid divinum kobiecości,
 Co z początku rozczuła,
 A kończy się na ckliwości.
 Gdy już tak sformowaną będzie Muliercula,
 Zaniesiesz ją i zbliżysz do blasków
 Ognia piekielnych, a tak przysmażona,
 Będzie mieć, jak powinna kobieta stworzona,
 Nieco boskich, a więcej dyabelskich pierwiastków. —*

IX.

*Posłuszny Fray Pedrowi, który mniej był świadom
 Teologii, a więcej wiedział z czarnoksiężstwa,
 Nadtybrowe opuszcza wybrzeże
 Torralba i do sprawy tego się przykładą,
 Chcąc czarownicy przysłuchać się radom.
 Więc na hiszpańskie powędrował księżtwa,
 A gdy tę umówioną drogę przedsięwzię,
 Tak zniechęcony sam do siebie gada:
 — Każda córka niewiasty — to błoto i życie,
 A choć ta haniebnie poczęta,
 Jako córka mej wiedzy, błotne elementa
 Tylko ma, — przecież, jeśli nędzy wiecznej koło
 Otacza mię — toć wolę, w miłosnym zachwycie,*

*Niż wstydlivościom mistycznym,
Z materyą oddawać się wesoło
Szałom rozkoszy bezgranicznym.
O brednio ideałów, bądź-że mi przekłeta!
Czyż jest człowiek rozumny, co wierzy,
Że tylko wówczas rozkosz kwitnie w naszym łonie,
Gdy rozkosz ta jest dzieckiem idei-macierzy?
O, jakiż z ciebie głupiec, ty boski Platonie!*

Pieśń szósta.

TORRALBA SZUKA SZCZĘŚCIA W MATERYI.

I.



*anięci zawierzywszy, powra-
[cam do treści
Mojcj powieści.
Opowiem więc wśród innych
[prawd niezaprzeczonych,
Jak to, pełny rad doświadczo-
[nych,
Fray Pedro dał Torralbie notę,
[co mu wieści,
Gdzie się laboratorium wybo-
[rowe mieści
Czarownic, dobrych kobiet - cór
[tajemnych światów,
Co żyją, mówiąc ku ich cześci,*

*Przedziwne kalendarze układając z kwiatów
I mierząc swe rozkosze tonem aromatów.
A są to, jak powiadają,
Mimowolne dziewice, które umierają*

*Nie doczekawszy chwały zasłużonej,
W życiu zaś podług woli swej nadprzyrodzonej
Czynią się niewidzialne jak etery.
Tak to wróżki (jak wszystkie naszych dusz chimery),
Niewiem dla jakiej czarów przyczyny głębokiej,
Gdy chcesz ich dotknąć, znikają —
I znów się ujawniają
O dwa albo trzy kroki...
Bardzo mądre, choć niewinne,
Nie uciekają od ludzi, jak inne,
Przez wstyd fałszywy; wróżki lotne
Są to dziewice samotne,
Ale przez ogień swój serdeczny,
Są to rodzicielki istotne —
Mające synów w myśli wiecznej.*

II.

*Pewnego dnia, gdy huczał grom po gromie,
Błyskawica otwarła wylom u wyżyny
Góry, co na szczycie stromie
Rodziła jodły, na dole cytryny.
I Torralba na tym wylomie,
Z rozkazu nieba wywołanym,
Choć krokiem niezdecydowanym,
Stanął, gotów do dalszej podróży,
I nagle ujrzał krzak róży,
Za którym była grotą,
Gdzie już więcej, niż niebo, świecą raju wrota!*

III.

*Co za piękno, o Boże, w tych światach wysnionych!
Wilgotny zefir wokół się trzepota*

*Na skrzydłach rosą uperlonych.
 Jakby w konwulsjach ranna żmija,
 Szybkiemi zygzakami rzeka się przewija.
 Torralba opętany stał — w oczach zdumionych
 Lśnią mu wżwyż tryskające kaskady powietrzne,
 Śród których promieniste złocą się lucziole,
 A wkrąg arabeskowe koronki bajeczne
 Na skał wyrzeźbione czole,
 Co wszystko zmienia grotę — jakby z czarów mocy —
 W streszczoną baśń Tysiąca jednej nocy!*

IV.

*Licencyat imię swe powiada trwożnie,
 A potem zbliża się ostrożnie
 Do Estrelli, najstarszej pani w czarnoksiężtwie,
 Co, czekając na małżonka,
 Lat siedmdziesiąt przeżyła w panieństwie.
 I rzekł jej: — Duch mój rozmarzony,
 Żadny anielstwa, w miłości się błąka.
 Kochałem wiele w duchu, ale dziś znużony,
 Pragnąc rozkoszy bez wstrząśnień i bóli,
 Jak inni Homunculusa, królowo,
 Drogą nauki szukam Mulierculi.
 I stworzę postać, której piękno swą osnową
 Obudzi we mnie płomień żądz bez obłąkania,
 Bowiem miłośnik gry i kobiet krasy,
 Już jako syn Adama czystej rasy,
 Dzisiaj jedynie pragnę używania! —
 — Rozumiem to, rozumiem! Chcesz zbudować sobie
 Kobietę bez żadnego utłudy pozoru —
 Rzekła doń Estrella — i w takim sposobie
 Dojdiesz do tworu*

*Bez serca i bez mózgu, bowiem to ci zbrzydło,
Jak owym, którzy, gdy w nich żądze syczą,
Na wagę ciała — miłość liczą. —
Odpart ów: — Chcę nałożyć wędzidło
Na to dziwne obłąkanie,
Co mego ducha utrzymuje w stanie
Wieczystej wojny domowej,
Której pobojowiskiem głąb' serca i głowy. —
Estrella na to: — Nieświadomość licha,
Szukać cię, synu mój, przymusza
Rzeczy tej, co w miłości właściwie odpycha:
Próżnem jest, czego nie napelnia dusza.
Kiedy miłości blask porzucasz złoty
Dla ciała miłosnego bez uczuć istoty,
Przestępujesz od trwogi do nudy jałowej. —
I mówiąc: Naprzód — do roboty! —
Wskazuje mulierculę i, pośród jej głowy,
Uśmiech posagu śmiertelnie - lodowy.*

V.

*Inna z wróżek — na znak Estrelli —
Ciągnie więc kociół, w którego gardzieli
Drzemie jakiś eliksir wyższego żywota;
Wróżka zaś tak go użyć umie, że, jeżeli
Dość z wieku określoną jest dana istota,
W młodzieńca starca przemienia, niecnota.
Potem inną zamorę tajemną
Rzuca w fuzu głębię ciemną
I płyn bełta drewnianem narzędziem,
Szeroki zad kotysząc wolnemi obroty,
Kotysaniem się — rzekłbyś — łabędziem.
By ożywić płomień złoty,*

Estrella woła jej rozkazująco:
— Gałęzi dorzuć do ogniska!
Duszą rzeczy jest gorąco!
Nie zapominaj nietoty,
Z której żądz odnowa tryska!
Krwi tu dolej wiewiórczynej
I nazbieraj dobrej gliny,
Którą Letejska wskroś przejęła woda.
Zlicz — i w równej mierze dolej
Dwie części pieprzu i dwie soli!
A potem doda:
— Jeszcze ognia — i jeszcze skorpionowy olej.—
Pomocnica wstrząsa i podżarza,
A doña Estrella powtarza:
— Jeszcze — jeszcze — skorpionowy olej!—

VI.

A potem w kotle druga alchemistka
Południowego cedzi promień słońca —
Gdyż wie o tem magia wszystka,
Że duszy jest klimatem Andaluzya wrząca.
Z promieniem słońca promień kojarzy miesięczny —
I kunsztownie łączy potem
Rzecz samą z rzeczy przymiotem,
Wywołując w sposób zręczny
Starcie dwóch magnetyzmów przeciwnych.
Później Estrella, pieczar owych pani,
Która z miną słodziutką a w słowach naiwnych
Kończy prawić Torralbie, jak to niegdyś dla niej
Jakiś król opuścił żonę — —
— — Czyniąc gałązką z masy złotej
(Symbol pieniędzy) niejasne obroty,
W dwunastu językach mówiła: płonę!

*W czternastu: kocham! odmieniała.
I oto w końcu wiedźma osiwiła,
Brzydsza niż żóraw' zeschnięty,
Jakiś szereg słów zaklęty,
Z przekonaniem, szepcząc wymawiała.
I Muliercula wstała zgalwanizowana —
Choć jeszcze wewnątrz snem opanowana.*

VII.

*Torralba widzi, szczęśny bez pamięci,
Jak nieomylnie jego kunszt wywoła
Tę powietrzną z miłości, światła i esencji,
Która kobietę otacza dokoła,
A której woni kusząca (a któż jej nie wacha?)
Równą jest ostrej woni, jaką dysze koncha
Afrodyty, co ludzi na Cyterę nęci!
Co za dziw! Muliercula była w ochędożny
Jakiś blask naturalny zewnętrznie odziana,
Jaki niegdyś Wenerze dała cudzołożnej
Macierz czystości wiecznej — morz egejskich piana!*

VIII.

*Wobec powagi przeczystego źródła
Światłości, którą piękno jej osnute,
Torralba ją uściskał pełny niepokoju,
Aż na jej ustach przetrwała minutę
Białość śladów jego pocałowań.
Więc, w prologu miłości swojej oczarowań,
Z Horacyusza ogrodów rzuca wonne kwiecie
Tej tak cudnej kobiecie,
Że w seraju zjawieniem byłaby uroczem.*

*Na widok ten, Estrella myśli — o czym?
 Wiem, ale się ode mnie tego nie dowiecie.
 A w końcu wiedźma zamysłona
 Rzecz wżruszona:
 — Ochrzczona piekiel ognia falą świetlną,
 Piers jej pozbawioną wyjścia będzie Etną...
 Sam ją weźmiesz na ramiona,
 Niosąc w piekiel bezdenie,
 A gdy ją na przekłete wystawisz płomienie,
 Wnet się w niej zbudzi przez uroki —
 Anima — piękne światło pogańskiej epoki,
 Co jest więcej niż życie, a mniej niżli dusza. —
 Tak opatrzony w drogę więc wyrusza
 I zakochany unosi na grzbiecie
 Swych namiętności sztuczne dziecię.
 I w piekiel ciemnej krynicy
 Szedł szukać licencyat ateusz
 Tej świętej błyskawicy,
 Której niegdyś w niebiosach szukał Prometeusz.*

IX.

*Na pożegnanie, wróżki kołowrotem
 Wyszły z swych siedzib. I leciuchno potem,
 Wzgórz unikając, po dolinach krążą
 I powracają w swoich pieczar głębie —
 Jak wracające do gniazd swoich dążą,
 Do gołębnika, kolując, gołębie.*

Pieśń siódma.

TORRALBA SZUKA SZCZĘŚCIA W PIEKLE.



I.

*ak to niedawno Dante Alighieri
Przyniósł dokładny opis piekieł
[sfery:*

*Za dni Torralby znanem było
[śród narodu,*

*Że ziemia jest płaszczyzną, że
[niebios etery*

*Ma u szczytów, piekło zaś
[u spodu.*

Idąc prosto przed siebie,

Na przelaj, mistrz ze swym

[twarem

Przedzierali się gęstym borem,

Szli przez góry o szczytach zawieszonych w niebie,

I poprzez ścieżki kręte, co są niby łoża

Jakiejś wyparowanej zarem słońca rzeki,

I szukali ujętej pomiędzy dwa wzgórze

Pewnej doliny głębokiej,

Która jest dawnem piekłem, a której dziś mroki

*Zamieniona w powszechne mętów ziemskich ścieki;
 Im się zbliżali bardziej do doliny,
 Czuli w powietrzu płynące
 Jakieś odory cuchnące,
 A gdy się zatrzymali
 Śród chmur przechodzących fali,
 Oddechem grobu ziały dżdżu lawiny.
 Wreszcie — ujrzeni, niby gościniec szeroki,
 Co dziś łożyskiem stał się rzeki w zimie —
 Dolinę, zaciśnioną między dwóch gór boki,
 Którą zwie niższem piekłem Dant w swej terza - rimie.*

II.

*Gdy stanął u wrót królestwa szatana
 Licencyat z Mulierculą u boku,
 Wyraz miał taki w obłąkanem oku,
 Jakby z pijackiej orgii uciekł z rana.
 Tu spotkał Garcję Juana,
 Druha swojego. Mąż to wielkiej wagi,
 Znaczny w hierarchii i pełny powagi,
 W astrologii bardzo uczony,
 Kanonik i doktor z Barcelony.
 Ale żył on w tej dobie, gdy kwas luterński
 Naruszył świętość eucharystyi,
 Oraz w tej samej dobie, gdy żołnierz hiszpański
 Czuwał nad całym światem, dzierżąc miecz ognisty.
 Garcia, choć jeszcze wiary rzymskiej nie odmienia,
 Lecz woli już, luterskich nowinek świadomy,
 Pismo, niż kryterjum Romy
 I, czyniąc prawo z własnego sumienia,
 Do spowiedzi swej rzekomej
 Wziął Boga, co ma minę pocziwego księdza,
 Bo słucha — milczy — i do skruchy nie napędza.*

III.

*Święte Oficjum szuka sług gorliwie.
Garcia się nadał do jego wymogów,
Na ządanie ascetów więc i astrologów,
Tajemnemi rozkazy do krainy Biesa
Wysłano go, gdyż wiedział, że w piekiel archiwach
Są całkowite dzieła Arystotelesa.
Ku czci wielkiego Stagiryty,
Którego system znamienity
Naśladuje kościół na swych niwach,
Szukając niemożliwej rzeczy,
By wytlómaczyć boskość z istoty człowieczej,
I wywodząc, jak Tomasz z Akwinu,
Boga oraz pojęcia ze zmysłowości rozczynu, —
Dyabelskim fortem
Juan Garcia zamaszyście
Zawładnął Arystotelem,
Zabrawszy go piekiel archiwiszcze,
Butibambie, dyabłu uczonemu,
Co wykładał światu chrześcijańskiemu
Nauki, zapomniane oddawna przez greków,
A później odnalezione
I znowu zatracone
Przez rzymian, po upływie kilku wieków.*

IV.

*Kosmaty był i niski, miał harpii nos długi
Butibamba, tak, że byś rozumiał,
Jako w swem pierwszym wcieleniu papugi
Miał formę, a na pamięć umiał*

*Dziela wszystkie Stagiryty;
 Nadto ukrywa, niby skarb tajemny,
 Księgę, skąd czerpać mogą hipokryty
 Zasady moralności ciemnej —
 Rytuały piekieł świątyni podziemnej.
 Patrzcie: z owej rzadkiej księgi
 Butibamby dyabła (który,
 Będąc uczonym niewielkiej potęgi,
 Że nie mógł wyrozumieć nauk swych natury,
 Z dziesięć razy dostał bzika)
 Oto niejedna wybora zasada,
 Z której dla czytelnika jasno to wynika,
 Że moralność, co dyabłom najmilej przypada,
 To moralności kościelnej przesada.*

V.

1.

*Wszystkim najdoskonalszym magistrum obłudy,
 Którym nadają miano sprawiedliwych ludy,
 I którzy sądzą, że kto książki czyta,
 W tego zaraza wchodzi jadowita, —
 Polecam, aby, sami wyższe twory,
 Tępił dobrych pokolenie,
 Bo tak będziemy mieli pełne wory
 Piekielnej rasy lepszych w wielkiej cenie. —*

2.

*Stawcie tę moralną straszliwość,
 Że człek zanego spełnia obowiązki męża:
 Kiedy niedoskonałość w doskonałość wytęży, —
 I uczynicie z cnoty niemożliwość.*

3.

*Rodzaj ludzki na szczycie postawcie z szacunkiem
Jako upadłego Boga —
Aby nigdy ta prawda doń nie sięgła sroga,
Że tylko przebóstwionym jest ssaków gatunkiem.*

4.

*W religii, prawdziwą kochajcie,
A siłą ognia i miecza
Wszystko, co się bluźnierstwem zdaje, wytępiajcie
I do krańcowości rozwijajcie
Wszystko, co dręczy świat i rozkalecza.*

5.

*Świętość małżeństwa stawcie
Jako przenajświętszości cudy
I zatajcie — mówię szczerze —
Że ten, co małżonkę bierze,
Ma wielkie łóżę, na którego hafcie
Więcej, niż snu, przepędza godzin nudy.*

6.

*Budźcie w ludziach nadzieję! Pierś ludzką przenika
Zaufania głód tak doskonały,
Że każdy wędkę życia napewno połyka,
Na wabik nadziei zuchwałej.*

7.

*Wprowadźcie w życie zasadę tej cnoty,
Że szlachetnego człowieka zadanie
Jest bić się zawsze o trzy przedmioty:
O swą wiarę — o prawo — i o swoją panię.*

8.

*I ostrożnie, a w sposób skuteczny,
Gdy światła zbraknie wam teraźniejszości,
Otwórzcie okno ku przyszłości,
Tak drogę władzy gotując wiecznej
Nieogarnionych tajników ciemności.*

*Do tej receptury czarciej
Przylączywszy całkowity
Zbiór dzieł wielkiego Stagiryty,
Butibamba, w dniu pewnym,
Gdy czuł, że w nicestwo już jedzie,
Juanowi Garcii,
Ku czci nauki, zostawił je w schedzie,
Sądząc go, zda się, swym najbliższym krewnym.
Wielką zastługę, wyznać trzeba,
Położył tym sposobem: gdyż dzięki tej mierze
Święte Ofcyum wielką zbudowało wieżę —
Nową Babel, wiodącą do nieba.*

VI.

*Licencyat, żądny pośpiechu
W smutnych swych rozkoszach grzechu,
Do Juana Garcii właśnie,
Mulierculę wskazując, rzekł: — Trzeba koniecznie
Przy tym piekielnym ogniu, co już gaśnie,
Tę kobietę (mej sztuki wytworna to maszyna)
Natchnąć duszą — nie ludzką duszą, co trwa wiecznie,
Lecz duszą, jaką żywa, czuła tchnie roślina. —*

— Prawda, rzekł Juan Garcia, wyludnione zgola
I ostygło tego czasu
Piekło — tak, jako niegdyś z Olimpu, z Parnasu
Odplynęły bogów kota...
Albowiem od tej chwili,
Kiedy ludzie przez Danta szlak piekieł odkryli,
Natychmiast je z tej sfery uniósł precz Jehowa
I pomieścił na innym firmamencie —
W obawie, że, gdyby weszli z człowiekiem w zetknięcie,
Uczciwość dyabłów się popsowa.
Ale że się zbuntował naród potępiony,
Dalej chcąc zamieszkiwać piekielne regiony,
Bóg zmarszczył brew i cały
Piekieł okrag starożytny
Spojrzeniem w głązy przemienił i skały!
O miłości ojczyzny, ty, zapale szczytny!
Próżno chciał Bóg ich przenieść na inne planety.
W różnej formie, w różnym stanie,
Przyjmują owszem najwyższe skaranie,
Pełni jakiejś rozkosznej, nadludzkiej podniety...
Wszyscy wolą zstąpić, w głązy obróceni,
Z królestwa człowieczego do państwa kamieni.
Bo, gdyby przenieść piekło do innej otchłani,
Jakżeby mógł potępiony
Żyć w przestrzeni oddalonej
Od hiszpańskiej mowy i Hiszpanii?
Sam Butibamba, i jego gromada,
W postaci granitowego urwiska,
Jest bożyszczem kamiennem, co mu w głębi pyska
Gnieździ się żmija, oraz jajka składa.
A chociaż Dante sprawy tej nie kreśli,
Jaka to męka — być skałą, co myśli, —
Głupcy są ci, co roją, że napewno wiedzą,
Iż nicość wszystko pożera...

*Albowiem to, co umiera,
 Obdarzone jest jakąś tajną samowiedzą,
 I nigdy ludzie ciemnych tych walk nie wysledzą,
 Jakie w boleści dniach toczą ze sobą
 Rzeczy, co widzą, słyszą, co łzawe żalobą
 Cierpią, lecz słowa nigdy nie powiedzą! —*

VII.

*— Ale przyszła chwila na koniec —
 Do Torralby druh rzeczy miły —
 Złotny bowiem miłowania goniec,
 Wiatr, rozpraszając roślin pyły,
 Powszechnie budzi śluby i ziemię ukwieca. —
 I Juan rozdmuchuje z całej siły
 Popioły, lecz je napróżno podnieca.
 Ponieważ jednak rzecz to pewna,
 Że ogień można palić, póki nie brak drewna, —
 Licencyat naraz, ślepą swą żądzą popchnięty,
 By ożywić gasnące błyskawice,
 Spostrzega na wrotach krainy przekłetej
 I zrywa z ich szczytu tablicę,
 Na której napis jasnieje:
 Wy, którzy tu wchodzicie, porzućcie nadzieję!
 I gdy tablicą ognisko podpala,
 Rzecz Torralba: — Teraz zbuduje duch boży
 Inne piekło, któremu właśnie że otworzy
 Źródła nadziei przekłetej,
 Bo nadzieja jest niby pragnienie Tantala,
 Który wśród wiecznej żyje fal ponęty,
 A zawsze od ust ucieka mu fala...
 O nadziejo, ty, równie piękna jak szalona!
 Jakież mogą dać męki piekielne otchłanie,*

*Jeśli nadzieja będzie z piekieł wypędzona,
A z nią trwoga, niepokój i rozczarowanie! —
Więc, kierując błysk zrenicy
Na to jakby gasnące płomień,
Co jeszcze pozostało w straszliwej stolicy
Żądz potwornych i grzechów umyślnych świadomie,
Garcia zręcznemi półobroty
Pochyla się, w dłoń zbiera ziemię,
Zbliża się do tej kobiecej istoty
I sypie garść popiołu na jej głowy ciemie,
Mówiąc: — W imieniu świętej i wieczystej młodej
Matki przyrody! —
I jeszcze brzmia słowa Juana:
— Idź, kochaj i bądź kochana! —
Tak, dnia owego, sztuczna Torralbowa żona
W piekielnym ogniu została ochrzczona.*

VIII.

*Gdy Butibamby przyjaciel uczony
Te okropności poczyną, —
Coż robili w dobie onej
Zakiel i Katalina,
Grzeszników dwoje,
Którym jeszcze zamknięte niebieskie podwoje?
Nie mając już na głowie rogów,
Ozdoby naturalnej u dziatwy piekła progów,
Zakiel u Kataliny boku
Stał w anioła znów przeobrażony.
I oboje ze łzą w oku,
Pełni troski niepocieszonej,
Chcąc odkupić rzecz nieodkupioną,
Modlą się z wiarą niezwalczoną*

*O los duszy człowieka występnej,
 Na wierzchołku góry niedostępnej,
 Gdzie powietrzem ledwie dysze łono!
 Ona — wierną pamięci Torralby została
 I modlitwą złagodzić chce jego cierpienia,
 Gdyż nie tylko rozkosz to, ale też i chwala,
 Życ dla cudzych win odkupienia.
 Twarz jej oblewa mistyczna poświata,
 A usta jej różane
 Powinnyby być całowane
 Nie przez kochanka, lecz raczej przez brata...
 Dla tego, który dotąd nie zaczął pokuty,
 Błaga o przebaczenie pychy win zatrutej...
 A tymczasem jej czoło
 Olsniwała w okóło
 Tęcza, co barwy rozpala
 Nad doliną, niby most świetlany,
 Który — zda się — łączy dwu gór ściany.*

IX.

*Aż Juan Garcia spojrzy niespodzianie
 W stronę, kędy słoneczne rodzi się zranie,
 I zawoła: — O, patrzcie, jak Demon, król biesów,
 Z tej niezmiernej wyżyny,
 Synom swoim ostatnie daje pożegnanie,
 Idąc w świat, gdzie ma władcą innej być głębiny. —
 I oto na horyzoncie, u kresów,
 Widzą, jak się jego postać wspina
 Na śnieżnym wierzchołku góry,
 Tam, gdzie kończy się życie, ale nie wyżyna.
 I mówi Demon: — Nędzne kreatury,
 Na noc przez Boga skazane wieczystą*

*Za to, żeście się nieczystą
Napawali rozkoszą,
Której niebieskie kanony nie znoszą;
Gdy piekło na kostnicę przemieniono wieczną,
Opuszczam was, a razem ludzkie plemię
I tę mą twierdzę stołeczną,
Zkąd siedem grzechów głównych schodziło na ziemię;
A ponieważ żarliwe wasze duchy
W głazy przemienić dały się bez trudu,
I jako więźnia łańcuchy
Miłość piekła cię trzyma tutaj, o mój ludu!
Ponieważście znieśli zawieruchy
Przeznaczeń niełaskawych, —
Zostańcie tu! Zawsze tu mieć będziecie
Rozkosz boleści krwawych!
Raso grzeszna, nie czekaj zbawienia!
Nędznem jest wszystko na świecie;
Od cierpienia do cierpienia
Pieśń bólu nieskończenie żywą
Budzić w was będzie — wieczny łącznik sił — tworzywo!
Przebiegając gamę olbrzymią boleści,
Poznacie miłość w ruchu wieczystym, zażywszy
Jej łez od ognia nieskalanej treści
Do nienawiści najtkliwszej.
Śród skał i roślin zatrutych,
W postaci barw, cieniem osnutych,
Śledzić będziecie tę wojnę surową,
Której — nienawiść i miłość — osnową.
Gdyż ziemi wieczne przekleństwo —
To stałe, wrogie rzeczy przeciwieństwo.
Naprawdę rojąc, że szlak łez ominie,
Nowe przybiera kształty substancja śmiertelna —
W człowieku, w marmurze, w roślinie!
Na dnie wszystkiego gorycz żyje niepodzielna.*

*Ludu mój! Prawem nigdy niewzruszonym
Znaj, że wszystko, co jest i co było,
Skończy się, jak to piekło się skończyło,
Bo milczenie wieczyste — na mroków ruinie —
Wszelkiej wrzawy istnienia jest dyapazonem. —*

X.

*I, na dowód posłuszeństwa,
Wielki Demon, żywiąc przekonanie,
Że już wobec Bożego stoi dostojenstwa,
Jak gdyby echem woła: — Idę, Panie! —
Na głos, co mu w sumieniu bije.
I wypełnia w czci głębokiej
Boże wyroki!
A tymczasem na skroniach mu zmije
Tęsknoty razem z grozą zabłyśną złowrogą,
I znów na piekło spojrzy, i w żalu się wije,
I śnieg odwieczny uderzywszy nogą
Na szczycie góry, w głąb' go odpycha,
I na przelatującej zasiądzie komecie,
A jego wargi szepczą z cicha:
— Żegnaj mi, żegnaj, piekielny mój świecie! —
I gdy noc rozwijała, jak całun szeroki,
Swe milczenie, i chłód swój, i mroki,
Posłuszna gwiazda komety,
Na rozkaz Pana
Świat przelatując, uniosła szatana,
By władał w innem piekle wśród innej planety.*

Pieśń ósma.

TORRALBA ZNAJDUJE SZCZĘŚCIE W ŚMIERCI.

— Natknęliśmy się na kościół, mój
Sanczo.

— Widzę to, odparł Sanczo. Racz
sprawić, Boże, abyśmy się nie natknęli
na swój grób.

(DON KICHOT, Cz. II, Rozd. IX)

I.



*regiem wzgórz otoczo-
[na i cieniami lasu,
Cuenca zbudowana*

[leży

*Na górze w formie
[ananasu,*

*A kiedy z góry spły-
[wa, jej obwód się*

[szerzy,

*Jakby szukając miej-
[sca wśród niwy falistej.*

Miastem była walecznem i w bojach wstawnem,

Które za Maurów już czasu

Miało w herbie kielich złotisty

I srebrną gwiazdę na polu czerwonym.

II.

*Był dzień szóstego maja. Ledwie świt zamiga,
 W jednej Świętego Oficyum ciemnicy
 Mówił do kawalera Diego de Zuniga
 Torralba: — Jesteś zbieg z pod szubienicy! —
 — Rycerzem jestem, panie, — rzekł Don Diego.
 — Tak, tak! — odrzeczcie Torralba z zapalem —
 Co zdradził przyjaciela swego
 Przed świętym Trybunałem,
 Że niby Lutra upowszechniać miałem! —
 — Bo jestem prawdziwy chrześcianin... —
 — Bo jesteś oszust, mości panie,
 Co okłamuje tłum zaufanie,
 I zyskawszy śród ludzi uznanie,
 Pieniędzy pożadasz i danin! —
 — Prawo boże jest rzeczą świętą —
 Odpowie mu Zuniga.
 Ów zaś: — To hipokryzyi intryga!
 Grzech jest rzeczą mniej przekłętą,
 Bo gorszem obłudy szalbierstwo
 Pewnych hidalgów mizernych,
 Co pragną być u dworu i udają wiernych,
 By uniknąć podejrzeń o kacerstwo.*

III.

*I gdy powolnym krokiem
 Wschodził dzień, złotem słońcem lśnić śród widnokrega,
 Gromadka ludzi weszła do ciemnicy,
 Na których przez pół obłąkanym wzrokiem
 Torralba patrzył trupiolicy.
 Jeden z braci, w którego rękę była księga,*

*Mająca na grzbiecie oprawy
Napisać, w literach wielkich barwy krwawej:
Śledcze akta sprawy,
Licencyatowi Torralbie wytoczonej
Za kłamstwa, kradzież, oraz inne zbrodnie, —
Wystąpił, i głosi mu swolna, niewzruszony,
Wszystkie jego szaleństwa, każdy grzech za grzechem:
On zaś z takim słuchał go uśmiechem,
Jakim się czarny anioł śmieje niezawodnie.
Mnich przyzywa jednego ze swoich dworzanów,
Który zdał się z rodzaju wiejskich zakrystyanów,
I wielki inkwizytor każe mu powoli
Czytać fatalny wyrok Bractwa woli:
— Zważywszy, trybunał Hermandady świętej,
Że pod wpływem pewnego anioła Zakiela,
Który ekskomuniką został już dotknięty,
Licencyat Torralba, pośród grzechów wiele,
Oddawał się czarownictwu i magii przeklętej;
Zważywszy, że się uczył nauk zakazanych,
Proboszczowi Bargoty nieznanych;
Że w parę mgnień, na miotle, w powietrznej otchłani,
Tam i z powrotem latał od Włoch do Hiszpanii,
I że — jak czarnoksiężnik — pewnej nocy,
Przy upadłego ducha Zakiela pomocy,
Jednym skokiem się znalazł w Rzymie wśród ulicy —
I w kilka godzin po rzeziach w stolicy
Od niego Valladolid wiedziała zdumiona,
Że Rzym opanowany został przez Burbona;
Zważywszy, że nie czi on żadnego dogmatu,
Że, stworzywszy kobietę, niby dla zabawy,
Spokojnie był wśród ciżby dzikich zwierząt krwawej,
W pieczarze jednej z gór tego powiatu,
Między Tragacetem a Cuencą;
Dodając jeszcze do tej sprawy,
Że w jaskini, gdzie władza ujęła go ręką,*

Pozwalał sobie zbytków babilońskich z gminem
Czarowników i liczne wzywał czarownice,
Urządzając wieczornice
Z chlebem i serem i winem;
Zważywszy, że chciwości nic mu nie nasyci —
Że starał się wynaleźć tak poszukiwany
Kamień filozoficzny, nigdy nie zyskany;
I że, gdy chciał w zawody z dyabłem iść w ambicyi,
Bezbożna żyła w nim pokusa,
By stworzyć Homunculusa,
Co byłby tylko synem ziemi
Na wzór Anteusza;
I że pomiędzy sekciarzami swemi
Sam jeden zyskał palmę stwórcy, —
Bo stworzył postać, w której nie istnieje dusza,
Lecz która całą piękność materyalną wciela;
Zważywszy, że gdy go opętała nowina
Głoszona przez Erazma i Lutra Marcina,
Kocha tylko materyę, — że więc taką drogą
Nauka jego jest herezyą srogą,
Bo duszy ludzkiej nienawistnie przeczy,
Kochając tylko duszę powszechną wszechrzeczy;
Zważywszy, że ta kłamstw szkarada
Na bliską przyszłość zapowiada
Religię Ojca, w której zapomina
Matki i Ducha i Syna;
Zważywszy, że — jak nieraz wypowiadał zdanie —
Bóg-Syn to dlań jedynie mąż niezwyklej miary,
I że przeklęty owy syn niewiary
Czasami wątpił nawet o szatanie:
Przez niebo natchniony z góry,
Trybunał stanowi,
Że Torralbie - licencyatowi
Zadane będą ku męczarni — sznury. —

IV.

— Czy się serce twoje skruszy? —
Pyta go lektor surowy.
W dręczącym rozstroju duszy,
Torralba rzecze temi słowy:
— Czego pragnie Ofcym Świąte, niech wykona.
Bardziej jam zrezygnowan, niż mię żal przygniata.
Nie przeklinam już dnia, gdym wyszedł z matki łona,
Dzięki chwili, gdy pójdę precz z waszego świata!
Bardziej niżli klerowi wstrętną mi jest pycha
I ignorancya Lutra, opornego mnicha,
A jeśli badam dylemat,
Czy gorsza nicość czy życia natura,
Wiem to z Pirrona, którego systemat
Jednem pociągnięciem pióra
Wykreślił dziejów stworzenia problemat.
Co się tyczy rozkoszy,
To w pięknie dla swych zmysłów szukałem słodyczy.
Odkąd ta prawda w mózgu mi zasyczy,
Że dusza — to spoczynku wróg macoszy.
Mulierculę stworzyła moja własna wiedza,
Com uczynił, gdy pojąłem,
Jakiej otchłani jestem otoczony kołem,
Bowiem, spokojnie wążąc, owa miedza,
Którą Bóg ciało od duszy oddziela,
Sprawia w człowieku — cóż? nieprzyjaciela,
Co wiecznie walczy z swem własnem istnieniem.
Nie dziwcie się, że mojem rozumieniem
— Świąte Ofcym niech mi to wybaczy —
Lepsza śmierć od ascetyzmu rozpaczy.
Miłość to życia promień całkowity —
I nienawidzę ciżby, która życie paczy,

*Na włosienicę zmieniając pas Afrodyty.
 Wątpię wiele — to prawda; a w przeczeń sposobie
 Naśladuję wzniosłość stylu
 Sokratesa, co, będąc w swej ciemnicy grobie,
 Zowąd w świat słów szyderczych rzucił manifestem,
 Niby tragiczne potęgi w Eschylu.
 I spokojnie posłuszny jestem
 Sprawiedliwemu, który
 Ze szczytu Olimpijskiej góry
 Bogów Katona jednym strącił gestem.*

V.

*Odpowiedział mu lektor: — Z temi słowy zgodnie,
 Raz jeszcze potwierdzone mamy jego zbrodnie.
 Rzeczą zbadawszy, Trybunał wyroku nie zmieni:
 Torralba więc zostanie karany torturą,
 Lecz nie podlega kaźni, którą
 Czasami znoszą potępieni,
 Którzy na osłe grzbiety
 Bywają wsadzeni,
 Którym się głowę przysstraja koroza
 I których tak na auto-da-fe wiozą,
 Na szafot wśród stosu płomieni.
 Rozkazuję natomiast, aby po torturze,
 Przywiązany u stosu sztachety,
 Widział śmierć swej bezbożnie stworzonej kobiety.
 Jak będzie na ognisku spalona w naturze. —
 Torralba rzekł: — Panowie, dzięki wam, o, dzięki.
 Z chęcią to życie oddam za nic,
 Bylem, nim dzień dzisiejszy dojdzie mroku granic.
 Porzucić mógł ten ciężar zawodów i męki. —
 Gdy wyrok ogłoszono,
 Na żelaznem łożu rozciągnięto*

*Grzesznika — z duszą w winach nieugiętą —
Co już się zdał istotą przez pól pogrzebioną.
I w czasie tym, gdy jeden z księży
Głosi Torralby wszystkie złościwości,
Inny garrote mu natęży,
Aż go sznur przenikał do kości.
Torralba z bólu bez miary
Szeptacze jak Hiob albo Jerobeam:
— Taedet animam meam!..
Duch mój jest zniechęcony do żywota mary. —
I mówi:— Dalej, dalej!
Nie chcę, byście o moment choćby przedłużali
To życie, co mię przytłacza!
Toć żywot wieczny karą był Żyda Tulacza,
Karą, od której nigdy śmierć go nie ocali. —
Bracia się modlą, krążąc dookoła,
A jeden (święty w duszy swej — natchnieniem,
Lecz który głosił Boga mieczem i płomieniem)
Z prawdziwym szarem tak woła:
— Niech zginie grzech wytępiony!
Kościół, póki się znajdzie bezbożnik wśród świata,
Coby naruszał dogmat uświęcony,
Tępić go będzie, aż wytępi zgoła
Rasę Torralby licencyata! —
A inny święty odpowie,
Na inkwizytorów patrząc Trybunału:
— Niech zginą grzesznikowie!
Niechaj grób ich pochłonie! Tam, w mogilnym rowie,
Duch nasz z grzechów ziemskiego oczyszcza się kału! —*

VI.

*Gdy tak Torralba pada w tortury omdlałość,
Widzi przebiełą jakąś białość:*

*To Zakiel płynie uskrzydłony
Do tamtego świata progu,
Obok kochanki swojej odkupionej,
I razem hymn śpiewają Bogu...
I w chwili, gdy się od świata oddalą
Duch Zakiela i duch Kataliny,
Boskiej promienności falą
Zapłoną światła edeńskiej krainy!*

VII.

*Torralbę z łoża podjęli
I długi czas go ciągnęli
Śród niehumanitarnej gawiedzi.
Wreszcie u kraty przywiązany siedzi,
I gdy śród skazańców gromady
Z rozpaczy usta zębami kaleczy,
Zda się pijakiem krwi człowieczej.
W gorączce, od męczarni blady,
W piersi ma ogniste żary;
I gdy go mglista wątpliwość przygniata,
Roi Objawień religijnych mary,
Co gotują przyszłość świata.
I gdy naraz, stos ujrzy, oko w oko,
I dokoła tłum narodu,
Poczuł w sercu ostatni dreszcz chłodu.
A gdy ciżbą szli szeroką
Wierni i bezbożnicy
Wzdłuż ciasnej ulicy,
Co była bagnem i rzeki rozlewem
Na wiosnę, w zimie, oraz w letnim czasie, —
Wielka procesja potępionych,
Raczej niż żywych tłumem, zda się
Huraganem widm zrozpaczonych.*

*I gdy procesya wreszcie wkracza,
Kędy był stos, na wzgórze,
On patrzy już nie widząc; w dzikich myśli chmurze
Taka wściekłość go przytłacza,
Że sam miał twarz Nerona, Rzymu podpalacza.
Łka z bólu, coś go dusi, w skroniach szybko tętni,
I gdy zachodzące słońce
Rzucało najobojetniej
Blaski tak natężone, że aż wrok ślepiące,
I gdy ujrzą jego oczy,
Jak się ta cięba ślepa tłoczy, —
Licencyat szepcze: — To litości godne!
Że na to ścierwo zgniłe i cuchnące
S pływa światło tak czyste, piękne i pogodne! —
I tak, u kraty zawisty,
Patrząc wokół, zda się, traci zmysły.
Skrami błyskają oczy gorejące,
A w gorączki dreszczach ognistych,
Śród rzeczy urojonych oraz rzeczywistych,
W powietrzu ptaków obaczy gromady,
A na ziemi pełzające gady,
A dokoła widm tysiące,
Cienie, duchy, i wiedźmy, i strzygi krążące.
I śród bólu, co śmierci pokrewny,
Widzi białą postać anioła,
Co z nieba doń się chyli — i w melodyi rzewnej:
Żałuj grzechów! tak mu woła
Kataliny dusza skrzydlata
Namaszczonym głosem z nieziemskiego świata.*

VIII.

*Zanim chórem ucichł wrzask cały,
Podobny do szmerów spienionych,*

Jakie czynią rozcierane kryształy,
Gdy skacząc ze skał na skały
I losem wybierając urwiska
Z szumem Huecar się ciska:
Słychać jęki potępieńców,
Jedni modlą się bez skargi,
A drugie tłumy jeńców
W kratery przekleństw zmieniają swe wargi.
Tymczasem wśród ognia młyna,
Leżąc, niby w miłosnej łóżnicy,
Muliercula albo Torralbina
Nie bez piękności i gracy
Ujawniała w swej postaci
Naturalny wdzięk tygrysicy!
Choć cierpi, pewnie tak to czyni,
Że gdy za tego ginie, co go kocha,
W płomieniach nie jest ani trocha
Mniej spokojna, niż ptak na pustyni.
Nieświadoma jak bestya, chociaż ją pożera
Przerywany ogień stosu,
Gdy dla kochanka umiera,
Głupia! uszczęśliwiona jest ze swego losu.
Bo kierując się zmysłem wrodzonym, koniecznym,
Dążąc w przyszłości
Do spokoju wielkiej nicości,
By koniec tu był końcem ostatecznym,
Nawskroś, z animą swą całą
Na płomienisku swietlanem
Jak na łożu umarło różanem
Owo ciało bez duszy człowieczej,
Co naśladuje swą ciszą wspaniałą
Święty majestat wszechrzeczy!

IX.

*Dymy i popiół rozproszony
W powietrzu unosiły się, niby welony.
I póki słońca gorzało ognisko,
Ostatni dzień jej życia lśnił żywymi blaski,
A gdy zamilkły wreszcie rozpaczliwe wrzaski
Gromady potępionej,
I gdy spłonęło wszystko,
Dym uleciał w górę uniesiony
I cały się rozplynał w nocy przeminionej!
Smutno, gdy znika z żywota
Tak niewinna i piękna istota,
Lecz gdy owa tragedia nieczysta przeminie,
Gdy znów się wody wiosenne zapienia,
Na górze, na dolinie, na równinie
Znów się pola okryją zielenią,
A zieleni różami,
A róże motylami!
W Torralbie zwolna gaśnie duch człowieka
I budzi się w nim piekła śmiech wszeteczny —
I obojętnie czeka
Na kresu kres ostateczny,
Na sen — ach! na sen wieczny...
A wtem wirem w nim zagrzmia myśli huragany —
I w ostatniej chwili, jak zmory,
Dym ognisk rozkołysany,
Palonego tłuszczu fetory,
Kadzidel i wosku powiewy,
Zwilgotniałej ziemi wysiewy,
Cały ten koncert jadem przesycony
Okhydnych woni w powietrzu cuchnącem,
Zda mu się, chociaż sam jest nawpół zaczadzony,*

*Jak odór, którym bucha, nagle otworzony,
 Grób zamknięty przed lat tysiącem.
 I, przywiązany do kraty,
 W zniechęceniu szeptcze złowrogiem:
 — Dość tej ohydy życia! Chcę życia satraty!
 Życie, co mię opuszcza, niechaj idzie z Bogiem. —
 Widzi Torralby duch bolesny,
 Że już do tej krainy wchodzi nieokreślnej.
 Gdzie się Żywota kończy panowanie
 I gdzie już śmierci przeczuwa się sferę —
 A choć wiary tej nie ma w sobie,
 Która Boga ujawnia w próżni oceanie,
 Szeptcze: Miserere!
 I przeklinając zło, co włada na tym globie,
 W końcu — z grozy i wstrętu — zamyka powieki,
 Czeka śmiertelnie, zastyga, usypia na wieki...*

X.

*I... O, boskie Złudzenie! W agonii — z zamglawi —
 W chwili ostatniej biała postać mu się zjawi —
 I słyszy Kataliny czysty głos, co woła:
 Tędy, tędy! Idź naprzód za lotem anioła,
 Niebo cię moją ręką błogosławi!*

PRZEŁOŻYŁ

Antoni Lange.

Ramon de Campoamor.

ŻART, SATYRA, IRONIA I GŁĘBSZE ZNACZENIE.



AKT DRUGI.

SCENA I.

Sala na zamku. Wchodzi DYABEL z owiniętem kopytem.

DYABEL.

Wałęsa się tu jakieś olbrzymie chłopisko, długie jego palce wskazują, zda się, bezustanku na szubienicę, na której kiedyś jeszcze zawisnie. Ten nada się może do mojego planu. — Ale otóż i on! Odstąpmy na bok i posłuchajmy, co powie.

Baron MORDAX.

Przepyszna bestyjka z tej Liddy i smakowałaby mi bardzo. Ożenię się z nią, albo ją zamorduję.

DYABEL, występując z ukrycia, do siebie.

Czczigodny człowiek! Głośno: Hrabia Bydle, jeśli się nie mylę?

Baron MORDAX.

Baron Mordax, jeśli pana skóra nie świerzbi.

DYABEL.

Jaśnie pan jest zadurzony w młodej baronównie?

Baron MORDAX, jęklwią.

O, ponad miarę!

DYABEL.

Ja ją panu dostarczę.

Baron MORDAX.

Jak?

DYABEL.

Jednakże zastrzegam sobie pewien warunek.

Baron MORDAX.

Zastrzegaj pan sobie, co się panu podoba.

DYABEL.

Przedewszystkiem, musisz pan najstarszemu synowi kazać studyować filozofię.

Baron MORDAX.

Zgoda.

DYABEL.

Powtóre, musisz pan zamordować trzynastu krawczyków.

Baron MORDAX.

Kpisz sobie ze mnie, łotrze jeden? Co za waryackie żądania! Zamordować trzynastu krawczyków! Dlaczegoż właśnie krawczyków?

DYABEL.

Ponieważ ci są najniewinniejsi.

Baron MORDAX.

Ach tak! — Ależ trzynastu! Co za ilość niepomier-
na! No, od biedy gotówem siedmiu łby poukręcać, lecz
ani jednemu ponadto.

DYABEL, obrażony.

Pan myślisz, że, jak żyd, będę się z nim targował?
Chce odejść.

Baron MORDAX.

Stójże pan! — zabiję dziewięciu, — jedenastu, — dwu-
nastu wreszcie. Ale trzynastego musisz mi pan darować.
To byłoby ponad okrągłą liczbę.

DYABEL.

Zgoda, zadowolnię się i tem, jeżeli trzynastemu poła-
miesz pan choć kilka zeber.

Baron MORDAX.

No, o kilka parszywych zeber nie będziemy się chy-
ba sprzeciali. — Ale — ale —

DYABEL.

Jeszcze: „ale“?

Baron MORDAX.

Widzisz pan, mam nowy tużurek i białą kamizelkę:
przy tylu morderstwach gotówem się bardzo zawałać.

DYABEL.

Jeżeli tylko o to idzie? Toć możesz pan zasłonić się
serwetką.

Baron MORDAX.

A niechże mnie piorun! Racya, wszak mogę zasłonić się serwetką.

DYABEL.

A więc jutro oczekuję pana przy leśniczówce w Schallbrunie. Tam odwiążesz pan serwetkę i weźmiesz baronównę w objęcia.

Baron MORDAX.

Ho, ho, ho! Do tego nie będzie mi potrzeba serwetki. Wychodzi.

DYABEL.

To się powiodło! — jak mówi Oktawiusz Piccolomini. Wnioskując z moich wiadomości fizyognomicznych, z panem von Wernthal, rzecz również powinna pójść gładko, gdyż wygląda mi on akurat jak pobożny Eneasz, gdyś go wczoraj w południe, przed trzema tysiącami lat, spotkał zmykającego od Dydony.

Wchodzi pan Wernthal w rozmowie z samym sobą.

WERNTHAL.

A więc niebawem wesele! Moja narzeczona jest dowcipna, wesoła i szlachetna. — Ale ja mam 12000 talarów długu, ona zaś jest zbyt mądra, aby mi tak wielki kapitał do rąk powierzyć. — Żebyż ona siedziała na łysej górze, a ja obym dźwigał na grzbiecie jej złote sakwy!

DYABEL występując z ukrycia, do siebie.

Również czcigodny człowiek! głośno: Sługa, panie von Wernthal! Co u pana słychać?

WERNTHAL.

Oj, źle, panie Kanoniku!

DYABEL.

Ile pan chcesz za swoją narzeczoną?

WERNTHAL, *wybuchając gniewem.*

Panie, pan — !

DYABEL.

Jestem namiętnym zbieraczem nieżonatych chrapaszczy, tłustych oberżystów i młodych narzeczonych; dobrej ceny nie poskapię.

WERNTHAL.

Hm! hm! A więc kolekcjonista! Nie poskapisz pan dobrej ceny! A więc ile dajesz za Liddy? Jest niezmiernie piękna.

DYABEL.

Za piękność płacę 2000 talarów w monecie konwencyjnej.

WERNTHAL.

Jest rozumna!

DYABEL.

Za to odciagam panu 5 groszy i 2 fenigi, ponieważ rozum jest wadą u dziewczyny.

WERNTHAL.

Ma wykwintną, miękką rączkę.

DYABEL.

Policzkuje, znaczy się, łagodnie. Za to płacę 7000 talarów w złocie.

WERNTHAL.

Jest jeszcze niewinną.

DYABEL, z miną kwaśną.

Ach, niewinność tędy, niewinność owędy! — Za to nie dam więcej nad 3 grosze i 1 fenig w monecie miedzianej.

WERNTHAL.

Ale Liddy posiada nadto uczucie, wyobraźnię.

DYABEL.

Uczucie psuje płęć, wyobraźnia wywołuje niebieskie podkowy pod oczyma i warzy piwo w dzbanie. Za ten cały kram daję z ironii tylko trojaka.

WERNTHAL.

Pan masz dość wstrętny smaczek.

DYABEL.

Ostatecznie — abyś pan wreszcie zamilczał o możliwych moralnych właściwościach baronówny (rzeczy tych zdrowie moje nie znosi), zapłacę panu jeszcze 11000 talarów w holenderskich karbowanicach. — Pytam teraz, czy warunki moje wydają się panu możliwemi do przyjęcia?

WERNTHAL.

Ileż to wszystko czyni razem?

DYABEL, obliczając na palcach.

Za piękność — 2000 talarów w monecie konwencyjnej,
za niewinność — 3 gr. 1 fen. w miedzi,
za miękką rączkę — 7000 talarów w złocie,
za uczucie i wyobraźnię — trojaka, z ironii,
za przemilczenie o właściwościach moralnych osoby — 11000 talarów w karbowaniach holenderskich.

To czyni razem: 20000 talarów 3 grosze i 4 fenigi.
Z czego odchodzi: 5 groszy, 2 fenigi za rozum;
pozostaje saldo: 19999 talarów, 22 grosze i 2 fenigi.

WERNTHAL.

Dawaj rękę, panie zbieraczu narzeczonych i chra-
bąszczy! Kiedyż dostanę pieniążki?

DYABEL.

Natychmiast! — Musisz mi pan tylko wprzód przy-
rzec: iż zwabisz jutro Liddy do leśniczówki w Schallbru-
nie, iż potrafisz zapobiedz, aby jej służba nie towarzyszy-
ła, iż nie będziesz dochodził, kto tam wówczas porwie
panienkę.

WERNTHAL.

Zobowiązuję się do wszystkiego, z wyjątkiem zwa-
bienia baronówny do Schallbrunu, gdyż mogłoby to podać
mnie w podejrzenie. Radzę panu skłonić estetyka Trutkę,
aby namówił Liddy na przejażdżkę w te strony. On czy-
tuje namiętnie utwory noworomantycznej szkoły i kocha
się do szaleństwa w samotnych chałupach leśnych.

DYABEL.

Spróbuję użyć jego. Jednakże, wobec tego ograni-
czenia naszej umowy, musisz pan pozwolić, że połowę na-
leżnej sumy wypłacę mu w papierach austriackich.

WERNTHAL.

O, pan jesteś dyabło kutym sknerą!

DYABEL, uważając to za pochlebstwo, wzdryczy się wstydliwie.

O, proszę bardzo... Rumienić się muszę! Wprawdzie rad jestem ze swego potępienia, wprawdzie nader chętnie bywam skąpy, z szaloną ochotą bywam kuty, ale wciąż jeszcze nie czuję się dosyć kutym sknerą.

Wychodzi z Wernthalem.

SCENA II.

Pokój Trutki.

TRUTKA, siedzi przy stole i pragnie tworzyć.

Ach, — te myśli! Rymy są, ale myśli, myśli! Oto siedzę, piję kawę czarną, żuję pióro, piszę, przekreślam, i nie mogę znaleźć myśli, ani jednej myśli! Hm, jakże ja tu uławić? — Stój, hola! Co za idea błysła mi w tej chwili? — Bajecznie! bosko! Oto, napiszę sonet o myśli, że nie mogę znaleźć myśli, i dalibóg ta myśl o bezmyślności jest najgenialniejszym pomysłem, jaki mógł mi zaświtać! Zrymuję utwór właśnie o tem, że nic stworzyć nie mogę! Jakież to będzie dowcipne, jakie oryginalne. Biegnie przed lustro. Na honor, mam minę wcale genialną! Siada przy stole. No, teraz zacznijmy! Pisze.

SONET.

*Przy stole siedzę, pióro w sębach szarpie**Jako — —*

Hę? Cóż, na Boga, wygląda, siedząc, jak ja, gdy pióro gryzę? Zkąd tu wziąć stosowne porównanie? Skoczę chyba do okna i spojrzę na dwór, może zobaczę przypadkiem coś podobnego. Otwiera okno i wygląda. Tam siedzi oto

chłopak pod murem i — Nie — to nie tak wygląda! — Tam znów na ławie siedzi żebrak i gryzie kawał suchego chleba. — Nie, to byłoby zbyt trywialne, zbyt pospolite! Zamyka okno i przechadza się po pokoju. Hm, hm! czyż istotnie żaden pomysł do głowy mi nie przyjdzie? Wyliczmy po kolei wszystko, co gryzie i żuje. Kot gryzie, tchórz gryzie, lew — hola! lew! — Co gryzie lew? Gryzie owcę, wołu, kozę, konia. Stój! konia! — Czem dla konia grzywa, tem dla pióra gęsiego chorągiewka: — podobieństwo jest zatem dość blizkie. W radosnym okrzyku; Zwycięstwo! — oto jest obraz! Śmiały, nowy, kalderoński!

*Przy stole siedzę, pióro w zębach szarpię
Jako — dopisując: lew srogi, zanim dzień zaświta,
Konia, swe pióro bystre szarpiąc, sgrzyta —*

Czyta dopisane dwa wiersze szeptem, potem głośno, wreszcie młaską językiem, smakując w nich widocznie. Nie, nie! Takiej metafory jeszcze nie było. Przeraza mnie własna siła poetycka! Błogo wyciedza do dna filiżankę kawy Koń — lwie pióro! i w dodatku przymiotnik „bystre.“ Jakież to niesłychanie trafne! Jakież pióro może być prędzsze od konia? Zaś słowa: „zanim dzień zaświta“ — nie są-ż wprost homeryczne? Nie pasują one tam wprowadzić bynajmniej, czynią jednak obraz samodzielny; podnoszą go do małego eposu! O, muszę jeszcze raz przejrzeć się w lustrze! Przegląda się. Dalibóg, wysoce genialne oblicze! Nos wprowadzić nieco za kolosalny, ale to należy do rzeczy. Ex ungue leonem, po nosie geniusza! Wchodzi DYABEL.

DYABEL.

Bonjour, panie Trutka.

TRUTKA, odwraca się i chce już powitać dyabła, gdy wtem spostrzega jego kopyto, z którego opadły w tej chwili chusty.

Wszechmocny Panie — dyabeł! Chce wymknąć mu się bokiem, aby dopaść do drzwi.

DYABEL, zauważywszy swe nagie kopyto, tupie niem z wściekłością.

Obrzydliwa nieostrożność! Do Trutki. Nie przerażaj się pan. Czytałem pańskie utwory.

TRUTKA, stając się nagle ukiadnym.

Czytałeś pan? czytałeś pan naprawdę?

DYABEL.

Tak jest. I podobały mi się niesłychanie.

TRUTKA, z zupełnem już zaufaniem.

Pan udzielasz mi pochwały, na którą prawdziwie — Czy piszesz pan sam?

DYABEL.

Ja —

TRUTKA, nie dając mu dojść do słowa.

Pan musisz pisać! Spróbuj pan tylko! Pan będziesz pisał cudowne poematy!

DYABEL, na stronie.

Ponieważ pochwalilem twoje.

TRUTKA.

Tylko, proszę, podpisuj pan pod poezjami inne, nie własne nazwisko. Nie dla tego, abyś pan, według dzisiejszej mody, miał się wstydzić swych utworów, lecz aby ukryć charakterystyczność swego imienia. Jeżeli np. ktoś, czyja głowa jest pełna mrocznych i ślepych zaułków, zwać się może *jasnym*, *) dlaczegóż pan nie mógłbyś się tytułować aniołem, niebem lub cnotą?

*) Prawdopodobnie aluzya do wspomnianego już w akcie I-szym *Teodora v. Hella* (hell = jasny). Wbrew ogólnemu prądowi

DYABEL.

Udzielasz mi pan, panie Trutka, zbawiennej rady! — Zresztą, niejedno z dzieł moich ujrzało już światło dzienne, chociażby niedawna rewolucya francuska, tragedia w czternastu latach z prologiem Ludwika XV i chórami emigrantów. Sztuka została nader źle przyjęta, głównie z powodu tej wady, iż gilotynowała krytyków. Nie mogę również, mimo tajemnych wysiłków wielu moich przyjaciół, wystawić jej po raz drugi w Prusach, w Austrii lub w Anglii. Cenzura jest tam zbyt surowa. Mam wszakże nadzieję, iż z drobnymi zmianami ujrzy ona światło kinkietów w Hiszpanii, o ile książę d'Angoulême nie wypije mi do reszty mego hiszpańskiego winka gorzkiego. — Na razie pracuję nad farsą pod tytułem: walka Grecyi o niepodległość, przez autora rewolucyi francuskiej. Wydaję ją nakładem sułtana tureckiego.

TRUTKA.

Pańskie dzieła, które, jak widzę, znałem oddawna, nie wiedząc, że pan jesteś ich autorem, — pańskie dzieła mają w sobie coś olbrzymiego, panie Dyabel! Jednakże nieprawdopodobieństwa, swobody co do miejsca i czasu, na jakie pan sobie pozwalasz, są już zbyt wielkie! I w dodatku wiersze! wiersze! Również i światopogląd, jaki się w tych dziełach wyjawia, może niejako —

DYABEL.

A wiesz pan też, czem jest świat?

romantyzmu, próbowali niektórzy pisarze, a na czele ich Teodor v. Hell, uprzystępniać wielkie wówczas zdobycze nauk eksperymentalnych. Czynili to jednak „w dawkach nieszkodliwych, rozwodnionych, ocukrzonych i uperfumowanych.“

TRUTKA.

Co za pytanie? Świat jest łącznem pojęciem wszystkiego, co egzystuje, począwszy od najdrobniejszego robaczka, a skończywszy na najbardziej nieogarnionym systemie słonecznym.

DYABEL.

Wiedz-że pan, iż to łączne pojęcie wszechbytu, jakie zaszczytasz pan mianem świata, nie jest niczem więcej jak mierną komedią, skleconą podczas wakacyj szkolnych przez gołowasa i żółtodzioba anioła, — anioła, jeśli się nie mylę, z ósmej klasy gimnazyalnej, żyjącego w świecie niepojętym zresztą dla ludzi. Exemplarz, w którym my się znajdujemy, wypożycza księgarnia w X; obecnie czyta go piękna dama, która zna autora, i dziś jeszcze, to jest za sześć trylionów lat, wypowie swój sąd o książce przy wieczornej herbacie.

TRUTKA.

Panie, ja oszaleję! — Jeżeli świat jest komedią, czemże jest piekło, które przecie również na świecie się znajduje?

DYABEL.

Piekło jest wspomnianej sztuki fragmentem ironicznym, który udał się ośmioklasiście, jak to zwykle bywa, lepiej niżli niebo. Niebo zaś ma być pogodną częścią utworu.

TRUTKA.

Czyżby piekło naprawdę nie było niczem więcej? Jakże więc — jak każecie przestępców?

DYABEL.

Mordercę wyśmiewamy tak długo, póki sam z nami śmiać się nie zacznie, że zadał sobie trud zgładzenia czło-

wieka. Najsrodszą karą dla potępieńców jest przymus codziennego odczytywania „Gazety wieczornej“ i Wolnomysłnego“ bez możności naplucia na nie z obrzydzeniem..

TRUTKA.

Na Boga, panie Dyable, widzę że w piekle znają nie tylko moje poezye, lecz całą literaturę niemiecką! Czem się to tłumaczy?

DYABEL.

Rzecz nader prosta! Do piekła dostaje się nietylko samo zło, lecz i wszystko mizerne oraz trywialne: pocziwy Cyceron siedzi obok złego Katyliny. Ponieważ zaś dzisiaj najmizerniejszą ze wszystkich nędzot jest współczesna literatura niemiecka, zajmujemy się nią tedy poważnie.

TRUTKA.

Hm, jeśli literatura niemiecka stanowi w piekle główne zajęcie, — jakże dziwaczniemi muszą być Wasze zajęcia uboczne!

DYABEL.

W godzinach, wolnych robimy sobie z niewidzialnych, a więc przezroczystych duchów szyby do okien, lub szkła do okularów. Ostatnio, na przykład, babka moja, gdy jej strzelił do głowy szczególniejszy kaprys ujrzenia właściwego jądra cnoty, nałożyła sobie na nos dwóch filozofów: Kanta i Arystotelesa. A że przez to coraz ciemniej robiło jej się przed oczyma, wzięła zamiast tamtych na lornetkę — dwóch chłopów pomorskich, dzięki czemu zaczęła widzieć tak dokładnie, jak tylko sama zechciała.

TRUTKA, *kładąc rękę w rękę.*

Szczególne, niesłychane! — Powiedz mi pan, czy wiecie wy tam cośkolwiek o niebie?

DYABEL.

Czemu nie? Niedawno miałem kłopot z Samielem z „Wolnego strzelca,” który przyszedł do piekieł i chciał się koniecznie pokumać ze mną; za szlachetność okazaną za życia gajowemu Maxowi, musiałem go jednak przemocą zawlec do nieba. Opierał się bardzo; wreszcie gdy mu żelazną obrączkę przez nos przeciągnął, rzekł głucho: „To się pokaże!” U wrót nieba przyjął go Sokrates z otwartymi ramionami i zaprowadził czempredzej do balwierza, aby sobie brodę mógł zgolić i nabrać nieco cywilizowańszej powierzchowności.

TRUTKA.

O, skoro pan tak znasz sprawy nieba, zaklinam pana, powiedz mi, co czynią ci nieśmiertelni bohaterowie cnoty, których obrałem za gwiazdy przewodnie życia mego i moich utworów. A więc, przedewszystkiem, co porabia ten wzniosły wzór przyjaźni, boski markiz Poza?

DYABEL.

Czy masz pan na myśli markiza, który występuje w Don Carlosie?

TRUTKA.

Tak jest, — maltańczyka!

DYABEL.

W takim razie, mylisz się pan grubo, szukając go w niebie; on siedzi u mnie w piekle.

TRUTKA.

Co takiego!?

DYABEL.

Tak jest, tak, drogi panie. Podobnie jak Samiel zdziwił się, gdy mu do nieba kazano, tak markiz Poza osłupiał, znalazłszy się nagle w piekle. Ale zabraliśmy mu zaraz jego grzmiącą tubę głosową i daliśmy mu rolę, do której największy okazywał talent: został suflerem i założył piwiarnię z szyldem: „pod królową Elżbietą.“

TRUTKA.

Niemożliwe, nieprawdopodobne! Poza — szynkarzem! Pomyśleć tego wprost nie mogę!

DYABEL.

Uspokój się pan! Jak się zdaje, upodobał on sobie dzisiejszą swą czynność: pełnieje, tyje, brzuch mu już zwisa...

TRUTKA.

Markiz Poza z obwisłym brzuchem! — A cóż porabia drugi wzniosły wzór poświęcenia, szlachetny, serdeczny malarz Spinaroza? *) Zasiada pewnie w pierwszym rzędzie niebiańską jaśniejącą świetnością, tuż obok Kurcyusza i Regulusa?

DYABEL.

Ej nie, mylisz się pan po raz drugi. Spinaroza pełni obowiązki markiera w szynku Pozy; tam ćwiczy się w samopoświęceniu, które tak chętnie odgrywał na ziemi, mimo że mu się ono ani rusz udać nie chciało. Teraz wszakże,

*) Patrz dopisek o Müllnerze w akcie I-szym.

gdy podaje gościom dzban Merseburgera, nawpółotwarta jego gęba świadczy wymownie, że zrzeczenie się tego dzbanu kosztuje go stokroć więcej, aniżeli zrzeczenie się drewnianej Kamilli. Niedawno próbował nawet ukradkiem zmoczyć wargi w dzbanie, ale wówczas wyciął go Poza tak dzielnie w ucho, że ruski miesiąc o tem nie zapomni.

TRUTKA.

Boże! Jakże to człowiek się myli! Spinarozę policzkuje Poza! Ginę po prostu! — A Kamillę zwiesz pan drewnianą! Czyżbyś pan na seryo tak myślał, panie dyable? — O, proszę cię: jak się miewa ten idealny twór miłości, który nawet w późniejszych, w tak zwanych najlepszych latach, gdy synowi minęło już szesnaście wiosen, niezapomina o kochanku i dobywa dlań z piersi słodkie westchnienia, niby osiemnastoletni podłotek? O, ta czcigodna unosi się zapewne wraz z Teklą i Julią nad błoniami wiecznej szczęśliwości!

DYABEL.

Tak, ona dostała się do nieba i przyłączyła się do obu dziewcząt. Ale gdy raz Tekla nazwała ją w myślach „matką”, wpadła ta czcigodna w tak zawziętą złość, że znalazła się niebawem u nas w piekle. Tu spędziła trzy tygodnie w samotności, snując wciąż wszczęte już w niebie rozważania: czy właściwie widzi czy nie. Wreszcie mijał ją przypadkowo Falstaf, pełen jak zawsze pragnienia, i nie wiem, jak to się stało, dość że wziął ją za szklanekę syropu, pochwycił i wypił doszczętnie. Potem uskarżał się przede mną, że syrop musiał być bardzo niedobry, ponieważ dostał niebawem okropnych boleści.

TRUTKA.

Zwątpilem już o własnym sądzie: tracę niemal odwagę, aby pytać dalej. A jednak, co porabiają moi ulu-

bieni bohaterowie tragedyj: Wallensztajn Szyllera i Hugo Müllnera?

DYABEL.

Obaj są w piekle. Hugo sądził wprawdzie umierając, że niebo otwiera się przed nim, przywidziało mu się to jednak, co zresztą u konającego jest rzeczą łatwo zrozumiałą. Wprawdzie brat jego wyrwał z rąk Cherubowi straszny miecz zemsty, lecz nie na to, aby go odrzucić, lecz aby osobiście uciąć łeb swemu mordercy. Jeżeli zaś przytem wabił go uśmiechem, czynił to tylko jak ktoś, co uśmiechem i wołaniem nęci nieposłusznego psa, by go następnie tem mocniej przetrzepać. — Co się znów tyczy Wallensztajna, przeegzaminowawszy go należyście, odkryliśmy w nim zalety kwalifikujące go na rektora szkoły; to też poruczyliśmy mu niezwłocznie kierownictwo gimnazjum piekielnego w Z. Bylibyśmy z niego w wysokim stopniu zadowoleni, gdyby nie jedna wada: oto ilekroć podnosi kij, aby przetrzepać jakiego małego nicponia, póty woła: „nie miejsce tu, aby bić!“ — „przeto, niech będzie!“ — „jednak wolę nie czynić tego!“ i t. d., póki mu chłopaczysko nie przyczepi z tyłu papierowego warkocza.

TRUTKA.

Niech mnie dyabeł... Poprawia się czemprowadz z ukłonem: Niech mnie pan Dyabeł porwać raczy, jeśli zdumienie i podziw oddechu mi nie zapiera! Ale mów pan dalej! Co porabiają sami poeci? Szyller, Szekspir, Kalderon, Dante, Ariosto, Horacyusz?

DYABEL.

Szekspir pisze objaśnienia do *Franciszka Horna*; Dante wyrzucił przez okno *Ernesta Szulce* *); Horacyusz

*) Autor wielbionej swego czasu „Zaczarowanej róży“ poematu miękkiego, płacziwego, pisanego w gładkich stanzach.

ożenił się z Maryą Stuart; Ariosto kupił sobie nowy parasol; Kalderon czyta pańskie poezye, każe się panu serdecznie kłaniać, radzi, abyś w towarzystwie Liddy odwiedził leśniczówkę w Schallbrunie, ponieważ ten samotny domek leży w miejscowości prawdziwie romantycznej.

TRUTKA.

O ja szczęśny! nad wyraz szczęśliwy! Na szczyt dachu się wdrapię! Kalderon czyta moje poezye! Kalderon każe mi się kłaniać! Zjem z radości świeczkę łojową! Kłaniaj się pan tysiąckrotnie panu della Barca. Powiedz mu pan, że jestem szalonym jego wielbicielem, że odwiedzę z Liddy leśniczówkę, chociażbym miał nogi jej połamać, że...

DYABEL.

Dosyć! Nie mam więcej czasu. — Gdybyś mnie pan kiedy potrzebował: mieszkam w piekle, jak pan wiesz. Ztąd, że wsi, jest to wprawdzie nieco daleko; gdybyś pan wszakże chciał z wyjątkowym pośpiechem tam się dostać, jedź, proszę, do Berlina, Drezna lub Lipska, i zagadnij portyera w pierwszym lepszym hotelu na ulicach uczęszczanych wieczorami. Od tych hoteli do Tartaru pięć minut drogi zaledwie, a prowadzą doń wyśmienite, nader często poprawiane szosy. — Ale wieczór się zbliża! Śpij pan średnio. *Chce odejść.*

TRUTKA, zatrzymując go.

A propos! Słoweczko tylko! Czy nie mógłbym wiedzieć, dlaczegoś pan teraz zstąpił na ziemię?

DYABEL.

Ponieważ w piekle mamy świąteczne porządki: szorują podłogi.

TRUTKA.

Dziękuję panu za uprzejmą odpowiedź. Śpij pan smacznie!

DYABEL.

Śpij pan średnio! Wychodzi.

SCENA III.

Wzgórze pod wioską. Wchodzi MOLLFELS.

MOLLFELS.

Oto ona wreszcie, wieś rodzinna! A oto szara wieża kościelna odzywa się na Anioł Pański! Jak serdecznie dzwoni mi na powitanie po czterech latach rozłąki! — I stary zamek pozostał, jakim był: dumny i wyniosły, króluje pośród kwitnących swych ogrodów; na potężnych jego oknach igra purpurą pierwszy błysk zórz wieczornych! — O Liddy! Liddy! Jakże cię kocham! Gniewnie: Gdybym tylko nie był tak potwornie brzydki!

Wchodzi BAKAŁARZ, nie spostrzegając Mollfelsa.

BAKAŁARZ.

Tu się zatrzymam, ztąd spozierać będę na niwy mego okręgu szkolnego i puszcę wodze mej fantazyi patryotycznej. Jakżeby wszystko wokół ulepszonem być mogło! Gdyby chłopci mieli obowiązek chodzić do szkoły, póki się czegoś nie nauczą, musieliby nawet po końcu świata douczać się o chlebie i wodzie przez jakie sześć tygodni. — Następnie, jakżż użytek możnaby zrobić z wielkiego lasu dębowego, leżącego tam w dali? Kiedyż nastanie ta błoga doba powszechnej oświaty, gdy las ten cały porąbią na

ławki szkolne, ławki poustawiają systematycznie po wszystkich polach, łaknącą wiedzy młodzież na nie spędzą, mnie zaś dyrektorem tego wszystkiego mianują? O, wówczas przy pomocy balonu uczynię słońce mą jaśniejącą katedrą, — wieży kościelnej będzie używał jako pióra, — jezioro w dolinie będzie mym kałamarzem, — zaś niedalekie wzgórze — kawałem słoniny, ofiarowanej mi w dowód wdzięczności przez rodziców i przyjaciół oświaty. Zapada w głęboką zadumę.

MOLLFELS, zbliża się i uderza go po ramieniu.

Zatonałeś pan w prawdziwie pedagogicznych marzeniach, panie bakałarzu!

BAKAŁARZ.

Pan Mollfels! — Jestem olśniony tą radosną niespodzianką! Jakże się panu podobały Włochy, kraj, w którym kamienie przemawiają? Czy na Wenus medycyjskiej wciąż jeszcze nie znać śladów uwiadu starczego? Czy — —

MOLLFELS.

Opowiem panu to wszystko przy sposobności. Tymczasem, co słyhać tu na miejscu? Wszystko po dawnemu?

BAKAŁARZ.

Nic ważnego nie zdarzyło się tu podczas pańskiej nieobecności. Wczoraj przygotowywano sikawkę, aby zapobiedz przedwczorajszemu pożarowi; zaś bogaty Bartłomiej, ożeniwszy się wreszcie z Katarzyną, w której tak tęsknie się kochał, sprawił sobie obecnie analogon do swych spodni: kurtkę ze skóry jelonkowej; łagodzi ona nieco twardość kułaków żony. Co się tyczy mojej niskiej osoby, wiodło mi się jak ojcu Homerowi: od dwóch lat nie jadłem świniny.

MOLLFELS.

Z czego pan wnosisz, że Homer nie jadał świniny?

BAKAŁARZ.

Z tego że opisuje ją tak subtelnie, panie Mollfels.

MOLLFELS.

W takim razie, musisz pan fatalnie opisywać wódkę?

BAKAŁARZ.

Wódkę nie koniecznie, — ale cnotę.

MOLLFELS.

Pokazuje się, że niema reguły bez wyjątku. — Ale powiedz mi pan, co słychać na zamku? Cóż panna Lid-dy? zawsze wesoła?

BAKAŁARZ.

Na zamek przybył kominiarz, który się podaje za ka-nonika i rości pretensye do utraty niewinności już na dwa tygodnie przed przyjściem na świat. — Zresztą, wesołość baronówny i cierpki humor jej wuja są *in statu quo*.

MOLLFELS.

Służę! W zamian za dobre nowiny egzemplarz Pa-miętników Jakóba Casanovy de Seingalt. Choć w safian poprawne i związane, jednakże niepoprawnie rozwiązłe. Kupilem je od żyda, którego pozbyć się inaczej nie mo-głem. Po za tem, nie są mi one na nic przydatne. Odchodzi.

BAKAŁARZ.

Pamiętniki Jakóba Casanovy de Seingalt? Tego Napoleona wszeteczeństwa? Tego jenarała najbardziej

zwycięzkich porażek? I cóż ja, mizerny bakałarzyna, pocznę z temi rzeczami? — Już wiem. Daruję książkę pani sędzinie, wywdzięczając się za przysłany mi garnek grochu. Ona rozumie się na wszystkim: potrafi grunto-wnie przestudyować Jakóba Casanovę de Seingalt.

Wchodzi Tobiasz.

TOBIASZ.

Dobry wieczór, panie bakałarzu!

BAKAŁARZ.

Dobry wieczór, panie Tobiaszu. *Na stronie:* Do dyabła, jakże się tu pozbyć tego durnia?

TOBIASZ.

No, cóż porabia Bogumiłek? Byłeś pan z nim na zamku?

BAKAŁARZ.

Nie słyszałeś pan, panie Tobiaszu, że przed niespeł-na półgodziną przybył do karczmy dentysta, który darmo wyrывa zęby?

TOBIASZ.

A niech go tam! Patrz pan, mam dwa rzędy tak zdrowych zębów, że mógłbym o nie widly ostrzyć.

BAKAŁARZ.

Cóż to szkodzi? Toć wyrwanie masz pan za darmo! Należy i to brać w rachubę.

TOBIASZ.

Dalibóg prawda! Dobra psu i mucha! Pójdę i ka-zę sobie wyrwać kilka trzonowych. *Wychodzi.*

BAKAŁARZ.

O święta naiwności! słodka prostoto! Opuściłaś przepych miast i ukryłaś się w chałupie chłopca! Tobiasz każe sobie wyrywać zęby, ponieważ ma tę przyjemność za darmo! O! O! O! Wychodzi.

SCENA IV.

Pokój na zamku. Wchodzą LIDDY i BARON.

BARON.

Pozwól się ostrzedz, dziewczyno. Niedowierzam panu von Wernthal.

LIDDY.

Ma swoje wady; że posiada jednak i zalety męczyzny dowiódł tego niedawno w pojedynku z hrabią von Naubek.

BARON.

W pojedynku? Oho, wczoraj pojedynkowało się dwóch młodych paniczów o to, że gdy jeden upewniał na swój honor, iż stał już kilkakrotnie pod przęgierzem, drugi nie chciał temu wierzyć. — Dobranoc. Co do pana Wernthala — powiedziałem swoje. Wychodzi.

LIDDY.

Doprawdy, ostrzeżenia wuja poczynają wywierać swój wpływ. Wernthal nie jest takim, za którego go miałam w pierwszych dniach naszej znajomości. — Szczególna rzecz, — przychodzi mi w tej chwili na myśl niejaki pan Mollfels. Miał on wprowadzić najbrzydszą twarz, jaką tylko można sobie wyobrazić, był jednak najdowcipniejszym i najmiłym człowiekiem, jakiego znałam. Wchodzi służący.

SLUŻACY.

Jakiś pan Mollfels oczekuje w sali.

LIDDY, zdumiona.

Kto taki? — Mollfels? — Jakże on wygląda?

SLUŻACY.

Przed chwilą wyciągnęliśmy ze stawu zamkowego siedm starych bab, które spojrzawszy na jego oblicze powskakiwały ze strachu do wody.

LIDDY, do siebie.

Niema wątpliwości, to on! Głośno: Proś tutaj. Slużący wychodzi. Będzie mi to trochę kosztowało, aby ukryć przed nim zdziwienie. Wechodzi Mollfels.

MOLLFELS, do siebie.

Oto oglądam ją znowu! Głośno: Pani, powracam z Włoch i śpieszę ją powitać.

LIDDY.

Witam pana na zagonie ojczystym, witam serdecznie! — Nie zawiodły pana oczekiwania? Jakże Rzym?

MOLLFELS.

Szare ruiny wyzierają z poza zielonych gajów, głośne kroki rozlegają się po samotnych ulicach, zaś słuchając z Kapitolu, z całem wymarłem miastem siedmiu wzgórz przed oczyma, dobrzmiewających gdzieś na dalekim horyzoncie ostatnich grzmotów przeminionej burzy, odczuwa się zupełnie innego rodzaju wzruszenie, niż gdyby się stało w takiej chwili na kościelnej wieży w Berlinie.

LIDDY.

Wydaje mi się, że w Rzymie nawet myśl o śmierci, nie powinna boleć.

MOLLFELS.

Oczywiście! Tam człowiek wstydzi się niemal tego, że żyje.

LIDDY.

Widziałeś się pan we Florencyi z bratem moim?

MOLLFELS.

Oto są listy od niego i od jego małżonki.

LIDDY.

O, dawaj pan! Łamie pieczęcie.

MOLLFELS, przygląda jej się bacznie, podczas gdy Liddy odczytuje listy.

Co za rozkoszna kobieta! słyszy się niemal muzykę jej ruchów! Jak dwa uduchowione ognie naftowe, błyszczą niegasnące płomienie jej oczu, jako jezioro nad swem źródłem faluje jej pierś ponad sercem! Szczęśliwy wybrańiec, którego zmęczona głowa na takim łożu wypocząć będzie mogła! Przechodzi się niecierpliwie po pokoju. Niech będę przeklęty, jeśli dłużej wytrzymam w tym stanie! Muszę wreszcie dowiedzieć się, czy mogę mieć nadzieję, czy też mam się powiesić na pierwszym lepszym dębie! Mimo swej brzydoty, wyznam jej miłość — i wóz albo przewóz! Przystępuje do Liddy. Panno Liddy! Niech pani nie przeraża moja propozycja, gdyż zdaję sobie aż nadto dobrze sprawę, iż postać moja zwykła płoszyć konie, że buty moje, mimo iż tkwią w nich me łydki, są tak puste jak dwie wierzby dziuplaste, że uszy moje — —

LIDDY.

Na miłość boską, panie Mollfels, czy pan zaczynasz majaczyć?

MOLLFELS.

Zaś mój nos! Hohoho, mój nos! Ludzkość cała wzdryga się na jego widok! Niekształtny i pofałdowany jak kryzki tygrysie, czerwony jak lis, płaski jak nowela Karoliny Pichler, a krótki jak sekunda!

LIDDY.

Jak sekunda! — Jakże długiem jest w takim razie pańskie prawe ramię?

MOLLFELS.

Jak rok przestępny! Stojąc wyprostowany, mogę sobie odpinać trzewiki. To moje proste trzymanie się nie przypomina oczywiście pruskiego gwardzisty, przywodzi raczej na myśl sny i marzenia sierżanta lipskiej gwardyi municypalnej! Kat wiedzieć raczy, zkaż me plecy nauczyły się swej nieskończonej skromności: czynią one ze mnie stereotypowy komplement, niezmordowanego badacza własnych nóg, które możnaby nieźle porównać do dwóch obrzękłych szabli tureckich.

LIDDY.

Oszczędź mi pan tych obrzękłych szabli tureckich, i wybaw mnie pan wreszcie z podziwu i zdumienia. Do czego prowadzi ten natchniony rysopis własnej osoby!?

MOLLFELS.

Do tego, by pani do nóg upaść, do tego, że panią ubóstwiam, że panią kocham!

LIDDY.

Muszę panu przyznać, że potrafisz zręcznie nawłóczyć cię oświadczyn miłosnych! Uprzedzasz je pan przynajmniej dokładnym opisem swej powierzchowności. Sądząc z tego opisu, przypuszczałabym raczej, że ze względu na swoje nogi zapiszesz się pan do cechu piekarzy, niż że mi się z miłością oświadczać będziesz.

MOLLFELS.

O, nie rozdieraj mi pani serca memi nogami! Nie ma człowieka, któryby żywił bardziej zjadłą nienawiść do tych dwóch biegunów wstrętu, do tych dwóch burzycieli przyjaźni, do tych dwóch środków uniwersalnych przeciw miłości! Gdybym naprzykład jakiemu szlachetnemu człowiekowi, który wpadł w bagno, uratował życie, ten, rzuciwszy okiem na moje nogi, wytnie mi policzek i uciecze co tchu! — Mimo wszystko, droga pani, siła namiętności zmusza mnie do wyjąkania po raz drugi mej przysięgi miłosnej, zaszedłem już tak daleko, że wstydzę się jeść wołowinę z musztardą, ponieważ wydaje mi się to zbyt trywialnem dla zakochanego. W mej ekstazie miłosnej, napisałem tragedję, której treść jest zbyt idyotyczna, abym mógł się powstrzymać i nie opowiedzieć jej pani natychmiast. A więc: w utworze moim, zamiast doli, każę rządzić bogini antifatalistów: nudzie! Przy podniesieniu kurtyny, bogini zostaje uczczona odczytaniem wyjątków z dzieł dramatycznych Edwarda Gehe. — Nagle ze świątyni rozlega się wyrok, że oto bogini postanowiła zagładę szlachetnej księżniczki Salvavenii. Lud wyje, dzwony biją, księżniczka jęczy, jak gdyby ją szatan w szpony już chwycił; wszystko w szalonej rozpaczyczu rzuca się ku wyjściu, precz ze sceny. Potem wchodzi Ossyan i zja-

da buterszyni. Gdy skończył z tem, zmienia się nagle scenerya i ukazuje salę audyencyjną pałacu cesarskiego. Cesarz ma na sobie kamizelkę napoleońską, zaś wielcy tego świata stoją dokoła w szarych kamaszach, poodpinanych w zgryzocie wielkiej. W kącie pokoju leży para rozgoryczonych na siebie pończoch, które pragną zatruć się nawzajem. Tuż wisi pluszowy kaftan i przerzuca kartki Encyklopedyi, popijając herbatę z filiżanki. Ale oto pełza już krwi żądne, mściwe, hypochondryczne pióro od kuru —

LIDDY.

Zatrzymajcież go, sprawiedliwe nieba! Drzeć zaczynam o swój rozsądek!

MOLLFELS.

Chciałem pani tylko pokazać, że mój zaprzepaścił się już w miłości.

LIDDY.

Mam nadzieję, że pan tej miłości nie bierzesz zbyt poważnie, chociażby dla tego, że jestem już zaręczoną z panem von Wernthal.

MOLLFELS.

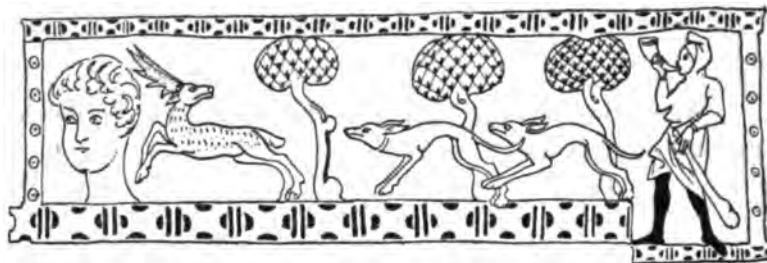
O, niechże mnie zatem ziemia pochłonie, — jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie! — Zaręczona? — Dalibóg, łzy uderzają mi do oczu. Wodzi dłoń po czole. Jeżeli — jeżeli w bólu tym targnę się na siebie, zastrzelę się najprawdopodobniej, gdyż topiąc się mógłbym dostać kataru, a z katarzem zjawiać się przed tron sędziowski Boga Ojca byłoby, ze względu na kichanie, i zbyt hałaśliwie, i nieprzyzwoicie.

Wychodzi.

LIDDY.

Ten człowiek mógłby się podobać kobiecie bardziej,
niż sam przypuszcza.





AKT TRZECI.

SCENA I.

Izba bakalarza oświetlona lampą. Kowal i bakalarz rozmawiają.

KOWAL.

Tak jest, panie bakalarzu, miał kopyto końskie i pęcinę powyżej.

BAKALARZ.

To dyabeł, Konradzie, dyabeł we własnej osobie! Możecie przeczytać w każdej historii naturalnej, dyabeł ma końskie kopyta.

KOWAL.

To też wołał za mną, że jest szatanem, i groził, że mi szyję ukreći, jeśli się z tem wygadam.

BAKALARZ.

Hoho, o to troskać się nie potrzebujecie! Mam ja inne zamiary co do niego. — Cóż wy na to, gdybyśmy

tak pana Wojtka złapali, zamknęli do klatki i obwozili po odpustach i jarmarkach jako dziewicę morza, lub — dla uczynienia afiszów jeszcze bardziej zdumiewającymi — jako wdowę morza? Sami nadalibyśmy sobie tytuły dwóch profesorów od dziewictwa morskiego.

KOWAL.

Stalibyśmy się niebawem wściekłymi bogaczami?

BAKAŁARZ.

Moglibyśmy również prezentować go publiczności jako to, czym jest, mianowicie jako dyabła. Wnękalibyśmy w niego taniec: kazalibyśmy skakać o kiju podług melodyi „jak pięknie błyszczy dziś jutrzienka!” — wreszcie dla zdumienia widzów wsadzalibyśmy mu, niby tresowanemu lwu, głowy w paszczę.

KOWAL.

No, tę sztukę trudno będzie w niego wpoić; on ma dosyć małą gębę.

BAKAŁARZ, mierząc pokój dumnym krokiem.

Współczucia godny, niewierny Tomaszu! Wpajałem w uczniów moich daleko trudniejsze rzeczy.

KOWAL.

No, nie zauważyłem tego jakoś dotychczas na swym Jurku.

BAKAŁARZ.

Wasz Jurek! To tępe, kartoflowe brzuszysko! Przy nim nawet Konfucyusz — mimo iż mędrzec ten nie wiedział zapewne, co to świeca — daremnie świeceby palił.

Wchodzi Małgosia.

MAŁGOSIA.

Dobry wieczór, panie bakałarzu! Pani sędzina ka-
zała mi nazwać pana bezczelnym wołem i rzucić mu na
głowę przysłane pamiątniki Jakóba Casanovy.

BAKAŁARZ, zbierając z ziemi pojedyncze tomy.

Hm! hm! A więc książki te nie przydadzą się pani
gwoli nauce lub dla studyów kuchennych?

MAŁGOSIA.

Ależ panie bakałarzu, jakież on jest głupi! Że to nie
towar do studyów kuchennych, czuje o miłą każda dusza
chrześcijańska. Pani pieni się ze złości.

BAKAŁARZ.

Hm! hm! Ale tu widzę tylko trzy tomy, ja zaś po-
słałem pani cztery; — gdzie się podział czwarty?

MAŁGOSIA.

Właśnie podczas najgorszych wymysłów, pani scho-
wała żywo ten czwarty tom do woreczka podręcznego.

BAKAŁARZ.

Podczas największych wymyślań do woreczka pod-
ręcznego! Co za kłopotliwa niekonsekwencja!

MAŁGOSIA.

Do widzenia, panie bakałarzu. Wychodzi.

BAKAŁARZ.

Kowalu, kowalu, teraz wiem już, jak dyabła przy-
chwycimy! Czy moglibyście zbudować klatkę?

KOWAL.

Chyba ze zrobię ją dobrze.

BAKAŁARZ.

A więc biegnij, leć do domu i zrób mi, dziś w nocy jeszcze, klatkę wielkości człowieka, z drzwiami na dwa łokcie. Postawię tę klatkę jutro wieczorem w lesie, położę wewnątrz pamiętniki Jakóba Casanovy de Seingalt i ukryję się w gąszczu. Takiego łotra jak dyabeł należy zawsze podejrzewać, że chodzi do lasu kraść drzewo. Gdy nadejdzie, mam nadzieję, że pamiętniki Jakóba Casanovy de Seingalt — które, sądząc z tego, iż sędzina zatrzymała sobie czwarty tom, muszą zawierać coś wyjątkowo grzesznego — znęca go do klatki tą magnetyczną siłą, jaką zło przyciąga szatana. Wówczas wyskoczę, zatrzasnę drzwi i zagwizdę w palce.

KOWAL, chcąc widocznie powiedzieć bakałarzowi nader ujmujący komplement.

O, panie bakałarzu, tożes pan wykalkulował, prawdziwie filo — filu — No, jak... jakby to płaskosz mozolnie wydukwił!

BAKAŁARZ, klepiąc go protekcyjnie po ramieniu.

Mówi się: filozoficznie, mój drogi, filozoficznie! Etymolodzy niemieccy wywodzą to słowo od „*viele Stroh-wisch*,” co znaczy wiele wiechci słomianych. Należy tylko ostatnie „*e*” w słowie „*viele*” zamienić na „*o*”, „*stroh*” czytać jak „*so*”, zamiast „*w*” wymawiać „*f*” i słowo „*philosophisch*” zostanie w sposób wysoce niefilozoficzny, ale za to prawdziwie filologiczny wyeksplikowane i wydedukowane.

KOWAL, udając, że go zrozumiał.

Bardzo słusznie, panie bakałarzu! Wydedukowane! Tu siedzi zając w pieprzu, owdzie kot z garnczka wygląda. Zaś oficer to znowu coś zupełnie innego. — Oho, my kowale nie jesteśmy głupi, my kowale nie jesteśmy głupi!

Wychodzi.

BAKAŁARZ, nakładając szlafrok.

Późna już godzina. Dla wzmocnienia żołądka naleję sobie jeszcze kieliszeczek, a potem czempredzej pod pierzynę. — Hola, ktoś puka jeszcze? Proszę!

Wchodzą TRUTKA i MOLLFELS.

TRUTKA.

Jużeś się pan do snu układał, panie bakałarzu? Bardzo nam przykro, że przeszkadzamy. — Nie znasz pan jakiego środka na samobójcze zapędy? Pan Mollfels cierpi na tę dolegliwość.

BAKAŁARZ.

Gdybym śmiał doradzać, zaproponowałbym nieomylną w takich razach dryjakiew z ośmiu lub dwunastu butelek wina; te przynajmniej odwłoką nieco zło.

TRUTKA.

Bene, panie bakałarzu! Tuzin butelek wina! Żywo! Okiennice zamknąć! Urządzimy sobie dziś wesołą nockę. Zgoda, panie Mollfels?

MOLLFELS.

A, niech się piekło raduje! Męka jest lustrzaną podlewą radości, zrobię dziś taki użytek z mego bólu. — Bakałarzu — wina! Oto pieniądze. — Jeżeli bym mimo wszystko chciał uparcie wytrwać przy swych zamiarach, mam już trochę czasu, aby wykonać to, czegom dziś zaniechał.

BAKAŁARZ, stając się nagle ruchliwym jak fryga.

Hejsa! Hopsasa! To były męskie słowa, panie Mollfels. Zaś mojem hasłem będzie: — wino sprowadzić. Biegnie do alkierza. Bogumiłku, Bogumiłku, wyłaż z łóżka. Raz,

dwa! — Wdziej latarnię, zapal spodnie. Wylaż z łóżka! wylaż natychmiast! Pójdiesz ze mną do karczmy, pomożesz mi nieść wino.

BOGUMŁEK, *wylaż z alkierza, nawpół senny, w grubym negliżu; mruży oczy płaczliwie.*

Hi, hu, hi!.. Izba dymi... Turki trąbią...

BAKAŁARZ.

Cóż ty, hultaju? Klepki ci się w głowie przewróciły? Na, masz, wetrzyj - że sobie wody w oczy! Żywo! żywo! Gdzie masz spodnie, gdzie kamizelkę? Na, wdziej mój tużurek! Tak! Widzisz, jak majestatycznie leży na tobie? Jak czarna aksamitna suknia z ogonem. Wyglądasz jak teatralna królowa! Chodź, chłopcze, chodź, chodź! *Wybiega z Bogumłkiem.*

MOLLFELS.

Ha! ha! Trutka, tę scenę możesz pan wsadzić żywcem w jedną ze swoich komedyj!

TRUTKA.

Panie Mollfels, czyś pan niespełna rozumu? Taki trywialno-komiczny występ? Komizm musi być dziś subtelnym, tak subtelnym, że go się zgola już nie spostrzega. Gdy widz mimo to coś zauważył, cieszy go wówczas, nie tyle sztuka, ile własna bystrość, która tam nawet coś znalazła, gdzie nic zgola nie było. Wogóle niemiec jest za nadto wykształcony i rozsądny, aby znosić zuchwałą, tęgą wesołość.

MOLLEELS.

Oj tak, niemiec nie śmieje się, póki nie ma pewności, że będzie mógł najformalniej zdać sobie sprawę, z czego się śmiał.

TRUTKA.

Wierz mi pan, gdyby dziś ktoś napisał sztukę, aż do najdrobniejszych szczegółów opartą na wyższych zasadach, gdyby odważył się przeprowadzić idee swe śmiało i oryginalnie, przeważna część publiczności zapoznałaby go dla tego właśnie, nie mogąc wśród gąszczu drzew dojrzeć lasu.

MOLLFELS.

Pan-eś się pewno przewalił z taką komedią, napisaną w imię wyższych zasad?

TRUTKA.

Ach, nie mów pan „przewalił“, — to brzmi zbyt twarde. Powiedz pan raczej „upadł“, — jest to, bądź co bądź, wyrażenie łagodniejsze.

MOLLFELS.

Czy mogę panu służyć radą? W przyszłości pisz pan wyłącznie tragedye. Jeżeli tylko zdołasz nadać im należyłą mierność, upoisz się poklaskiem. Przedewszystkiem, plan sztuki musi być odpowiednio błahy i płaski, w przeciwnym razie gotów niejeden krótkowzroczny łeb barani całości nie ogarnąć. Następnie, nie powinienes w najmniejszym drobiazgu polegać na rozumie i badawczości czytelnika; a jeżeli nieszczęście chciało, że w całość wplątała się jaka wybitna scena, powinienes wnet potem najstaranniej zaznaczyć, co ona ma na celu i w jakim stosunku do całości należy ją pojmować. Przy tem, na miłość Boską, ugniataj wszystko na miękko, gdyż, co miękkie, podoba się, choćby to było tylko mokre łajno. Upodobania dam miej zawsze przed oczyma, jako pierwszą wskazówkę, gdyż — mimo iż żaden prawy poeta nie uznał ich za powołane do sądzenia w rzeczach sztuki — są one obecnie w jej kró-

lestwie najwyższą instancją apelacyjną. Rzeczą pozostaje nierozstrzygnioną, co je powołało na to wysokie stanowisko: słabowite nerwy, czy też zręczność w skubaniu szarpili. Natomiast pewnem jest, panie Trutka, że jeśli masz pan dosyć potęgi, aby przełamać jedną z powyższych reguł, zostaniesz niebawem okrzyczany jako na ślepo gdzieś pędzący, szalony, surowy fantasta, który w dzikim rozmachu smaruje do kupy piękno z potwornością. Gdyby Szekspir i Homer powstałi dziś z grobów ze swemi dziełami, należałoby oczekiwać krytycznych wyroczni, w których Iliadę nazwanoby bezsensowną mieszaniną, zaś Lear'a bombastycznym chlewem. Niedosć tego! znaleźliby się prawdopodobnie recenzenci, którzy udzieliliby Homerowi życzliwej i delikatnej wskazówki, aby próbował drogą pracy i naśladownictw wdrzeć się na wyżyny „Zaczarowanej róży“, a Szekspirowi nie oszczędzili rady, aby, studyując pilnie powieści *Helminy von Chezy* i *Fanny Tarnow*, nauczył się z nich znajomości ludzi.

TRUTKA, chrząka co chwila podczas powyższych słów Mollfelsa i gestami okazuje, iż nie godzi się na jego sądy.

Moje zasady nie pozwalają mi całkowicie potakiwać pańskim wycieczkom satyrycznym przeciw wszelkim regułom. Reguły wydają mi się niezbędnymi; są one niejako spodniami geniuszu. Na czymże ma się opierać artysta, po czem poznać siebie samego, jeśli, w stosunku swoim do krytyków, nie —

MOLLFELS.

Artysta winien się wspierać tylko na własnym geniuszu, poznawać siebie tylko po spokojnej i jasnej samowiedzy twórczej. Co się zaś tyczy jego stosunku do krytyków, należy pamiętać, że krytycy mozolnie budują tamy na przestrzeni tak szerokiej jak ich mózg, a więc bardzo

wązkiej; zjawia się geniusz, widzi żalosną naokół ciasnotę, burzy tamy i rzuca je krytykującym panom na głowy tak energicznie, że wyc zaczynają. Gdy pospolity tłum usłyszy te wrzaski, powiada sobie w prostocie ducha: oni krytykują.

TRUTKA.

Hm, tym sposobem, każdy niekorzystnie skrytykowany poeta miałby w panu żarliwego obrońcę.

MOLLFELS.

Jak daleki jestem od czegoś podobnego, świadczy bodaj to, że niejednokrotnie wyrzucał rządowi okrucieństwo względem publiczności, wzywając je, aby bez wahania powiesiły dobrą kopę poetów za ich nikczemne poezye.

TRUTKA, w niepojętym niepokoju.

Nie! Nie! Tego byłoby za dużo! Wieszać! Sprawiedliwe nieba, co za okropny pomysł... Henryk Doering, Fryderyk Gleich, Metuzalem Müller, Karol Stein... o, zęby mi dzwonią, dalibóg zęby mi dzwonią. *Wzdycha z ulgą widoczną.* Ach, nareszcie powraca bakałarz z winem!

BAKAŁARZ z BOGUMILKIEM, obaj obładowani butelkami wina.

BAKAŁARZ, śpiewa.

Vivat Bachus, Bachus górą,
Bachus był to tęgi mąż!

Do Bogumilka:

Śpiewaj-że razem, głupi knocie!

BOGUMILEK, piskliwie.

Vivat Bachus, Bachus górą,
Bachus był to tęgi mąż!

MOLLFELS.

Bogumiłku, skrzeczysz tak, że kamienie chciałyby mieć uszy, aby je móżdż pozatykać.

BAKAŁARZ.

Hehe? Czyż ten chłopczyzna niema miłutkiego głosiku? Mam w biurku już 22 listy od Syren; pragną go zaangażować do swego chóru; odpisuję jednak za każdym razem, że chłopiec jest jeszcze za młody.

TRUTKA.

Długonosy arcyzrzędo, dość tego świszczypalskiego mielenia językiem. Szklanki na stół!

BAKAŁARZ, stawiając je na stole.

Oto są!

TRUTKA.

A teraz, nalewać!

BAKAŁARZ.

Cierpliwości! cierpliwości! Małą chwileczkę! Biegnie do łóżka, zrywa prześcieradło i owija niem sobie głowę.

MOLLFELS.

Co znaczy, do pioruna, ten kaptur waryacki?

BAKAŁARZ.

Drobna przezorność, panie Mollfels, tylko przezorność! Mając na względzie obalenie się na ziemię, upijam się rad z owiniętą głową.

MOLLFELS.

O światły, doświadczony praktyku! Jako twój po-

korny uczeń, naśladuję cię natychmiast co do tych środków bezpieczeństwa!

TRUTKA.

I ja również!

Obaj zrywają prześcieradła z łóżek i owijają sobie głowy.

BAKAŁARZ.

Dalibóg, moi panowie, nasze trzy głowy w tych potwornych prześcieradłach wyglądają jak trzy nieszczęśliwe muchy, które wpadły w sagan mleka!

MOLLFELS.

Opowiedzcie, bakałarzu, jaką historyjkę z waszej młodości.

TRUTKA.

Oj to, to! coś z waszej młodości. Zasiadają przy stole i nalewają wino.

BAKAŁARZ, *plje*.

Fuimus Troes! Minęły złote, cielejące lata! — Bogumilku, gdzieżeś ty? — Otwórz dziób, dudku! Łyk zgermanizowanego szampana nie może zaszkodzić twemu patriotyzmowi. — A więc, moi panowie, opowiadanie z *tempi passati* dla pedagoga, który pragnie zachować należyty respekt u swych elewów, oraz dla małżonka, którego nęka żona zazdrością, jest przedsięwzięciem bądźcobądź drażliwym.

MOLLFELS.

Bez wstępów! Kochałeś się pan! Zdać więc raport ze swej pierwszej miłości!

TRUTKA.

Hu, jakim dreszczykiem wstrząsa chudego pedagogicznego kozła wspomnienie pierwszej miłości!

BAKAŁARZ.

O wy piękne, marzeń słonecznych pełne, nieodwołalnie minione dni, kiedyś... Panowie, trąćcie się ze mną: — niech żyje Hanusia Miodzius!

MOLLFELS i TRUTKA.

Niech żyje!

BAKAŁARZ.

Wybaczenie, proszę, cenię to dziewczę tak nieskończenie, że nie mogę zadowolnić się jedną szklanką, pijąc za jej zdrowie. Wypija po kolei sześć kieliszków.

MOLLFELS i TRUTKA.

Brawo, bakałarzu! I my potrafimy cenić Hanusię.
Wypijają również po sześć kieliszków.

BAKAŁARZ.

Skorośmy społem uczcili Hanusię w należyty sposób, mogę opowiadać dalej. Lube dziecię było aniołem, zaś jej ojciec podinspektorem w szkole miejskiej, a nadto nędznym *filou*. Nosił perukę z harbajtlem, za którą od rana do północy uganiały się wszystkie psy i koty, biorąc ją widocznie za gniazdo wodnych szczurów. Jego skórzane, wycięzione długim żywotem spodnie stały się kiedyś przedmiotem sporu między naszymi historykami, którzy debatowali o najdawniejszych śladach stosunków handlowych plemienia niemieckiego z obcymi narodami; zeterminowano podówczas te spodnie jako pogrobowy zabytek fenicki.

MOLLFELS i TRUTKA.

Hoho! Pogrobowy zabytek! Pija.

BAKAŁARZ, do Bogumilka, który stoi bezczynnie w kącie.

Ty złośliwy, zazdrosny, zimnokrwisty, podstępny kundlu ty! — czemuż stoisz jak kolek w kącie i wargą nie ruszysz? Chcesz zostać trzeźwym, aby móżdż potem wyśmiewać nasze pijaństwo? Wypijesz mi *stante pede* tę butelkę, albo każę ci odgryźć sobie kciuk lewej ręki! Bogumilek porywa butelkę i zabiera się do niej radośnie.

BAKAŁARZ, zwracając się ponownie do Mollfela i Trutki.

Podinspektor był więc drapieżnikiem, my uczniowie nienawidziliśmy go równie serdecznie, jak szczerze kochałiliśmy jego córkę. Ponieważ byłem rozwiniętym chłopcem, a on, nudząc się w długie wieczory zimowe, podczas których nigdy nie zapalał światła, poszukiwał skracającego czas towarzystwa, miałem więc u niego dobrą notę, i musiałem go odwiedzać codziennie, jak tylko mrok zapadł. Siadywałem z nim i z jego córką w ciemnym pokoju, jego mając po lewej stronie, ją po prawej. Recytując przed nim jak papuga ustępy z jego edycji Pliniusza, ścisnąłem rączkę córki, a gdy poczułem uścisk wzajemny, zachodziłem dalej: otaczałem ramieniem jej wdzięczną szyję, skubałem żabocik na piersiach, szczypałem w karczek. Na moje nieszczęście stary zajął raz jej miejsce; nie zauważyłem tej zamiany i zacząłem jak zwykle manewrować ręką. Wprawdzie uderzyło mnie, że Hanusia ma na sobie szczególną, wielkimi stalowymi guzami ciasno opiętą suknię, lecz zaślepiiony miłością, nie zwracałem na to uwagi. Pan Inspektor, oddawna już wdowiec, przyjmował te moje pieśczęty z błogiem widocznie uczuciem, gdyż nie ruszył nawet palcem i milczał jak ryba. Dopiero gdy mu na ucho szepnął: „Hanus, Hanus, cóżes ty dziś taka płaska,

pomarszczona, sucha i brzydka“, — oburzony widocznie tem zelżeniem swej piękności, wpadł w pasyę i zbombardował mnie potężnym pogębkiem, który nietylko wyrwał mnie ze złudzenia lecz nadto sprawił, że nazajutrz wszyscy wypytywali mnie, czym nie kazał sobie przypadkiem zaszczyć naturalnych policzków.

MOLLFELS.

Cudowne, bakałarzyno, cudowne! Starego inspektora szczypać w kamizelkę! O rozkosz! rozkosz! rozkosz!

BAKAŁARZ.

Niech żyje szczypanie!

MOLLFELS.

Wiwat! Piją bez miary.

BAKAŁARZ.

O rety, panie Mollfes, jakże Trutce oczy puchną!

TRUTKA, chwytając po pijanemu bakałarza za pierś.

Mów, czyż nie? czyż nie? Czy moje wiersze nie są oklepaną, jałową bazgraniną, na którą napluć warto?

BAKAŁARZ.

Są one akurat tyle warte co poezye *Elizy von Hohenhausen*, z domu *Ochs*.

TRUTKA.

Zmiażdż mnie, bakałarzu, zdepcz mnie! Jestem robakiem, jestem nędznym półgłówkiem! Moje wiersze nie mają w sobie mocy i jędrności, moje myśli nie mają sensu. Jestem robakiem, jestem nikczemnym robakiem! Rzuć mnie w bagno, bakałarzu, rzuć mnie w bagno!

BAKAŁARZ, pijąc wciąż i powoli tracąc równieś przytomność.

Nie płacz, Truteczko, i mów cicho, aby stróż nocny nie usłyszał! Wpadłeś w *rage*! — Czyż nie, Mollfels?

MOLLFELS, rzuca się bakałarzowi na szyję.

Ach moja Liddy, moja Liddy!

BAKAŁARZ, dziewiczym głosem.

Pognieciesz mi zabocik na piersiach, drogi Karolu. Wskazując na Bogumilka, który z pustą butelką w ręku wytacza się z kąta. Ale ukryj się czempredzej, ukryj, najdroższy! Bo oto zbliża się ojciec.

MOLLFELS.

Tyś chyba cokolwiek pijana, moja Liddy?

BAKAŁARZ.

Niestety, drogi Karolu, podochociłam sobie coś nie coś.

TRUTKA, waląc się na ziemię.

„Niedorzeczności, — ty zwyciężasz, a ja zginąć muszę.“ Zасыpia.

BOGUMILEK, wdrapuje się bakałarzowi na kolana i mówi mu prosto w twarz.

Niepoczciwy bakałarzu, ty! Biłeś mnie, tłukłeś mnie, kłąłś na mnie! — Jestem pijany. Teraz ja cię biję, ja cię tłukę. A widzisz!

BAKAŁARZ.

O czcigodny mój ojcze! Przebaczenia! Nie mogę inaczej: albo wyjdę za Karola, albo umrzeć muszę. O nie bądź tak okrutnym, najwspaniałomyślniejszy z ojców! Na kolanach cię błagam, nie bądź okrutnym: nie zabijaj twej nieszczęsnej córki! *Pardonnez moi, Monsieur!*

MOLLFELS.

O tak, panie Baronie, nie zabijaj nas, nie burz naszego szczęścia doczesnego i wiecznego.

Bogumiłek stacza się na ziemię.

BAKAŁARZ, radośnie.

Zwycięstwo! zwycięstwo! On przebacza, on na ziemię się stacza. Karolu, Karolu, chodź w moje objęcia! Wolno nam się kochać!

MOLLFELS, przypatruje się uważnie Bogumiłkowi.

Gdy się tak pani ojcu dokładniej przyjrzę, wydaje mi się dyabło małym w porównaniu z tem, jakim był dawniej.

BAKAŁARZ.

Przechodził ospę, mój najdroższy!

MOLLFELS.

Uh! Uh!

BAKAŁARZ.

Boże, czemuż tak wzdychasz?

MOLLFELS.

Biada mi! biada! Boję się, że zlecę ze stołu.

BAKAŁARZ.

Na to niema innej rady, jak abyś nań wlaźł czemprędzej.

MOLLFELS wdrapuje się na stół, aby z niego nie zlecieć, i spada na ziemię.

BAKAŁARZ, uderza w krzyk przeraźliwy, załamując ręce na głowę.

O doloż, dolo, nieublagana dolo! Żadna mądrość

ludzka ciebie nie uchyli, żaden śmiertelny tobie nie ujdzie!
Mimo że Mollfels na stół się wdrażał, jednak musiał z niego zlecieć! O ty okrutny, jak marmur twardy potworze!

MOLLFELS.

Czyż mi nikt nie pomoże powstać na nogi? Baka-
larzu! Liddy! Gdzieżecie się podzieli?

BAKAŁARZ.

Zayre, vous pleurez? Boli mnie to. *Ma parole*, to
mnie boli! — *Venez, ma chère!* Na dworze ciemno jak
w piekle! Pójdźmy do kościoła, zagramy sobie na orga-
nach. Ujmuje Mollfelsa pod ramię, i wytaczają się razem za drzwi.

SCENA II.

Łąka o świcie. Baron MORDAX wychodzi na przechadzkę,
spotyka trzynastu krawczyków, zasłania sobie piersi serwetką i za-
rzyna ich wszystkich po kolei.

SCENA III.

Wygon we wsi. Wchodzi CZTERECH NATURALISTÓW
z okrwawionemi głowami; każdy z nich ma w ręku potężny krze-
mień.

WSZYSCY RAZEM.

Oto krzemieniami rozbijamy sobie umyślnie głowy
na to tylko, aby dojść wreszcie, czym jest ów, tak zwa-
ny kanonik, co wtyka palce w ogień! I ani rusz! O! O! O!

JEDEN Z NICH.

Tylko nie wątpić, panowie! Nauka nas wzywa! Spró-
bujmy jeszcze raz. Odwagi! Raz jeszcze połammy sobie
głowy!

RAZEM.

Tak jest. Jeszcze raz połammy sobie głowy! Tłuką się kamieniami po głowach, aż skry lecą; nie dochodzą do żadnych rezultatów i oddalają się wśród klątw.

Wchodzą — BAKAŁARZ, MOLLFELS i TRUTKA.

BAKAŁARZ.

Szalona to była noc! Szalona noc! Gdym się zbudził, leżałem ku swemu zdumieniu obok pedału organów kościelnych.

MOLLFELS.

Jam siedział jak turek z podwiniętymi nogami na jednej z trumien rodzinnego grobowca baronów.

TRUTKA.

Ja zaś, bakałarzu, spałem pod waszem biurkiem; tuż obok chrapał Bogumiłek jak borsuk.

BAKAŁARZ.

Podług mej, oczywiście nie miarodajnej propozycji, byłoby nieźle zjeść wspólną przekąskę ranną; powinna ona złagodzić popołogowe bóle pijaństwa, albo powiedzieć z niemiecka, przepędzić katzenjammer.

TRUTKA.

Przykro mi, że nie mogę wam towarzyszyć; mam niecierpiące zwłoki polecenie do baronówny. Odechodzi.

MOLLFELS.

Idę z panem, panie bakałarzu. Chodź pan! Mam potężny apetyt. Wychodzą.

SCENA IV.

Pokój na zamku. Wchodzą TRUTKA i LIDDY.

TRUTKA.

O, niech pani nie odmawia mej prośbie; proszę dać się namówić na tą przejażdżkę. Schallbrun jest jednym z najpiękniejszych zakątków ziemi: jak chata pasterska z *pastor fido* Guariniego, stoi leśniczówka w samotnej zieleni dębowego lasu; niby dwa długie i płynne słowiki ćwierkają dwa szemrzące strumienie w ciszy okolnej; pątnicy zaś, jak się wyraża uczuciowo pewien hrabia i skrzętny zarazem poeta, pątnicy kwitną tam wśród zieleni i szleszczą cicho swe pacierze w słodkim ustronnem rozmódleniu leśnem.

LIDDY.

Składnie przedeklamowane, panie Trutka! Jak daleko ztąd do Schallbrunu?

TRUTKA

Niespełna mila, droga prowadzi przez uroczą okolicę, pośród wzgórz lesistych i kwiatnych łąnów.

LIDDY.

Bądź pan więc na pogotowiu i niech woźnica zaprzęga. Za godzinę pojedziemy do leśniczówki w towarzystwie wuja. Wychodzi wraz z Trutką.

SCENA V.

Podszyty gęsto las. Wieczór. Wchodzi Bakalarz, dźwigając na plecach olbrzymią klatkę.

BAKALARZ.

Słońce zaszło, znużony świat wdział gwiazdzistą szlafmycę, jedna połowa ziemi zda się martwą, złe marzenie straszy z po za kotary bezbronny sen, czarownictwo rozpoczyna swą straszną służbę u bladej Hekaty, wystraszone przez wyjącego stróża nocy wilka, skrada się mord olbrzymiemi krokami bandyty, by rozpocząć swe krwawe dzieło, kowal ukuł mi klatkę, tu w gąszczu ją postawię, zdała echo donosi uderzenia siekiery, to dyabeł kradnie drzewo, bardzobym się mylił, gdyby magiczny wpływ trzech części Jakóba Casanovy de Seingalt, wydanych przez Wilhema von Schuetza, nie zwabił go tutaj! Dla pewności, wzmocnię efekt pośmiertnemi pismami nieboszczyka Althinga i położę je na Casanovie, niby zły pieprz na szynce wieprzowej.

Ustawia klatkę w zaroślach, otwiera drzwi, kładzie wewnątrz Casanovę i pośmiertne pisma Althinga, sam zaś ukrywa się na uboczu. Pauza. Wchodzi dyabeł i węszy.

BAKALARZ.

Aha, już się zjawił! I jakże go to w nos kłuje!

DYABEL.

Węszę tu dwojaką strawę: z lewa coś wstrętnego, sprośnego, — z prawa coś opilego, chłoszczącego dzieci.

BAKALARZ.

Tam do licha! byłżeby to przytyk do mojej osoby?

DYABEL, idąc w stronę Casanovy.

Sprośność wabi mię potężnie, zavrcając w stronę Bakalarza: ale opilstwo nęci mnie w równej mierze. Zatrzymuje się wpośrodku. Żeby tylko wiedzieć, co z dwojga jest bardziej niemoralne? Węszy jeszcze mocniej.

BAKALARZ.

Oj do kata, moje sumienie!

DYABEL.

Mam wreszcie! Tamto, nawskroś przepite i dzieci przytem chłuszczące, jest stokroć gorszem; najobrzydliwsza rozpusta jest w porównaniu prawdziwą niewinnością.

Biegnie w stronę bakalarza.

BAKALARZ, umyka przed nim wkrag, ukrywając się za pniami drzew.

Psiakość, a tom wlaź w ładną kaszę! Niepomyślała o tem dusza moja, że jest bardziej grzeszną, niżli Pamiętniki Jakóba Casanovy de Seingalt i pośmiertne pisma Althinga! Bo też to jest tylko potwarzą złośliwego pana Mefistofelesa! — Bogu dzięki, mam oto w kieszeni kawałek konfesyonału, com go wczoraj w nocy po pijanemu zagarnął. Trzeba mu to pokazać, to go spłoszy natychmiast. Czyni, jak powiedział.

DYABEL, parska i odskakuje w tył.

Tfu! Opilstwo umoralniło się wiórem z konfesyonału. Tfu! — No, wobec tego, zwrócę się lepiej do rozpusty, choć ona jest moralniejszą.

Wskakuje chciwie do klatki; w chwili gdy wziął Casanovę do ręki przybiega bakalarz i zatrzaskuje za nim drzwi.

DYABEL, zrywa się z krzykiem.

Przekleństwo, zamknięto mnie, jestem uwięziony! Wstrząsa gwałtownie sztabami. Daremnie, daremnie! Sztaby wiązane

są na krzyż: nic tu nie poradzę. *Spostrzegłszy bakalarza:* A więc to ty, szelmo, łajdaku, łotrze jeden — nie, nie! chciałem powiedzieć: więc to ty, luby, uprzejmy, dobry człowiecze! O, wypuść mnie, wypuść mnie, pocziwa duszo!

BAKALARZ.

Prosi, smacznego! Na sadło łapie się myszy, na Casanovę i Althinga łowi się dyabła.

Bierze klatkę na plecy i wynosi dyabła.

Baron MORDAX wchodzi z opryszkami.

Baron MORDAX, odchrząkuje, splota i rozpoczyna mowę.

Panowie opryszki! Baronówna Liddy przebywa obecnie w leśniczówce w Schallbrun. Ile że wspomniana osoba po dobrej woli mych dziewosłębów akceptować nie życzy, zmuszony jestem porwać ją *par force*. Czyście zczesali grzywy na swe fizygnomie szubieniczników, abym sobie przez was wstydu nie narobił?

OPRYSZKI.

Tak jest, zczesaliśmy.

Baron MORDAX.

Pięknie. *Wychodzą.*

MOLLFELS, wchodzi z trzema uzbrojonymi sługami.

Walęsają się tu po lesie podejrzone bandy. Panna Liddy jest w Schallbrunie — obawiam się, że jakiś zamach knuje się na nią. Nabijcie broń! nadarzy się może sposobność wypalić w łeb jakiemu łotrowi.

Nabijają pistolety i wychodzą.

SCENA VI.

Uboga izba w leśniczówce Schallbruńskiej. Wchodzą: BARON, LIDDY i TRUTKA.

LIDDY.

O, panie Trutka, zawiodłeś nas pan strasznie. Jeżeli tu jest romantycznie, w takim razie... Hu, wujaszku drogi, grozą mnie tu wszystko przejmuję. Każ zaprzęgać, aby uciec jaknajprędzej z tej nory zbójców.

BARON.

Dziewczyno, ty drżysz! — Cóż u Boga, to nie w twoim zwyczaju?

LIDDY.

O, błagam cię, każ zaprzęgać, każ czempędzej zaprzęgać!

BARON.

Hej tam! Gospodarzu! Wchodzi gospodarz. Nakarmiłeś moje konie?

GOSPODARZ.

Nie karmię cudzych koni. Wychodzi.

LIDDY.

Stary niedźwiedź!

BARON, wybiegając za nim.

Zuchwały łotrze! Masz je nakarmić!

LIDDY.

Wuju, dokąd? — Nie słucha! — Pędzi na dół po scho-

dach. — I żeby choć trochę światła w tym ponurym pokoju — ! Panie Trutka, gdzież pan jesteś?

TRUTKA, zdławionym głosem.

Ja, łaskawa pani, ja —

LIDDY.

Boże, co to jest? Co za szmery pod podłogą?

TRUTKA, dzwoniąc zębami.

O, to pewno mysz tylko przebiegła.

LIDDY.

O, drzę niemal na odgłos własnego oddechu. Takiego niepokoju, jak żyję, nie zaznałam! Ach, nareszcie! Wuj wraca ze świecą.

BARON, ze świecą w ręku; gwałtowne jego ruchy świadczą o wielkiem wzburzeniu.

Pokaż mi pan oczy, panie Trutka! Świeci mu w twarz. Nie, pan nic o tem nie wiesz! Uwalniam pana od odpowiedzialności.

LIDDY.

Na miłość boską, co to wszystko znaczy!?

BARON.

Gospodarz jest zdradzieckim łotrem. Wpuszcza gromadę zbójów do domu i odmawia mi koni.

LIDDY.

Jezus Marya! Jesteśmy zgubieni!

BARON.

I gdybyż tylko szło o pieniądze, ale zamiary rabusiów dotyczą ciebie, Liddy, ciebie!

TRUTKA.

O jeśli tak, ratuj nas pani, ratuj nasze życie! Tonący brzytwy chwycić się musi. Jeśli pani zechcesz do wódcy tej bandy, w prywatnej audyencji, której możliwe skutki dadzą się łatwo ukryć w tak zwanej podróży do wód —

LIDDY.

Milcz, nędzny rymokleto, i ukryj się za piecem wraz z mizernem swem życiem! Wrywa szpilkę z włosów. Zanim który z tych łotrów ręki mej dotknie, szpilka ta dziesięćkrotnie pierś moją przebije. Dalejże, drogi wuju, barykadujmy drzwi! W niebezpieczeństwie, najsłabszy bywa nieraz najsilniejszym.

BARON.

Szlachetne, bohaterskie dziecko! Zatarasowują drzwi.

LIDDY.

Stołem je zastawić!

BARON.

Za ciężki.

LIDDY.

Sama go przeniosę.

BARON.

Liddy, Liddy, piersi sobie zgnieciesz tą deską olbrzymią! — Na litość boską, zkad tyle sił bierze się w tobie?

LIDDY.

Weź tę szpadę, a mnie daj swój nóż myśliwski. — Ha, oto zbliża się banda!

Baron Mordax i jego opryszki szturmują do drzwi i wywalają je po kilku uderzeniach; Liddy rzuca w nich nożem myśliwskim; banda waha się przez mgnienie oka; po chwili słychać głos Mollfelsa, padają strzały, napastnicy uciekają w popłochu, wpada Mollfels, za nim służba jego, prowadząc uwięzionego barona Mordaxa.

LIDDY.

Jesteśmy uratowani! Mdzieje i ślania się w objęcia Mollfelsa.

MOLLFELS, do Barona wskazując na Mordaxa.

Oto jest sprawca nikczemnego napadu. Dwaj służący wprowadzają von Wernthala: Ten zaś oto, którego znaleźliśmy w pobliżu, otrzymał za baronównę, według zeznań barona Mordaxa, 20000 talarów; przyczem naładował przezornie obie kieszenie cebulami, aby sobie niemi łzy żalu wyciskać.

Służba wywraca kieszenie pana von Wernthal; mnóstwo cebul wypada na podłogę.

LIDDY, przychodząc do siebie.

Więc pan, panie Mollfels, narażałeś dla mnie życie? Jeśli ma ręka wynagrodzić pana może, — oto ona!

MOLLFELS.

Uszczęśliwiony, chylę się do nóg pani —

LIDDY.

O nie! Taki człowiek, jak pan, nie powinien się schylać przed żadną kobietą. Radośnie wyciskam pocałunek na ustach, które tak często sam pan wyszydzałeś!

BARON.

Doskonale! Błogosławię wasz związek.

TRUTKA.

A ja zgotuję epitalamium weselne.

LIDDY, z uśmiechem.

Oj, panie Trutka, jakiż z pana wstrętny tchórz!

TRUTKA.

Jestem poetą, łaskawa pani.

BARON, do Wernthala i Mordaxa.

A wy, nędznicy, hańbo szlachty, otrzymacie bezlitosną karę, na jaką zasłużyliście obaj. Jak najpospolitszych złoczyńców, każę skuć was razem w dyby i wśród białego dnia zawieźć do miasta.

Baron MORDAX, wpada w pasyę.

Mord i śmierć! to przechodzi już moją cierpliwość. Transportować mnie w dybach do miasta! Więc to jest nagroda za to, że tak bosko zagrał swą rolę? Sądziśże pan, panie teatralny baronie, iż nie wiemy, że jesteś tylko aktorem W.....skim, i że nic mi zrobić nie możesz? Dalejże, panie von Wernthal, złażmy do orkiestry, do muzykantów; to są moi serdeczni przyjaciele, pośród nich włos nam z głowy nie spadnie.

Baron Mordax i pan von Wernthal złażą do orkiestry. Wchodzi Bakałarz, niosąc na plecach klatkę z dyablem.

BAKAŁARZ.

Gratuluje, panie baronie, żeś się z siostrzenicą szczęśliwie wydobył ze szponów barona Mordaxa.

BARON.

Czym ja zmysły postradał, bakałarzu? Wszakże to kanonika dźwigasz pan w klatce na plecach?

BAKAŁARZ, stawiając klatkę na stole.

Hm, jeżeli dyabeł jest księdzem, to może być również

kanonikiem i nawet biskupem, bo ten zmarzły kominiarz jest całe życie szatanem we własnej osobie.

WSZYSCY OBECNI, nie wyłączając Barona Mordaxa i pana Wernthala w orkiestrze, wołają zdumieni:

Co takiego? Szatan? O cudzie!

BAKAŁARZ.

Tak jest. Po raz drugi oto zbawiam od niego ucieknięzony glob ziemski i jako wróbla przekazę go w klatce rodowi ludzkiemu dla dowolnej obsyillacyi.

DYABEL.

Panie Baronie, zaklinam pana, wyswobódź mnie z klatki, wybaw mnie od tego bakałarza. On drażni mnie bez końca, przejeżdża się po mnie bez litości, łaskocze długimi pokrzywami, sypie mi trzy razy na minutę drobny piasek na głowę —

BAKAŁARZ.

To dyabeł, panie Baronie, to dyabeł! Zasłużył na to! Niech pan spojrzeć raczy: spróbuję wykonać mój główny eksperyment. Każę mu zjeść modlitewnik i podać potem łapkę. Podaje mu modlitewnik. Jedz! Dyabeł wzdryga się. Żryj, psie plemię! Dyabeł wzdryga się jeszcze gwałtowniej.

SŁUŻĄCY, we drzwiach.

Jakaś młoda, piękna dama, w ciepłym futrze, zjawiała się w sieni, niewiadomo z kąd.

DYABEL, rzuca się radośnie w klatkę.

O, to moja babka! to moja babunia! Wdziała futro, aby się nie przeziębć.

TRUTKA.

Pan się mylisz, panie szatanie. Służący mówi nie o pańskiej babce, lecz o damie młodej i pięknej.

DYABEL.

Jesteś ciełę! Jakgdyby moja babka mogła być starą i brzydką! Czyż nie wiesz, że my, nieśmiertelni, pozostajemy wiecznie młodzi? Jeżeli mimo to zestarzałem się i dostałem zmarszczek, winny temu moje specyalne zgryzoty z powodu wynalezienia zupy rumfordzkiej.

Wchodzi BABKA DYABŁA, kobieta piękna, kwitnąca, w modnym kostyumie zimowym, i wita obecnych niemem skinieniem głowy.

BABKA DYABŁA.

Panie bakałarzu, proszę wypuścić mego wnuka z klatki! Możesz pan w zamian żądać uprzejmości, jakiej tylko zapragniesz.

BAKAŁARZ.

A więc, Ekscelencyo, niech on poda mi łapkę.

BABKA DYABŁA.

Podaj łapuchnę! Dyabeł podaje bakałarzowi łapkę, poczem ten wypuszcza go z klatki. Więc tak, drogi wnuczku...! Bądź wesół, chłopcze! — Szorowanie skończyło się w piekle. Możesz natychmiast ze mną powracać. Gorąca kawa, która cię, biedaczku, rozgrzać powinna, czeka już na stole.

DYABEL.

Doskonale, wybornie, babuniu! Ale przy kawie rad coś czytam. Panie bakałarzu, nie masz pan przypadkiem przy sobie pism *profesora Kruga*, zwłaszcza traktujących o najnowszem stadyum sprawy greckiej?

BAKAŁARZ.

I owszem, przysłało mi właśnie dzisiaj paczkę zgni-
łych śledzi. Wyciąga kilka paczek z kieszeni. Mogę panu również
służyć opowiadaniem *Van der Velde'go* *), zbiorowem pis-
mami topielicy *Luizy Brachmann* i, jeśli się nie mylę, na-
wet zachodnio-wschodnim Dywanem oraz Latami wę-
drówki Wilhelma Meistra przez Goethego.

DYABEL.

Ho, jakież stopy zadrukowanej bibuły! — Wzięłaś ze
sobą, babuniu, służącego, aby to wszystko zaniósł za mną?

BABKA DYABŁA.

Oczywiście, cesarz Neron przyszedł ze mną. Stoi
w tej chwili na schodach i czyści twe buty rajtarskie, któ-
re z sobą przywiozłam.

DYABEL, woła:

Neron! Neron!

Wchodzi rzymski cesarz NERON w lokajskiej liberyi, niosąc w ręku
buty rajtarskie dyabła.

NERON.

Jaśnie pan rozkaże?

DYABEL.

Dawaj buty. *Naciąga buty; do Neronu:* Cóż porabia twój
kamrat Tyberyusz?

NERON.

Leży na blechu i suszy swą bieliznę.

*) „Niegdyś niezmiernie czczony, dziś przebrzmiały zupełnie
w Niemczech autor powieści historycznych w guście Walter Scotta.“

DYABEL.

Mądrze czyni! Mój pocziwy Neronie, weźmiesz pod lewą pachę najnowsze stadyum sprawy greckiej, pod prawą dzieła poetyckie Luizy Brachmann i poniesiesz to za mną.

NERON.

Do usług, jaśnie panie.

DYABEL, zwracając się do towarzystwa z szelmowskim uśmiechem.

Do widzenia, moi państwo!

Dyabel, jego babka i cesarz Neron wychodzą, obładowani książkami.

BAKAŁARZ.

Co to było, panie Baronie?

BARON.

Ja pana o to pytam, panie bakałarzu?

TRUTKA.

Błyska mi idea do naiwno-szalonej balady pod tytułem: „Neron czyści dyabłu buty rajtarskie“!

BARON.

A ciebie, Liddy, nie zdumiewa to wszystko?

MOLLFELS.

Panna Liddy i ja nie zwróciliśmy uwagi na to, co się działo.

BARON.

To się wam chwali; tak przystało zakochanym. Do wchodzącego lokaja. Czy powóz nasz bardzo uszkodzony?

LOKAJ.

Nikt go nie tknął.

BARON.

A więc przynieś z pod kozła kosz butelek. Lokaj wychodzi. Orzeźwimy się nieco kilkoma szklankami ponczu.

BAKAŁARZ, jakby z nieba spadłszy.

O panie Baronie, jakież z pana rozsądny człowiek!

Lokaj wnosi kosz wina.

TRUTKA, przy oknie.

Ale któż to tam jeszcze chodzi po lesie z latarką? Bodaj że ku nam tu zmierza!

BAKAŁARZ, podbiegając do okna.

A niech cię kaci zduszą! I wałęsa się takie oto chłopisko o późnej nocy po lesie, na to tylko, by zupełnie zbytecznie pomagać nam przy złopaniu ponczu! — A toż to ten przekłety Grabbe, albo jak go właściwiej nazwać powinienem: ten karłowaty krab, autor tej komedyi! Głupi jak cielece kopyta, wymyśla na wszystkich pisarzy, a sam nic nie wart; ma nogi pokraczne, zezowate oczy i małpią fizyognomię. Panie Baronie, zamknijmy przed nim drzwi, zamknijmy drzwi!

GRABBE, za drzwiami.

O ty przekłety bakałarzu! Ty bezdenny worze łgarstw!

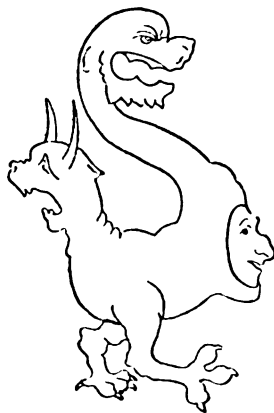
BAKAŁARZ.

Każ pan zamknąć drzwi, panie Baronie, każ pan zamknąć drzwi!

LIDDY.

Bakalarzu, bakalarzu! jak można być takim rozgoryczonym na człowieka, który pana napisał! Ktoś puka do drzwi. Prosimy!

Wchodzi GRABBE z zapaloną latarką.



PRZEŁOŻYL
Wacław Berent.

Chr. D. Grabbe.

Hymn św. Franciszka z Assyżu.



*Bądź pochwalony, Rozdawco cierpienia!
Ręce-ś mi przekłót i nogi,
i krew mi cieknie z głowy,
a oto z Krzyża
zstępuje ku mnie w przechwałebnych ogniach
biały Serafin,
i radość w serce mi leje,
i z duszy śpiewne wytwarza narzędzie,
ażebym śpiewał i grał,
ażebym stawił i wielbił
Rozdawcę bolesnych stygmatów,
z których się rodzi wesele
i Miłość...
I śpiewam i gram
do wtóru anielskich zastępów,
mogących patrzeć w oblicze
Twórcy...
I śpiewam: bądź pochwalony!
A wy, stworzenia boże, słuchajcie mej pieśni
i chwalcie razem ze mną Tego, co was kocha.*

*Ty, słońce przedewszystkiem, zestroj swoje blaski
w hymn płomienisty,
albowiem przezeń nam świecisz
i przezeń siewców rozbudzasz,
ażebym ziarno siewali
na sytny chleb Ducha...*



*Długomci-ć czekał na przedwieczne Słowo,
jakkolwiek we mnie było i poza mną,
we wszystkich drzewach i we wszystkich trawach,
w wszystkich jasnościach i w wszystkich ciemnościach,
w róży i lilii,
w robaku i płasie,*

w głębinach wody i w górach pustynnych,
w płaczu, nadziei, w uciechu i trwodze.
Długomci-ć czekał, albowiem me plecy
okrywał jedwab, i pasem błyszczącym
były ściągnięte me biodra,
i drogocenne trzewiki
chroniły stopy me,
aby ich piasek nie zbrudził,
po którym stąpa — człowiek.
Długomci-ć czekał, o Panie,
żądny się oprzeć na Twojej światłości,
albowiem w rękę moich była laska,
w kosztowny metal okuta,
a zaś w marzeniach siegałem po berło,
by rozkazywać wszystkiemu, co żyje.
A oto dzisiaj spłynął na mnie zdrój
Łaski,
iż mogę patrzeć w Krzyż
z wyciągniętymi rękoma
i z ran rozkosznych przelewać
Krew.
I widzę twarz Serafina,
całą w ognistych rozbłyskach,
i słucham wiewu, któryś dał nam, Panie,
abyśmy przezeń rozumieli tchnienie
Twojej Istoty!..
I słucham szeptów, któreś dał nam, Panie,
w eukaliptowych koronach,
w cichych gałęziach oliwek i pinij,
byśmy w nich mieli oddźwięk tajemnicy
Twojego bytu!
I słucham dzwonu, jak dzwoni
w sferach powietrznych, pełnych Twego Ducha,
wzywając ludzi i głązy,

*i ryby w rzece, i ptactwo,
nim jeszcze zaśnie po gniazdach,
i muchy na dachach, i zielsko w szczelinach
zwalonych branic i schodów,
i te różowe cyprysy
na świętym miejscu umarłych,
i kości złożone w ziemi,
aby ci bracia moi i me siostry
zmówili pacierz wieczorny,
aby na jego rozbrzmieniach,
na śpiewnych rozlewach dżwomu,
płynęli duchem ku Tobie...
Raduj się, serce, weselem
Swojego Zbawcy!
Dzwon, szumij i szeptaj poszumem,
szepłem i dźwiękiem okęgów,
boś oto cząstką ich serca,
bo oto przyszło ku tobie
ocknienie!
O miasto, z zimnych zbudowane głazów,
na których zorza przygasa!
Ciepło jest w tobie i ogień,
albowiem w twojem ubóstwie
kryje się Miłość!..
O moi bracia i siostry
z jarzmem na plecach,
z ciężarem konwi na głowie!
Już ja w rzemiennem przepasaniu swoim
nie mam-ci złota ni srebra,
już ja rzuciłem laskę i trzewiki
i śpieszę ku wam, ubogi,
tylko bogaty tem Słowem,
co mnie przy słońca zachodzie,
przy dźwięku dzwonów i przy szepcie traw,*

wyrwało z obieży zła.
Już ja się nie gnę przed blichtrzem i próżnią,
lecz idę ku wam, aby jarzmo wasze
wziąć na swe barki
i, konwie wasze dźwigając na głowie,
nierozzerwany zawrzeć ślub
z wyzwalającą miłością!
Zbliżam się ku wam, pragnąc razem z wami
i razem z wszystkim rodzeństwem,
co kwitnie, pełza, i świeci, i gaśnie,
mężnie anielską oślepiwszy bronią
Centaura pychy,
zaśpiewać pieśń tę jedyną:
Bądź pozdrowione Cierpienie,
gdyż z ciebie rodzi się Miłość!..



O bracie mój księżycu, o siostry me gwiazdy!
Świećcie nad mrokami mojej siostry ziemi,

*co, mając jutro przed sobą,
nie umie zasnąć w łasce i spokoju,
a tylko w myślach się wije,
jakby, powstawszy rano,
rozpuścić wszystkie swe żądze...
I zazdrość się zerwie,
i będzie zasierała pod okna sąsiada,
żali nie bielszy chleb na jego stole...
A potem przeklinając dzień, który ją zrodził,
pod fartuch schowa garnek z rozżarzonym węglem
i pójdzie go podłożyć między snopy zboża...*

*O bracie mój księżycu, o siostry me gwiazdy!
chwalcie wraz ze mną Miłość,
ażeby chciwość
nie wyciągała pokurczonych palców
po kruszec drogi, schowany w piwnicach
zameków, ujętych w parów i ostrokół...
Albowiem wszystko jest marność,
i blichtrzem i próżnią
potęga możnych,
a błogosławion li ten,
który w rzemiennem przepasaniu swoim
nie nosi złota ni srebra,
lecz bosi, z odkrytą głową,
idzie pomiędzy swą brat...*

*O bracie mój księżycu, o siostry me gwiazdy!
na lśnistych waszych drogach, w tęczach waszych blasków
rząd apostołów i świętych,*

*proroków i pustelników,
i zachwyconych dziewic,
oczy utkwivszy w krzyż,
wyrzeczeń nuci psalm.
I słodkość mają w oczach,
na głowach kwiaty lilij,
krew z nich strumieniem ciecie,
a ręce ich oparte
na przewiązanych słupach,
na rozszarzonych rożnach,
na kołach żelazistych,
na mieczach i toporach,
a z warg im uśmiechniętych
wyptywa zbożny psalm.
Zaś tutaj, w mrokach ziemi, śród pałacu Zbytku
na stopniach bazaltowych, pod urną z porfiru,
ciężki zasypia Przesyt...
O zwiśte piersi oparł
obrzęklą twarz i spi...
Dłoń jego ścisła puhar,
z niego się wino leje
na róże, pozrywane w wirydarzu wiosny!*

*O róże, siostry moje, o najmiłsze dzieci
kochającego Twórcy,
co posiał was, by upleść niebiańską koronę
dla Przenajświętszej Panny:
przebacście, że was ręce dotknęły nieczyste!
O zbudź się, grzechu grzechów, i patrzaj: tam Szatan
na barki wziął Rozpustę,
zbiegł z uścisków twych,
i, skrzydła rozpostarłszy, wzniósł ją nad twój gmach,*

*i rzuca z wysokości, sięgającej niebios,
na wieków wiek zamkniętych, w straszne widmo Sądu.*

*Słyszę —
anielskie huczą trąby —
widzę —
umarli wstają z grobów,
kłąb ciał w śmiertelnych kurczach
przeklina, ryczy, wzdycha
westchnieniem, od którego ślepnie przerażenie...
Potworne sznury węzów
wpiły się w potępińców,
a czarny Szatan-zwierz
rozrywa ich widłami
i strąca w piekielny ogień.
A nad ostatnim szczeblem
drabiny Jakubowej,
na chmurze splomienionej
siadł sprawiedliwy Sędzia,
i sądzi złych i dobrych,
i sądzi tak przez wieki, długie, straszne wieki.*

*Zasię Bóg-Człowiek,
krzyż dźwigający w jednej,
a drugą na swe bliźny wskazując otwarte,
cierpienia wzywa głosem,
aby ukochać Miłość,
gdyż ona-li odwlecze
dzień Sądu...
A na malenkiem ziarnku,
dokąd dotychczas nie dotarły jeszcze*

*grzmoty anielskich surm,
wykwita kwiat ostatniej,
najhaniebniejszej zbrodni:
tam chciwość, pycha, zazdrość
do walki bratobójczej pógania plemiona.*

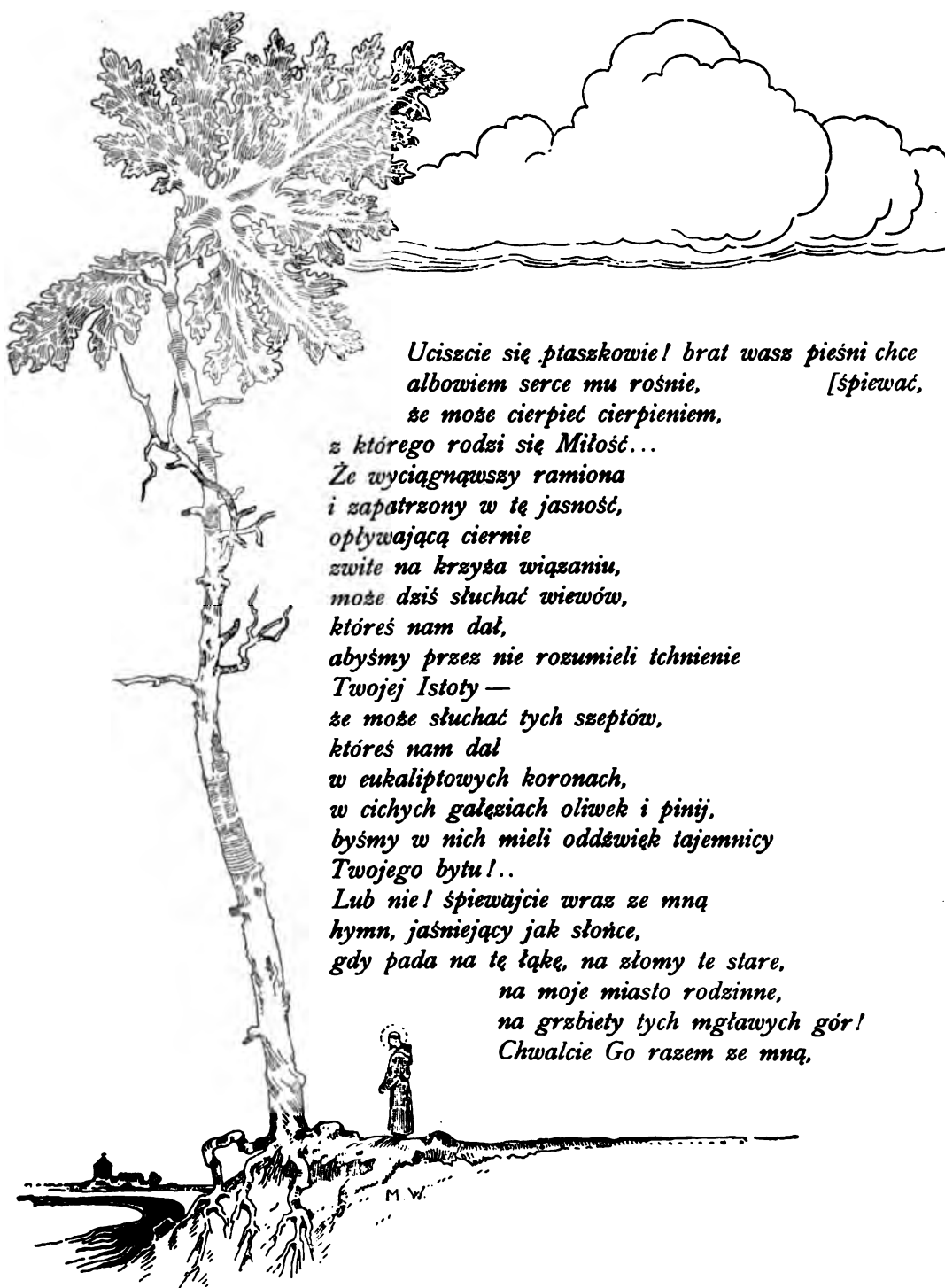
*Widzę —
leje się krew człowieka,
wilk, szakal i hyena
rzucają legowiska.
Łuna za łuną bije,
sieroty płaczą głodne
i matka piersi rozrywa!*

*Widzę —
kalekom z rąk wyschniętych
na ziemię lecą krokwie,
a starce, bez podpory, daremnie oczyma
szukają osłepłemi, gdzie znaleźć kęs chleba.
A dzuma, owinięta w szary, długi całun,
przebiega z kosą w ręku zagon za zagonem
i kosi resztę kłósów, których nie stratował
szalony, miłosierdziu wrogi tabun wojny.
O biedni staruszkowie! o słabe sieroty!
O matki zrozpaczone! do was li ja idę!
O ziemio, siostró moja, rodzicielko winy,
do ciebie ja przychodzę bez złota w rzemieniu,
pokorny i ubogi,
tylko bogaty tem Słowem,
co dziś przy słońcu zachodzie,
przy dźwięku dzwonów i przy szepcie traw,
stało się dla nas orędziem pokoju!*

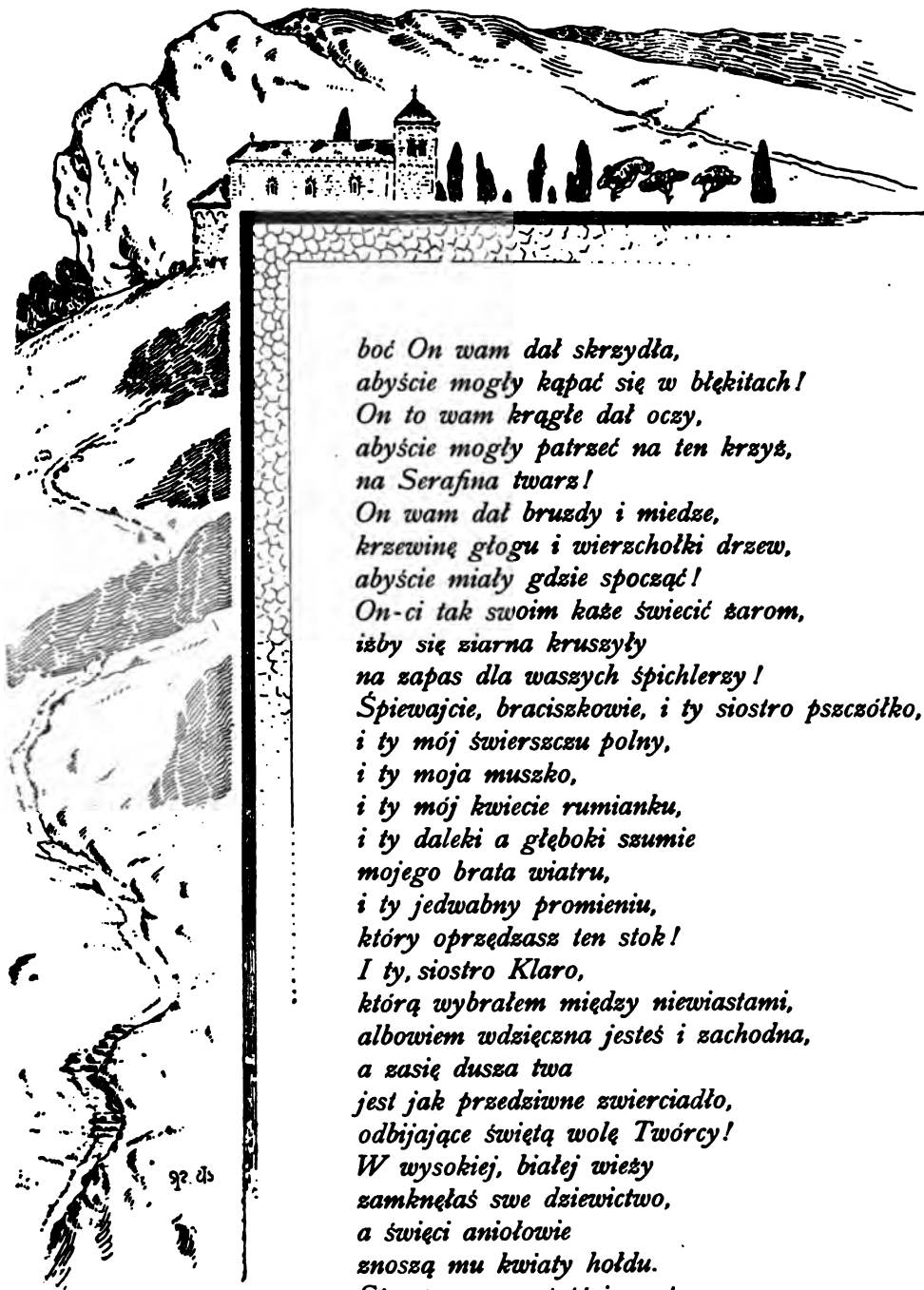
*O ziemio, siostró moja, żądna krwi i hańby,
do ciebie ja przychodzę,
bosi, z odkrytą głową,
i jarzmo twe i grzech twój i wszystką twą grozę
chcę dźwigać razem z tobą,
i razem z tobą śpiewać
przedziwny hymn Miłości,
boć ona li odwlecze
dzień Sądu...*

*O bracie mój księżycu, o siostry me gwiazdy!
O róże, które dłonie zrywają nieczyste —
chwalcie wraz ze mną i z wszystkim stworzeniem,
z moim drogim bratem ogniem,
i z siostrą moją wodą,
z wszystkim, co rośnie i pęta i kwitnie,
z wszystkim, co szumi i szepce i dźwięczy,
z wszystkim, co płonie i gaśnie —
chwalcie! chwalcie! chwalcie
sprawiedliwego Sędzie,
który odwlecze dzień Sądu
przez Miłość...*

*Ręce-ś mi przekłót i nogi
i w bok mi włócznie wbijeś,
a biały twój Serafin
zstępuje ku mnie z krzyża,
zaś na promiennym obłoku
ptaszęta wiją gniazda
i nucą...*



Uciszcie się ptaszekowie! brat wasz pieśni chce
albowiem serce mu rośnie, [śpiewać,
że może cierpieć cierpieniem,
z którego rodzi się Miłość...
Że wyciągnąwszy ramiona
i zapatrzony w tę jasność,
opływając ciernie
zwiłe na krzyżu wiązaniu,
może dziś słuchać wiewów,
któreś nam dał,
abyśmy przez nie rozumieli tchnienie
Twojej Istoty —
że może słuchać tych szeptów,
któreś nam dał
w eukaliptowych koronach,
w cichych gałęziach oliwek i pinij,
byśmy w nich mieli oddźwięk tajemnicy
Twojego bytu!..
Lub nie! śpiewajcie wraz ze mną
hymn, jaśniejący jak słońce,
gdy pada na tę łąkę, na złomy te stare,
na moje miasto rodzinne,
na grzbiety tych mgławych gór!
Chwalcie Go razem ze mną,



boć On wam dał skrzydła,
abyście mogły kąpać się w błękitach!
On to wam krągłe dał oczy,
abyście mogły patrzeć na ten krzyż,
na Serafina twarz!
On wam dał bruzdy i miedze,
krzewinę głogu i wierzchołki drzew,
abyście miały gdzie spocząć!
On-ci tak swoim każe świecić żarom,
iżby się ziarna kruszyły
na zapas dla waszych śpichlerzy!
Śpiewajcie, braciszku, i ty siostró pszczołko,
i ty mój świerszczu polny,
i ty moja muszko,
i ty mój kwiecie rumianku,
i ty daleki a głęboki szumie
mojego brata wiatru,
i ty jedwabny promieniu,
który oprędasz ten stok!
I ty, siostró Klaro,
którą wybrałem między niewiastami,
albowiem wdzięczna jesteś i zachodna,
a zasię dusza twoja
jest jak przedziwne zwierciadło,
odbijające świętą wolę Twórcy!
W wysokiej, białej wieży
zamknęłaś swe dziewictwo,
a święci aniołowie
znoszą mu kwiaty hołdu.
Strzeże go czystość i męztwo,

wszystko się przed niem kloni,
i jam cię nie obraził
choćby najmniejszym drgnięciem
przyczajonego grzechu.
Zaś patrząc w twoje oczy,
w ciche, głębokie oczy,
w których się zamknął raj,
nim jeszcze zradny wąs
owinął w swoje kęgi drzewo zła i dobra,
miłości czuję prawdę,
jeżeli jest jak oddech,
którym poranna zorza
owiewa tron niebieski w dzień Wniebowstąpienia.
A oto wczoraj w nocy,
gdym legł na garści słomy,
kusiciel, wszedłszy do mnie,
cełą mą zmienił w kościół.
O Sędzio, przebacz grzech!
Księża siedzący w stallach
śpiewali Miserere,
a każdy dźwięk się stawał
czerwoną lub białą różą
i padał na marmury.
O Sędzio, przebacz grzech!
W kosztownych kadzielnicach
pały się kadzidła,
a na opalach dymu
stały się chóry świętych,
pomiędzy nimi Szatan.
O Sędzio, przebacz grzech!
A kiedy zaśpiewali:
„Wieczysty spokój, Panie,
racz dać tej grzesznej duszy!“
z pomiędzy grona świętych,

*na drodze róż i blasków,
tyś zeszła ku mnie naga —
O Sędzio, przebacz grzech!
I kościół się przemienił
w kosztowny pałac zbytku;
świat wszystek się rozszał
jak tabun dzikich koni
bez uzdy i wędzidla.
Wino się strugą łało,
gięły się srebrne stoły
od pozłocistych zastaw.
Śpiew, harfy, chutne krzyki
i nagie ciała w płasach:
świat wszystek się rozszał
jak tabun dzikich koni
bez uzdy, bez wędzidla.
Sam szatan mu przygrywał,
i suknie zdierał z kobiet,
i warkocz im rozplatał,
i rzucał je pijane
w szalony tłum pijanych.
Śpiew, harfy, chutne krzyki
i nagie ciała w płasach:
świat wszystek się rozszał,
jak tabun dzikich koni —
sam Szatan mu przygrywał...
A ja, zluźniwszy rzemieńca,
pełnego srebra i złota,
ległem pod urną z porfiru,
na stopniach bazaltowych.
I twarz skłoniwszy obrzękłą
na tłustą pierś satyra,
z jedwabioń odsloniętą,
ledwiec udziarczył puhar.*

Z niego się wino lało
 na róże podeptane,
 a z objęć mych uciekła —
 wyrwała się Rozpusta,
 mająca twoje oczy...
 I raj się w nich zamykał
 z oślizłym węzem zdrady,
 kiedy już w swoje kręgi
 owinął zło i dobro.
 Uciekła przesycona —
 Szatan ją wziął na skrzydła
 i unióś nad mój gmach,
 w którym się świat rozszalał
 jak tabun dzikich koni...
 Do wysokości niebios,
 na wicków wick zamkniętych,
 wzniósł ją na swoich barkach
 i rzucił w widmo Sądu.
 Anielskie grały trąby,
 świat wszystek jęczał, płakał,
 klął, wił się, ryczał, wzdychał,
 że od tych westchnień strasznych
 oślepiło przerażenie...
 Zaś na małym ziarnku,
 leżącym u mych stóp,
 wykwił kwiat ostatniej,
 najhanniejszej zbrodni:
 to pycha, chciwość, zazdrość
 do walki bratobójczej popchnęła plemiona...
 Ale nad srogi Twój rozgniew
 możniejszą, Sędzio, Twa litość,
 co, z strasznego zbudziwszy mnie snu,
 kazała iść między ciernie
 i żądze wytarzać w ich kolcach...



*I popłynęła ma krew,
i ciernie zakwitły różami,
ażebym razem z niemi
i razem z tobą, o siostró ma Klaro,
mógł sławić i wielbić Twórcę!
Ażebym razem z wonnym kwiatem róż
i razem z duszą twą
mógł dziś zaśpiewać hymn,
że miłość idzie przez ciebie,
miłość niewinna i czysta,
która zwycięży nas!
O nućcie razem ze mną, braciszczkowie moi,
ptaszęta, na promiennym siedzące obłoku!..
Serafin stoi przy mnie,
i patrzy jej oczyma,
i rodzi się Miłość —
i świat się obsypuje kwiatem i zielenią!
O nućcie, braciszczkowie, i ty siostró pszczołko,
albowiem rodzi się Miłość,
i dźwięk płynie po ziemi, nigdyć niesłyszany,
gdy życie było li ciałem!
O nućcie, me ptaszęta, i ty siostró muszko,
i ty mój świerszczu polny,
i ty mój bracie wietrze,
i ty mój ogniu, wiekuisty ogniu,
albowiem Miłość się rodzi,
i pokolenia idą w imię Ducha
do walki z przemocą i zdradą!
A w bohaterstwo okuta ich pierś —
we wielkiej idą procesyi,
w śmiałym szeregu,
a czystość wieńczy im skroni,
a hasło: Zbawienie przez Miłość!..*

*Raduje się moje serce,
raduje się wielką radością,
żeś ręce mi przekłót i nogi,
że krew mi z boku ciecze,
że mogę patrzeć w krzyż,
że mogę cierpieć cierpieniem,
z którego rodzi się Miłość...*

*Raduje się moje serce,
raduje się wielką radością,
że Twój Serafin biały
śmierć już prowadzi ku mnie:
bądź pochwalony przez mą siostrę Śmierć!
Nie na to ją stworzyłeś,
aby nam była zniszczeniem,
tylko w łagodnych jej oczach
patrzących na mnie błękitną światłością
zrenic mej siostry Klary,
potęgę-ś zamknął zbawczą,
przez którą człowiek się staje
szczęśliwym uczestnikiem
nieśmiertelnego Żywota!
Ręce-ś mi przekłót i nogi
i w bok mi włócznie wbiliś,
a biały Twój Serafin
zstępuje z Twego krzyża
i w blaskach promienistych
Śmierć już prowadzi ku mnie —
bądź pochwalony przez mą siostrę Śmierć!
Nie szukam-ci ja ulgi,
bom na to jest, by cierpieć,
a tylko-m wielce spragnion
wiekuistego Żywota,*

*którego bramy, pełne chwały Twej,
otwiera mi w tej chwili
siostrzyca ukochana,
przednia wśród Twoich córek —
Śmierć!*

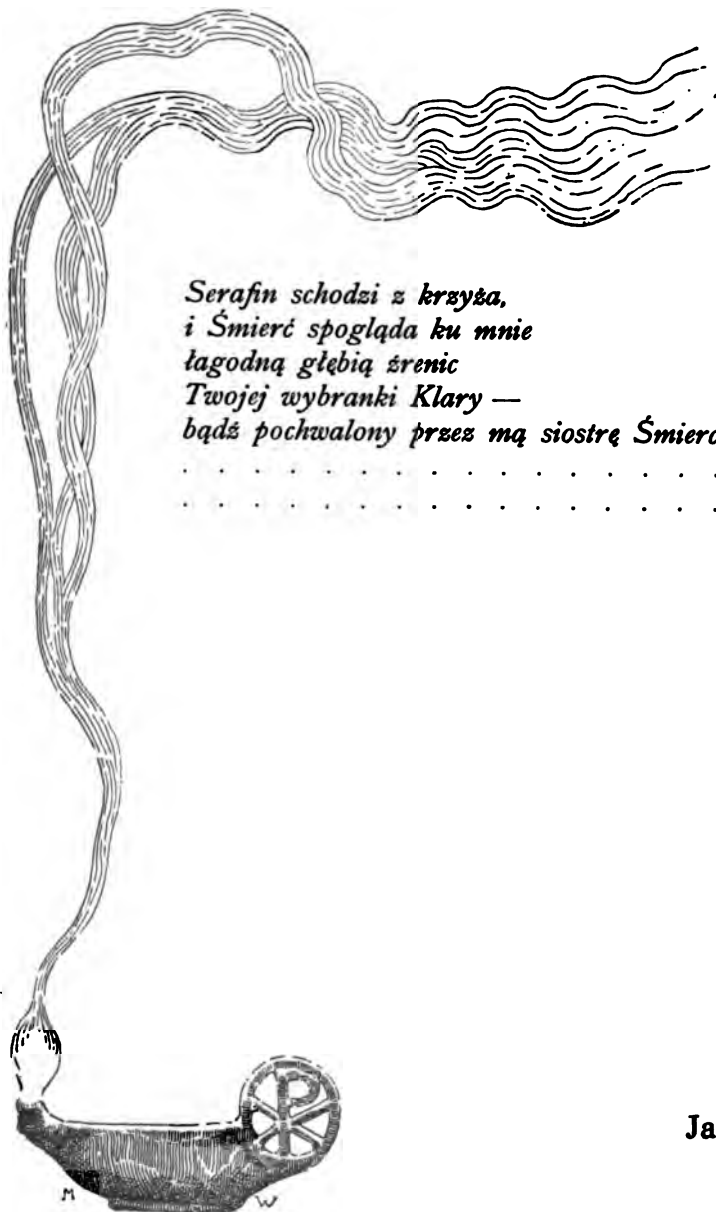


*Bądź pochwalony
przez jej wybawczą moc!
Bądź uwielbiony
przez ukochanie Śmierci!*

Oto spogląda na mnie
głębią łagodnych źrenic
twojej wybranki Klary,
a świeżych ust dziewiczość
szepcze mi słodkie słowa,
że już się zbliżył utęskniony czas
tych moich z nią zaślubin...

Krew sączy mi kroplami
z przekłótych rąk i nóg,
strumieniem krew mi cieknie
ze zranionego boku,
a ciało przebiega dreszcz...
Kleją się ciężkie powieki,
bezwładnie opadają
ponad gasnącą jaśnią moich ocz,
które za chwilę, za chwilę
blask ujrzą przewspaniały
Twojego majestatu.

O wschodzie nowego bytu!
Płonie już moja góra,
pali się ogród róż,
anieli na skrzypcach grają
u wejścia Porciunkuli,
płaszęta wyśpiewują,
oliwek liście szepczą
poranny cichy pacierz,
a korni braciszkuwie
na prostych niosą marach
to grzeszne ciało moje,
owite w czarny habit...



*Serafin schodzi z krzyża,
i Śmierć spogląda ku mnie
łagodną głębią zrenic
Twojej wybranki Klary —
bądź pochwalony przez mą siostrę Śmierć..*

.....

.....

Jan Kasprowicz.

Próchno.



ch, Boże! — myślała Borowska — od czasu jak dostał te książki od Jelsky'ego, nie wychodzi wcale z domu. Zamyka się w pokoju, mruczy, deklamuje i chodzi, bezustanku chodzi: równo, miarowo, jak wahadło. I pije. Znowuż!“

Zajrzała przez dziurkę od klucza. „Tużurek włożył na siebie. Po co? Zapięty i sztywny chodzi jak żołnierz na warcie. Staje przy biurku, prawa dłoń na piersiach: czeka dumnie na coś. — O czem on myśli?“

— Właduś? — szepnęła w szparę.

Spojrzał wyniosłe w stronę drzwi, odwrócił się i nie odpowiedział. Znowuż chodzi.

— Władek, ja nie chcę! — poczęła szarpać się u drzwi.

A gdy ją wpuścił do siebie, rzuciła badawcze spojrzenie na biurko i przeniosła na niego czujne, niespokojne oczy.

— Wiesz, dla czego mieszcza książki nie lubi? — pytał cierpko.

— Wiem. Bo tamte — mówiła, wskazując na książkę — są zawsze w balowej toalecie we wszystkim, co mówią, czują, myślą, bo tamte są fałszywe, wszystkie bez wyjątku, — te *napisane* kobiety.

— A więc zazdrość? — szeplecił mąż, wyciągając twarz w hrabiowski grymas. — *Vous tombez dans la risée du monde*, margrabino! — zagrał jej na poczekaniu. I wnet potem, ujmując ją za łokieć:

— Zosienka — zmanierowałaś się coś niecoś na małżeństwie.

— Piłeś? — zapytała wobec tego niespokojnie.

— Nie, nie piłeś! Teraz będzie Volksstück, — co?

— Och! — westchnęła ciężko.

— Klempusia! — mruknął pod nosem i zagwizdał jej głośno w odpowiedzi. Wtłoczył ręce do kieszeni i chodził z kąta w kąt, przelewając się z nogi na nogę. Ona osunęła się na kanapę, zwyczajem swoim zatopiła dłonie we włosach i zapatrzyła się smutnie na niego.

— Kochasz? — szepnęła po chwili.

— Którego? — odparł, zatrzymując się przy niej w zwrotnym piruecie.

— Władek! — zachnęła się gniewnie.

— Względem czego?

Zochna rozplakała się bezradnie.

— Ciupuś ty! — rozpromienił się mąż nad tym płaczem. Odgarnął jej włosy z czoła, odjął ręce i kazał sobie podać pyszczek. — Nie płakam, nie! — Pocałować męża. Przeprosić za malutkie zmanierowanie się w małżeństwie. Tak! — Już się na kolana ładujemy. Oczywiście! — Oko? — nadzwyczajne! Mięcusie, wilgotne spojrzenie!

— Kochasz!?!..

— Mhm! — Borowski potrząsał głową.

— Ugryzę!

— Gryż... Zocha! — I dałby to kto wiare? — Toż boli... Oj, kot, kot! — już się tuli, już zwija w kłębuszek.

— Jak ja ciebie lubię, Władus!..

Zaparlo się westchnienie w piersiach Zochny.

— Ale nie chodź tak, Wladek, całemi dniami po pokoju: — to takie smutne.

— Zupełnie tragiczne — hę? To wskazuje, że mąż jeszcze myśli.

Drgnęła mu czujnie w ramionach, odrzuciła w tył głowę i wpila się w niego trwożnem wejrzeniem. Borowski sięgnął po papierosa i ukrył się niebawem w chmurze dymu. Siedzieli tak w milczeniu; on ćmił papierosa i machinalnie, niemal automatycznie głaskał ją po włosach.

— Rozpleć...

Miękkim ruchem ramienia dotknęła ciężkiego zwoju na potylicy, potrząsała głową: jasne pęki rozprysły się same. Zapachniały włosy.

Wyrwała mu z ust papieros i odrzuciła precz.

— Nie chcę, żebyś palił!..



— I znówu chodzisz? — szeptała potem cicho, łzawo, wtulona w kącik kanapy.

Przez dłuższy czas nie odpowiadał jej wcale. Potem, zatrzymując się nagle przed nią, wołał gorączkowo:

— Widzisz, tam u nas, w budzie, najczęściej tak bywało, — w spektaklach niby. W czarnym szlafroku i ze świecznikiem w ręku wpadam jak bomba na scenę, rzucę się o prawą kulisę i wrzasnę: „Ojcobójca!“ A że fajerwerk zapala, więc się spłoszę i buch o lewą kulisę. „Bratobójca!“ I tam fajerwerk, — więc walę we drzwi: — „Ojcobójca! Bratobójca!“ — i buch w szlafroku na ziemię! A tu kulisa się wali, ognie dymią, kamienie obracają się w beczce... A ludzie ryczą. Im aby fajerwerki, aby aktor był, aby konie na scenie... Tfu!

A nie, to familiendramy! Pijesz kawę z pustej filiżanki, jesz gęś papierową i głędzisz i pleciesz przez pięć zbytecznych aktów. I kucharki się szwendają i gospodynie sapią; dzieci nękają ojca, ojciec nęka dzieci, ponieważ pierwsze nie wiedzą, czego chcą, a drugi dusi pieniądze: zamiast kupić szczęście sobie i innym, dobija siebie i otoczenie. Synków takich przewinałbym przez kolano, skąpca papę okradł zaraz w pierwszym akcie: — i niema familiendramy! Co tu grać? A nie, to kupuj lakiery, pożyczaj tużurek, pucuj zęby i rób hrabiego! „Dokąd-że to pan?“ — zapyta zazdrosna żona. — „Do klubu, hrabino.“ — „Żegnam!“ — „Pani!..“ — „Hrabio?..“ — westchnie. Zwracasz się więc ode drzwi i kładziesz cylinder na krzesło: „Pani?“ — „O nic, nic! — do widzenia, hrabio.“ — Zdejmujesz wobec tego rękawiczki i całujesz. Wchodzi lokaj, więc mówisz smutnie: „Każ odprzeżyć, mój biedny Pawle. I każ posłać łóżko, mój biedny Pawle.“ — I taką małą bez krwi, bez myśli, bez sensu, bez krzty człowieka w sobie robić musisz przez 3 godziny. A jak się oblizują recenzenci! „Co za bajeczna rzecz! Paryż, Paryż — kultura! Jak to zrobione, jak wyczyszczone! Co za maestra machy!“ — Dziwię się, że żaden recenzent jeszcze nie pokopał w życiu. Albo te adwokaty, te doktory nasze i ich klempy ospałe po łóżach. Cholerna publika!

— Tęsknisz tam Wladek?..

Zamiast odpowiedzi rzucił się do biurka i porwał książkę.

— Wiesz, tu jest tak! — Zbankrutował. Runęło wszystko tak, że te gruzy, wiesz, aż w celi więziennej go zasypały. A potem jeszcze gorzej. Z gruzów wypełzły zmije, wiesz: ludzka krzywda, złość, podłość, i ułożyły mu się tam, pode drzwiami; nie dopuszczają ludzi. Samotny! Przychodzi tylko jakaś klempa bębnić mu na fortepianie. Ale przez tylne drzwi, od bocznej kulisy. Do niej nawet się nie pali: już mu wszystko nic! A żonę ma podłą! Biłbym przecie szelmę, że aż!.. I widzisz: — chodzi. Słuchaj, co mówię! Tam na dole kobieta, która się zestarzała w miłości ku niemu: taka wielka, bolesna miłość! Ona tam na dole z tą szelmą żoną rozmawia. — A potem cisza. Smutek wspomnień się zrobił, daleki smutek młodości. A tam u góry: łup! łup! łup!.. Widzisz, — chodzi! Chodzi jak lew po klatce, ten lew jej młodych marzeń. W klatkę życie zamknęło! A na scenie cisza, cisza... Zaś ludziom tam w sali, który lepszy, tu coś pod gardło... Widzisz, Zochna, — nazywa się Ibsen. Autor niby. Z Norwegii będzie, powiadał Jelsky... Z Norwegii... będzie... powiadał...

Zochna zaniepokoiła się i powstała z kanapy.

— Władus, co tobie?

— Powiadał Jelsky... — Borowski skrzyżował ręce na czole i wciskał dłonie w oczy. A gdy go żona objęła troskliwie, pocałował ją szybko w rękę i, odsunął od siebie. Poczem sięgnął po papierosa i, ukrywszy się w dymnicy, znowuż biegał po pokoju.

— I wiesz, ciągle czeka, — mruczał przez pół do siebie. — Co kto na schodach się ruszy, on...

Borowski rzucił się do biurka i stanął we wspaniałej pozie dumnego wyczekiwania.

— A! — wyszeptała żona, teraz dopiero zrozumiawszy jego zachowanie się w ciągu ostatnich kilku dni. — O, tego nikt na świecie tak nie zagra, jak ty! — westchnęła prawie bezwiednie. — Chodź tu, Władus, siądź przy mnie. Weź za ręce i tak opowiadaj.

Usiadł posłusznie.

— Widzisz, Zochna, — potem przychodzi tam do niego robak zdeptany przez życie. Wygniotło mu ono z duszy wszystko, prócz tego, co w młodości kiedyś napisał: dramat, czy lichy. Nosi się z tem wszędzie; — wszyscy drwią. Przywłókł się więc do najbardziej wzgardzonego. Gęba potwornie żałosna, ruchy chwytny: obrzydliwość i łzy... Wielki złamany czyn i robacze, jak plwocina nie dające się zdeptać marzenie!

— Powiadał Jelsky, — zaczął po chwili i zwiesił głowę. — Jelsky mówił... Jezus Marya, nie módz grać! nie módz grać!!...

Zochna westchnęła i wsparła mu jasną głowę na piersiach. Oddychała głęboko w zamyśleniu.

— Władek, — mówiła z trudem wielkim, marszcząc jasne czoło i przysyłając oczy rzęsami, — Władek, jeżeli bym ci kiedy na drodze stanęła...

— To co, Zocha?

— To zdepcz!

I nagłym ruchem osunęła się przed nim na kolana. Chciała coś mówić, lecz słów nie znajdując w przepelnionej duszy, wsparła bezwładną głowę na jego piersiach. Podjął z ziemi, przytulił twarz do jej policzka: pomieszały się łzy obojga. A gdy ją potem coraz to mocniej do siebie przygarniał, wysilił się z po za tych łez uśmiech błędny i ogromnie zmęczony...



— I znowu chodzisz? — grymasiła, wydymając wargi, i z dwóch poduszek pluszowych wyścielała sobie przytulne gniazdko w kącie kanapy.

— Opowiedz co, — uprzedzała z bezwiedną chytrością jego ciężką zadumę. — Co tam jest więcej w tych książkach?

— Tam? — Dużo, bardzo dużo: świat nowy! — Wróg ludu, — rozumiesz? Chodzi tam o jakieś kąpiele... Ale co mi! Widzisz, — tłum, tłum wielki i jednostka, która czegoś pragnie... Poczekaj, ja ci zaraz...

— Nie pij, Władus...

— Ach, daj mi pokój!.. Widzisz, jednostka! — jedno małe drgające serce ludzkie, — a tam wielka bierna masa: nazywa się kuryerek, gazeta, publiczność. Chciał czegoś, pragnął, kochał, cierpiał... Patrz! widzisz, idzie przez ulicę. Tam u nas po Nowym Świecie. A za nim tłum. Widzisz, Zochna, — tłum.

Skoczył w kąt, przyparł się do ściany, zebrał się, stulił w sobie, ramiona łokciami do się przycisnął, wskazujące palce dłoni z żarłoczną ciekawością przed się wystawił i zrobił straszną maskę: zabijał kogoś złośliwym, jadowitym śmiechem.

— Tłum!! — wołał. — ...On idzie tam przez ulicę, a tłum za nim! „Patrzcie! — syczał Borowski jak zmija, — patrzcie, to idzie ten, o którym w gazecie stało, któremu pożerająca ambicya tak niepotrzebnie roztworzyła głupią gębę... Patrzcie, jak on idzie, jak się rusza .. Widzieliście kiedy taki nadzwyczajny egzemplarz durnia? — A czytałeś ty, co tam właściwie w gazecie było? — Nie. — No, można być łotrem, — to nikogo dziś nie zdziwi; ale, mając takie nieczyste sprawy za sobą, jeszcze gębę otwierać, wynurzać się jak piskorz z błota ludziom pod nogi, — na to trzeba być czemś więcej: osłem kapitalnym.

„Patrzcie, patrzcie, jak on idzie! jak się rozkracza On jest słaby na żołądek! Widzicie, widzicie, jak się ukłonił, jak się w pałąk zgiał! Jaki szczęśliwy, że stróż przed nim czapkę zdjął. On tego stróża w udo z wdzięczności pocałuje!..“

Ha! ha! ha! — tłum się śmieje!

Tu Borowski zatrząsł się tak potwornym śmiechem, że Zochna drgnęła na kanapie.

— Właduś, — nie!..

— Stój, ty, proroku! — wołał tymczasem mąż. — Stój, aposto! o wykrzywionych kamaszach. Stój! — swój człowiek cię woła... Nie wierzy! — On już nikomu nie wierzy... Stój, opowiedz: czy bardzo palą ci grzbiet te odprowadzające na ulicy spojrzenia? Ale ty życia jeszcze nie znasz, proroku!.. A znasz ty te nagłe milczenia, gdy wchodzisz? te szeptu i gawędy najpospolitszych kretynów? te po kątach parskania niepowstrzymanego śmiechu, skandalizujące nawet twoich wrogów?... Tyś pewno zakochany? Taki doktryner bywa zwykle zakochany?... Bój się Boga, człowieku, i ty śmiesz walczyć z tłumem!?!.. A znasz ty ten wyraz niesmaku u kobiety, co cię wczoraj jeszcze kochała? Kobieta pokocha łotra, lichwiarza, handlarza żywym towarem, szpiega. — Ale nie było jeszcze kobiety, któraby umiała zachować miłość dla człowieka ośmieszonego przez tłum!.. A wiesz ty, ile jadu jest w udanym zainteresowaniu życzliwych? A wiesz ty, jaką wściekłość wzbudza współczucie głupich? A znasz ty niemoc dumnych? A znasz ty niezaradność choć trochę szlachetniejszych natur?... Chcesz zrozumieć oszołomionej wiewiórki bezwład? Chcesz poznać potęgę węzowego spojrzenia najbrutalniejszego łotra, gdy się czuje w posiadaniu twojej tajemnicy? Ale jakiej? jakiej? Ty nie masz tajemnic! Wiesz, jakim kałem obrzucić cię pragną wokół? Już

słyszysz! — już czujesz! — już tę hydrę za łeb chwytasz! — A jednak — nie! Nic nie wiesz, nie masz nic prócz smutku i przygnębienia twoich najbliższych. „Co tobie? — pytają — Co tobie!?!..“ Pochwycisz pierwszego szakala z brzegu za bary i krzykniesz mu: „Człowieku, ja prawdy, tylko prawdy w życiu chciałem!“ Pryśnie ci śmiechem w twarz: „Waryat!“ — Naokół widzisz tylko oczy! — oczy! — oczy! — I na piersi spada ci ciężar: — czujesz się winnym zbrodni.

Taką jest potęga motłochu. — Ha! — ha! — ha!

Ten śmiech mrozem przebiegł Zośce po krzyżach. Podbiegła i przytuliła się do męża.

— Władus, przestań... Boję się.

— Idź precz! — wołał jak opętany i odtrącił ją od siebie. A potem powracając do swej wizyi:

— Proroku z prowincyi polskiej, stój! Twój człowiek do ciebie mówi: w każdym proroku jest i musi być trochę aktora. Czy ty nie wiesz, że tam gdzie niema publicznego życia, gdzie „młynek na strudze miele plewy swoje i cudze,“ tam gazeta poranna przynosi ludziom szemat myśli na cały dzień? że tam *spiritus flat ubi* reporter *vult*? że tam człowiek, który ma coś do powiedzenia, czego szemat ten nie ogarnie, nazywa się chaotycznym umysłem? że ledwo usta otworzył, już się w oczach ludzi śmiesznością okrył, a ledwo je zamknął, już się maniakiem dla nich stał? że już mu czapeczkę z dzwonekami na czoło wcisnęli? Widzisz, o tej czapeczce z dzwonekami zapomnieli Ibsenowie. A to jest rzecz bardzo ważna, bardzo współczesna! Dla tego drobiazgu, proroków nawet w powiecie być nie może, nawet tych skromnych, co to chcą czystej wody w studniach i czystych rąk przy publicznych sprawach. Każdy, każdy bez wyjątku czapeczkę dostanie! — Czy ty masz dość mocne nerwy, Samsonie, wobec

wojska podejrzeń? wobec ciżby złej woli? wobec tłumu ciekawości? Jak mucha w pajęczynie, owikłasz tylko, oplączesz i zamotasz ducha swego nienawiścią... A znasz ty proroku, szpitalne cele puste? A znasz ty tę w samotności aż do bezkresów rozrosłą nienawiść, która w rozbolej duszy już się nie mieści? O, bo do nienawiści tłumu trzeba potęgi ducha!.. Więc się rzucasz opętany szaleńcem nienawiści: chcesz kasać, szarpać, dusić... Ale ściany wybite już materacem, a w pokoju niema nic więcej prócz siennika. Ujrzysz może jeszcze tylko w małym otworze drzwi parę wydłużonych kretyńskim uśmiechem oczu dozorczy.

Ha! — ha! — ha! — proroku...

Zochna stała wsparta o framugę drzwi; oczy rozszerzyły jej się i zwilgotniały; źrenice pogłębiły się, blada była na twarzy: — wciągnął ją w wir chaotycznych swych myśli. Bezwiednie grała już z nim razem! — grała niemo, trwożnem biciem serca.

— Nie trzeba się było dać, Władus! — próbowała dorzucić swoje i rumieńce wytrysły jej w jednej chwili na policzki. — Mężczyzna nie da się! — zawołała, prężąc się dumnie, wyrosła, spotęźniała w jednej chwili. — Mężczyzna zdepcze, zabije bodajby nawet tłum!..

Rzucił na nią zdziwione, przelotne spojrzenie i ocenił natychmiast zarówno siłę ekspresyi i metaliczny, szczery dźwięk tego kobiecego wybuchu.

— Dobrze zrobione, — rzekł mimowoli.

Niebawem powrócił jednak do swoich myśli.

— A było takich proroków po wszystkich guberniach tylu! — tylu! — tylu! — Osunął się na kanapę, rozkrzyżował ramiona na jej oparciu i z pochmurnym uporem zapatrzył się gdzieś w pułap.

— A jednak, — westchnął po chwili ciężko, — pójdź do mnie, tłumie, abym cię umiłował!

— Nie, Władek!..

— Zlituj się, Zochna, przecież ja o nim tylko marzę, przed nim korzę się w myślach.

— Władus, nie! nie! nie! — wołała, tuląc się do niego w bezwiednym, instynktowym strachu. Usłyszał, wyczuł to kołające się serce ptaka i zdjęła go litość wielka. Posadził ją sobie na kolanach i głaskał obie jej dłonie.

— Pamiętasz, coś mówiła przed chwilą?

— Co, Właduchna?

— Zdepcz, powiedziałaś.

— Ty tego nie uczynisz.

— Wierzysz mi?

— Kocham.

— Nie płacz, nie płacz, Zocha... Wiesz, dla czego, — pytał, ocierając jej palcem łzy z pod oczu, — wiesz, dla czego nasze życie jest takie smutne? takie bardzo smutne?

Uniosła mu się w ramionach jak dziecko, popatrzała uważnie, pilnie i po chwili potrząsała bezradnie głową.

— Nie wiem, — szepnęła.

— Pokazać ci raz jeszcze ten ziejący śmiechem potwór?

Zochna zaczęła dygotać na całym ciele.

— O, ty możesz mnie i bez tego swemi urojeniami na śmierć zamęczyć. — Ja słaba jestem, coraz słabsza. Nie widzisz tego, Władus?... Pamiętasz, jaką dawniej byłam?... Patrz, jakam ja chuda!..

Powiodł dłonią po czole, jakby siłą nawracając myśl w stronę, dokąd ona ją ciągnęła. Ujął żonę za ramiona, odsunął nieco od siebie i przypatrywał jej się długo, badawczo.

— Zbrzydłam?

Nic nie odpowiedział, tylko nachmurzył się jeszcze bardziej.

— Nie! — szarpnęła się kapryśnie i zatargła go za czuprynę. — Ty nie myśl, Włada, żebym ja znowu tak schudła. Piersi mam jeszcze...

— Ach ty! — Zamknął jej usta mocnym, długim pocałunkiem. — Przecież ty chyba nie wątpisz, że ja nie za to tylko?... Zlituj się, Zocha!..

Potakiwała pośpiesznie głową, przeważnie na to tylko, aby ukryć łzy tryskające do oczu.

— No więc?... I czemuż znów płaczesz?

— Sama nie wiem, Właduś... Nie gniewaj się.

Pochwyciła jego rękę i przycisnęła przelotnie do ust.

— Coraz słabsza jestem. Czasem całymi dniami tyłkoby płakała.

Borowski schwycił garściami pęki swych włosów na ciemieniu i targnął je z całych sił.

I stał się pieczołowity, spokojny, dobry dla niej.

— Poczekaj, położę cię tu na kanapie, okryję... Albo, wiesz, do łóżka już cię ułożę. Gorączkę masz, biedactwo?... Zochuta moja!.. Co to za aktorka z niejby była! Jak to ona bić i zabić tłumy nakazywała!.. Duszo ty moja skrzypcowa! Spać już... Spa-ać... „A a! — koty dwa, szare bure obydw...“

Zochna wyprostowała się nagle żwawo, senność strzepnęła ręką z czoła.

— A chciałbyś...?

— Nie chciałbyś, — odparł jej kwaśno, domysłając się pytania. — Ja mam Zochę i mnie to wystarcza. Teraz zaniosę do kołyski. Hop! — Zimno w nożyny? Dajże tu jedną, — w kulek schowamy.

Po drodze, gdy ją w czoło całował, przysmykając mimowoli oczy, rzekł nagle złamanym, bezsilnym głosem.

— Wiesz, Zocha, com ja w tej chwili ujrzał?

— Co, Władus?

— Ach, — szarpnął się, — i to twoje bezdennie naiwne zaufanie! „Co Władus?” — przedrzeźniał jej spokój... — Ujrzałem tego potwora, ziejącego śmiechem, i zdawało mi się, że ciebie w tej oto chwili wprost z ramion jemu w paszczę...

Rozpaczonym ruchem ramion oplotła go w jednej chwili jak powój. „Trzymaj mnie!” — chciała, zda się, krzyknąć. Pochwycił, utulił, przygarnął...

— Litości! — Zmłowania! — wyszeptały jedno usta wspólną myśl.



Leżał na wznak. Światło czerwonej ampli u sufitu sączyło ckliwą, duszną, jakby wonią miękkich perfum przesyconą mgłą. Rozsnuwały się w niej leniwie i grzęzły długie, kręte taśmy dymu od papierosa. I zdawało się Borowskiemu, że te sine taśmy oplatają go siecią pajęczą, obezwładniają powoli i przykuwają do kanapy. Na tyle głowy, tam gdzie się nią o poduszkę wspierał, czuł mocne, lecz coraz to powolniejsze uderzenia pulsu. Oczy błądziły po suficie, patrząc jakby w przyczajone gdzieś w kącie olbrzymie cielsko kosmatego pajaka, co kolczastymi łapami grzebie, snuje i przędzie swe jadowite nici...

Miękkie uczucie bezwładu zatapiało myśli w bezgraniczną bierność, kołysało wszystkie zmysły w rytmikę nieuchwytną, senną, coraz to łagodniejszą; zasnuwały się pajęczne nici, kłębiły różowe mgły... Słodka, lepka, haszyszowa woń rozchylała usta w leniwej niemocy; roztopiały się niemal członki.

„Sen?..“ „Śmierć?..“

Puls już bić przestał... Uderzył przecie raz jeszcze mocno, jakby młotem, w tyle głowy. Rozchylił powieki. Tuż ponad nim żarzy się zieloną głębią para oczu... Płoną i wpijają się w niego okrągłe, wielkie, ciemne oczy!..

— Zocha!?..

Poczuł długi, wilgotny pocałunek na wargach.

— Zapomniałeś? — wwionęła mu niemal w usta.

Skinął głową. „O czym ja zapomnieć miałem? — przyszło mu do głowy. — O czym ja myślałem wprzód?”

— Już nie jesteś smutny?

I znów głową skinął.

— Myśl o mnie, Włada. Myśl zawsze *tylko* o mnie.

Po raz trzeci chciał skinać głową, lecz zamiast tego westchnął głęboko i zarzucił dłonie na twarz.

— Duszno!.. Ciężko!..

Słuchał... Po za oknem turkot zwykły; ciągły, bezustanny; toczą się fale życia, szumią i pędzą, pędzą w dal... I nagle ta dziwna chwila wieczoru, kiedy w łoskot i pogwary uliczne spada nagle cisza niby czarny ptak.

Borowski drgnął i otworzył szeroko oczy.

Tam na ciemnej toni skrzy się niespokojnie mrowie gwiazd. A cisza krzepnie, ciężarem wali się na piersi, skrzypi w uszach jak miliony drobnych nocnych świerszczy po łąkach.

Pajęczyna tuż przed oczyma staje się połyskliwą, złotą, wonną. Biję ten zapach...

— Zapleć włosy, Zochna. Zapleć... I nie patrz tak!.. Idź, zostaw mnie. — Idź, otwórz okno... Posłuchaj, — majaczył na w pół senny. — W takie kryształowe noce, gdy cisza znienacka opada, słyszeć czasem... Nie widać, tego nigdy nie widać! — Głosu po nocy nigdy nie wydadzą... Ale z góry, z pod gwiazd, łopotanie skrzydeł czasami ucho pochwyci... Żórawie ciągną... Wiosna!

Przebiegła się leniwie w tył, — upinała włosy. Po-
czem powstała cicho i odeszła jak cień.

— Zgaś to światło!

Drgnęła. I ją jakby przestraszyło w tej chwili to czerwone, clikie światło. Gorączkowym, niechętnym ruchem ściągnęła na dół amplet i zgasła ją czempredzej.

Otworzyła okno. Borowski, nie oglądając się, czuje, jak stoi tam biała we framudze okna i w obnażonych ramionach ukrywa twarz. Po chwili spytał sennym, znużonym głosem.

— Płaczesz?..

Milczy, nie chce odpowiadać. „Zocha?“ — szepnął po raz drugi.

— Toś ty!.. ty! ze mnie taką uczynił!..

I zerwało się w jej drobnych piersiach serdeczne, bezradne łkanie...





ochna stała wciąż jeszcze przy oknie i tłumila z wysiłkiem płacz. Mąż zaciął się w pochmurnem zapamiętaniu; nie mówiąc ani słowa przygotowywał się do wyjścia. Wdział już palto i rękawem czyścił kapełusz, gdy ona wydała cichy okrzyk i cofnęła się czem-

prędzej w głąb pokoju. Borowskiego i to nie wyprowadziło z równowagi; zbliżył się powoli do okna i wychylił się na ulicę.

— Dureń! — mruknął przez zęby. — A ty ubierz się, lub idź do łóżka, bo się zaziębisz!.. Powiedz-no mi, czemu ten Kunicki woli tam pod oknami marcować, zamiast tu do nas na górę przyjść? Oj, ci doktrynerzy!.. Jakież te ich uczucia i afekty są nieszczerze, podziemne. Brr!.. On ci pewno broszurki i tendencyjne powieści przysyła. Co?

— Daj mu pokój, — szepnęła cicho.

— Pro-oszę! Rozrzewnił?..

— Dawniej bardzo go lubiłam. Brak mi go było poprostu. Miał taki spokój, taką dobroć bezinteresowną... O, i my kobiety potrzebujemy czasem przyjaźni, tylko przyjaźni! Ale wy mężczyźni tego nigdy nie zrozumiecie.

— Bagatela! Żona potrzebuje przyjaciół. Daruj, ale to już operetką trąci.

— Oj Władek, myśmy zaprzepaścili przyjaźń wzajemną.

— No, a Müller? Czy i on?..

Przymrużyła oczy i zagryzła wargi jakoś boleśnie.

— Bardzo mi go żal.

— A Jelsky? — indagował mąż.

— Jego się boję.

— Och, ba!.. Ty ich wszystkich możesz jednym skiniem sobie pod nogi...

— Władek!..

— No?

— Czy ty nie czujesz, że to jest wstrętne, co mówisz w tej chwili?

Wzruszył ramionami.

— Mam oczy, — widzę. Do zazdrości nie mam tymczasem powodów, ale takie rzeczy mszczą się — flirt, niby.

Nerwowym ruchem poczęła nagle dłońmi twarz i czoło sobie wycierać; a potem jakby z ramion, z rąk coś zerwać, zmyć pragnęła.

— Idź już, idź! Tyś się mną dziś już przesycił i zaczynasz mnie traktować jak... — Osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Zatrzymał się na progu i, spoglądając uważnie na żonę, wydymał wargi. Wreszcie aktorskim gestem narzucił kapelusz na tył głowy.

— Non capisco! — mruknął, zwrócił się na pięcie i wyszedł. Za chwilę jednak był z powrotem, niosąc w ręku luźną garść kwiatów.

— Na słomiance w sieni leżało... Na Müllera coś bardzo patrzy. Białe lilie!.. To afekt suchotnika. — Cisnął kwiaty niedbale na kanapę.

— *Primadonny hołdy to,
Za jeden kwiat płoteczek sto,*
zanucił na poczekaniu kuplet, ze złośliwym śmiechem odbijając każdą zgłoskę.

Ale żony nie było już w pokoju.



O piętro niżej spotkał się oko w oko z Jelskim.

— *Da ist er ja!* — ucieszył się przebiegle Jelski, rad niby, że nie potrzebuje się fatygować o piętro wyżej. — Jak się masz, Borowski, — wołał podając mu rękę szeroko, po burszowsku, z niemiecką dobroduszością.

„Będziemy pili!” — pomyślał nie bez zadowolenia Borowski, który w mowie ludzkich gestów czytał jak w otwartej księdze. „Od niego bije zawsze glans, jak od oficerskiego buta,” — dodał w duchu na widok starannej toalety Jelski’ego oraz jego cylindra. Tego stroju głowy Borowski nie znosił, uważając cylinder za „złe copcysko.” — Przed tygodniem wypili obaj z Jelskim na braterstwo, to też fraternię akcentowali teraz usilnie, dodając do każdego „ty” nazwisko.

— O wilku mowa, a wilk tuż, — witał go Borowski głośno. — Przed chwilą mówiłem o opinii publicznej.

— Opinia wzywa cię do swego warsztatu. „Rudy kot,” — nasz stół... Będzie, uważasz, mecenas: można liczyć reńskie, burgundzkie, sekt krajowy; — oraz młoda wassa, polska sława... etranżerek, młodziuchny autor dramatyczny...: — kalkuluję szampan. Idziesz?

Borowski zwiesił wargę.

— Autorkowie dramatyczni mnie dotychczas szukali.

— O, on prosił cię, bardzo prosił, chciał poznać, — łagodził Jelsky. Ujął go pod ramię i wyprowadził na ulicę. — Cuda o twojej grze tam w kraju opowiadał.

Gdy skręcili w boczną ulicę, spostrzegli po drugiej stronie Kunickiego. Nastawiał kołnierz i starał się obejść ich kołem jak dzik.

— Szacunek doktorowi!..

Skrzywił się i powitał ich niechętnie.

— Opowiadają sobie ludzie, że doktor przenosi się ztąd, wyjeżdża do Szwajcaryi? — rozpytywał Jelsky. — Tegom nie przewidział, — zaśmiał się, nie dając mu dojść do słowa. — Przeszkody wprowadzie nie przeskoczył, ale się pod nią podkopał i wygrzebił się przecież na prawowitą drogę rozsądku i karyery.

— Pańska złośliwość zaimponowała mi raz tylko w życiu, w dodatku po ciężkiem winie, — odciął się cierpko Kunicki. — Co porabia Müller? — zwrócił się do Borowskiego.

— Pluje krwią, pije i pisze.

— Bajeczną, potężną rzecz, — dorzucił Jelsky z naciskiem.

— Wiem. I dla tego robię wszystko, aby przedłużyć to krótkie życie, póki się da.

Borowskiemu rozpromieniła się twarz. — „A wiesz, jak-eś to doktor byczo powiedział! Jakie to spokojne! jakie męzkie ogromnie! jakie mocne!.. Czemu on nie jedzie do Davos?”

— Środki znalazły się dwukrotnie. Przepił.

— Zuch! — ucieszył się Borowski.

— Mówi, że go tu coś trzyma, alkohol w gardło wlewa i że mu się w tej rozpaczy lepiej pisze.

— Widzisz pan!.. — Borowskiemu rozszerzyły się nozdrza. — I to jest bycze, potężne z tym Müllerem! Wielka dusza!

Kunicki wzruszył ramionami. „Smutna,“ — poprawił.

— My z żoną lubimy go bardzo.

Kunicki podniósł na niego oczy. — „Co się z tym człowiekiem stało! — przemknęło Borowskiemu przez myśl. — Pod nudnem polyskiwaniem okularów tego kreta kryją się sarnie, żałośliwe oczy.“ On tymczasem otwierał już usta, ale zdecydował widocznie inaczej, gdyż machnął niedbale ręką.

— A może tak jest dobrze, — mruknął. — Może tak być powinno.

— Co takiego? — zainteresował się Jelsky.

— Ot, cały ten smutek życia! Może on jest konieczny? Może ten jest potężnym, kto go hojną dłonią sieje? Może z tych właśnie nasion wyrastają najszlachetniejsze kwiaty?

„Inaczej to brzmi niż wówczas na przedmieściu,“ — pomyślał Borowski i nie czuł już do niego ani cienia niechęci. Miękkie, szerokie jego wargi, wyrażały w tej chwili tkliwe, kobiece prawie, współczucie.

— Chodź pan z nami! — krzyknął, chwytając go od ruchowo pod ramię. I wraz z tem dotknięciem wyczuł instynktem aktora, że tego człowieka smutek wtrącił w jakąś niezmierną bierność, że gotów iść wszędzie, robić co mu każą.

— Mogę, — odparł. — Ja już od dwóch tygodni nie pracuję wcale i po mieście się wałęsam.

— Chodź pan do „rudego kota.“ Pójdziemy potem gromadą na Yvette.

— A któż to jest Yvette?

— Jakto, nie wiesz doktor? Szansona — bycza! Yvette Gilbert.

— Ach! Tyngłówka?

— Fenomenalna, nadzwyczajna, boska! — krzyczał Borowski tubalnym głosem. — Księżna cynizmu współczesnego! pani ostrych zgrzytów!.. Wiecie, jej cynizm pada podobno, bryzga, chlapie wprost w gęby słuchaczów i widzów, — a ona czysta zostaje. Czysta, dumna, karząca, — jak sztuka. *Cela veut dire quelquechose*, — co?.. Rękawice nosi aż po pachy, — czarne, okropnie czarne i połyskliwe.

Suknia — wiesz doktor — ni za długa ni za krótka jak na szansonę: matematycznie jakby wykreślony ten właśnie największy smaczek... I brzydka! — tą właśnie fascynującą brzydotą, potężną jak kaprys mistrza. O, to zaciekawia, rozdrażnia, bierze! Nie wiem, ilu ludzi w łeb sobie dla niej strzeliło, ale gruba, gruba liczba... Jednem słowem, boska, nadzwyczajna kobieta! *Le génie du sexe! Das kategorische Imperativ!* Nosi czarne majteczki.

Jelsky schwycił go w pól.

— Kapitalne aktorzyśko! — wołał ze śmiechem. — On to sobie tymczasem z moich reklamek wykoncypował. Jesteś wdzięcznym czytelnikiem, Borowski!

Minęli tymczasem zaułki i wydostali się na bulwar. Uderzył ich w uszy huk i zgiełk, przed oczyma roztoczył się świat jaskrawy i rojny. Wpadła w ucho muzyka, zrywająca się co chwila w skoczne tempo i tonąca w turkocie ulicznym. W takt jakby tej muzyki, pod świeżą zielenią drzew bez cienia, ostrą, dziwną i jakby zastygłą w jaskrawem przepojeniu sztucznem światłem, roił się i przelewał czarny tłum. Na ciemnem tle męskich sylwe-

tek kołysały się mieniające i barwne kapelusze kobiet, szumiał jedwab, szeleściły suknie. Wzdłuż ulicy pędziły jak wichry długie jasno oświetlone wagony tramwajów elektrycznych, dorożki snuły się w nieskończonych szeregach.

Jelsky zbliżył się do Kunickiego i, ssąc cygaro, szeptał mu na ucho.

— *Horror vacui*... wiesz doktor, — w fizyce średnio-wiecznej. Warto tę siłę wskrzesić dla wytłómaczenia współczesnych dusz. I potęgi kobiet dzisiaj. Kobiety stały się zawsze potężne wtedy, gdy idee się kurczyły i zasychały w doktryny. Dla czasów i ludzi żywych mają one tylko wartość markietanek na postoju nocnym.

— Jelsky cytuje oczywiście Müllera, — wtrącił Borowski, posłyszawszy ostatnie słowa. — Wogóle, radzę bliżej poznać Müllera. Odkryjesz doktor źródło elokwencji i erudycji wielu dziennikarzy —

— Potwarz! — oponował Jelsky i wetknął Borowskiemu cygaro w usta na znak, by milczał.

— ...Oraz niewyczerpany skład sentencji dotyczących się kobiet, — mówił mimo to Borowski. — Wielki, lecz dziwaczny łeb siedzi na tem suchotniczem ciele. — Kobiety, — mówił, na przykład, mej żonie, — są jak żuki: składają najpłodniejsze nasiona w to, co próchnieje i gnije. — Prusy, — mówił innym razem, — są dla tego najpotężniejsze w Europie, ponieważ pruskie kobiety są najgłupsze na świecie. — Müllerek, choć Niemiec, nie cierpi Prusaków. Albo raz, pamiętam: kobiety dawniejsze perfumowały się ideą, ciągnęły do żelaza i wszystkie razem cuchnęły krwią; — dzisiejsze spryskują się sztuką, ciągną do złota i wszystkie razem śmierdzą prostytutką... *Novissima gloria cupido*, — mówił dziś o Yvecie, — jest kobieta artystka, kobieta droga i cuchnąca jak wszystkie ścieki ży-

cia razem wzięte... Müller, — kończył Borowski, — nie-
nawidzi kobiet ponieważ jest erotomanem.

Kunicki parsknął suchym śmiechem na tę ostateczną
i najgłębszą sentencję. Ale śmiech jego zerwał się na-
gle i uciał jakby pośrodku. Na twarzy jego odbiło się ta-
kie ogromne cierpienie, że Borowski nachmurzył się, a Jel-
sky skrzywił z niesmakiem.

— To jest otchłań, — rzekł.

-- Kobieta?

— Nie, ona jest najczęściej kałużą, — tylko nasze
myśli i uczucia dla niej.

— I to jest niezłe, — notował w myślach Jelsky.

Kaprys wspomnień stawiał Kunickiemu przed oczy
tę chwilę z przed kilku dni, kiedy Borowska, widząc smu-
tek w jego oczach i kierując się tym ciepłym, kobiecym
instynktem dobroci, uściśnęła mu mocno obie dłonie. Wów-
czas chciał jej powiedzieć wszystko. Ale oto rozległ się
dzwonek w przedpokoju. Ona wybiegła i powróciła za-
wieszona na szyi męża. Było w tym ruchu takie całko-
wite, niepodzielne oddanie się, taka łączność tych dwojga
ludzi, że Kunicki zrozumiał odrazu wszystko. Lubiała go
jak się w chaosie bezładnego życia lubi ludzi spokojnych
i pewnych siebie; — odpoczywała przy jego równowa-
dze. — Ale w chwili gdy ją ujrzał na szyi męża, zapalił
się w nim cały żar piekła, rozpętała się nienawiść, niepo-
mna siebie, ludzi i świata, odwołująca się na ślepo do osta-
tniej instancyi praw jednostki, — do siły fizycznej! „I ja
mam prawo do pełni życia! Patrz, oto mam mocne mię-
śnie, pierś szeroką!..“ Zwierzę zaryczało. — Ale jak na-
gle płomień ten buchnął, tak też szybko wytlił się pod
popiołem nawyknięcia do ładu, spokoju i trzeźwości. Po-
został tylko smutek, bezwład duszy i bezczynność ogro-
mna. Rozumiał, że w życiu jego nastąpiły te szare, ciężkie,
mroczne dni, co zwiastują nieszczęście. Rozumiał i to,

że ten ból ryje mu na czole straszne słowo: *improduktyw!* — I nie miał nawet sił złorzeczyć.

— Dziwny ten Müller!.. — mruczał tylko, postępując obok Jelsky'ego.

Tramwaje elektryczne śmigały po asfalcie z suchym pluskiem, w równych rzutach, jak łodzi parowe po zaskrzepłej powierzchni stawu. Dzwonki grały. Powozy biegły lekko i równo; miarowy grzechot kopyt końskich wybijał się ponad krótkie okrzyki, dzwonki, świstki, gwar i huk tłumu. Kiedy niekiedy zadudniała głucho trąbka i z niecierpliwem warczeniem potwornego żuka przeleciał jak strzała dygocący automobil.

Z ciężkiej maszyny omnibusu wywinął się chłopak w dzokiejkiej czapce, stosem gazet jak chorągiewką mignął i wrzasnął:

— Katastrofa w Nowym Yorku!.. Zamach anarchistów!

I tem wołaniem jakby echo zewsząd zbudził. Wzdłuż i wpoprzek ulicy rozbiegła się krzykliwa banda kamlotów.

— Katastrofa w Nowym Yorku!..

Skłębił się, zwichrzył, poplątał tłum na trotoarach.

Porywał ten gorączkowy wir, ten kierat pełny zgiełku, krzyku i tumultu; krew żywiej krążyć poczyniała, ruchy stawały się w tłumie giętke, elastyczne. Czaiły się zmysły. — Muzyka w sąsiedniej kawiarni grała coś z Carmen.

„To-re-ador! To-re-ador!“ — brzęczało w uszach jak natrętna mucha.

— Katastrofa w Nowym Yorku!.. Straszna katastrofa!..

Ponad rynsztokiem posuwał się zgarbiony, ogromnie obojętny i głuchy na wszystko starzec: — szukał w ścisłu odpadków od cygar.

— Patrzcie, — wołał Kunicki, — oto jest człowiek w mieście, który dziełem swoim żyje.

— Dobry! — aprobował krótko Jelsky i rzucił starcowi dymiący jeszcze ogarek.

Kupili gazetę. Kunicki wetknął w nią nos na długo, Jelsky przebiegł ją oczyma i oddał Borowskiemu, ten spojrział od niechcienia i oddał któremuś z przechodniów.

— Słuchaj, Jelsky, czy ten nasz autor dramatyczny... czy on mnie widział w „Kupcu weneckim“?

— Widział. Tam się dopiero kotłować musi w New-Yorku!

— A w „Pietro Caruso“?

— Widział, wszystko widział. Chciałbyś, Borowski, być kiedy świadkiem czegoś social-pyrotechnicznego?

— A co mnie te hece! A w „Ryszardzie“?

Ktoś im się ustawicznie w drodze nawijał. Przed oczyma przesuwiał się jak mewa wielki, biały kapelusz, rzucała się natrętnie w oczy fioletowa spódnica pod jasną suknią, buchały niemal czadem duszne perfumy.

— Idź, duszo, precz, idź!..

Wskoczyli do kawiarni.

Wionęło na nich parnym oddechem tłuszcza i zadudniało w uszach od pogwarów ludzkich. Jelsky'emu i Kunickiemu zapotniały w jednej chwili binokle. Borowski rozglądał się niecierpliwie w toni światła i ostrych refleksów od złożonych ram, kryształowych zyrandoli, purpurowych kanap i jaskrawych fresków.

Tuż za nimi, wskoczył kamlot, wysadził się na środek i okrzyknął jak herold:

— *Extrablatt!*.. Najnowsze depesze z katastrofy!.. 200 osób zabitych i rannych... Teatr wysadzony w powietrze!.. *Extrablatt!*

A muzyka grała.
— To-re-ador! To-re-ador!
Borowskiemu rozszerzała się pierś, wyrywał się z niej
wielki okrzyk radości:
Życie! życie!..



[S]



klaniając głowę przed obcemi twarzami, mruknął kilkakrotnie swe nazwisko. Kilkanaście par oczu patrzyło na niego, podniecało to Borowskiego ostatecznie; a że czuł się w pierwszej chwili nieco zażenowanym, zrobił więc nonszalancyę. Rzucił się w głąb kanapy pod ścianą i, nie zdejmując

kapelusza, zsunął go na tył głowy.

— Co się pije? — spytał.

Nikt mu nie odpowiedział, wszyscy rozprawiali krzykliwie o zamachu w New-Yorku.

— Co słyhać w kraju? — zwrócił się tedy po polsku do pana w długim tużurku, nader obfitym krawacie, jasnych kamaszach i w cylindrze na głowie. „Inaczej, —

myślał, — nie może przecież wyglądać młody autor dramatyczny.“ — Co słyhać u nas? Pan dawno?..

— W kraju?.. Młodzi poeci piszą nowe wiersze, starzy krytycy pieszczą się staremi wierszami. Tyle w ruchu społecznym. Pan X w „Dzwonku codziennym“ przepisał artykuł z *Presse*, zaś pan Y w „Dzwonie tygodniowym“ rozprawkę z *Contemporary Review*, czem ożywili ruch umysłowy na cały tydzień. Zresztą tygodniki zjawiają się co tydzień, co tydzień bywa „czarna kawa“ i co tydzień „herbata“; to wszystko uspiłoby ruch umysłowy beznadziejnie, gdyby go nie orzeźwiały poniekąd pojedynki, przytrafiające się co tydzień. Przelewa się to jak piasek w klepsydrze z niezmierną dokładnością 52 razy do roku.

„Aha, — myślał śmiejąc się Borowski, — takiś ty numer!“ — A pan zkąd obecnie, jeśli spytać wolno?

— Jaa?... Z Paryża.

— Pisał pan co?

Autor zasłonił się dłońmi jak przed osobistym atakiem.

— Nic! Nic, panie! Żyłem tylko memi nerwami artysty... — I strzeliwszy dymem cygara w sufit: — Zresztą, moje „Przeznaczenie“ będzie grane w Paryżu. Czytał pan moje „Przeznaczenie“?

— Nie zdarzyło się.

— Zna pan Coquelina młodszego? — pytał pan Turkuł, nie zmieniając głosu ani o pół tonu.

— Napluć na Coquelina! — obraził się niespodzianie Borowski. — Coquelin i Coquelin! Mało aktorów bywa na świecie!

Zdziwił się niepomału, usłyszawszy po za sobą również polską mowę.

— To pan jest Borowski? — wołał ktoś krzykliwie, w pół go obejmował i niemal ze w ramię całował. — Ja pana widział w kraju, na scenie... O, to jest gra! Na-

pięcie, siła! — wołał, wymawiając forsownie, lecz miękko te mocne słowa. — Ja pana szanuję, panie Borowski. Oni wszyscy falsetem biorą, pan piersiami, sercem!.. Ja jestem malarz — Pawluk... Oni jak lisy — *wiliajut* — a ogonem zatrą. A sztuka to jest siła, panie Borowski!

I wyciął pięścią w stół. Borowski nie wiele zrozumiał z tych wylewów temperamentu; nie wiedział, kto i po co merda ogonem i po co zaciera. Mimo to pan Pawluk chwycił go za serce.

— Wiesz, pan Borowski, ja chcę namalować anarchię. Pan to zrozumie. Ot — teatr wysadzili, — sztuku zrobili! — Ha? Tak zrobię, uważasz, — rozłożył ramiona, gotując się do szerokich gestów, przyczem odpchnął bez ceremonii sąsiadów po obu stronach. — Miasto!.. Wieczór!.. Ciemno. — Domy, domy, domy!.. Błyski chlapnę tu! tu! — tam! — Wieże. — Kominy. Dymi się. Kłębi! Czujesz, jak się kłębi?... Zasnęło wszystko, wszystko! Nic nie widać; — ciemno. A na niebie gwiazdy. (Rozłożonemi palcami dłoni rzucał gdzieś przed siebie gwiazdy na imaginacyjne tło). A tu na przodzie — on — morda!.. Już ja ci, bracie, dam mordy! — Złość, nienawiść, szal! Siła być musi! I... (z przymrużonemi oczyma chwycił coś z powietrza w niespokojne kulaki)... podpiszę „Anarchia“ — zakończył wreszcie i odsapnął. — Bo u mnie, widzisz, pan Borowski, farba ma blask! połysk — a!.. Ja robię tak: asfalt, berlinerblau i — zuch! — śmiało trzeba... Farba trzęsie się, świeci!.. Bo nasi malarze to *izwoszczyki*, nie artyści.

Ogłuszyły Borowskiego te twórcze erupcje rodaka; nie wiedział, co na nie odpowiedzieć. Z drugiego końca stołu odezwał się tymczasem głos cudzoziemski, spokojny i niedbały:

— Pawluk maluje oczywiście językiem! Nie męcz ty

ludzi i zwilż lepiej język, bo farbie twej zabraknie wnet blasku.

Mówił ktoś, kogo Borowskiemu przedstawiono jako pana von Hertensteina. Siedział na kanapie niedbale, w pozycji wpół leżącej, białymi dłońmi unosił kolano i z wyrozumiałą cierpliwością na twarzy słuchał opowiadań jakiegoś czerstwego młodzieńca o tłustych policzkach. „Mecenas” — zgadywał Borowski i „poprawił” czempredziej twarz, jak ktoś, co, wchodząc do salonu, poprawia krawat i mankiety. Tenże instynkt starego nawyknięcia sprawił, że Borowski począł nieznacznie, boczekiem, podsuwać się na kanapie w tamtą stronę.

Młodzieniec opowiadał o czymś gorączkowo, ustępy widocznie bardziej intymne szeptał na ucho; przyczem z miną i zwinnością wiewiórki obgryzał żarliwie paznokcie.

— Fenomenalna histeryczka, — rzekł wreszcie pan von Hertenstein. — Ty zaś jesteś wybitnym szelmą... Nota bene, jeśli to wszystko jest prawdą... Napisz to, napisz, — kończył, klepiąc go po ramieniu.

Młodzieńcowi przerwał Pawluk, który przewinął się szybko między stołem i kanapą, znalazł się na drugim końcu, przysiadł, a raczej przykucnął przed panem v. Hertensteinem i wgadywał się gorączkowo w jego sympatyę.

— Pan drwi sobie z moich kompozycji. No, zobaczycie kiedyś!.. Do dyabła, ja czuję, że oni wszyscy nie to malują, nie to, co trzeba. Czuję — o! (począł się bić kulakami w piersi). Mnie nie szkoła, a życie uczy. Ot co!.. Mnie trzeba jeszcze was literatów zgryźć, przeżyć i... i wypluć potem.

— Bardzo ujmujące! — odparł pan v. Hertenstein i odsunął go łagodnie od siebie. — Ty lepiej ich nie gryź i wypluj czempredziej, bo się nimi już dławić poczynasz.

Pawluk szarpnął się oburącz za włosy.

— Nie rozumieją flegmatyczne niemcy!

Pan v. Hertenstein począł się rozglądać po obecnych. Zmęczony jakby dotychczas i opieszały, ożywiał się w oczach, patrząc na Borowskiego. Nagle zerwał się i nalał mu wina do kieliszka. — Borowski miał ochotę cmoknąć sobie na pochwałę: „Wziąłem go milczącą gębą — na odległość!”

— O panu słyszałem, — mówił pan v. Hertenstein. — Zmanierowano mi chłopca, — nawiązywał natychmiast rozmowę, wskazując bez ceremonii na czerstwego młodzieńca. — Ale przedstawiam panu obiecującego autora konfiskowanych za pornografię nowel. W konkursie „coups de grâce” pobili go może Prevost, natomiast w rekordzie „coups de force” znuży najbardziej łakomego czytelnika... Spójrz — no pan proszę na te tryskające zdrowiem policzki.

Śmiech chórally nie dał młodzieńcowi dojść do słowa.

— Mój kochany, — perswadował mu spokojnie Hertenstein, — nie rób ty z siebie literatury: nie każ nam wierzyć, że twoja literatura ma cośkolwiek wspólnego z twym życiem. Gdy staniesz się naprawdę cynicznym, będziesz pisywał rzeczy sentymentalne i poczniesz rozdzierać szaty nad zepsuciem — w sztuce... My wiemy, co to jest literatura młodych ludzi.

— To jest siła! — krzyknął malarz i wyskoczył z krzesła jak z procy, aby pobiedz do Hertensteina.

— Literatura młodych jest jak młode wino, — rzekł, a raczej ziewnął Jelsky. — Cały smaczek w pierwszej fermentacji.

— Literatura jest jak kokota, — bąkał niewyraźnie Müller, żując w zębach papierosa. — Kiedy jest przezorna i dalekowidząca, nosi się skromnie, dba o opinię i stara się o ciche względy starszych panów. Gdy jest młoda i płocha, lubi nadto modne stroje, nosi zbyt wielkie de-

kolty, naraża się opinii; czem zyskuje entuzyastyczne sympaty młodych ludzi.

Jelsky załamał ręce.

— Zlituj-że się, Müller, ty niedługo cały świat pojęć osolisz sobie erotyzmem.

— Literatura neo-romantyczna, — odezwał się autor dramatyczny i uniósł się na krześle, aby go dobrze widziało, — literatura neo-romantyczna, zerwawszy wszystkie związki z życiem, stała się alembikiem na książkach i dziennikach; poezya, tego alembiku destylatem. Dramat jedynie pozostał prawem dzieckiem życia.

— Dramat jest łątanym kostyumem w rekwizytorni! — parsknął Borowski. — Wtedy coś wart, gdy się dobry aktor w niego ubierze. U nas, bywało, w teatrze, na dramatach smażyliśmy sobie befsztyki!

Wszczął się więc spór o pierwszeństwo poezyi, dramatu czy powieści. Wśród wrzawy, krzyku i brzęku kieliszków obrzucano się modnemi nazwiskami, cytatai i naprędce kleconemi aforyzmami niby garściami confetti. Pan von Hertenstein, leżąc niemal na kanapie, pieścił w dłoniach swe kolano i raczej patrzył, niż słuchał; bawiły go, zda się, bardziej gesty i okrzyki niżli treść zdań, i niemniej od tych, co się sprzeczali, ci, co milczeć potrafili.



Ale dziennikarz Jelsky krzywił się czegoś i grymasił nad winem. Dla niego były to zbyt ograne melodye. „Albo pić lepsze wino, — myślał, — albo dowiedzieć się

czegoś nowego! — Jest tu trzech polaków, niechby o swoich tam śmieciach coś powiedzieli. Da się może zrobić artykuł.“

— Mój Borowski, — zaczął tedy wytrawnie, zdaleka, — u was podobno niema kawiarni?

— Niema.

— Bój się Boga!

— Czy to źle?

— I ty pytasz? — Tam, gdzie niema kawiarni, wszystko, co twórcze, a samotnem być nie potrafi, wkurczy się, wgrzęźnie, da się wnąkać w obmierzłe idealiki mieszczaństwa... No, a tyngle macie?

— Jest jeden.

— Strzeżcie go, by nie upadł!.. No, i cóż wy tam jeszcze macie? Kobiety ładne...?

— Są.

— To się wie. Jeżeli który z panów twórców, — zwrócił się do obecnych, — życzy sobie zaznać nadzwyczajnych transów, radzę zakochać się w polce. (Tu Jelsky poczuł z prawdziwą satysfakcją ostre spojrzenia Kunickiego, Müllera i Borowskiego.) — Pomyślcie tylko! — największe imiona wielkie raczyły robić tu reklamę: Byron, Shelley, Heine, Lenau, Napoleon, Szopen, Mickiewicz, Balzac...

— Millöcker, — zadowolił się krótkim odcieniem Borowski, i zanucił na poczekaniu aryjkę z *Bettelstudenta*.

— No, a teatr? Aktorów musicie mieć nadzwyczajnych?

— Tylko repertuar przynoszą nam raki z Europy, — wtrącił autor dramatyczny. — Nad rakami czuwają augury dziennikarscy. Muza komedyi, zestarzawszy się we Francyi, przyjęła u nas funkcyę guwernantki i wyprowadza za scenę dziecinny dramat. Szekspir, zmęczony się sztucznym entuzjazmem Berlina, przychodzi od czasu do czasu prze-

spać się na scenie warszawskiej. Szekspira grywają u nas rzadko, ponieważ autor nie bywa na „czarnej kawie“ — *very well!*

Jelsky ozywiał się jak rtec i wyciągał już notes. —

Borowski zerkał bokiem na mecenasa i rozumiał, że jemu milczeć tu nie należy. Gotował się więc i on.

— No, a literatura? — indagował Jelsky z ołówkiem w rękę. — Co robią nasi pisarze?

— Leją przeważnie w puste miechy współczesnych dusz tegie stare wino, — odparł Borowski, przygotowując twarz do mimiki. — To też przeszłość przypomina się nam żywo, „rozszerza piersi.“ Czasami — rozszerzy piersi i przypomni się zanadto, jak to zwykle bywa po winie. Ale my to wszystko polykamy z powrotem, ponieważ cenimy tradycję jako sakrament. — Po za tradycją dozwolone są tylko myśli o biedzie i połączone z nią sentymenty, ponieważ charakter narodowy tych poematów odczuje nie tylko głowa ale i kieszeń, która jest zawsze najbardziej narodową i sentymentalną. Recenzent siądzie na książce i wie, że ma do czynienia z tendencją sympatyczną, która, jak czuć najwyraźniej, nikogo nie uraża, nikogo nie kole. „Nie wnosi przeto rozterki między warstwy społeczne. Aby spokój, aby harmonia! Bo oto czyha na nas hakatysta! Zbijmy się do kupy jak owce, — nie połknie nas dzieciożerca. A jeśli połknie, nie strawi gromadą...“ Łagodni słowianie, przywykliśmy od wieków bronić się przeciw zachodniej kulturze płodnością. Już w uniwersytecie zaopatrujemy się w róg obfitości i — co za tem idzie — w dumę i ostrożność ojca rodziny. Jeśli się potem jakie myśli w nas rodzą, zanosimy je wnet ze skruchą pod małe nóżki tłustego bankiera.

— Więc bogate mieszczaństwo nie lubi u was nowych myśli?

— Tego nie można powiedzieć. Widzisz, Jelsky, pieniądz rusza się u nas zwawiej niżli nauka i sztuka, nic dziwnego, że i myśl ruchliwszą przy nim się staje. Mieszczanstwo nie lubi tylko samodzielnych, zwłaszcza miejscowych porodów myśli i, gdzie może, urządza sztuczne poronienia z namiętnością starych akuszerok. Nie przeszkadza to tym panom opiekować się instytucją dla porodów fenomenalnie już twardych i uciążliwych, dzięki którym przychodzą na świat wielkie i ciężkie kobyły rasy germańskiej, maszyny wytrzymałe, juczne i bezpłodne jak muły! — Jest i nauka w kraju, wbrew prasie i naprzekór społeczeństwu! Złośliwość tę zawdzięczamy finansom.

Jelsky skoczył z krzesła i nalał Borowskiemu wina.

— Co za aktor kapitalny!.. Ze wszystkich etranżerów najbardziej lubię polaków, nikt tak namiętnie nie szkaluje stosunków swego kraju jak oni... Mój Borowski, a kto tam u was zajmuje się właściwie literaturą, czytuje książki?

— Krytycy i panienki.

— A kokoty nie?

— Kokoty boją się jej, ponieważ jest zanadto cnotliwa. Gotowe się nawrócić i wykoleić w życiu.

Pan v. Hertenstein wtulił się w kąt kanapy i patrzył rozmarzonym wzrokiem na Borowskiego i Jelsky'ego.

— Jelsky, jestem dumny z twej przyjaźni. Chcesz się czego napić, Jelsky? — pytał raczej z przyzwyczajenia, gdyż na stole stała pełna butelka.

Ale Jelsky'ego pochłaniał już całkowicie interview.

— Skończyliśmy zatem z literaturą i nauką, — odliczał na palcach. — No, a malarstwo? Co tworzą malarze?

— Oni nie tworzą, lecz malują pilnie to, co stworzył kto inny.

— Mianowicie kto taki?

— Krawiec.

— Aha! Portreciści mają się zwykle świetnie.

— Bogać tam! Krzątają się wprawdzie, jak mogą. Wyprawili kolację „w kraju i dla kraju“, naspędzali posażnych panien do „zaczarowanego lasu“, pokazali społeczeństwu łydkę w „turnieju rycerskim“... Ale indyferentyzm ogółu!.. Zresztą, u nas mało kto nosi szatę godną wykwintnego pędzla artysty.

— No, a cóż robi szlachta dla sztuki?

— Każe portretować swe konie, co posłuszniejsze; przy czem sądzi się być wolną od zarzutu nieuleczalnego marzycielstwa. Pochodzi to ztąd, że konie polskie, według znanego estetyka, powinny posiadać charakter syntetyczny.

— Więc końscy malarze są niejako syntetykami ducha narodowego?

— Tak dowodzi estetyk... Boże, jak ci końscy malarze świetnie się mają! W rozmowach krytykujemy ich obficie, ponieważ zemsta jest jedyną rozkoszą naszych biednych bogów na nudnym Olimpie.

— No, a świeże pomysły w malarstwie?

— Są. Panoramy!

— O jerum! — westchnął Jelsky.

— „Nietylko malowano, ale i prawdziwie: z fonem na przodku,“ — z piaskiem, zwirem, drabiną i starym kamazem.

— Co oznaczają te symbole?

— Wojnę. Na wszystkich cykloramach przedstawiane są mianowicie bitwy. — Jest to przeważnie gust warstwy, która tak szybko wchłania narodowe tradycje, że w krótkim czasie zniechęciła — żydów. Ztąd pochodzi antisemityzm, bo dotychczas mieliśmy tylko pisma antisemityczne.

— A propos pism... Czemu-ś zbladł, Borowski?... Czy łatwo, czy tanio robi się u was opinia?... No, mówże!

— My Polacy nie boimy się wroga, nie boimy się Boga, nie boimy się sumienia, ale boimy się Kuryera! — Nie będę nic gadał!

— Opinia, znaczy, robi się u was łatwo i tanio.

Tu Jelsky powstał i ostentacyjnie poprzez stół uściśnął rękę Borowskiemu.

— Dziękuję ci, Borowski!.. O nazwiska cię nie proszę: niedopowiedzenia i domyslniki są bardziej pożądane w dziennikarstwie. Natomiast musisz mi opowiedzieć jeszcze kilka najświeższych plotek: bez plotek niema publicystyki!.. Chcesz się czego napić, Borowski?

Pan v. Hertenstein, leżąc wciąż w rogu kanapy, nie spuszczał rozmarzonych oczu z Jelsky'ego.

— Jelsky, ty jesteś arcywzorem aktualności, modelem dziennikarza.

Wszyscy porwali się z miejsc. „Niech żyje Jelsky!“ Jelsky trącił się ze wszystkimi kieliszkiem, poczem chrząknął znacząco.

— Silentium! — Jelsky chce powiedzieć speech.

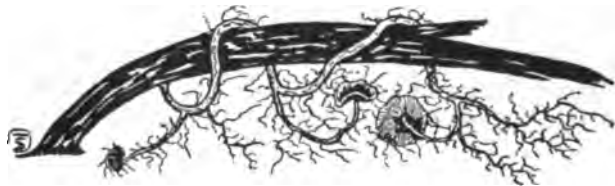
— Krótki, panowie. Przypomnę wam tylko: „Gdym szatana mego ujrzał, był on poważny, ponury i głęboki. Naprzód, zabijmyż ducha ociężałości!“ — Panowie, niech żyje...

— Sztuka, — pisnął ktoś nieśmiało.

— Głupiś! — szepnął mu z góry Jelsky. — Banalne zwierzę!.. Panowie, niech żyje paszkwil!

Na wszystkich podziałało to jak objawienie; ludzi porwał szła radości.

— Wiwat! Niech żyje!



Pan v. Hertenstein zwrócił się do drobnej milczącej figurki w pelerynie francuzkiej.

— Mały, napisz-no jaki kuplet przepotężny i zaśpiwaj go nam.

— Brawo! — krzyczano. Towarzystwo było już po tyłu kieliszkach wina, że wszystko je cieszyło. — Pisz, Mülerek, pisz.

Mały błysnął złośliwemi oczyma; miał widocznie gotową myśl. Pochwycił podaną sobie kartkę papieru i począł szybko pisać. — Borowski tymczasem rozglądał się po kawiarni. Ujrzał kilka sztywnych panienek w atłasach, co sznurując usta zerkwały boczkiem na pannę Lili i towarzyszek. Pociągnął nosem z aktorska, skrzywił się i zmrużył oczy.

— Mieszczanństwo czuję! — rzekł, uderzając się po nosie.

— Brawo, Borowski! — (Przy stole pito już tylko i krzyczano „brawo!“)

Jelsky wezwał czempredzej kelnera.

— Każ pan orkiestrze grać kankana.

Kelner rozłożył ramiona i wskazywał oczyma na poważną publiczność w sali.

— Poczekajmy trochę, — prosił. — Niech się przerzedzi w kawiarni.

— Myśmy nie gimnaziści, panie zahlkelner, aby nas kankan sam przez się radował, — rzekł z grymasem pan v. Hertenstein, bardzo niezadowolony z tego, że go kelner zmusza do mówienia. — Nam to właśnie sprawi satysfakcję, że tamci panowie i tamte panienki go usłyszą.

Wobec powagi słów pana v. Hertensteina kelner skłonił się tylko.

— Ale, — wołał za nim autor dramatyczny, — przy sposobności każ pan przysłać kilka butelek szampana.

Kelner skłonił się panu Turkułowi.

Turkuł wcisnął się plecami w oparcie kanapy; rozrzucając szeroko poły tużurka, ukrył podbródek w obfitym swym krawacie i wystawił niby kiel zgasły papieros; zimnym wzrokiem przyglądał się otoczeniu. Po chwili zwrócił się półgębkiem do pana v. Hertensteina:

— Dam im szampana, bo chcę zobaczyć, jak to będzie wyglądało po pijanemu.

Na bladej i zimnej twarzy pana v. Hertensteina ściągnęły się lekko brwi, syknął po cichu, jak gdyby go na odcisk nadeptał. Uśmiech niesmaku skrzywił mu lekko wargi.

— Zbyteczne koszta, — rzekł po chwili spokojnie. — Oni panu dadzą gratis sposobność do jego głębokich studyów psychologicznych.

W kawiarni rozległy się lekkie, skoczne dźwięki muzyki. Przy dalszych stolikach zgoła inne towarzystwo zabawiało pannę Lili i towarzyszek. Ztamtał doszła niebawem nieśmiała, przytłumiona zgiełkiem nuta pospolitej brukowej piosenki:

„Siehst du, das ist ein Geschaefl,

„Das bringt noch was ein,

„Doch es mus verstanden sein...“

Pan v. Hertenstein klasnął w ręce.

— Nastaw uszy, Jelsky! — tam już kokoty śpiewają hymn na cześć paszkwilu. Klaniaj się, klaniaj się czemprędzej! —

Dotychczas ociężyły, zerwał się nagle sprężyste, przewinał zwinnie między krzesłami i przysiadł do Jelsky'ego.

— Kocham cię, Jelsky! — wołał, obejmując go w pól, — kocham cię za to, że tak gruntownie drwisz sobie z całego świata, że możesz na zawołanie być lirykiem, satyrykiem lub reporterem; — kocham cię za tę przedziwną lekkość tanecznicę, nazwaną talentem, a którą ludzie nietylko

rozrzewniać się, ale i roznamiętniać dają. O, jak cudownie potrafiłbyś ty roznamiętniać tłumy! — Kocham cię, żeś jest tak ogromnie dzisiejszą duszą!.. Niechci żyje paszkwil! niech wam żyje, serdeczni! On jest ostatniem słowem współczesnego talentu, pieśnią twórczej niemocy!

Jelsky zerwał się z miejsca i chciał coś obwieścić, lecz zagłuszył go piskliwy głos Müllera. I on ocknął się teraz dopiero: zrzucił z ramion pelerynę i, bębniąc w stół kościstemi rękoma, zanucił jakąś zwrotkę; pochwycił ją natychmiast cały chór i w szybkim tempie galopki odbijał na nutę kankana:

*Tak, tak, tak,
W tem cały sztuki smak,
W tem cały życia sens!*

— A wam, panowie, — przerwał im na samym początku Hertenstein i schwycił za kieliszek, — wam niech żyje kawiarnia, — ta kwarantanna cierpliwych, ambitnych a bezpłodnych! Tu możecie dowoli pisać, malować i rzeźbić językiem. Bo wszak my wszyscy tak bardzo oszukiwać się pragniemy! Wymawiamy „sztuka“ to, co się pisze: „*vanity fair*,“ — „szał miłości,“ co się pisze: „obskurny heteryzm,“ — „przyjaźń,“ — co każdy pisze „zawiść,“ — czytamy „indywidualista,“ gdzie rozsądek pisze „zbląkany filister.“

— O!.. O!.. — wszczęły się szemrania przy stole.

— Jest tu człowiek małoduszny, co drwić z siebie nie potrafi! — huknął Müller i uderzył pięścią w stół, aż się kieliszki zatrzęsły.

— Bądźcie mi bardziej szczerzy! — prosił Hertenstein. — Wszakże wy wszyscy, ilu was tu jest, piszecie po nocach na wyścigi paszkwile na swych przyjaciół i swe otoczenie. Taką jest dziwna psychologia „*amitié de bohème*“.

Niez mordowany Müller zanucił powtórnie:

*Tak, tak, tak,
W tem cały sztuki smak!*

— Panowie, — huczał już v. Hertenstein na całą kawiarnię, — oto znalazł się między nami przypadkowo sławny autor „Przeznaczenia.“ — „Nasz!“ krzyczymy, choćby on w każdym słowie swoim był zaprzeczeniem wszystkiego, czego mybyśmy pragnęli; „nasz!“ krzyczymy tem głośniejsz, im większą będzie jego popularność. Bo wszak on nasz byt usprawiedliwia. — Sztuka jest, prócz dla tych, którzy się dla niej rodzą, jeszcze tylko dla próżniaków, z których potem trafia kobieta, redaktor wyławiają tak zwane talenty, zaś policya, przytulki i szpitale — tak zwane męty...

— Silentium! — uderzeniem kulaka w stół zgłuszył Müller szemrania.

— ...Panowie, przed nami stoi, — źle mówię! — przed nami siedzi człowiek, któremu słuszną pycha wzdyma krawat i rozpiera kamizelkę... W porę przynoszą szampan! Autorowi „Przeznaczenia“ niedość widzieć nas trzeźwymi, on chce nas upić; podobnie, jak kazałby nas pławić w kałuży, gdyby to było w jego mocy, — nas, mierzwę swego życia, nas, cośmy go swoim bólem wykarmili, pierwsi odgadli, pierwsi odczuli!..

Zaszurano krzesłami.

Turkuł zerwał się dopiero teraz na równe nogi. W długim aż po stopy tużurku, ze wzdętym krawatem, z wypiekami, co w jednej chwili wytrysły mu na policzki, — wyglądał jak indor gotowy do ataku.

— Precz z tem winem! — wrzeszczał tymczasem malarz.

— Cicho, Pawluk! — ty stokroć brutalniej rozkoszować się nami będziesz za lat dziesięć. I więcej takich

znalazłoby się tutaj. Ten człowiek, — Hertenstein z nie-
zmaconym spokojem wskazał na Turkuła, — ten człowiek
może mnie odpychać jak zimny metal, a jednak — on jest
dla sztuki stworzony! Zapytajcie się waszej zawiści, ona
jest najszczerzym głosem artystycznego sumienia.

Turkuł osunął się z powrotem na kanapę i ze wzgar-
dą odrzucił od siebie niedopałek papierosa.

— ...Zapytajcie go, ile on uczuć przemódz, prze-
silić, zniewolić w sobie musiał, a zrozumiecie może jego
niechęć ku nam. Jego pycha naszą miękkość czuje. Nie
pytajcie się natomiast, ile ten człowiek szczerych, prostych,
ludzkich uczuć potratował w życiu. Gdzie jest zwy-
cięzca, tam muszą być ofiary, gdzie tryumfuje czyn, tam
musiało być zdeptane uczucie!.. A ja poprzez męty uczuć
waszych sentyment, biedni, widzę!..

Tym razem zaroilo się poważnie przy stole; ktoś ze
złości stłukł kieliszek, kilku porwało się z miejsc.

— *Nicht waehnen, Hallunken!* — *ich sei einer von den
ihrigen.* Przepadniemy!.. A teraz, kto z was nie jest naj-
nikczemniejszym filistrem, kto nie drży przed losem, jaki
sam sobie zgotował, ten za kieliszek pochwyci. Niech
przepada słabość, — niech żyje sztuka! Niech ginie bez-
płodność, — niech żyje czyn! — Wiwat autor „Przezna-
czenia“!!..

I wszystkich, ilu ich tu było, porwał ten szal dzi-
wnie sprzecznych, nawpół pijanych uczuć. *Pereat mun-
dus, fiat ars!*.. Zapienił się szampan, zabrzęczały kie-
liszki.

— W górę go! — krzyczał i miotał się Pawlук, wy-
machując rękoma jak wiatrak. Daremnie bronił się Tur-
kuł. Za chwilę znalazł się w górze na kilkunastu parach
ramion, jak wódz zwycięzki na tarczy.

Jak szampan w kieliszkach, tak pieniały się lekkie,
zwinne, kocie skoki rozpętanej w swawolnym rytmie mu-

zyki. W takt tych skocznych tonów, tempem szalonej galopki nucił niebawem zgodny chór:

*Tak, tak, tak,
W tem cały sztuki smak,
Naszego życia sens.*

Ale i tym razem zagłuszono kuplet Müllera, bo od dalszych stolików, gdzie siedziała Lili i towarzyszki, zerwał się śpiew głośniejszy, już śmiały i czelny, już swawolny i cyniczny. Odbijając twardo kulakami na stolikach, śpiewano wodzowi na tarczy:

*Siehst!.. du!.. das ist ein Geschaefst,
Das traegt noch was ein,
.....
Doch es muss verstanden sein...*

Zewsząd rozlegać się poczęły gniewne syki i niecierpliwe dzwonienia w naczynia.

— Kelner, płacić!.. Płacić! — huczały basowo ochryple od oburzenia głośnych tłustych, solidnych obywateli.





o tynglu, panowie!

Pan v. Hertenstein wyprowadzał swą drużynę na ulicę. Pawluka szukano na próżno: gdzieś się zawieruszył między stolikami, gdzie siedziały kobiety. Chciano już wychodzić bez niego, gdy Borowski przyłożył dłoń do ust i w głośny gwar cudzoziemskiej mowy huknął nagle mazurskie:

— Chodź ino, cho - odź...!

Gdzieś z pośród tłumu wyskoczyła nagle głowa o rzadkiej nastroszonej czuprynie; zaśmiały się zdaleka małe skośne oczy.

— Ide, idee...! — poniosło jak po stepie.

Pan v. Hertenstein zatykał sobie uszy. „Na litość Boską, — toż nie polska stodoła!”

Pawluk wywinął się tymczasem z tłumu, rad i uśmiechnięty, niby jamnik z borsuczej nory. I zakreślił się koło Borowskiego jak fryga.

— I Niemce mają kobiety! — wołał — Won hań siedzi cielista! i biała, biała! A oczy ma cza-arne!... Włosów na głowie jak Magdalena Ribeiry. Pławić się można w tych włosach jak w stepowej trawie... Lili się nazywa... Kaby miał hroszy, toby się i wypysznił!...

— Nie wrzeszcz! — strofował go pan Hertenstein.

Ale Pawluk już go wpół chwycił i w kółko nim obracał; potem jak dziecko przytulił mu się do ramienia.

— Czemu nie lubisz słowiańskiej mowy? Wolisz francuzki kankan? He — baron Hertenstein?

— Co ten kozak plecie? — pan Hertenstein rzucił ramionami.

— *Wiss go* — prus! A ty, bracie, do nas przyjeżdż. My tak ciebie polubim! U nas dusza *na raszpaszku*!

Objął go za nogi i podniósł jak piórko z ziemi. Pan v. Hertenstein zżymał się, gdy stanął z powrotem na nogach. Otrzeputując starannie spodnie, mruczał niechętnie:

— No, jak się polska dzicz upije, — *da hört die Gemuetlichkeit auf!*

Jelsky był widocznie innego zdania, gdyż, przecierając chustką binokle, uśmiechał się pod wąsem. Gdy wraz z Borowskim, zamykając hałaśliwy pochód gromady, wychodzili na ulicę, spojrzeli równocześnie na Kunickiego, który siedł samotnie tuż przed nimi.

— I ten także! — mruknął Jelsky.

— Co takiego?

— Dziki!... Bo to się czuje przecie, że ten człowiek spał się tylko w obręcze doktryn, pracy, obowiązków. Europa na tym karku ciąży. U nas doktryner wiadomo, co znaczy: — wiór! — u was tylko: — Europy się nałykał... Powiedz mi, Borowski, po co właściwie przyjeżdżacie do Europy?

Borowski wzruszył ramionami.

Wataha skreśliła z bulwaru w cichy zaułek. Dysputując krzykliwie, szła środkiem ulicy. Tuż za nimi jechał stępa powóz pana Hertensteina. Pawluk tymczasem zawieruszył się znowuż; widać go było zdala, jak wprasza się uparcie do towarzystwa dwóch przechodzących kobiet.

— Ten się nam zgubi dzisiaj, — rzekł Jelsky. — Na niego gwizdać trzeba, — czy jak? — I naśladując wcale nieźle Borowskiego, huknął w ulicę: „Chodź, ino cho-odź! „

— Ide, idee...!

Jelsky'emu opadły binokle na sznurku; począł je znowu czyścić i mruczeć coś pod nosem. Po chwili nacisnął cwikier z rozmachem i zwrócił się do Borowskiego najniespodzianej w świecie po polsku.

— Wy Borowski... z samej Polski bendziecie?

Borowski stanął jak wryty.

— A zkądże mam być? — odparł machinalnie.

— Bo ja jezdem ze Śląska, *aus Oberschlesien nähmlich*.

— Chryste panie!.. Jesky, toś ty się oszwabił?!..

Dziennikarz uśmiechał się dobrodusznie.

— *Wasserpolacke*, — *was?*... Ja *hochpolnisch* nie-dobrze gadam... Uczyla mnie *panjenka (oder wie sagt man denn?)*... ze dwora, — Marynia.

Jelsky'emu znowuż opadł cwikier i domagał się gruntownego czyszczenia. Z zaskrzepłym na wąsach uśmiechem mruczał coś i opowiadał; gaworzył jak dziecko z samym sobą.

— Co dzień się spotykali... „*Mojen! Mojen!* Jak spala?...“ — „Mówi się: dzień dobry pani.“ — „Dzin... dzien... *Das Patschhändchen her!*...“ — „Fe, brutalny prusak! Mówi się: proszę pokornie o podanie rączki...“ — „Pokornie rączki... rączki... rączki...“ *Gott dies Kind!*

Niebawem spochmurniał i nasrożył się Jelsky, wąsa

szarpał i milczał. — „O la!” — krzyknął wreszcie i wyrzwał laską w bruki. I tym okrzykiem przeciął wspomnienia. Wysławiając się z trudem, — mówił dalej poważnie.

— Po co wy przyjeżdżacie do nas? Niedawno ja widział chodziki... *Sachsengaenger*. Wszystko! jeden jak drugi! (Jelsky machnął ręką). To Europa daje. — „Wy — chciał widocznie powiedzieć — przywozicie coś podobnego w duszy, w sercu do swego kraju“, lecz zamiast tego zaplątał się wraz z naiwnymi słowami narzecza w jakiś bezradnie naiwny krąg myśli. Zachnął się wreszcie niecierpliwie i dokończył twardo, po prusku:

— *Intellektuelle Sachsengaengeri!* — To z was uczyni nową odmianę Wasser-polaków: *germanisierte Wasserintellekte!* Spójrz — no pan na tych żarliwie po polsku się modlących patryotów poznańskich. Czy tam wyrasta choć jeden nowy kielek waszej duchowej kultury?

— Widzisz, Jelsky, bo ciebie tam niema, — syknął mu w odpowiedzi Borowski, — boś ty w wielkim morzu niemieckiem rozwodnił duszę i...

— Ja jestem „dobrym europejczykiem“, — zachnął się Jelsky niecierpliwie. — Może to pojęcie zabłądzi do Polski za lat 200. — Po chwili, krzywiąc się niechętnie w rozmowie z samym sobą: W afektach *das überschaumend Temperamente*, w polityce *das verflucht sentimentale: das Polackische...* Co się waszą gazetę do rąk weźmie, to ckliwo się robi. *Nee!* to już nie dla mnie.

— Jelsky, mnie się coś widzi, że ty z twą europejskością w powietrzu wisisz. Tyś poprostu ten temperament i sentyment poprzestawiał na inne pola i zostałeś kosmopolitycznym dziennikarzem. A ten zgermanizowany *Wasserintellekt...* Patrz! — wołał, wskazując na Pawluka. — O, ja jego stokroć bardziej wolę!... Pytasz się, czemu my tu przyjeżdżamy? Gdybyś ty, Jelsky, wie-

dział, jakbym ja chętnie uciekł tam na wschód i pokazał się twej Europie *en face* z części zachodniej!

— Po coś ty właściwie z wojska uciekał?

— Dla niej.

— Ba! — Jelsky miał ochotę splunąć. — Czy tam wciąż jeszcze nie nauczyli się stawiać sobie pytania: co jutro?

— Widzisz, Jelsky, nietylko to... Myśmy wtedy nie mieli nic, nic, prócz tej wielkiej chęci do życia. — W kasie teatralnej...

Jelsky chwycił Borowskiego brutalnie za ramię i zwrócił go twarzą w stronę najbliższej latarni.

— Pokaż-no ty się! — O takich polskich bohaterach zdarzało się już nieraz pisać. — Mrużąc oczy, przyglądał mu się wzgardliwie; po chwili parsknął śmiechem i odepchnął go zlekka od siebie. — Cokolwiekby ludzie mówili, wszelka ofiara dla kobiety jest ostatecznie ofiarą dla własnych zmysłów, lub długą i nudną skruczą za krótkie chwile wątpliwego szczęścia. Trzeba być bardzo... konsekwentnym, ażeby dla takich powodów uczynić się dobrowolnie zerem.



Drużyna pana Hertensteina szła bezładną kupą przy kakofonii gwizdków, śpiewów i wrzasków. Chwilami przycichała wrzawa; wówczas dolatywało do ich uszu czystsze, głębsze nucenie. Borowski włókł się na końcu. Kapelusz niósł w garści i, wymachując rękawami szero-

kiego płaszczą, szedł środkiem ulicy jak po wiejskim gościńcu.

— Śpiewaj, Borowski!

Rzucając bezładnie długie nuty, minął całą gromadę, nie rzuciwszy nawet okiem na nich; szedł w głębokiej, upartej zadumie. Na tych ulicach spało już miasto. Dobiegające zewsząd gwary skłócały się tu ze sobą pośpiesznym, jakby stłumionym szeptem i biegły czemprowadziej dalej na ludne i rojne bulwary. Gdy Borowski wziął nieco wyżej, wówczas jakieś śpiewne echa i szmery błakać się zaczęły bez końca po pustych zaułkach. On zasunął wreszcie kapelusz za pazuchę, dłonie splótł na czołe, oczy sobie niemi przysłaniał i, idąc szeroko jak po polu, śpiewał sobie, myślom i wspomnieniom swoim:

*Niesceniśliwe te pokoje,
O-jo-jo-joj!
Ka nas było tylo dwoje —
O Boże ty mój!*

Ludziom zaskoczonym znienacka wysokością i czystością tonu lekki dreszcz po ciele przebiegał. Jelsky nawet zdjął cylinder i dłonią w rękawicze powiódł po włosach.

— Ta-ak! — wyrwało mu się z ust.

Inni słów nie pojęli, rozumiano jednak, że to skarga ludzka z tchnieniem zmroku po polach idzie, że wsłuchuje się w nią wśród poszumów zboża wieczorna cisza na szerokich rozłogach.

Ludzie czuli coraz bardziej, że ta piosnka zabłąkała się w te obce mury zdaleka i dalekie smutki młodości ze sobą niesie. Ale Borowski urwał i szedł coraz to prędzej, wiodąc za sobą zbitą i milczącą gromadę.

Pawluk rzucał się między ludźmi, jak piskorz, sapał i powtarzał bez końca:

— U nas, jak za duszę chwyci, rady nie ma. Nie mogę nie chcieć! *Ne mahu!* Choć zabij, wysławiać się musi.

Jakoż Borowski zmienił melodyę i zaczął na bardziej jeszcze rozlewną nutę. — Ludzie, nie rozumiejąc czuli, że ta krzywda ludzka na rozdrożu pod krzyżem stała i skarży się samotna:

„*Nad moim wiankiem, nad moim wiankiem*

„*Druchny płakały,*

„*A nad twoim złym copcyskiem*

„*Wrony krakały.*

Na samym końcu, wyprzedzeni znacznie przez innych, postępowali Jelsky i Turkuł. Kroki ich stawały się powolne i ociężałe, głowy w cylindrach chyliły się coraz niżej. — „*O la!*“ — westchnął Jelsky i uderzył laską w bruki. Turkuł próbował gwizdać, lecz zagłuszono go niebawem.

A ludzie czuli, jak krzywda ludzka w wielką pustkę nagich pól ramiona wyciąga, ku krwawemu słońcu, co w kłębach rdzawych tonie chmur; jak jesienne wichry po sinych skibach i rudych ścierniskach kołem się niosą, żółtymi liśćmi sypią i wirem je pędzą, jak w przydrożnych badyłach dziewanny świszczą i wokół wierzb suchych zawodzą a płaczą.

„*Nad moim wiankiem, nad moim wiankiem*

„*Przedmowa było,*

„*A nad twoim złym copcyskiem*

„*Sucysko wyło...*“

Jelsky i Turkuł przystanęli w tyle. Nagle strzepnęli obaj zadumę z czoła i spojrzeli na siebie. W tejże chwili odczuli jakby niechęć wzajemną, gdyż przyspieszyli czempredziej kroku. Pan v. Hertenstein dogonił Borowskiego, przedstawił mu się zupełnie zbytecznie po raz drugi i wyściskał go serdecznie.

— Czuje, choć nie rozumiem, czuję wszystko! Żal i skarga za dawnem, szczerem, prostem, ludzkim; — za temi czasy, kiedy to dusza chyliła się do duszy, jak kwiaty na słońcu, kiedy tu na piersiach biło nam trwożnie czyjeś szczerę, proste serce... Czy tak, panie Borowski?

Borowski skinął głową, uśmiechnął się doń i schwywszy z góry jego rękę potrząsł nią silnie.

„Nad moim wiankiem, nad moim wiankiem...”

lkało jeszcze ponad głowami całej gromady...

Lecz oto wysunęły się z poprzecznicy dwie szerokie sylwetki potężnych drabów w połyskujących mosiężnych kaskach na głowie. Dwa mrukliwe basy nakazywały ciszę.

Pawłuk wyrósł tuż obok nich jakby z pod ziemi.

— Bij w pysk, kto w Boga wierzy!

Ale tym razem zawiódł się fatalnie. Borowski tylko, oraz Turkuł i Kunicki podrzucili odruchowo głowy i na stawili uszu. Panowie zaś, co przed chwilą burzyli wszystkie łady i składy na świecie, co kankanem wystraszały łyków z kawiarni, zeszedli teraz ze środka ulicy, jakby tam rzeka nagle wystąpiła; szli dalej po trotoarze w spokojnej i cichej rozmowie. — Jelsky wybrał drogę pośrednią: szedł suchym rynsztokiem. Mruczał coś do siebie, wzdychał; od czasu do czasu cienką trzciniową laseczką uderzał hałaśliwie w bruki, jakgdyby pośród tych obcych ludzi on jeden odczuwał nieświadomą ochotę bicia.

Borowski natomiast wędrował jak wprzód środkiem ulicy, niby po wiejskim wygonie. W szerokim swym płaszczu wydawał się zdaleka niby sylwetka wielkiego ptaka. Wymachując kapeluszem jak dróżnik latarką, wywiódł całą gromadę na bulwar i wprowadził niebawem w jaskrawą toń światła pod białe arkady teatru.

Tu Jelsky odzyskał, lub też zapragnął odzyskać humor. Wyszorował się naprzód i obwieszczał głośno:

— Kłamstwem jest, aby ludziom w pewnym wieku i stanie cywilnym pozostawała po za pracą i tak zwaną ambicyą jeszcze tylko knajpa, dom publiczny i cudza żona. Panowie, jest jeszcze — tyngiel!... Kwiat zaś społeczeństwa, artyści, posiadają passe-partout i skorzystają dzisiaj z mojej loży dziennikarskiej.

Staął we drzwiach, zdjął grzecznie cylinder i prawą ręką wskazał na połyskliwe od marmuru, lśniące od luster i purpurą wysłane schody.

— Zapraszam!...

Po za nimi zaszeleściła w szybkim chodzie jedwabna suknia i roztworzyły się z impetem drzwi wiodące za kulisy. Wionęły na nich miękkie, tłuste zapachy perfum i szminki. Borowskiemu rozchyliły się nozdrza, uniosła pierś. Coś jak uderzenie prądu przebiegło mu wskroś przez ciało i zakłóło w palcach dłoni. Chwycił się za poręcz.

— Panie, świeć nad jego duszą!...

— Co, pan Borowski? — Pawluk wytrzeszczał oczy. — Taz nie kościół?!

— Ojciec mój!... Wiesz, — szeptał Borowski, ścisnąc dłoń Hertensteina jak w kleszczach, — wiesz, to był wielki, szczery artysta! Ogromnie kochał sztukę... I dlatego zadusił go ten potwór!

Pan v. Hertenstein spojrzał bystro i pochmurnie w oczy Borowskiego; poczem zdjął kapelusz i pochylił nisko głowę.

— Cześć poległym!

I weszli do tynglu.





üller nie mógł patrzeć na scenę. Coś jakby migotanie zwierciadła odrywało uwagę, drażniło oczy i zwracało mu je ustawicznie na prawo. W czerwonej ramie firanek, na zwierciadlanem tle wnętrza, w błyskach niespokojnych refleksów, rysowa

ła się wysmukła sylwetka kobiety; na purpurowem tle parapetu świeciła jak śnieg biała, od brylantów połyskliwa i smukła jej dłoń. — Zaś tam na dole, — pod nią, wśród zastawionych stołów, tworzyły męskie cylindry rojny, zgiełkliwy i bezpłodny kiermasz.

Z pod smyczków skrzypcowych wysnuwała się melodia cicha, dyskretna i kłębiła się sennie po widowni. Na scenie tańczono. — Sypki, miarowy i melodyjny szelest, jakieś miękkie szmery kobiecych głosów, westchnienia niespodziane, stłumione i lekkie. Szelest, szmer i zapach kobiet wiewem szły na widownię i niosły ze sobą melo-

dyę walca!.. I szeptał jedwab. Tuż ponad kinkietami sypało się jakieś barwne kwiecie, drobną zmaconą falą przelewał się wzdłuż błękitny jedwab; drgał, mienił się i musował, rzucając głębszą, lżejszą jeszcze pianę białych tiulów i koronek.

Daisy!.. Daisy!.. — dygotała niema piosnka na tej zwiewnej fali; drżały lekko struny skrzypcowe, opowiadał pieściwie flet.

Migały przed oczyma bystro i zwinnie czarne, wiotkie nogi w płytkich pantofelkach, rysowały się śmiałe, lotne linie ich konturu. Górą, na barwnych falach jedwabiu świeciła żywo ciepła biel ciała na ramionach, uśmiechały się [kobiece główki w złotych kapturach, drżących niby dzwonki loków. Czasami zniecierpliwienie zaśmiało się psotnie na tych rozkołysanych główkach i ciche szepty jak szmer liści jesiennych mieszały takty.

Spiewał, szumiał, grał i tańczył falisty jedwab błękitnych sukien.

I rzucał na salę kłęby miękkich, sennych perfum.

Pieścił się flet, drżały struny skrzypcowe.

Zaś w górze, na parapecie łoży, na pełnej, soczystej purpurze, spoczywała, niby śniegu biała kiść, smukła, od brylantów lśniąca dłoń. Na lustrzanem tle wnętrza, w przyćmionem świetle, wśród niespokojnych refleksów, rysowała się zimno, nieruchomo i dumnie sylwetka pięknej kobiety.

Na dole rojny, zgiełkliwy kiermasz męzkich głów.

Daisy!.. Daisy! — rozspiewały się drżące struny harfiane, rozpieszczal i rozmarzał flet.

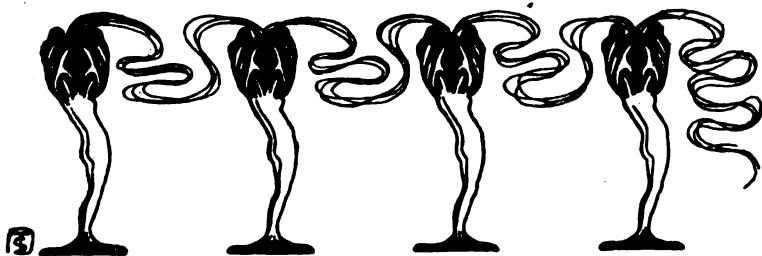
Zdawało się, że gdzieś w głębi, po za jasnymi kwiatami tych śmiejących się główek, — tam u tylnej kulisy, gdzie zwieszają się ciężkie, syte słońcem liście palm i kielichy orchidei, tam, w chłodzie cienia leży kobieta, do sniadaj piersi pęki kruczonych włosów ciśnie i wzdycha głęboko.

— Aa..! — słyszało się niemal to westchnienie.

Nagle pada strzał; za nim w nagłym pośpiechu — drugi, — trzeci, — czwarty: jak w tyralierce. Strzelał szampan! — Klaskania niedbale, przeciągle, oraz rechotliwe, pełne nonszalaney wołania:

— Brawo, brawo, brawo, — bis!

Café chantant!



— Dobrze! — pochwalił Jelsky protekcyjnym skinieniem dłoni w stronę sceny. — Błękitny kankanik amoretów, — komentował swemu otoczeniu. — Niema jak anielki!

— Siły w tem brak, — kaprysił Pawluk.

Müller, skulony dotychczas pod swą peleryną, zrzucił ją nagle z ramion i energicznym ruchem zgarnął włosy z czoła. Jelski powiódł okiem śladem jego spojrzenia i mruknął tylko: „aha!”

— Oj, Müller, — westchnął za chwilę.

Müller zachnął się i chciał coś odpowiedzieć, lecz w tejże chwili zakaszłał strasznie.

— A widzisz!.. *Memento mo...* — *moralitatem* chociażby.

Müller zwinął w kłęb pelerynę i rzucił mu ją na głowę.

— Ty zurnalisto!

— Uszanuj kapelusz, jeśli nie szanujesz powołania!

— Szanuj stimmung tynglowy, jeżeli niczego już uszanować nie potrafisz! — i oszczędź mi dzisiaj swego sentymentu oraz opieki.

Jelsky wskazał oczyma na Borowskiego. „Jeżeli tam pójdziesz, obgadam cię przed nią.” Müller poczerwieniał nagle i zwrócił się do Jelsky'ego tyłem. — Borowski siedział gdzieś w najciemniejszym kącie łoży i wsparł ciężką głowę na obu dłoniach. Gdy przycichło na scenie, uniósł się wreszcie i rozejrzał błędnie po widowni; oczy przyćmione i mętne zapadły mu jakby w głąb: czuć było, że widzą przed sobą jakieś inne, obce światy. — „Nie dla mnie! — nie dla mnie!” — szeptał. Po chwili znów opadł na fotel i ukrył twarz w obu dłoniach. „Było! — myślał — było!.. Tak zamiera młodość, w takiej cichej agonii kona czyn. Całe moje życie już tylko było! Boś przyszła ty!..

„Czyniąc sobie tron i łóżę

„Z upadłego mego ducha,

„Żem skut z tobą, marny tworcze,

„Jak galernik do łańcucha!..”

Uciszone się w teatrze, oczy wszystkich zwrócone były na łożę dziennikarską, gdzie wybuchął w tejże chwili chóralny śmiech. „Brawo, Borowski! — wołał Jelsky. — Jeśli chcesz koniecznie, możemy między jednym kankanem a drugim posłuchać nawet dramatu. Brawo!” — On skoczył z fotelu i rzucił okiem na kurtynę; lecz w tejże chwili cofnął się znowu i wparł w najciemniejszy kąt łoży.

— Nie dla ciebie, stary, — co?..

Podniósł na nich oczy i zadygotały mu wargi jak u dziecka. A gdy oni śmiać się nie przestawali, wpłótł się palcami w ubranie na piersiach i szarpnął je nagle.

— Grać chcę!! — huknął na cały teatr.

— Cii...! — sykano zewsząd na sali.



Z za kulis wyfrunęło czerwone stado dziewcząt z kastanietami w rękach. Pochyle deski sceny zagrały jak jeden wielki bęben pod wartkiem uderzeniem kobiecych stóp. Tańczono czardasza. Kobiety rzucały iskry łyskaniem czarnych oczu, uśmiechały się sprężystymi rzutami i przegięciami ciała, biciem kastanietów, zaczepnem przytupywaniem i kiedy niekiedy swawolnym okrzykiem rzucanym na widownię; rozplatały się ich szeregi we wstęgi, snuły się jak ruchliwe wieńce i girlandy, biegły pod tylną kulisę, ustawiały się rzędem i z dzikim impetem pędziły przed się, po rampę, niby rozhukany tabun żrebców.

Oczy Müllera skierowały się znów na prawo, gdzie świeciła w półcieniu biała dłoń na parapecie łoży. Kobieta nie drgnęła nawet od tego czasu. I wydało mu się w tej chwili, że tam na oparciu łoży siedzi sęp, ostrą głowę w puszysty kołnierz wgarbił i zamarł nieruchomo; — czasami tylko senne powieki uniesie, szklane ślepie leniwo przewraca, zamyka i czeka, zimny, na padlinę.

Z brzękiem ostróg, łoskotem i tupaniną, wyrzuciła się na scenę gromada mężczyzn. Połączyły się pary i poczęły się wikłać w coraz to dzikszym tańcu. Za chwilę było już tylko widać czerwone plamy, białe kłęby koronek i czarne wiry oraz koliska od wyrzucanych wysoko ponad sąsiednie głowy nóg. Huczały ponad tem wszystkim trąby, bębny i piszczałki, z łoskotem waliły cymbały, odrzy-

nały twardo rytm tańca basowe struny wiolonczeli. Długie ramiona kapelmistrza, wyciągając się w kierunku wirujących nóg, wołały jakby: „wyżej!” — a wymachując rozpacznie ponad orkiestrą, krzyczały niecierpliwie: „prędzej!” — Ten zawrotny chaos buchnął jakby ze sceny na widownię i porwał, zdało się, wszystko ze sobą: oko chwyciło tylko pęd, ucho szaloną kakofonię dźwięków! Ponad tym sabatem tanecznym królowały tylko i śmigały w powietrzu czarne nogi; wszystko wpadło w jakiś idyotyczny, jak zmora senna dokuczliwy pęd i wir: świat zburzył się, zwichrzył, oszalał, wściekł!..

Wyżej, prędzej! — prędzej, wyżej!..

Urwała się wreszcie muzyka i runęła kurtyna.

Błysk światła, oklaski, bicia lasek o podłogę...

Tyngiel-tangiel!



— Dobrze! — chwalił po raz drugi Jelsky zyczliwym skinieniem w kierunku sceny. — Czerwone, węgierskie kan-kanisko! — tłumaczył swym przyjaciółom.

Pawluk zapatrzył się tępo na kurtynę.

— Tfu, czort! — splunął nagle, zerwał się z krzesła i począł krzątać się ruchliwie po łozy.

Jelsky'ego przyszły odwiedzić dwie artystki: witały się piskliwie z obecnymi.

— Nie rozumiem... — odezwał się po raz pierwszy Kunicki.

— Jeszcze pan czegoś nie rozumiesz?! — przerwano mu śmiechem.

— Nie rozumiem, — mówił nieustraszony Kunicki, — co w tej całej kakofonii robi Bizet, Liszt...

— Co robią? Dostali bzika i cieszą się, — odpowiedział Jelsky. — Tam na dole, — tłumaczył poważnie, — siedzą panowie, którzy mają dosyć tragedii w życiu i — w swych głowach. Panowie żądają wesołości; nie dowcipu ludzkich głów, bo to już dziś nuży, lecz humoru kobiecych nóg. To jeszcze bawi tymczasem. Jeżeli ewolucja pójdzie dalej w tym kierunku, należy się spodziewać, że przy ulepszonych dekoracjach wejdzie, na przykład, na scenę wieża katedry kolońskiej, stanie dęba i zatańczy kozaka... Myśl z wieczora nuży ludzi pracy, ludzi wielkomiejskich!

— Ale w takim razie, co wy tu robicie? — niecierpliwił się Kunicki. — Gdzież konsekwencja!?

— Młodzieńcze, zrujnujesz się na konsekwencję! — huknął z kąta basowy głos.

— Ależ logika!?

— Pan masz świetne zadatki na bakałarza!

— Więc sens? Sens! Głowa moja! — krzyczał Kunicki, ściskając dłońmi skronie.

— I panicz chce zostać literatem?..

Müller i Jelsky prostują pomyłkę; towarzystwo chce być grzecznem i kiwa smętnie głowami, na znak widocznie, że i takie fachy być muszą. Bas tylko szepcze niechętnie do sąsiada: „Co ta racjonalistyczna hołota między nami robi? — lekarze! przyrodniki!“

— Czyż nie mam racji? — zwrócił się głośno do jednej z dam.

Ona, patrząc na niego szklanemi oczyma, wydeła usta w dziobek, brzdąkla wargami i wybębniła jak pozytywka:

*Ich bin nicht von Prag, nicht von Wien,
Ich bin eine fescche Ungarin.*

— Osoba udziela się wyłącznie ze strony artystycznej, — komentował ją poważnie Müller.

Kunickiemu zdawało się, że jest pijany; chwycił czerpędzej za czapkę.

— Więc stanowczo do Szwajcaryi? — zaczął go jeszcze Jelsky.

— Tak jest.

— Kłaniaj się pan tam pięknie studentom z Zurychu.

Salwy śmiechu zgłuszył nagły wrzaskliwy pisk z głębi teatru.

Światło gaśnie, unosi się kurtyna; scena pusta, a z za kulis drą się ostre, przeraźliwe głosy. Wreszcie wypadają trzy pstrokate potwory w spiczastych czapkach, przypadają do rampy i uderzają się nawzajem w twarz. Olbrzymie karminowe pyski na kredowych maskach wykrzywają się szeroko i wyrzucają z siebie ochrypy, gardłowy śmiech.

— Hehehe...!!

Posypały się oklaski.

— *The fashionables*, — odczytywał Jelsky w afiszu.

Kunicki trzasnął drzwiami i przygłuszył na chwilę wybuchy śmiechu w łoży.

— Wina! — krzyknął nagle Müller. — Stimmung jest zbyt głupi, aby go można wytrzymać po trzeźwemu. Jeżeli nie będziemy pili, lada chwila beknie tu jakaś owca sentymentem.

— Hertenstein, — wina! — wina! — krzyczano, bebniąc laskami w podłogę.

Z kąta łoży podniósł się Borowski, skrzyżował ramiona i patrzył na nich z podelbą.

— „Jeżeli masz zostać młodą
I być taką, jak ta, co dziś żyje,
I być ochrzczona tą piekielną wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije...”

— Co jemu się stało? — wołano.

— Niic, — bagatelizował Jelsky, — wpadł tylko w delirium teatralicum, cały repertuar klasyczny wymru-
czał już tam w kącie. Co, zresztą, nie przeszkadza mu
w tej chwili zazdrościć kłownom, że są na scenie.

Ktoś, komu jeden koncept zmanierował humor na ca-
ły wieczór, powtórzył niespodzianie:

*Tak, tak, tak,
W tem cały sztuki smak,
Naszego życia sens!..*

— Hehehe!!.. — darły się błazny na scenie.



Borowski przeniósł się do ciemnej łoży w kącie; wnet
za nim wysliznął się i Turkuł.

— Niedościągły imitator, iluzjonista biograficzny, pro-
fesor van der Clerk, — rekomendował Jelsky podług afisza

jakiegoś pana na tle lustrzanego kramu ustawionego na scenie. Profesor krzątał się przy swej cudownej szafie, narzucał na siebie jakieś szmaty i peruki i z batutą w rękę zwracał się jak fryga do publiczności.

„Brawo, Liszt! — Liszt!“ — krzyczały wszystkie usta, klaskały wszystkie ręce. — Na radość tłumu patrzyła siwa, trzęsąca się głowa starca, o wielkich guzach po całej twarzy; niedołężna ręka ledwo trzymała batutę. Muzyka grała 3-cią Rapsodyę.

— „Brawo, Beethoven! — Beethoven!“ — krzyczano po chwili. — Na szerokie śmiechy tłumu odwróciła się starcza, brzydka, potężna głowa wielkiego twórcy. Kapela tynglowa próbowała grać „Eroikę,“ zagłuszyły ją oklaski.

W łóży Pawlук porwał się z miejsca.

— Choćby zdjąć głowę z karku, rzucić ją wam pod nogi i pójść sobie precz; — mnie i głowa już na nic. — Oj dokuczyło! — I splunął w kąt.

Profesor w kilku zwinnych ruchach przedzierzgnął się ponownie. Przed rampą stanął wysmukły młodzieniec w eleganckim fraku, niedbałym ruchem trzymał w rękę batutę, zerkał na kobiety i ugiął się na słabych nogach. Publiczność śmiała się, lecz nie umiała odgadnąć; ktoś z galeryi krzyknął wreszcie: „Szopen!“

I zagrzmiały oklaski.

— Brawo Szopen!.. Jeszcze raz Szopen!

W łóży odsunął ktoś gwałtownie krzesło: pan v. Hertenstein porwał się z miejsca. Coś jakby kurcze wstrętu przebiegły mu po bladej twarzy.

— Niech ta małpa zaprzestanie!..

— Cii, Hertenstein, — obrażasz profesora! Co u Boga!.. beczysz?!..

— Toż te małpy ośmielają się grać *Scherzo H-moll!*.. Zaprzestać! — huknął na cały teatr.

Pawluk rzucił się ku niemu.

— A co, pan Hertenstein? — twoje pańskie nerwy nie wytrzymały naporu głupstwa? Pękło coś — ha? A widzisz, — patrz, jak won tam na dole się bawia: publika, — ha?

Jelsky wzruszał ramionami.

— Nie rozumiem ciebie, Hertenstein? Przecież te błazny przed chwilą i profesor, na którego patrzymy, są sztuką aktorską *au fond*, jej absolutem bez przypadkowości twórczych pierwiastków, które pochodzą bądź co bądź zawsze od kogo innego. Tęsknota Borowskiego jest w swej nieświadomości szczerzą od twego sentymentu... Zaś to, — tam na dole... no, to jest... jakżeby to powiedzieć... *c'est le public*, co laury rozdaje. Wniknij w to, Hertenstein, i skrusz się na duchu... Dasz nam kiedy koncert szopenowski lub może własny, — ci sami przyjdą! A ty rzucisz im pod nogi wszystko z rozbolalej duszy Szopena i ze swej własnej!!.. Zlituj się, Hertenstein, kto z was jest większą małpą: profesor van der Clerk, czy ty?

— Mógłbyś z równą racją zapytać: twój profesor czy Szopen.

Towarzystwo wybuchnęło pijanym śmiechem. Hertenstein wyprostował się nagle jak struna i tupnął nogą.

— Bydło, nie śmiać się!..

Błada jego twarz wydłużyła się natychmiast i zaskrzępla, jakby w przestachu nad własnem uniesieniem i brutalnością; siatka sinych żył zatętniła na skroniach; zaświeciły się oczy, i dwie wielkie łzy, — łzy zdziwienia, — zawisły na środku białych policzków. Pochwycił pierwszą rękę z brzegu, uściśnął i wysliznął się na korytarz.

Obecne w loży damy próbowały kobiecym taktem załagodzić przykre zajście: nastroiły się brzdąknięciem warg i zaśpiewały zgodny duet:

*Jam nie z Wiednia, jam nie z Pragi,
Jestem sobie z Budapesztu!..*

Kurtyna zapadła z szelestem. — Hertenstein włókł się jak pijany przez korytarz: zdawało mu się, że jakiś natrętny rój much krąży mu nad głową, brzęczy i bzyka w uszy. To publiczność rozochociona podczas antraktu śpiewała chórem w takt muzyki:

ta-ra-ra-bumdera!

ta-ra-ra-bumdera! — śpiewał, gwizdał, huczał cały teatr...



— Niema gadania, — powrócił — uspokajał Jelsky przyjaciół. — I on zechce usłyszeć Yvette. Reklama, co wznosi karłów i obala olbrzymów, drwi sobie z ludzkich kaprysów.

Jakoż Hertenstein zawrócił ze schodów, lecz nie do nich, tylko do ciemnej łoży z brzegu, gdzie ku swemu zdziwieniu zastał dwa nieruchome cienie. Przysiadł się i on do Borowskiego i Turkula. Nie zdziwili się wcale, nie unieśli nawet głów przy jego wejściu. Cisza, półmrok i jakieś ponure skupienie panowało w tej łoży. Krzyki i wrzawa ze sceny nie dochodziły tu, zda się, nawet.

— Panie Hertenstein, — szepnął po dłuższym czasie Turkul, — kiedy pan dasz koncert?

— Nie wiem.

— Trema?

— Tak.

Ktoś westchnął, ktoś drugi zawtórował, trzeci poprawił się na krześle i chrząknął. Milczeli znowu.

— Pan powiedział, — zwrócił się po chwili Borowski do Turkuła, — że, gdzie tryumfuje czyn, tam musi być zdeptanem uczucie.

— Ja tego nie mówiłem.

— Prawda, to Hertenstein!..

— O, Hertenstein cudzego uczucia urazićby nie umiał, a cóż dopiero zdeptać własne!.. Niech się pan nie gniewa, — ja czuję pana... Taki rozdaje tylko uczucie, wziąć go sobie od kogoś nie umie: za słaby lub za mało brutalny. Taki — nic sam nie burzy, jemu życie wszystko niszczy. Czyscowe dusze!.. Takim musiał być Szopen, — prawda, panie Hertenstein?

Hertenstein zachnął się nerwowo:

— Nie mówmy tu o Szopenie!

— Przepraszam.

I znów milczeli.

— Pan mnie zapewne do jakiego dramatu chce wkleić? — zagadnął Hertenstein z cierpkim grymasem.

— Wkleję.

— Czy pan już żyć jako człowiek nie umiesz?

— Nie, — odparł Turkuł twardo i jakby z dumą.

— Czuć to. Pan cuchniesz atramentem... Zresztą, pańskie sztuki mogą być doskonałe, ale grać powinien aktor z genialnym nerwem zycia. Ot, Borowski naprzykład!

Borowski podniósł oczy i zasapał ciężko jak miech. Poczem podniósł się niezgrabnie, potknął pociemku, zbliżył się do Hertensteina i pocałował go w rękę.

Turkuł przytupywał niecierpliwie nogą. „Dobrało się dwóch!.. Lubię ja takich mężczyzn!..“

Śpiewki, tańce i błazeństwa ze sceny dochodziły tu dalekim przytłumionym gwarem: niby wrzaskliwe nakrzykiwanie pastucha pod wieczorną zorzę, co się w cichem powietrzu roznosi i kołysze, harmonią spokoju owiewa

i echem pieśni do uszu dolata. Tu w głębi ciemnej niszy żył, drgał i tętniał teatr: wszystko inne roztopiało się w harmonii.

Turkuł nie spuszczał z oczu Borowskiego.

— Jedź pan ze mną! — rzekł nagle, — grać moje „Przeznaczenie.“ Dają za trzy dni; jadę tej nocy jeszcze.

Borowski drgnął i spojrzał jakby z przerażeniem na niego.

— Wsadzę pana na debiut do „Wielkiego.“

— Co!? — Borowskiemu krew uderzyła do głowy i przysłoniła nagle wszystko przed oczyma. — Co pan powiedział? — pytał po dłuższym milczeniu.

— Do „Wielkiego.“

— Boże mój!..

Turkuł śmiejąc się wyciągnął rękę, aby w nią Borowski na zgodę uderzył.

— Biorę pana na swój koszt, — czem sprawię naszej publiczności prezent królewski.

Borowski patrzył bezradnie w oczy Hertensteina, jakby od niego oczekując otuchy, czy też namowy.

Ktoś szarpnął drzwi: do ciemnej łóżnicy wtoczył się pijany Pawluk.

— Pan Borowski, dawaj żonę! — krzyczał, waląc mu się prosto na szyję. — Tam oni cuda prosto opowiadają! Radby popatrzeć, — namaluję może... Tam oni wszyscy opowiadają, — bo my się tam upili... Winem winogronowem upił się i ja... Ty, pan Borowski, nie gniewaj się! — a żonę tu sprowadź, — ot co!.. Rączkę wycalujemy, — uczciwi będziemy... Wiadomo: — cudza żona! Trzymaj się!..

Borowski odpychał go od siebie ze wstrętem i strachem jak złą zmore. Hertenstein skoczył wreszcie i chwycił Pawluka za bary.

— A ty, pan Borowski, pożałuj się nad Müllerem i wyrzucaj go won od siebie. U pijanego, wiadomo, — dusza

przez gębę lezie! Powiada, że jeśli w łeb sobie strzeli, to tylko dla onej to Zośki twojej... A Jelsky jest na kobiety drań! — *Czuju!*

Pan v. Hertenstein, nie rozumiejąc nic, zżymał się na ten ochryply, pijany i natrętny głos.

— Idź precz, kozaku, idź precz!..

— Ja liustra szukał i was znalazł. Liustro zbić chcę!.. *Spiegel zerschlagen*, baron Hertenstein!

— Tłucz, rób, co chcesz!

— Zbiję!.. A ty, pan Hertenstein, po co tu przyszedł? Modlić się, — ha? Wiadomo — duszę zapomnieć!.. I ja — i mnie, — belkotał, czepiając się każdego z nich po kolei, — i mnie tu ciasno w waszej Europie... Pójdiesz do akademii: — „tfu, jak wszyscy umieją!"; pójdiesz do galeryi: — „Boże ty mój, co ludzie już arcydzieł namalowali," — przytłoczy, zgniecie, zdepcze. — Pójdiesz do kawiarni: łeb jak dynię rozedmie. Mądrzy wy, mądrzy! Wiek słuchaj, nie nauczysz się!.. A sam ja co? Tfu! I artystą chciał zostać!.. Zapłacz dusza! — *Dawaj, — sapiju!* — Przyjdiesz hań gdzie zapomnieć: — głupstwo na głowę wskoczy, w czuprynę się wczepi i — *passo!* — hajda, galop! — U was wszystkiego za dużo w Europie waszej, za dużo, za dużo!.. Miejsca dla duszy niema!..

— *Nima, nima!* — skarżył się i zalił, gdy go za drzwi wypychano. — A ty, pan Borowski, żonie małą to rączkę wycaluj pięknie ode mnie, — wołał poprzez głowę Hertensteina. — Kobiety wyby mnie dali, dobrej, pocziwey!.. Buchnąłby na kolana, stopy całował i beczał, beczałby!.. Tobie, pan Borowski, żony przez to nie ubędzie, a ja duszę zlecę, wymyję łzami, wyczyszczę z błota!.. Na wykształcenie pluje! oddam panu Turkułowi: dramat zrobi; wszystko inne tam — mężowi, — niechaj! A mnie serca trochu kobiecego... Baby, baby mi dajcie! ta dobrej baby!..

Wypchnięto go wreszcie za drzwi. Tam poczał niebawem wrzeszczeć jak sroka; zataczając się od ściany do ściany, darł się ochrypłym głosem:

— Nad moim *wiencom*
Druchny płakały...

— Cicho, Pawluk, bo cię na ulicę wyleją!

Lecz on wparł się niebawem gdzieś w kąt i tłukł głową o ścianę.

— Uch, *padlec, padlec!*.. Przedał jak Judasz!.. Za *sztuku*, padali; — za ono won draństwo, za publikę przedał!..

Wreszcie ucichło wszystko; w sali tylko gwarno było przy spuszczonej kurtynie. W ciemnej łoży milczano.

Jakieś swarliwe głosy na korytarzach, potem raptowny trzask i brzęk, co z łoskotem metalicznym potoczył się jakby po kamieniach, echa szklane we wszystkich kątach teatru zbudził, nagle ciszę wszędzie wyczarował i utonął niebawem w ogólnej wrzawie, krzyku i tumultcie.

— Zbił! — rzekł Borowski.



Pod koniec antraktu orkiestra starała się grać poważnie, kelnerzy snuli się majestatycznie, na głośniejsze śmiechy sykano gdzieś z kąta. Ludzie byli już podnieceni i poddawali się biernie tym nieokreślonym, niewiadomo z kąd idącym nakazom. Wreszcie dzwonienie. Długie, powolne, proszące o skupienie.

Numer główny programu!

Przed kurtynę wyszedł jegomość w tuzurku i obwieścił żalobnie, iż panna Yvetta Gilbert w drodze powrotnej do Paryża raczy wystąpić raz jeden tylko.

„Dobrze robią ciekawość,“ — aprobował Jelsky w duchu. — Oto chwila brzemienna, — zwrócił się z powagą do przyjaciół. — Reklama wyzywa tłum w szranki i potęgę swą mierzy. Przyjrzyjcie się, dzieci, „co może dziennikarz!“

Ludzie tymczasem wlepiali już oczy w kurtynę i nstawiali uszy; sykano na nieproszone gawędy. Jelsky zakaszał głośno dla eksperymentu: zakaszano na widowni jak w owczarni. „Skupienie jest!“ — wnioskował. I czuł się panem trzody swojej.

— Stań się, — rzekł, jak kapłan, gdy zasłona unosiła się powoli ku górze.

I stało się!... Tam, przed rampą stała ona! — jak wskrzeszona legenda, jak wyczarowana z gazet, ogłoszeń, wersyj i plotek. „Czarną ma na sobie suknię i złote wstęgi, — mówią sobie ludzie. — I te wielkie, lśniące czarne rękawice na ramionach, te same, co do anegdoty już niemal przeszły.“ Ona! „Nieladna!... Brzydka!... Wspomniała!“ — „Ciekawym, czy też prawda, co o niej piszą“, — myślą wszyscy, a każdemu już serce bije, każdy jest już najpodatniejszym do przyjęcia takich wrażeń, jakie mu w oczy i uszy rzuca.

Stoi, dłonie splotła i uśmiecha się... „Dziwny uśmiech!...“ Szczupła, giętka, wysmukła... „Ależ te oczy, te oczy!...“

— *Wiss, hadiuka czarna...!* — rozlega się na cały teatr tuż ponad głowami Borowskiego i Turkuła. — (Pawłuk wywinął się na razie z rąk policyi).

Wreszcie, ona przechyła się giętko, — o posłuch prosi: „*A young boy gave me his heart*“ — zaszeleściło jak liście. Ludzie nieprzygotowani byli na angielski ję-

zyk. „Młody chłopiec dał mi serce swoje“ — tłumaczono sobie pośpiesznie, podczas gdy artystka wyciągnęła przed się ramiona i trwożnie, pieczołowicie ujmowała, zda się, coś subtelного w dłonie. — I zdawało się ludziom, że w tych czarnych rękach drży lękliwie ciepłe ludzkie serce. — Zagrała muzyka śpiewnie i łagodnie. Padły pierwsze słowa — francuzkie. „Dla czego taka wieża Babel?“ — dziwił się ten i ów, lecz każdy wypłaszał czempredzej z myśli to niewczesne pytanie.

Napięcie tak wzrosło, że pierwsze te słowa były dla ludzi niemal ulgą fizyczną. Głos niski, lecz śpiewny i jakiś ogromnie kobiecy. W naprężeniu początkowem każdy puszczał mimo uszu melodyę i śpiew, czatując natomiast na treść, na słowa, na gesty. I oto dowiadywały się chciwe uszy, że ...młody chłopak, gdy łyż wszystkie na rozstaniu wypłakał, piersi swe roztworzył, serce z nich dobył, u jej stóp złożył. „Weź — do ciebie wszak należy. Mnie już nic potem!“ A w czarnych dłoniach drga, zda się, pulsuje i tętni to serce, niby ptak ofiarny; i krwią widocznie ocieka, gdyż ona tak ramiona przed się wyciąga, jakby się suknią popłamić czemś bała. W tem sercu, jak na dnie purpurowego kielicha, leży biała lilia pierwszych uczuć, nowa młodość, nowego życia wonie i blaski! I pieszczą, i tulą coś te czarne dłonie, niby ptaka przeznaczonego na rzeź; a potem „zwróć mi! — daj!“ — śpiewają usta, a długie, ruchliwe czarne palce oplatają coś jak ssawki mątwy, wpijają się niby ostre i cienkie pazury w coś, co drży, łopoce się i precz z rąk wyrzywa. Wreszcie krótki, cichy okrzyk! — ludzie westchnęli na widowni, tu i owdzie krzyknęła kobieta.

Rozdarła serce!

I śmieje się... Lecz w tejże chwili zbiera się w sobie, odskakuje nagle w tył, ramiona przed się rozpacznie

wyrzuca i preży długie palce. Jakiś lęk potworny wykrzywia jej twarz.

I ludziom się zdawało, że widzą u jej stóp zmiję!

A ona krzepnie w trwodze, drętwieje w przestachu, długie czarne ramiona wyginają się jak węże, przężają się ruchliwe, cienkie palce. Ludzie słów wciąż jeszcze nie rozumieją, ale każdy czuje, że zmija dosięgła jej stóp, oplata nogi, po biodrach się ślizga. A muzyka gra śpiewną zwrotkę. Piosnka prosta, co do połowy wiersza opada, od połowy w górę wysokim tonem sięga, — i donosi, jak echo skargi dalekiej:

*Zgorzała już miłość,
Tęsknota nie mija,
Z białych uczuć kwiatu
Pełźnie czarna zmija.*

Ona przechyliła się, słania i opada niemal w giętkiem przegięciu ciała. A skarga ta dziwną wciąż dalekiem śpiewa echem:

*Jadem ciało - c ślini,
Jadem cię plugawi,
Mego ducha gruszy
Jadem marzeń trawi.*

Jakiś niehumaniczny, blady ból kurczem obrzydzenia wykrzywia jej twarz, brzydką w tej chwili jak u czarownicy.

*Nietoperze ro - ojem,
Resztę krwi mej piją.*

Czego chcesz ty?!..

*Na twojej białej piersi
Skonać czarną zmiją!...*

I padły te słowa, jako zgrzyt pękniętej struny. Te blado i bezwładnie rozchylone usta, ten nieuchwytny wyraz, niewiadomo: smutku kobiety, czy cynizmu aktorki!...

Osunęła się zasłona.

I cisza była. Na korytarzach tylko, gdzieś w kącie, warczał gaz, i dziwnie odbijał się echem turkot powozów na ulicy. Zdawało się, że tamtędy ciągną jakieś kondukty pogrzebowe.

„Co to było?” — pytał samego siebie ten i ów trzeźwiejszy. Lecz oto pada pierwsze klaśnięcie jak strzał, — oklaski bić zaczęły gradem o pułap, toczyły się jak grzmoty: — runął łoskot, wszczął się krzyk i tumult. Gdzieś w kącie ponad tłum wyrzucały się rozpacznie ramiona ze złożonemi do oklasku dłońmi, lub ukazywała się głowa z okrągłemi oczyma i szeroko, jakby w przestrachu, rozwartą gębą. Ryczała, pieniała się ta szalona fala przypływu gromadnej duszy. Czuć było pot ludzki, — tłum śmierdzieć poczynął.

— Jezus Marya, Borowski?! — krzyknął nagle Herstein i rzucił się na brzeg łoży, by go w pół pochwycić. — Bój się pan Boga, kto słyszał tak się wychylać!?

Jelsky stał na froncie dziennikarskiej łoży, nawprost sceny. Kiwnął przyjaźnie dyrektorowi teatru, i wyjąwszy machinalnie gazetę z kieszeni, uderzał nią o parapet łoży, spoglądając niedbale na kłębiący się u nóg jego tłum.

— Przepotężna! — zaśmiał się z tryumfem i rzucił numer gazety na głowy inteligentnego motłochu.





sparty na ramieniu Jelsky'ego włożył się ciężko do domu; co chwila przystawał i oglądał się trwożnie po za siebie. „Pluń na te zmo-ry!” — uspokajał go kilka-krotnie Jelsky.

Zagrodziły im drogę dłu-gie, ślizko wydeptane sto-pnie, wystające z równego szeregu kamienic. Borowski zapatrzył się na potężne, omszałe kolumny i na barokowe posagi w niszach.

— Nie pójdę! — zawołał nagle i przysiadł na stopniach kościoła.

— Chciałeś, żeby cię do domu odprowadzić?

— Bodajbym był przeklęty!

— Eh! — skrzywił się Jelsky. — W taki melodramat wpija się pierwszy lepszy cham gorzalką.

— Ja jestem trzeźwy.

— No chodź!.. Ambicyę cenię nawet u pijanego.

— Bez ludzkiej ambicyi i głupoty ty byłbyś zerem.

— Obaj, obaj, Borowski.... Ale wstań z tych stopni, bo to jest śmieszne i bluźniercze.

Zamiast odpowiedzi przylgnął ustami do kamiennych schodów i trzykrotnie w piersi się uderzył.

— Płakać nie mogę, — szeptał, ujmując Jelsky'ego pod ramię. — To mi piersi chyba rozsadzi!..

— Tacy jak ty umieją już tylko na scenie płakać.

— Ja na scenie szczerzej się modliłem, niż teraz.

— Każdy z nas, Borowski, każdy z nas dzisiejszych ma taką scenę, na której z powodzeniem szczerze odgrywa. Ja tylko w druku umiem się jeszcze szlachetnie oburzać.

— Ja chcę się modlić!

— Widzę jedyną drogę wyjścia: wstąpić na scenę.

— Boże, Boże mój, cośmy z życia zrobili!.. Widzisz, kto tam był, tego próg kościelny nawet odrząci.

— Gdzie?

— W tynglu, w teatrze, w sztuce — to jednego dyabła panowanie. Twoje to, Jelsky, królestwo, twa moc i chwała.

— Pan gardzisz sztuką?

— Tłum widziałem, twoją potęgę pojąłem... Gardzę sobą, nienawidzę swego życia!

— Ale sztuka, pytam?

Borowski zwiesił głowę i milczał. Jelsky roześmiał się krótko: „Oj, to słówko, to słówko fatalne!”

— Czyś pan co postanowił?

— Wyjeżdżam dziś jeszcze.

— Hm!.. A żona?

— Ja zbieg, ja złodziej, powrócę tam bez własnego imienia, bez przeszłości, bez żony, bez celu, treści i przywiązania do życia, tylko z tą jego kłatwą!..

— Ze sztuką? — skrzywił się Jelsky. — A kto cię tam będzie lansował? Macie u siebie porządnych dziennikarzy?.. Ale przede wszystkim, co zrobisz z żoną?

— Pozostawię ją Kunickiemu.

— Jakże to „pozostawię”? I dlaczegoż koniecznie jemu?

— Ponieważ ze wszystkich łotrów, jakich znam, ten karyerowicz wydaje mi się najuczciwszym.

— Hm..! — Jelsky wydał wargi. — Żenią się, — chcesz powiedzieć... A no! poświęconą została sztuce, niechże z kolei poświęca ją karyerze. Poświęcanie się jest losem kobiety.

— Müller!.. — przypomniał sobie nagle Borowski i nachmurzył się. — Jego mi żal: — młody! On się o tę przeszkodę gotów rozbić w życiu... Ale gdzie się podział Müller?

— Poszedł z tą... rączką, z łoży. Widziałeś ją? Borowski splunął.

— Niech was wszystkich piekło pochłonie!

— Dla takich mniej więcej poświęcają się kobiety.. I one znają to słówko: „sztuka“!..



Przy bramie opuścił jednak Borowskiego spokój. Wargi dygotać poczęły, ręka czepiała się kurczowo ramienia Jelsky'ego. Pociągnął go ze sobą na górę. „Chodź! dam ci list do Kunickiego. Boję się o tę pierwszą chwilę dla niej. Chodź!” Kazał mu jednak oczekiwać w sieni; Jelsky rzucił ramionami, siadł jednak flegmatycznie na scho-

dach i począł się bawić woskowemi zapalkami. Borowski wśliznął się do mieszkania na palcach.

Przyćmiona lampa pod abażurem pali się na stole. „Jak zawsze *w takich* razach,” — przemknęło przez myśl Borowskiemu. — Ta cisza, lampa z czerwonym abażurem, ostry cień na ścianie: długi, czarny i taki dziwnie niespokojny! — Czuł, jak za każdym krokiem traci władzę woli, jak to fatum znanej gorączki poczyna kierować jego ruchami... Skrada się na palcach, czai, własnego cienia płoszy i wzdryga... Przez chwilę zapomniał jakby, po co tu przyszedł; — spojrzał na biurko i rzucił się do niego... Przerzuca kartki, przypada na krzesło i kreśli jakieś słowa bezładne, gorączkowe: — ostatnie pożegnanie. Rzuca pióro i — roztwiera z hałasem szufladę!.. Nie, — nie to! nie to!.. Chce biedz do drugiego pokoju, lecz wzrok jego pada raz jeszcze na biurko. I zdawało mu się w tej chwili, że ze wszystkich ciemnych kątów pokoju rozlega się potworny, złośliwy chichot...

Na stole leżała biała czysta karta: nie napisał ani słowa! — Wiódł piórem górą, ponad papierem, jak zawsze *w takich* razach.

— Boże mój! — jęknął. Opadł na krzesło, ręce zwiły bezwładnie. — Boże mój, więc ja naprawdę nie mam sił do życia!?

Zmógł się przecie i pisał z wysiłkiem wielkim: — „Wśród nas wszystkich ty jeden tylko nie zgniłeś do reszty, ty jeden kochasz może prawdziwie. Ona jest bierną jak każda kobieta: miłości potrzebuje, pokocha tego, kto ją kocha. Broń i strzeż! Jestem najpodlejszym człowiekiem na świecie.”

Ale gdy drzwi uchylił i w półmroku ujrzał jej jasną głowę na poduszkach, uczuł, że nogi uginają się pod nim. Coś szczerzego uderzyło go tym razem jakby obuchem w głowę i rzuciło do jej nóg. „Ty święta ofia-

ro...!“ — zaczęło mu się już w myślach na wysoką nutę, lecz łkanie wtłoczyło mu te słowa nazad w piersi. Chłód jej stóp, które do czoła cisnął, wyzwolił mu łzy z oczu. Płakał jak dziecko, mając jedną myśl tylko, że to źródło łez jest dla niego jedynem już źródłem szczerości i prostoty: mocy życia!

— Władus! — szepnęła we śnie. Uniosła się na poduszkach, zgarnęła włosy z czoła i znowuż opadła na posłanie.

„Śpi, — myślał, — oczu nie otwiera.“

— Włada, zostaw mnie, — zostaw mnie już dzisiaj. Sił brak! Ciała już nie czuję, duszy nie mam...

— Jezu! — krzyknęło coś w Borowskim; — Zocha, nie! — ja nie to...

— Pileś znowuż, Władus?

— Matko Boża... Zochna, Zochna, za coś ty mnie kochała?!

— Ja cię zawsze, Władus, lubię, ale dziś idź już, — idź!...

Borowski podniósł się ciężko z kolan.

— Idę już, Zocha, — idę!.. A niech cię Bóg...

Czucie instynktowne przepłoszyło ją w tym półśnie. Porwała się z poduszek i siadła na łóżku. Nerwowym, niespokojnym i sennym jeszcze ruchem przygarniała włosy na tyle głowy.

— Nie, Władek, wróć się lepiej, bo ja się czegoś boję.

Borowski wysunął się cichaczem do sieni. Jelsky siedział na schodach; urządzał sobie iluminację z woskowych zapalek i wygwizdywał piosnkę Yvetty o rozdarciem serduszku.

— Jelsky?

— No?

— Władek! — wołał z wewnątrz kapryśny, senny głos.

— No, — Jelsky gasił po kolei świeczki, — to było do przewidzenia, że ty efektu nie darujesz.

Podsluchiwali pode drzwiami: miękki plusk bosych nóg o podłogę, a potem nagły krzyk:

— Władek!!..

Borowski biegł na dół, przeskakując po kilka stopni. Jelsky stał w sieni i nadsluchiwał; rozrzewniało go to pluskanie bosych nówek o podłogę. „W koszulinie biedaczka biega.“ I znowuż krzyk, tylko tym razem cichszy, niespokojny, poczuciem samotności lękliwy. „Gotowa sobie co złego zrobić,“ — pomyślał Jelsky. — „Właściwie, wystarczyłoby w tem miękkim serduszkę zbudzić anarchię uczuć, aby...“ — Usłyszał w tej chwili ciężkie osunięcie się ciała na ziemię.

Ujął za klamkę: drzwi stały niedomknięte.

— A no!.. — mruknął. — Zgasił zapalke, zdjął grzecznie cylinder i wśliznął się na palcach do przedpokoju.



Końca tej drodze nie widać! Nogi drętwieją, grzbiet w pałąk się zgina, głowa ciężko na piersiach zwisa; — ciało się nie dowlecze... Żółta smuga blasku od kinkietów zastygła jakby i omartwiała w ciszy, — i ta ścieżka tuż przed rampą — długa, równa, nieskończona... I dokąd ta droga wiedzie?... Pary czarnych, lśniących w ciemności, wielkich, okrągłych oczu... „Ile ich tu jest dzisiaj“ — dziwi się Borowski. — Dech ich zaparty, pierś ciekawością przytłoczona... I oczy! — setki, tysiące oczu

wlepia się w niego żądnie, chciwie, i ssie mu z piersi krew serdeczną... Idzie wciąż, wlecze się bez końca; dźwiga na sobie jakiś ciężar, co go lada chwila o ziemię rzuci... Padnie, zwali się!.. Wszak te oczy wszystkie na to tylko czekają: — padnij! padnij!.. zwał się i krwią nam w oczach zabrocz!

I dokąd wiedzie ta droga?.. Przez kłamaną scenę życia na serdeczną scenę... Boże mój, Boże litościwy!..

Nagle głuche łkanie wyrzuciło się z kąci echem i padło mu jak kamień pod nogi. — Potknął się!.. Zmógł się i dalej idzie... Oczy! oczy! oczy!.. „Władek, Władek mój!“ — zaskakało po raz drugi. — Potknął się!.. W kamiennej ciszy wyczekiwania napięta struna gromadnej duszy ludzkiej już huczeć poczyną: pęknie lada chwila. Oczy! oczy!.. „Władek, ci artyści uczynią ze mnie dziew!..“ — Potknął się, zatoczył i runął na ziemię!

Brawo, Borowski!.. Bis!..

I wre, huczy, przelewa się ten zgielk. A potem sykania: „Cii..! — Dosyć, Borowski! Niech błazny teraz idą!“ — I wpada ta trójka w spiczastych czapach, o kre-dowych pyskach i wielkich karminowych wargach: wrzeszczy, skamle, szczeka i przeskakuje przez niego ze śmiechem: „Hopp!..“ Oklaski, brawa i śmiech błaznów:

— Hehehe..! —

Ocknął się i dźwignął ciężko z ziemi. Pusto było na trotoarach. Podwójny szereg żółtych latarni zamykał się klinem, hen, w dalekiej perspektywie. Ponure, senne mury wyrzucały na cichą ulicę nie samotne echa jego kroków, lecz za każdym stąpieniem głuche stłumione łkanie.

Płacz, Zocha, — płacz!..

Ponad miastem, na chmurach, drgała krwawa, żywa, tętniąca luna pożaru, zasnuwały ją czarne kłębiska buchającego dymu. A jednak cisza i pustkowie naokół, — wielka cisza panowała o tej porze na mieście.

...A tam — znowuż scena! Tym razem gdzieś w ciemnych wyżynach, pod gwiazdami, hen! Ten osłepiający żar kinkietów, ta płonąca blaskiem plama na tle czarnej, gęstej, przepaścistej głębi nocy! — I oni wszyscy zwlekają się tam po kolei — żywi, jaśni, promienni, — pławią się w blaskach!.. Oto wloką się bez celu oni — młodzi! — smutni, błędni, z krwawymi przepaskami na oczach, z wyrazem niemocy na bladych twarzach; bezsilne ręce przed się wyciągają. „I tyżeś nas opuścił, Borowski! — ty, piersi naszych jęku, niemocy naszej głósie!..“

Przeszli — minęli — ... Tam w głębi kłębią się ciemne dymy i krwawią łuny pożogi; długim grzmotem mijają ciężkie hufy pancerne, słychać nieustanny suchy trzask mieczów o krzyżackie pawęże, huk straszny i trąbki ciche, natarczywe granie. Marsz! marsz!.. I oto „leci z szablą pan mój stary — złoty jak kudłaty lew...“ Zasnęły go dymy, pochłoneła kurzawa... Z dymu wyłania się starzec, krwawego trupa na lewym ramieniu dźwiga, prawą ręką lirę do piersi tłoczy. „Gdzie walki jego echo? gdzie czynów jego spiżowy dzwon?..“ — I minął starzec, jak mija przeszłości krótkie wspomnienie... — Lecz oto wpada drugi, rozwichrzonym włosem twarz przysłania, stryczek tylko na szyi widać. Poznał go Borowski i jękiem powitał. „Synu, gdzie życia mego ślad, gdzie głos i skarga tych, co umarłych wskrzeszają, z żywymi cierpią, a przez sennych tratowani — giną? Gdzie są tłumy dzisiejsze ofiary? gdzie mojej, gdzie twojej, gdzie naszej doli skarga i bunt? — Synu! synu! — synu mój!“

I zdawało się Borowskiemu, że to jaśnienie w górze błogosławieństwo promienne na potępioną głowę mu zsyła; tęsknota poczuciem mocy piersi mu rozszerza i ptakiem rwie się w górę, — tam do nich! Prostują się zdrętwiałe skrzydła, szeroko zagarnęły sięgi, — oto z ziemi się

podrywa, w powietrze bokiem się kołysze i orłem do nich leci.

„Właduś, Właduś! Władek mój!”

— Słyszę cię, Zochna, słyszeć będę póki zycia...

„bo w sercu mem, choć je ukoję,

„brzmieć będą drogie łkania twoje,

„jak bęben, gdy gra do ataku!... —

Ponad miastem gorzała luna pożaru.



Kroki wywiodły go na ślepo przed oświetlone wejście hotelu. Turkuł oczekiwał już w westybulu. W ważkim gumowym płaszczu i w małej wełnianej czapeczce na głowie, krzątał się o walizki: ptak przelotny gotów był do wędrówki.

— Jesteś pan? — witał Borowskiego niedbale, zajęty bardziej swą walizką i portyerem.

Na Borowskiego mrowiem powiało od tej twarzy. Przed chwilą jeszcze oczekiwał tego spotkania, jak wyzwolenia; zdawało mu się, że wycieńczony padnie w czyjeś ciepłe ramiona, co go obejmą, wesprą, sił i otuchy dadzą.

— Panie, jak oni tu zdzierają! — skarżył się Turkuł. — ...Rzeczy pojedą omnibusem; my mamy czas, pójdziemy pieszo, opowiem panu po drodze jego rolę w „Przeznaczeniu.”

Ujął go pod ramię i wyprowadził na ulicę. Płacąc napiwek groomowi, rozpoczynał swą opowieść:

— Widzisz pan, w mojem „Przeznaczeniu“ główną rolę ma młody artysta. Pan czujesz miłość artysty? *Bon!* sztuka-kobieta? — problem! — (Przyparł łokcie do siebie i ścisnąwszy mocno kulaki balansował niemi w napięciu). — *Voyons!* — pasuje się. — (Otwartą dłoń przeciął w powietrzu jak siekierą). — Przepołowił serce! Połową kocha, połową tworzy. Czy pan potrafisz oddać tę połowiczność, tę szczątkowość we wszystkim, co człowiek myśli, kocha, czuje, tworzy? Te... te niepodociągane struny, te zgrzyty, tę atmosferę ułudy... *Bon!* — I zjawia się, widzisz pan, ta fatalna nuta bezwiednego fałszu w stosunku obojga. Projekty! projekty! Czy wiesz pan, jak potężnie marzą improduktywy?... *Zaczyna pić, zaczyna kochać mocniej, cela veut dire:* namiętniej. A potem ta tęsknota do harmonii uczuć, myśli, marzeń, czynu; ta potrzeba złączenia, zlania, stopienia w jedną całość sztuki-kobiety, — *voyons*, mój problem!.. Zaś ona — taka mała polska kobietka. Pan zna ten *genre*'ek. *Bon!* — Otóż...

— Otóż, — przerwał niecierpliwie Borowski, — ten pański artysta porzuca kobietę.

— Nie. On ją tylko połowicznością swej natury i lepszą częścią swego ja wprowadza bezwiednie w świat smutku, rozmarzenia, potrzeby ofiary. — Ona dobrowolnie ustępuje z drogi.

— Dokąd? — Borowski zatrzymał się na ulicy.

— W grób.

— Jezus Marya!..

— Mocne w koncepcyi? — co? O, ja zawsze mocno piszę. — Turkuł nie zdawał sobie sprawy, że człowiek, do którego mówi, jest tak własnymi ranami obolały, że każde dotknięcie kurcz trwogi wywołać w nim musi.

— Widzisz pan, — tłumaczył Borowskiemu dalej, — przeznaczenie powiodło go kołem i rzuciło nawpół żywego tam, gdzie go mieć chciało. I teraz dopiero — tworzy!

Z kolei zatrzymał się Turkuł i wyrzucił dłoń w górę.

— *Ars triumphans!* — wołał.

Borowski zaśmiał się gorączkowo.

— Panie Turkuł, czy tak mocno stoi się w życiu na trupie? — Ręce splótł na głowie i w gorączkowym śmiechu zataczał się na ulicy. — Ludzie, do czego wy dziś dochodzicie!

— Jakto do czego? Kapitalne wnętrza ludzkie wyciągamy!

Borowski śmiał się wciąż.

— O, ja to panu zagram! Ja to świetnie zagram. Ha! ha!.. Panie Turkuł, jakże to Müller śpiewał w kawiarni? — „W tem naszej sztuki smak, naszego życia sens!” Ha! ha! — Borowskiemu spazm gardlany zerwał śmiech. — Panie, jakie krwawe te nasze wnętrza, w których pan piórem dłubiesz po nocach, powróciwszy zapewne z tynglu lub zamtuza... I ja, i ja już wstąpiłem nogą na czyjeś piersi! Tylko jeszcze mi się to rusza, jeszcze drga i żyje! Jeszcze mnie te drobne ręce rozpacznie... Boże mój..!

Turkuł wtłoczył ręce w kieszenie i spoglądał na niego z podełba.

— Panie Borowski, — rzekł po chwili, — nieszczęścia, tak zwane, życiowe...

— To nie jest nic literackiego! — ofuknął Borowski.

— Otóż to! Nieszczęścia tak zwane życiowe, to starcia naszej upartej woli z naszym przeznaczeniem. Wierżaj mi pan, najwięcej zła, krzywdy, szkody sieje w życiu ten, co z przeznaczeniem swem walczy. A wiesz pan, co on z posiewu swych najlepszych chęci zbiera? Fałsz i kłamstwo na każdym kroku. Trzeba mieć odwagę powiedzieć

„nie!“ nawet na obowiązek. Ale na to lwiej pono potęgi potrzeba. Należy mieć ten zmysł prostoty w sobie, aby najistotniejszej części ducha swego przyznać słuszość w życiu. Lecz na to dziecka pono potrzeba.

Łoskot uliczny przycichł nagle, — stał się głuchym, podziemnym, ciężkim: droga wywiodła ich na most. Przed oczyma Borowskiego zaświeciła mętym, ciemnym polyskiem woda, nurzająca w swych falach długie i żółte języki blasków od nadbrzeżnych latarni. Huczał i dudniał most, — a tam na dole szum i zgiełk mrukliwy i jakby odwieczny w swej ciężkiej monotonii. Ponad miastem, w bok, mrugała wciąż niema luna cichego pożaru.

Szli wolno. Kiedy niekiedy Borowski przystawał i wspierał się na baryerze, Turkuł poddawał się, milcząc, jego woli.

— Wspominaj pan najgorsze chwile swego życia: to sił dodaje. Czy nie ponizalesz siebie, aby swej dumie boleść sprawić? — pytał nieswoim, namaszczoneym głosem.

— Tak, — odparł Borowski, zapatrzonej w pęd ciemnej wody i czując, jak sam w wir jakiegoś pędu wpada.

— Czy chorym będąc nie odsyłałeś pocieszyciela? Czy nie zawierałeś przyjaźni z głuchymi, którzy nigdy nie pojmą, czego pragniesz?

— O, tak!

— Czy nie podawałeś ręki upiorowi sumienia, który cię straszyć chciał?

— Tak.

— Czy nienawidziłeś tego smoka, co woła przed każdym krokiem twoim: „musisz!“ — i potężną łapą do ziemi cię tłoczy? Czy nie zrywał ci się w duszy okrzyk: „chcę!“

— Tak.

— I jako świętość pokochałeś swe „musisz!“ Teraz obłęd dobrowolnego szału znajdujesz nawet w swej naj-

większej świętości. Rabujesz sobie wolność ze swego ukochania.

— Tak.

— Dobrze, iż mi „tak“ odpowiadasz: to jest mowa dziecka... I oto, Borowski, — kończył Turkuł i wpół go obejmował, — nazwałem ci trzy przemiany ducha: jako duch wielbłądem był, lwem się stał, w dziecko się zmienił...

— Zkąd pan to..?

— Słuchaj! — Na zimną twarz Turkuła strzeliły rumieńce; recytował z przejęciem, z piersi te słowa wygłaszał. — Słuchaj!.. Bo niewinnością jest dziecię i zapomnieniem. — *Zapomnieniem*, — Borowski! — Jest nowopoczęciem, jest grą, jest toczącym się pierścieniem, pierwszym odruchem, świętego „tak!“ mówieniem! O, do gry twórczenia, bracia moi, należy święte „tak“ nauczyć się wymawiać: swej woli pożąda duch, świat swój odnajduje, kto świat swój utracił!

— Zkąd pan to?... Czy jest taka czarna księga, coby mnie potępionemu rozgrzeszenie dała?

— Takiej niemasz. Jest natomiast inna, która ci dumę daruje. Przeczytasz — i staniesz na scenie jak bóg olimpijski!

— A ona?... Zochna?..

— Śmierć — życie, ból — sztukę rodzi.

— Ale nie podłość. Zlituj się pan, ale nie podłość! Zdeptać to, co z całem zaufaniem u nóg nam się wiesza... O, na tę zbrodnię także dziecka tylko potrzeba!

Turkuł tupnął nogą. — I gadaj tu z nim!..

Borowski przechylał się przez baryerę: patrzył na wodę, wśluchiwał się w jej szmery głuche... „Władek, Władek! — ci artyści robią ze mnie swą dziewczkę!..“ Czuł, jak ten pęd przed oczyma rzuca w przeciwnym kierunku, ponosi coraz to prędzej, coraz to gwałtowniej... Huczał i dudniał mu most ponad głową...

— Stopp!.. — Turkuł w samą porę schwycił go za bary i zerwał z poręczy. — Panie Borowski, bój się pan Boga! — Jeszcze żaden mężczyzna nie topił się z niezdecydowania.

Borowski patrzył na niego błędnie przerażonemi oczyma i cofał się tyłem.

— Co panu!?..

— Nic, — już nic! — minęło. Wtedy... zanim to uczyniłem, spojrzałem — i te oczy!.. te oczy pańskie zimne rozarzyły się w jednej chwili jak węgle. Myślałem, że mnie prowadzi...

— Kto taki?

— Dyabel!..

— W imię Ojca i Syna!.. Oj, źle, Borowski! słabyś duchem, wróć się lepiej tam — w łóżko małżeńskie, w wyrzuty sumienia i w obowiązki.

— Nie mogę: stało się! Nie wiem, czy źle czy dobrze robię, nie wiem nawet, dlaczego tak uczynić muszę, — ale wracać już nie mogę!

— Przeznaczenie! — objaśnił Turkuł. I ruszyli dalej.

Turkuł, zaplątawszy się w krag jednych myśli, nie mógł z nich wybrnąć: ustawicznie coś wspominał i recytował. Wreszcie objął Borowskiego serdecznie i przygarnął do piersi: — „Kocham tych, których dusza głęboka jest, nawet gdy od ran serdecznych ginie, kogo drobne przejście zniszczyć może! — albowiem ci są, którzy przez most przechodzą!”

Stanęli wreszcie na brzegu przeciwnym i, oparłszy się o balustradę, raz jeszcze spojrzeli na miasto. Z ciemnego zwaliska murów wyrastały w czerwień płonącego nieba kościelne wieże, niby czarne i nieme upiory. Cicha łuna pożaru drgała wszczeg na ciemnem niebie.

— Tam! — myślał Borowski.

— Tu! — wmuszał weń Turkuł, ściskając mu dłoń jak w kleszczach. I aby odwieść mu myśl w inną stro-

nę: — Pożegnaj pan rekinów, westchnij do przyjaciół z kawiarni i tynglu.

Borowski opadał coraz bardziej.

— Panie, — mówił słabym głosem dziecka, — może to wszystko prawda, co pan mówił, — mozem i ja umęczony mem szczęściem i niedolą, mą miłością i obowiązkiem, mą cnotą i winą! Może i ja na to tylko szamotałem się, aby mnie przeznaczenie tam wreszcie rzuciło, gdzie mieć mnie chciało!.. Ale gdy pomyślę, gdzie to wszystko dojrzewa i bólem uświęca... Łoże rozpusty, — kawiarnia, — tyngiel, — dziewczki, — błazny, — zidyociale tłumy wielkomiejskie, — prostytutki uliczne!.. A! — wszystko to takie małe, drobne, brudem cuchnące!.. Ha, ha, ha! „sztuka!“

Odrzucił się od baryery, dłonie w czoło wciskał i śmiał się. Śmiech ten padał w bezdeń, leciał w czarną przepaść, aby gdzieś, w głębi od skalnych odbiwszy się czeluści, wrócić ku górze krzykiem rozpaczy... Turkułowi dreszcz poprzez ciało przebiegał. Nastawiał uszy, poruszał chrapami jak wyżeł: czuł sztukę!..

— Śmiech taki wart życia, — rzekł. — Ten śmiech z pod piwnicznych wierzei grobów dochodzi: tak się śmieją dawne wielkie trupy nad dzisiejszem życiem... O, kto śmiech taki usłyszy, ten sam śmiać się przestanie!.. Ciebie, Borowski, widoma łaska Boża opromienia. Ty z Bożą łaską śmiałeś walczyć... A tamto wszystko, ten nawóz sztuki, — gardź nim! Wszystko, co nasze, co młode, co dzisiejsze — to nikczemność, to brud i rozkosz żalosna! Ale my jeszcze nienajgorsi, — skoro śmiać się tak umiemy — z życia, z ludzi, z samych siebie... Śmieć się, Borowski, śmieć! Ten śmiech będzie tryumfem naszej szczerzej sztuki nad naszym kłamanem życiem!..

Szumiało miasto i gadała rzeka. Drgająca luna rozrzucała się po niebie coraz to szerszym płaszczem. Gwia-

zdy gasły. I trzepotała się ta luna na chmurach jako wielki krwawy ptak; cicha i niema, próbowała jakby zniewolić do ratunku obojętny huk, zgiełk i gwar pustego życia miast wielkich. Czarne wieże kościołów strzelały w tej krwawej topieli coraz to wyżej i wyżej: zapomniane od ludu, same nieba sięgały, Boga wzywały na ratunek.

Turkuł spojrzał na Borowskiego... „Przecież on spły- nie tęsknotą jak krwią, — pomyślał. — Przecież on z tęskno- ty za nią powiesi się najdalej za dwa, trzy lata. Tacy nie strzelają się nawet.“

I nie potrafił tej myśli opanować:

— Wiesz ty, że tym razem na śmierć idziesz?

— Wiem, — Borowski machnął ręką.

Po wiaduktach między murami biegł pociąg, skakał z łoskotem po zwrotnicach, wypadł zdala na nasyp, gwizd- nał i pędził przed się w obce, dalekie światy... Pozostał po nim ten pęd i rozmach w powietrzu, to rozpierające piersi pragnienie lotu...

— Pora nam!

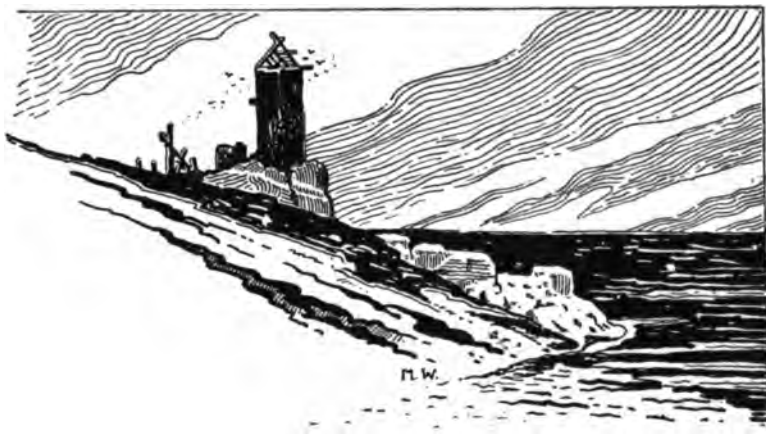
— Pora.



(*Ciąg dalszy*).

Wacław Berent.

Skrzydlate ognie.



*Śnij, dumne serce me, snów twoich złotą łódź
Po ciemnych głębiach mórz złowieszcza gwiazda wodzi;
Skrą błędną w mrokach tleć, skry błędne z siebie snuć.
To los twój, serce me, i los twej złotej łodzi.*

*Miesięczne światło drży na ciemnej toni,
Jak białe kwiecie z kruczych włosów Wiosny,
Co do tej górskiej, pustynnej ustroni
Przychodzi jasna pod omszone sosny,
Aby się przyjrzeć w stawu cichej wodzie
Swej dzikiej, bujnej, dziewiczej urodzie.*

*Ponad przepaście świerki się pną,
Po głazach pną się śmigle,
Z głębokich dolin, zawianych mgłą,
Na granitową igłę.*

*Jak srebrne tarcze, jeziora lśnią,
Jak słońca lśnią wystygłe.
Pylem klejnotów świecą i mżą
Oddale niedościgłe.*

*Tak martwo szklą się czarne wody rzeki
W mętnej, przyćmionej, miesięcznej przeczrocy,
Jakby przed chwilą zagasty na wieki
Twe oczy, wczoraj całowane oczy.*

*Tak głucho huczy w mrokach dzwon daleki;
Dal taka zimna, ołowiana, pusta,
Jakby przed chwilą zastygły na wieki
Twe usta, wczoraj całowane usta.*

LIMBA.

*Na widnokregu złota jaśń wykwita
Szkarłatnym pakiem z lilijowych cisz.
Kędyś daleko, tumanem zakryta,
Szumi kaskada w głębi skalnych nisz.*

*W kotlinie, stawu zamarzłego płyta
Połyska niemo jak błyszczący spisz.
Nad nią samotna i wichrami bita
Wyrasta limba, w przezrocz, w błękit, wzwysz.*

*Tę limbę ziemia wydała nieżywa,
Tuliła żalść i groza straszliwa
I mroźnem tchnieniem smagał śnieżny szczyt —*

*A ona z nocy mgieł i zasepienia
Wyrasta dumnie w błękitne przelśnienia,
W przeczysty, złoto-purpurowy świt.*

ARTUROWI GÓRSKIEMU.

W ODWIECZERZ BLADĄ.

*W złocistym, świetnym pasie
Słonecznych, bladych lśnien
Wierzchołki turni tłą się
I zamierzchają w cień.
W wieczornych mgieł zalewie
Majaczą się modrzewie.
Jak białe stado mewie
Nad stawem obłok zwisł.*

*Na rzece blask się kwieci
Zanikających róż
I w pomrok z falą leci
Jak puch z okwitłych zórz.
Pod siną mgieł zawieją
Martwością bezdnie sieją.
Już noc wypełza knieją
Z rozpadlin, z skalnych rys.*

*Z tej mgły, co się rozpyła
Na przestwór gór i niw,
Tęsknota się wychyla,
Jak z boru leśny dziw;
Jej głos przez głuche ciemnie
Przyzywa mnie tajemnie. —*

*Ach, otchłań patrzy we mnie,
Jak ja spoglądam w nią...*

DUSZA.

*Dusza jak jasny kwiat z bezmiarów świata chłonie
Słoneczność białych dni i modrych nocy wonie,
Majestat ciemnych mórz i lśniących gwiazd harmonię.*

*Z wszechświatów siła w niej, co nakształt srebrnej czary
Dziewiczą rzeźbi pierś, a męża w moc obleka;
Z nich wszelkie piękno jej, i miłość w niej bez miary,
Co toczy twórczą myśl, jak złoty kruszec rzeka.*

*Wieczności całej ból ogarnia w sobie ona,
I cały ogrom zła i wszystkich istnień nędze;
Jak wszechświat wielka jest, jak wieczność nieskończona
W bezsilnym smutku swym i w twórczej swej potędze.*

*Dusza jak gwiazdna skra wśród mroków tajni płonie,
Jak dźwięk w przesroczach drży, jak tchnienie w burzy
A włada jako Bóg w Chaosu mgławcem łonie. [wionie,*



Stanisław Wyrzykowski.

Krucyata dziecięca.

CIRCA IDEM TEMPVS PVERI SINE
RECTORE SINE DVCE DE VNIVERSIS
OMNIVM REGIONVM VILLIS ET CIVITA-
TIBVS VERSVS TRANSMARINAS PARTES
AVIDIS GRESSIBVS CVCVRRERVNT, ET
DVM QVAERERETVR AB IPSIS QVO CVR-
RERENT, RESPONDERVNT: VERSVS JHE-
RVSALEM, QVAERERE TERRAM SANC-
TAM... ADHVC QVO DEVENERINT IGNO-
RATVR. SED PLVRIMI REDIERVNT, A QVI-
BVS DVM QVAERERETVR CAVSA CVR-
SVS, DIXERUNT SE NESCIRE. NVDAE
ETIAM MVLIERES CIRCA IDEM TEMPVS
NIHIL LOQVENTES PER VILLAS ET CIVI-
TATES CVCVRRERVNT.



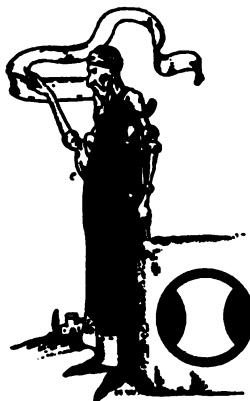
POWIEŚĆ GOLIARDA. Ja, goliard ubogi, nędzny klecha, błędzący po lasach i drogach, aby żebrać, w imię Pana Naszego, o chleb powszedni, widziałem zbożne widowisko i słyszałem słowa dzieci małych. Wiem, że żywot mój nie jest bynajmniej

świątobliwy, i że ulegałem pokusom pod lipami dróg. Bracia, którzy dają mi wina, widzą dobrze, że nie nawykłem do niego. Ale nie jestem z sekty owych, co okaleczają. Są źli, którzy wylupiają dzieciom oczy, obcinają im nogi, krępują ręce, aby potem wystawiać na pokaz ich kalectwo i wzbudzać litość. Oto dla czego lęk mnie zdjął na widok wszystkich tych dzieci. Zapewne Pan Nasz osłoni je. Mówię bez ładu i składu, bo pełen jestem radości. Uśmiecham się do wiosny i do tego, co widziałem. Mam umysł niebardzo mocny. Otrzymałem tonsurę kleryka w dziewiątym roku życia, i słowa łacińskie dawno uciekły mi z pamięci. Podobien jestem szarańczy, bo skacze, to tu,

to tam, i brzeczę jak ona, i otwieram niekiedy barwiste skrzydelka, a drobna ma główina przezrocza jest i próżna. Powiadają, że święty Jan żywił się szarańczą na puszczy. Trzebaby chyba jeść jej bardzo wiele. Ale święty Jan nie był przecież takim samym człowiekiem jak my.

Mam wielkie nabożeństwo do świętego Jana, bo i on był błędnym pątnikiem i wymawiał słowa bez związku. Zdaje mi się tylko, że powinny były być łagodniejsze. Wiosna jest też łagodna w tym roku. Nigdy nie było tak dużo kwiecia białego i różowego. Błonia są jakby świeżo umyte. Dokoła, krew Pana Naszego połyskuje na żywopłotach. Pan Nasz Jezus Chrystus ma barwę lilii, ale krew jego jest czerwieniuteńka. Dla czego? Nie wiem. O tem stoi pewno w jakim pargaminie. Gdybym był biegły w naukach, miałbym pargamin i pisałbym na nim. W ten sposób jadałbym do sytości co wieczór. Chodziłbym po klasztorach modlić się za zmarłych braci i zapisywałbym ich imiona na swoim zwitku. Przenosiłbym ten swój spis nieboszczyków z jednego opactwa do drugiego. Bracisz-kowie nasi lubią to. Ale nie wiem imion zmarłych mych braci. Może Panu Naszemu również nie chodzi wcale o to, aby je wiedzieć. Wydawało mi się, że wszystkie te dzieci nie mają imion. A przecież pewnem jest, że Pan Nasz Jezus Chrystus ukochał je nad innych ludzi. Zapelniały drogę jak rój białych pszczół. Nie wiem, z kąd szły. Byli to maleńcy pątnicy. Miały kostury z leszczyny lub z brzeziny. Na ramieniu każde miało krzyż, a krzyże te były kilku kolorów. Widziałem zielone, które były pewnie zrobione z liści zeszytych. Są to dzieci zdziczałe i ciemne. Wędrują błędnie, nie wiem ku czemu. Mają wiarę w Jeruzalem. Ja myślę, że Jeruzalem jest daleko, a Pan Nasz musi być bliżej nas. Nie dojdą do Jeruzalem. Ale Jeruzalem przyjdzie do nich. Tak, jak do mnie. Kres wszystkich rzeczy świątobliwych jest w radości i weselu.

Pan Nasz jest tutaj, na tym pokraśniałym głogu, i na mych uściach, i w ubogiem mem słowie. Bo myślę o nim, i grób jego jest w myśli mojej. Amen. Położę się tu na słońcu. Jest to miejsce święte. Stopy Pana Naszego uświęciły wszystkie miejsca. Prześpię się. Niechaj Jezus da przespać się wieczorem wszystkim tym białym dzieciom, noszącym krzyż. Zaprawdę, powiadam mu to. Spać mi się chce ogromnie. Powiadam mu to, zaprawdę, bo może nie widział ich, a powinien czuwać nad dziećmi drobnymi. Godzina południowa ciąży mi na głowie. Wszystkie rzeczy są białe. Niech tak będzie. Amen.



POWIEŚĆ TRĘDOWATEGO. Jeżeli chcecie zrozumieć, co wam opowiem, wiedźcie, że noszę na głowie kaptur biały i potrząsam kołatką z twardego drzewa. Nie wiem już, jak wygląda twarz moja, ale boję się moich rąk. Chodzą przede mną jak dwa potwory łuskowate i sine. Chciałbym je uciąć. Wstyd mi przed tem, czego dotykają. Mam wrażenie, że rumiane owoce, które zbieram, omdlewają za ich zbliżeniem, a nędzne korzonki, które wyrywam, zdają się więdnąć pod niemi. DOMINE CETERORVM LIBERA ME! Zbawiciel nie zmazał mego grzechu bladego. Jestem zapomniany aż po zmartwychpowstanie. Jak ropucha zamurowana przy zimnie księżycowem w podłym kamieniu, pozostanę zamknięty w moim żylniku odrażającym, gdy inni wstawać będą z jasnem swem ciałem. DOMINE CETERORVM, FAC ME LIBERV: LEPROSVS SVM. Jestem samotny, a odraza mnie przejmuję. Zęby me tylko zachowały

swą białość przyrodzoną. Zwierz dziki przeraża się na mój widok, i dusza ma chciałaby pierzchnąć. Dzień odwraca się ode mnie. Oto dwanaście i dwanaście lat upłynęło, odkąd Zbawiciel zbawił innych, a nie zlitował się nade mną. Nie tknęła mnie włócznia krwawa, która bok Mu przebiła. Być może, iż krew Pana innych uzdrowiłaby mnie. Śnię często o krwi: zęby moje mogłyby gryźć; czyste są i niewinne. Skoro On nie zechciał mi jej dać, pałam żądzą tej, która do niego należy. Oto dla czego czyhałem na dzieci, które zstępowały z krainy Vendôme ku tej puszczy nad Loarą. Miały krzyże i były poddane Jemu. Ciała ich były Jego ciałem, a On nie dał mi uczestnictwa w ciele swem. Blade potępienie otacza mię na ziemi. Czatowałem, aby wyssać z szyi jednego z Jego dzieci krew niewinną. ET CARO NOVA FIET IN DIE IRAE. W dzień grozy, ciało me nowem się stanie. Za innemi szedł dzieciak świeży o rudych włosach. Zauważyłem go sobie; skoczyłem nagle; zatkałem mu usta straszliwemi memi rękoma. Odziany był tylko w zgrzebną koszulę; nogi miał nagie, oczy jego zostały pogodne. Przyglądał mi się bez zdziwienia. Wówczas, wiedząc, że nie będzie krzyczał, zapragnąłem usłyszeć raz jeszcze głos ludzki i zdjąłem ręce z ust jego, a on nie otarł ust nawet. Oczy jego zdawały się być kędyś daleko.

— Kto jesteś? — spytałem go.

— Johannes Teutończyk — odpowiedział. Słowa jego brzmiały czysto i zbawczo.

— Dokąd idziesz? — rzekłem jeszcze.

A on odpowiedział: — Do Jeruzalem, by zdobyć Ziemię-Swiętą.

Wówczas zacząłem się śmiać i zapytałem go: — Gdzie jest Jeruzalem?

A on odpowiedział: — Nie wiem.

I rzekłem jeszcze: — Jakże tam dojdiesz?

A on rzekł mi: — Nie wiem.

I rzekłem jeszcze: — Cóż to jest Jeruzalem?

A on odpowiedział: — To jest Pan Nasz.

Wówczas, zacząłem śmiać się znowu i zapytałem: —
Cóż to jest ten twój Pan?

A on rzekł mi: — Nie wiem; jest biały.

Słowo to wtrąciło mnie we wściekłość, wyszczerzyłem zęby pod kapturem i pochyliłem się ku jego świeższej. Nie cofnął się ani o krok, i rzekłem doń: — Dla czego nie boisz się mnie?

A on rzekł: — Dla czegoż miałbym bać się ciebie, biały człowiecze?

Wówczas płacz wielki wstrząsnął mną, i padłem na twarz, i całowałem ziemię straszliwemi memi wargami, i krzyczałem: — Bo jestem trędowaty!

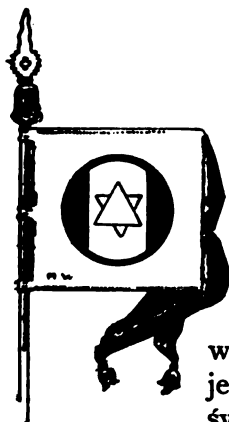
A dzieciak teutoński przyglądał mi się, i rzekł jasnym swym głosem: — Nie wiem.

Nie lękał się mnie! Nie lękał się mnie! Potworna białosc moja była dla niego podobną do białosci Pana jego. I wziąłem garść trawy, i wytarłem usta jego i ręce.

I rzekłem mu:

— Idź w pokoju do białego Pana twojego, i powiedz mu, że mnie zapomniał.

A dzieciak spojrział na mnie i nie rzekł nic. Odprowadziłem go do skraju tych czarnych borów. Szedł bez drżenia. Widziałem, jak rude jego włosy nikły w oddali w słońcu. DOMINE INFANTIVM, LIBERA ME. Niechaj głos mej kołatki drewnianej dojdzie do ciebie, jako czysty głos dzwonów. Panie tych, którzy nie wiedzą, wybaw mnie!



POWIEŚĆ PAPIEŻA INOCENTEGO

III. Zdala od kadzideł i ornatów, mogę łącznie mówić do Boga w tej próżnej pozłot izdebce mego pałacu. Tutaj to przychodzę rozmyślać o mej starości, nie podtrzymywany pod ramiona. Podczas mszy, serce moje wznosi się, a ciało spręża; migotanie wina świętego napelnia me oczy, a drogocenne oleje zdają się wilżyć myśl moją; ale w tym samotnym zakątku mej bazyliki, wolno mi ugiąć się pod znużeniem ziemskim. ECCE HOMO! Albowiem Pan nie musi w istocie słyszeć głosu kapłanów swych poprzez okazałość listów pasterskich i bull; i ani purpura, ani klejnoty, ani malowidła nie dogadzą mu zapewne; w tej wszakże małej celce lituje się, być może, nad belkotaniem mem niedoskonałem. Panie, jestem bardzo stary, i oto w biel odziany stoję przed Tobą, a imię moje — Inocenty, i Ty wiesz, że nie wiem nic. Opuść mi papieństwo me, bo zostało ono założone, i muszę je zno-

s ć. Nie ja postanowiłem godności i dostojenstwa. Wolę widzieć słońce twe przez tę szybką okragłą, aniżeli w świętym przeblasku mych barwistych witraży. Pozwól mi uskarżyć się, jak każdemu innemu starcowi, i zwrócić ku tobie to blade, zmarszczek pełne oblicze, które z wielkim trudem unoszę ponad falami nocy wiekuistej. Pierścienie ześlizgują się wzdłuż mych palców wychudłych, a ostatnie dni mego życia dobiegają kresu.

Mój Boże! jestem namiestnikiem Twym tutaj, i wyciążam ku Tobie błagalną dłoń, pełną winą czystego Twej wiary. Są wielkie zbrodnie. Są bardzo wielkie zbrodnie. Mamy moc rozgrzeszać je. Są wielkie herezye. Są bardzo wielkie herezye. Mamy obowiązek karać je bez miłosierdzia. W tej oto chwili, klęcząc, w bieli, w tej białej celce o zatartych pozłotach, niepokojem wielkim dręcę się, Panie, bo nie wiem wcale, czy zbrodnie i herezye należą do okazałej dziedziny papieżstwa mego, czy też do tego małego okręgu światłości, w którym jakiś starzec z prostotą składa ręce. I gnębi mnie nadto niepewność co do grobu Twojego. Niewierni otaczają go dotąd. Nie umianno im go odebrać. Nikt nie kieruje krzyża Twego ku Ziemi-Swiętej; pograżeni jesteśmy w odrętwiałości. Rycerze odłożyli oręż, a królowie nie umieją już przywozić ludom. A ja, Panie, oskarżam się i biję się w piersi; jestem zbyt słaby i zbyt stary.

A teraz, Panie, posłuchaj drżącego szeptu, który wzbija się z tej małej celki w mej bazylice, i wesprzyj mnie radą. Służebnicy moi dziwne zewsząd przynoszą nowiny, od rubieży flandryjskich i niemieckich aż po miasta Marsylię i Genuę. Nieznane dotąd sekty zrodziły się w dniach ostatnich. Widziano biegające po miastach nagie kobiety, które nic nie mówiły. Bezwstydne te niemo- wy palcami wskazywały na niebo. Wielu szaleńców prze- powiadało na placach zagładę. Pustelnicy i klerycy wę-

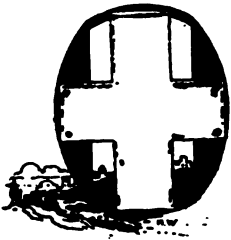
drowni pełni są głuchych wieści. I nie wiem, przez jakie czarnokznięstwo wywabiono z domów rodzicielskich przeszło siedm tysięcy dzieci. Siedm tysięcy ich wędruje po drogach, z krzyżami na ramionach i kosturami w ręku. Nie mają co jeść; nie mają żadnej broni; niezdolne są do niczego i robią nam wstyd. Nie wiedzą nic z istotnej religii. Służebnicy moi rozpytywali je. Odpowiadają, że idą do Jeruzalem, aby zdobyć Ziemię-Swiętą. Służebnicy moi rzekli im, że nie będą mogły przebyć morza. Odpowiadały, że morze rozstąpi się i wyschnie, aby dać im przejście. Dobrzy rodzice, pobożni i mądrzy, starają się zatrzymać je. Ale one łamią w nocy rygle i wydostają się przez mury. Pomiedzy niemi wielu jest synów ze szlachcica i nierządnic. Żal wielki przejmuję na ten widok. Panie, wszystkie te niewiniątka staną się łupem morza albo czcicieli Mahometa. Widzę, jak sudan Bagdadu czyha na nie ze swego pałacu. Drzę, aby marynarze nie zawładnęli ich ciałami, chcąc je zaprzedać.

Panie, pozwól mi mówić do Ciebie według formuł religii. Ta krucyata dziecięca nie jest dziełem zbożnem. Nie odzyska ona dla chrześcian Grobu Świętego. Zwiększy jeno liczbę włóczęgów, błędzących na okrajach wiary prawomocnej. Kapłani nasi nie mogą jej popierać. Powinnością naszą jest wierzyć, że Zły Duch opanował biedne te stworzenia. Idą one gromadnie ku przepaści, jak stado pasące się na górze. Zły Duch porywa chętnie dzieci, jak sam to wiesz, Panie. Niegdyś, wziął na się postać szczurolapa, aby gędziebnemi dźwiękami swej piszczalki pociągnąć wszystkich malców miasta Hammeln. Jedni powiadają, że biedne istotki te potopił w rzece Wezerze; drudzy, że zamknął je w łonie jakiejś góry. Nie lękasz-że się, aby Szatan nie poprowadził wszystkich naszych dzieci ku mękom tych, którzy nie mają naszej wiary. Panie, Ty wiesz, iż niedobrze jest, aby przedmiot wiary się zmieniał. Jak

tylko objawił się w krzaku ognistym, kazałeś zamknąć go w przybytku. A gdy wymknął Ci się z ust na Golgocie, postanowiłeś, aby wyosobnion był w cyboryach i monstrancjach. Ci mali prorocy wstrząsną budową Twego Kościoła. Nietrzeba im na to pozwolić. Zechcesz-że, na uragowisko swym pomazańcom, którzy w służbie Twojej zużyli alby swoje i stuły, którzy niezłomnie opierali się pokusom, aby Ciebie pozyskać, — zechcesz-że przyjąć tych, którzy nie wiedzą, co czynią? Winniśmy dozwalać przyjść do Ciebie maluczkim, ale na drodze Twojej wiary. Panie, mówię do Ciebie według postanowień Twoich. Te dzieci zginą. Nie daj, aby pod Inocentym nastąpiła nowa rzeź Niewiniątek.

A teraz, odpuść mi, Boże mój, żem o radą Twą prosił pod tyarą. Drżenie starości ogarnia mnie nanowo. Spójrz na biedne ręce moje. Jam człowiek bardzo wiekowy. Wiara moja nie jest już jako wiara maluczkich. Czas zużył złoto na ścianach tej celki. Białe są. Krag Twego słońca jest biały. I suknia moja biała jest również, i wyschłe moje serce jest czyste. Powiedziałem według reguły Twojej. Są zbrodnie. Są bardzo wielkie zbrodnie. Są herezye. Są bardzo wielkie herezye. Głowa moja chwieje się z osłabienia; być może, iż nie trzeba ani karać ani rozgrzeszać. Życie przeszłe każe nam wahać się w postanowieniach naszych. Nie widziałem nigdy cudu. Oświeć mnie. Jest-że to cud? Jakież znak im dałeś? Nadeszły-ż czasy? Chcesz-że, by starzec zgrzybiały, jak ja, równie był białością swą niewinnym Twym dziecinom? Siedm tysięcy! Aczkolwiek wiara ich błędna jest, chciał-żebyś karać obłęd siedmiu tysięcy niewiniątek? I ja także jestem Inocenty, czyli niewinny. Panie, i jam niewiniątko, jak one. Nie karz mnie u schyłku starości mojej. Długie lata nauczyły mnie, że temu stadu dzieci nie *może* się udać. A jednak, Panie, jest-że to cud? Celka moja spokojna jest i cicha, jak podczas innych rozmyślań. Wiem,

że niema potrzeby błagać Cię, abyś się objawił; ale ja, z wyżyny mej bardzo wielkiej starości, błagam Cię i zaklinam. Naucz i oświeć mię, bo nie wiem, Panie. To są twoi maluczcy, twoje niewiniątka. A ja, Inocenty, nie wiem, nie wiem.



POWIEŚĆ TRZECH MAŁYCH CHŁOP- CÓW.

Trzech nas, Mikołaj, który wcale nie umie mówić, Alan i Dyonizy, wyszliśmy na drogi, aby pójść ku Jeruzalem. Idziemy już kawał czasu. Głosy to białe wezwały nas wśród nocy. Wzywały one wszystkie małe dzieci. Były jak głosy ptaków ginących podczas zimy. I naprzód widzieliśmy mnóstwo biednych ptaków leżących na zmarzłej ziemi, mnóstwo maluchnych ptaszyn o szyjkach czerwonych. I potem widzieliśmy pierwsze kwiaty i pierwsze liście, i upleliśmy sobie z nich krzyże. Śpiewaliśmy przed każdą wsią, jak to mieliśmy we zwyczaju robić co nowy rok. I wszystkie dzieci biegły ku nam. I posuwaliśmy się jak wojsko. Byli ludzie, którzy przeklinali nas, nie znając widać Pana. Były kobiety, które zatrzymywały nas za ręce, i wypytывały nas, i okrywały nasze twarze pocałunkami. I były także dobre dusze, które znosiły nam w miseczkach drewnianych ciepłe mleko i owoce. A wszyscy litowali się

nad nami. Bo oni nie wiedzą, dokąd idziemy, i nie słyszeli wcale głosów.

Na ziemi są gęste bory, i rzeki, i góry, i ścieżki pełne ciernia. A na skraju ziemi jest morze, które musimy przebyć wkrótce. A na skraju morza znajduje się Jeruzalem. Nie mamy ani dozorców, ani przewodników. Ale wszystkie drogi są nam dobre. Chociaż nie umiemy mówić, Mikołaj idzie jak my obaj, Alan i Dyonizy, i wszystkie ziemie są jednakie, i jednakże niebezpieczne dla dzieci. Wszędzie są gęste bory, i rzeki, i góry, i krzaki cierniowe. Lecz wszędzie głosy będą z nami. Jest między nami jedno dziecko, które ma imię Eustacyusz, i które urodziło się z zamkniętymi oczyma. Idzie ono ciągle z wyciągniętymi rękoma i uśmiecha się. Nie widzimy już nic prócz niego. Jakaś mała dziewczynka prowadzi je i niesie jego krzyż. Nazywa się ona — Allys. Nie mówi nigdy i nigdy nie płacze; trzyma oczy ciągle utkwione na stopach Eustacyusza, aby go podtrzymać, gdyby się potknął. Kochamy ich oboje. Eustacyusz nie będzie mógł ujrzeć świętych lamp grobu. Lecz Allys weźmie go za rękę, aby dotknął płyt grobowca.

Oh! jakież piękne jest wszystko na ziemi! Nie pamiętamy nic, bo nigdy nie nauczyliśmy się niczego. Widzieliśmy jednak stare drzewa i skały czerwone. Niekiedy musimy przechodzić przez długie ciemności. Niekiedy idziemy aż do wieczora pośród łąk jasnych. Krzyczeliśmy imię Jezusa w uszy Mikołajowi, i zna on je dobrze. Ale nie umie go wymówić. Cieszy się razem z nami tem, co widzimy. Bo usta jego otwierają się dla radości, a rękoma głaszcze nas po ramionach. To też nawet oni nie są wcale nieszczęśliwi, bo Allys czuwa nad Eustacyuszem, a my, Alan i Dyonizy, opiekujemy się Mikołajem.

Mówiono nam, że moglibyśmy spotkać w lasach czarowników i wilkołaków. To są kłamstwa. Nikt nas nie

przestraszył; nikt nam nie zrobił nic złego. Pustelnicy i chorzy przychodzą patrzeć na nas, a stare kobiety zapalają dla nas światła w chatynach. Biją dla nas w dzwony kościelne. Wieśniacy podnoszą się z bruzd, aby wyglądać za nami. I zwierzęta patrzą na nas i nie uciekają wcale. Odkąd idziemy, słońce zrobiło się gorętsze, i zbieramy nie te same już kwiaty. Ale wszystkie łądygi dają się splatać w te same formy, i krzyże nasze są ciągle świeże, I pełni jesteśmy wielkiej nadziei, i wkrótce ujrzymy błękitne morze. A u kresu błękitnego morza jest Jerozalem. I Pan dozwoli przyjść do swego grobu wszystkim dzieciom maluczkim. I białe głosy rozradują się wśród nocy.



POWIEŚĆ FRANCISZKA DŁUGOLICEGO, PISARZA. *Dziś, dnia piętnastego miesiąca septembra, roku Pana Naszego dwanaścieset dwunastego, po Wielkiej Nocy, przyszło do oficyny mistrza mego Hugona Kutego wiele dzieci, żądających prze-*

prawy przez morze, aby oglądać Grób - Święty. A ile że wymieniony Kuty nie ma dość łodzi kupieckich w porcie marsylskim, polecił mi udać się do mistrza Wilhelma Odyńca, aby uzupełnić liczbę. Mistrze Hugo Kuty i Wilhelm Odyńec poprowadzą łodzie aż do Ziemi - Świętej dla miłości Pana Naszego Jezusa Chrystusa. W chwili obecnej, zebrało się dookoła miasta Marsylii przeszło siedm tysięcy dzieci, z których wiele mówi narzeczaniami barbarzyńskimi. I Panowie ławnicy, obawiając się słusznie ogłodzenia, zgromadzili się w domu miejskim, kędy, po radzie, przyzwali rzeczonych mistrzów naszych, aby napomnieć ich i błagać o wysłanie naw co najrychlejsze. Morze nie jest w chwili

obecnej bardzo pomyślne z powodu porównania dnia z nocą, uważać wszakże należy, iż napływ tak tłumny mógłby się stać niebezpiecznym dla naszego dobrego miasta, tem bardziej, że dzieci te są wygłodniałe po długiej wędrówce i nie wiedzą, co czynią. Kazałem okrzyczeć w porcie powołanie marynarzy, i ładować okręty. W godzinie przypływu można będzie zepchnąć je na wodę. Główna cięba dzieci nie jest w samem mieście. Przebiegają one wybrzeże, zbierając muszcelki na znak podróży, i — jak powiadano — dziwią się gwiazdom morskim, myśląc, że spadły one żywcem z nieba, aby im wskazać drogę Pańską. A o niezwykłym tem wydarzeniu oto co mam do powiedzenia: po najpierwsze, iż pożądanoby należało, aby mistrzowie Hugo Kuty i Wilhelm Odyniec wywiedli co żywo z granic miasta naszego burzliwe to zbiegowisko cudzoziemskie; powtórę, że zima była bardzo ciężka, z kąd przyszło latosie zubożenie ziemi, o czem dobrze wiedzą panowie kupcy; po trzecie, że matka nasza Kościół nie był wcale powiadomiony o zamiarach tej hordy przybyłej z Północy i nie wmiesza się w tę niedorzeczność wojska młodzianków (turba infantium). A przystoi też pochwalić mistrzów Hugona Kutego i Wilhelma Odynca, jednako za miłość, którą żywią dla naszego dobrego miasta, i za uległość względem Pana Naszego, z jaką wysyłają okręty swe, sami im towarzysząc w tej dobie nocorówni, i w wielkiem niebezpieczeństwie napaści niewiernych, którzy korsarsko uganiają się po naszym morzu na długich, wąskich swych statkach z Algieru i z portu Konstantyny.



POWIEŚĆ KALANDARA. Bogu cześć! Pochwalon niech będzie Prorok, który dozwolił mi być ubogim i błdzić od miasta do miasta, wzywając Pana! Niech będą potrzykroć błogosławieni święci towarzysze Mohameda, założyciele zakonu boskiego, do którego należę! Albowiem podobien jestem Jemu, gdy został obrzucony kamieniami i wygnany z bezecnego miasta, którego nie chcę nazwać wcale, i gdy schronił się w winnicy, kędy niewolnik chrześcianin ulitował się nad nim, i dał mu winne grono, i poruszony został słowami wiary o schyłku dnia. Bóg jest wielki! Przeszedłem miasta: Mossul, i Bagdad, i Basrah, i poznałem Sala-ed-Dina (niechaj Bóg ma jego duszę), i sułtana, jego brata, Seif-ed-Dina, i oglądałem Władcę Wiernych. Żyję bardzo dobrze trochę ryżu, którą sobie wyżebrzę, i wodą, której mi ludzie nalewają w mą tykwę. Utrzymuję w czystości swe ciało. Ale największa czystość siedzibę ma w duszy. Napisano jest, że Prorok,

przed posłannictwem swem, padł na ziemię w głębokiem uśpieniu. I dwaj ludzie biali zstąpili po prawej i po lewej stronie jego ciała, i stali tam. I człowiek biały z lewej strony otworzył mu pierś nożem złotym i, wydobywszy serce, wycisnął z niego krew czarną. A człowiek biały z prawej strony otworzył mu żywot nożem złotym i, wydobywszy jelita, oczyścił je. I włożyli z powrotem wnętrzności na miejsce, i odtąd Prorok czystym był i mógł głosić wiarę. Taką jest czystość nadludzka, która bywa przeważnie udziałem istot anielskich. I dzieci jednak są także czyste. Taka była czystość, którą zapragnęła spłodzić wróżka, gdy ujrzała jaśnienie naokół głowy ojca Mohameda i gdy próbowała zespolic się z nim. Ale ojciec Proroka wszedł w obcowanie z żoną swoją, Aminą, i jaśnienie znikło z jego czoła, i wróżka poznała, że Amina poczęła istotę czystą. Chwała niech będzie Bogu, który oczyszcza! Tutaj, pod przysionkiem tego bazaru, odpoczne sobie i pozdrawiać będę przechodniów. Tam oto, bogaci kupcy tkanin i klejnotów siedzą kołem w kucki. Oto kaptan, który wart przynajmniej tysiąc dynarów. Ja nie potrzebuję wcale pieniędzy i jestem wolny jak pies. Bogu niech będzie chwała! Teraz, gdy jestem w cieniu, przypominam sobie początek swojej przemowy. Naprzód, mówiłem o Bogu, po za którym niema Boga, i o naszym świętym Proroku, który objawił wiarę, bo to jest źródło i początek wszystkich myśli, czy to wychodzących z ust, czy kreślonych za pomocą trzcinki. Na wtórem miejscu, zastanawiałem się nad czystością, którą Bóg obdarzył świętych i aniołów. Na trzecim miejscu, rozmyślałem o czystości dziecięcej. W istocie, widziałem niedawno wielką liczbę dzieci chrześcijańskich, które zostały kupione przez Władcę Wiernych. Widziałem je na wielkiej drodze. Szły jak stado baranów. Powiadano, że przyszły z ziemi egipskiej, kędy wysadziły je okręty Franków. Szatan opętał

je, i próbowały przebyć morze, by dostać się do Jeruzalem. Bogu niech będzie chwała! Nie dozwolił on, aby tak wielkie okrucieństwo się dokonało. Bo biedne te dzieci pomarłyby w drodze, bez pomocy i bez pożywienia. Są to niewiniątka zupełne. Na ich widok padłem na twarz i uderzyłem czołem o ziemię, głośno wychwalając Pana. A teraz oto, jak wyglądały te dzieci. Odziane były białą, a na szatach miały wyszyte krzyże. Zdawały się nie wiedzieć wcale, gdzie się znajdują, i nie znać było na nich zmartwienia. Wszystkie miały oczy ciągle zwrócone w dal. Zauważyłem pomiędzy nimi jednego chłopczyne, który był ślepy i którego mała dziewczynka trzymała za rękę. Wiele dzieci miało włosy rude i oczy zielone. Są to Frankowie, należący do cesarza rzymskiego. Czczą oni błędnie proroka Jezusa. Błąd tych Franków jest oczywisty. Przedewszystkiem dowiedzione jest przez księgi i cuda, że nie masz innego słowa po za słowem Mohameda. Następnie, Bóg pozwala nam codzień wysławiać Go i zebrać na życie, a wiernym swym nakazuje osłaniać nasz zakon. Wreszcie, odebrał On jasność widzenia tym dzieciom, które, skuszone przez Iblisa, wyszły z krajów dalekich, i nie objawił się, aby je ostrzedz. I gdyby nie były, na szczęście, wpadły w ręce Wiernych, zostałyby porwane przez czcicieli ognia i skute w łańcuchy w podziemiach głębokich. I ci przekłęci złożyliby je w ofierze swemu obmierzłemu i pożerczemu bożyszczu. Niechaj będzie pochwalon Bóg nasz, który robi dobrze wszystko, co robi, i który osłania nawet tych, co go nie wyznają. Bóg jest wielki! Pójdę teraz poprosić o swoją część ryżu w sklepie tego złotnika i okażę w ten sposób wzgardę swoją dla bogactw. Jeśli spodoba się Bogu, wszystkie te dzieci zostaną zbawione przez wiarę.



POWIEŚĆ MAŁENKIEJ ALLYS. Nie mogę już dobrze iść, bo jesteśmy w kraju ognistym, dokąd zawiedli nas dwaj źli ludzie z Marsylii. I naprzód morze miało nas pod czarnymi chmurami, pośród ogni niebieskich. Ale mój mały Eustacyusz wcale się nie bał, bo nie widział nic, a ja trzymałam go za obie ręce. Kocham go bardzo, i przyszedłam tutaj dla niego. Bo — sama — nie wiem, dokąd idziemy. Tak dawno już, odkąd wyszliśmy z domu. Inni mówili nam o mieście Jeruzalem, które leży u kresu morza, i o Panu Naszym, który miał być tam, aby nas przyjąć. I Eustacyusz znał dobrze Pana Naszego Jezusa, ale nie wiedział wcale, co to jest Jeruzalem, co to — miasto, co — morze. Uciekł z domu, słuchając się głosów, a słyszał je co noc. Słyszał je w nocy z powodu milczenia, bo zresztą nie rozróżnia nocy od dnia. I wypytywał mnie o te głosy, ale ja nie mogłam nic mu powiedzieć. Nie wiem nic, i martwię się tylko

z powodu Eustacyusza. Szliśmy koło Mikołaja, Alana i Dyonizego; ale oni wsiedli na inny statek, a kiedy słońce weszło z powrotem, nie wszystkie statki były już razem. Niestety, co się z nimi stało? Odnajdziemy ich, gdy dojdziemy do Pana Naszego. Ale to jeszcze bardzo daleko. Mówią o wielkim królu, który kazał nas przyprowadzić do siebie, i który dzierży w swej mocy miasto Jeruzalem. W tej krainie wszystko jest białe, i domy, i odzież, a twarze kobiet okrywa zasłona. Biedny Eustacyusz nie może widzieć tej białości, ale mówię mu o niej i cieszy się. Bo powiada, że to jest znak końca. Pan Jezus jest biały, w kraju białym. Mała Allyls jest bardzo znużona, ale trzyma Eustacyusza za rękę, aby nie upadł, i nie ma czasu myśleć o swem zmęczeniu. Odpocznijmy dziś wieczorem, i mała Allyls spać będzie, jak zazwyczaj, koło Eustacyusza, i jeżeli głosy nie opuściły nas, spróbuje posłyszeć je wśród jasnej nocy. I będzie trzymała Eustacyusza za rękę aż do białego końca wielkiej podróży, bo musi mu pokazać Pana. I, z pewnością, Pan ulituje się nad wytrwałością Eustacyusza i pozwoli, aby Eustacyusz go ujrział. A wówczas, Eustacyusz ujrzy może i małą Allyls.



POWIEŚĆ PAPIEŻA GRZEGORZA

IX. Oto morze pochłaniające, a na pozór takie niewinne i błękitne. Zmarszczki jego są takie łagodne, a obrzeża je biały skraj, niby szatę bożą. Jest to niebo płynne, którego gwiazdy żyją. Dumam o niem na tym tronie skalnym, kędy kazałem się przynieść z mojej łóżnicy. Leży ono zaprawdę w samym środku ziem chrześcijańskich. Przyjmuje w siebie wodę świętą, w której Zwiastun zmył grzech pierworodny. Nad brzegami jego chyliły się wszystkie postacie święte, a ono kołysało przeczucie ich obrazy. Wielkie i tajemnicze namaszczone, które nie masz przyływów i odpływów, kołysanko lazurowa, osadzona w pierścieniu ziemskim niby klejnot płynny, pytam cię oto oczyma. O morze Pośródziemne, oddaj mi moje dzieci! Dlaczego-ś je zabrało?

Nie znałem ich wcale. Starość moja nie była upieszczona świeżym powiewem ich czystych oddechów. Nie przy-

szły błagać mnie drobnemi, wpółotwartemi usteczkami. Same, podobne małym włóczegom, pełne wiary zacieklej a ślepej, puściły się ku ziemi obiecanej i padły w zagubę. Z Niemiec i z Flandryj, z Francyi, i z Sabaudyi, i z Lombardyi zbiegły się ku twym falom zdradzieckim, o morze święte, szemrząc niewyraźne słowa uwielbienia. Doszły aż do miasta Marsylii; doszły aż do miasta Genui. I pc-niosłość je w korabiach na szerokim swym grzbiecie, ugrzywionym pianami; i wywróciłoś się ode dna, i wyciągnęłoś ku nim modre ramiona, i pochowałoś je w swem łonie. A inne zdradziłoś, zawiódłszy je ku niewiernym; i wzdychają teraz w pałacach Wschodu, jeńce czcicieli Mahometa.

Niegdyś, pyszny król azyjski różgami kazał cię chłostać i obciążyć łańcuchami. O morze Pośródziemne! któż ci przebaczy? Smutna jest winna twoja. Ciebie to, ciebie samo oskarżam, o fałszywie przezrocze i jasne, o złowrogi nieba mirażu; pozywam cię na sąd przed stolicę Najwyższego, od którego zależą wszystkie rzeczy stworzone. Morze poświęcone, co-ś uczyniło z dziećmi naszymi? Podnieś ku Niemu jasnomodne oblicze swoje; wyciągnij Doń swe drgające bańkami palce; rozszałej się niepoliczonością swych śmiechów purpurowych; dozwól mówić szumom swym, i zdaj Mu rachunek.

Nieme we wszystkich białych ustach, które przybiegają konać u stóp mych na wybrzeżu, nie mówisz nic. Mam w pałacu swym w Rzymie prastarą celkę o startych pozłotach, którą wiek uczynił czystą jak świt. Najwyższy kapłan Inocenty miał zwyczaj w niej się zamykać. Powiadają, że rozmyślał tam o tych dzieciach i o ich wierze, i że błagał Pana o znak. Ja, z wysokości tego tronu skalnego, pośród wolnej przestrzeni powietrznej, oświadczam, że najwyższy kapłan Inocenty miał sam wiarę dziecka, i że nadaremnie potrzasał znużoną swą siwizną. Jestem da-

leko starszy, niż Inocenty; jestem najstarszy ze wszystkich namiestników, których Pan powołał tutaj, a teraz dopiero zaczynam rozumieć. Bóg nie objawia się wcale. Okazał-że pomoc synowi swemu w Ogrodzie Oliwnym? Nie opuścił-że go w męce niepokojów ostatnich? Jakiem-ż dziecinne szaleństwem jest wzywać Jego pomocy! Każde zło i każda próba ma siedzibę w nas tylko. On pokłada ufność doskonałą w dziele, które zaczęły ręce Jego. A ty zdradziłeś Jego zaufanie. Morze boskie, nie dziw się mojej. Wszystkie rzeczy równe są przed Panem. Wyniosły rozum ludzki nie wart więcej, w obliczu nieskończoności, niż drobne oko promieniste któregokolwiek z twych żyłatek. Bóg tyleż dba o ziarno piasku, co o cesarza rzymskiego. Złoto dojrzewa w zyle równie nieomylnie jak mnich rozmyśla w monasterze. Wszystkie części świata są jednakowo winne, o ile nie trzymają się dróg dobroci; bo wszystkie pochodzą od Niego. W Jego oczach nie masz głązów, roślin, zwierząt, ludzi, są tylko stworzenia. Widzę wszystkie te czuby bielejące, które tańczą ponad twymi falami i roztapiają się wnet w twojej wodzie; wytryskają one tylko na mgnienie oka pod światło słoneczne, a mogą być potępione lub wybrane. Schyłek wielkiej starości poucza pychę i rozjaśnia religię. Mam tyleż współczucia dla tego małża drobnego w mieniającej się muszelce, co dla siebie samego.

Oto dlaczego oskarżam cię, morze pożerające, które pochłonięłoś maluczkie me dzieci. Przypomnij sobie króla azyjskiego, którego kaźń cię dosięgła. Ale to nie był król stułetni. Nie przeżył on dostatecznej lat liczby. Nie mógł też zrozumieć rzeczy wszechświata! Ja cię zatem karać nie będę. Albowiem skarga ma i twe poszumy poszłyby skonać w tej samej chwili u stóp Najwyższego, podobnie jak szmery twych kropelek przychodzą konać u stóp moich. O morze Pośródziemne! przebaczam ci i odpuszczam.

Najświętszą daję ci absolucję. Idź i nie grzesz więcej. Podobnie jak ty, winien jestem błędów, o których nie wiem wcale. Ty spowiadasz się nieustannie u wybrzeża tysiącem twych ust jęczących, a ja spowiadam się tobie, o wielkie, święte morze, zwiędłemi memi usty. Spowiadamy się jedno przed drugim. Rozgrzesz mnie, jako ja cię rozgrzeszam. Powróćmy do niewiadomości i czystości. Tak niechaj się stanie.

Cóż uczynię na ziemi? Niechaj powstanie pomnik ubłagalny, pomnik dla wiary, która nie wie. Wieki, które przyjdą, powinny poznać zbożność naszą i nigdy nie rozpaczać. Bóg poprowadził ku sobie maluczkich krzyżowców, przez święty grzech morza; niewiniątka zostały wytępione; ciała niewiniątek będą miały przytułek. Siedm okrętów zatoneło u skały Pustelnika; zbuduję na tej wyspie świątynię Nowych Niewiniątek i ustanowię przy niej dwunastu prebendaryuszów. A ty oddasz mi ciała mych dzieci, o morze niewinne i poświęcone; przyniesiesz je ku wybrzeżom wyspy; a prebendaryusze złożą je w krypcie kościoła; i zapalą nad niemi lampy wiekuiste, w których płonąć mają oleje święte, i będą pokazywali zbożnym wędrowcom wszystkie te drobne kosteczki białe rozparte wśród mroku.

PRZEŁOŻYŁ

Zenon Przesmycki
(Miriam).

Marceli Schwob.

Hyperion.



KSIEGA II.

*A na to samo uderzenie wielkich,
szerokich skrzydeł Czasu, gdy Hyperion
utonął w falach powietrznych, Saturnus
dotarł wraz z Theą do posępnej schroni,
w której Cybelę i innych pobitych
szarpał tytanów żal nad straszną kleską.
Była to grot, gdzie światło zuchwale
nie mogło padać na ich łzy, gdzie oni
czuli swe jęki, lecz ich nie słyszeli,*

bo je tłumili grzmoty wodospadów
i ciągle szумы ochrypłych potoków.
Urwiste granie i podarte turnie,
jak gdyby ze snu strzeliwszy do góry,
potworne swoje wysuwały wierzchy
i fantastycznych tysiącem załomów
dziwnie stosowne tworzyły sklepienie
dla tego gniazda boleści. Tytani,
zamiast na tronach, siedzieli na twardych
piargach krzemiennych, albo spoczywali
na ostrych głazach i na najeżonych
kruszcami złomach łupkowych. Nie wszyscy
byli tam razem; jednych udręczały
ciężkie kajdany, inni gdzieś błądzili.
Coeus i Gyges oraz Briareusz,
Porfirion, Dolor i Tyfon i inni,
najodważniejsi, najzuchwalsi w szturmie,
znosili karę straszliwą w regionach,
w których zamierał im oddech. Więzieni
w żywiołach mroków, zgrzytali zębami,
a wszystkie członki ich, podobne żyłom
jakiegoś kruszcu, leżały bez ruchu,
powykręcane albo wyprężone;
tylko ich serca, straszonym żarte bólem,
febrycznych ogni pełne, głośno biły
pulsom krwi wrzającej. Po świecie szerokim
gdzieś się błąkała Mnemosyne; Febe
błądziła zdala od swego księżycy;
i wielu innych nawykło wędrować
po różnych stronach, lecz dzisiaj znaleźli
schron tutaj straszny. I porozrzucane
leżą naokół te obrazy życia,
ogromne, martwe, niby druidyczne
głazy na smutnych, opuszczonych bagnach.

*kiedy w posepny czas listopadowy
deszcz zaczął padać pod wieczór, a niebo
w mrok ich ołtarne otula sklepienia.
Każdy miał tutaj swoją ustronń własną
i ni spojrzeniem, ni słowem, ni jakimś
rozpacznym czynem, nie zwracał się wcale
do swych sąsiadów. Jednym z nich był Kreus.
Jego potężna, żelazna maczuga
leżała przy nim, a głazne, strzaskane
zębro opoki świadczyło wymownie,
jaką miał w duszy przewspaniałość siły,
nim padł, zwyciężon, w smutku i żalobie.
Drugim był Japet, trzymający w garści
śliski kark węża: temu żądłowaty
z gardzieli zwisał język, zasię kregi,
wzdłuż rozprężone, opadły zdrewniałe:
dziś już ten potwór nie mógł bryzgać jadem
w twarz zwyciężkiego Jowisza. Tuż obok,
twarzą do ziemi, leżał Kottus, czaszką
bijąc straszliwie o krzemienne głązy,
usta z cierpkiego wykrzywiając bólu
i przewracając oczyma. Opodal
widziałeś Azyę, Kafa olbrzymiego
potężną córkę, co, chociaż niewiasta,
o wiele więcej matce swej, Tellurze,
sprawiła cierpień, niż który z jej synów.
Więcej zadumy było w jej obliczu,
niżli męczarni, gdyż wzrokiem proroczym
widziała przyszłą swą świetność: w palm cieniu
przez jej szeroką wyobraźnię rosły
na świętych wyspach Oksu i Gangesu,
współzawodnicząc w mocy i ogromie,
wielkie przybytki, wspaniałe świątynie.
Jak się Nadzieja wspiera na Kotwicy,*

tak też i ona, aczkolwiek mniej wdzięczna,
stała oparta na zębie, wypadłym
przenajwiększemu z jej stoni. Ponad nią,
na stromej turni, leżał wyciągnięty,
wsparty na łokciach, chmurny Enceladus.
Dawniej łagodny był on i spokojny,
jak wół pasący się na kwiatnych błoniach,
nierozsierzdzony przez nikogo; teraz,
wściekły jak tygrys, jak lew, knowający,
myślał i dumał, snuł jakoweś plany;
on to niedawno rzucał naokoło
góry na góry, w długiej wojnie bogów
młodsze smagając bóstwa, że, spłoszone,
kryły się w zwierząt i ptaków postaci.
Obok był Atlas; przy nim ojciec Gorgon,
Forkus, na wznak się położył. W sąsiedztwie
był Oceanus i Tethys. W spowiciu
włosów na łonie jej tkąła Klymene.
A wśród nich wszystkich Themis — u stóp Opsy,
onej królowej, osłoniętej mgłami,
nie więcej oczom widzialnej, niż ciemne
wierzchołki świerków, gdy je noc głęboka
otuli w chmury. Było-ci tam jeszcze
i wielu innych, których nie wymienię.
Bo kiedy Muza wzniesie się na skrzydłach
w wyże powietrzne, któż wstrzyma jej loty?
A teraz śpiewać musi o Saturnie
i towarzysze jego, którzy chwiejnym
wydobywali się krokiem z głębiny
straszliwej puszczy. Ponad ciemną turnią
pojawily się ich głowy; ich postać
rosła i rosła, aż się krok ich zrównał
z poziomem szczytu i spoczął. I wówczas
Thea, ramiona rozpostartszy drżące

wkrąg nad tem gniazdem katuszy i z boku
wlepiwszy oczy w oblicze Saturna,
ujrzała ciężką w niem walkę. Najpierwszy
z pomiędzy bogów zmagał się z wszelaką
słabością bólu, gniewu, przerażenia,
zemsty, wyrzutów, żalu i nadziei,
ale najbardziej z rozpaczą. Daremnie
walczył przeciwko tym plagom, albowiem
na głowę jego połało już Fatum
olej śmiertelny, jad, co mu odbierał
piętno boskości; i Thea, przelekła,
dała mu spokój, puściwszy go naprzód
między olbrzymów zwyciężone plemię.

Jak między nami, śmiertelnymi ludźmi,
serce, dotknięte bólem, jeszcze bardziej
rwie się i szarpie, jeżeli się zbliża
do progów domu, gdzie serca boleją
równem cierpieniem, tak i Saturn, wszedłszy
między pobitych, o mało nie upadł.
Ale się spotkał z okiem Encelada,
a wyraz mocy i czci, w niem zawarty,
przejął go niby natchnieniem. I krzyknął:
„Patrzcie, tytani, na boga waszego!”
I na to jedni zajękli, a inni
z miejsc się porwali na nogi, znów inni
ten sam ze siebie wyrzucili okrzyk,
lub wybuchnęli płaczem albo skargą,
a wszyscy z czią się skłonili przed bogiem;
i Ops, zasłony uchyliwszy czarnej,
skroni ukazała bladą, zgasłe lica,
i wielkie łuki brwi, i głębie oczu.

Szumy powstają w ciemnych wierzach świerków,
gdy Zima głos swój rozpuści; szmer idzie
po nieśmiertelnych, kiedy Bóg do góry
podniesie palec na znak, że w tej chwili
obciąża język swój ciężarem myśli,
muzyką grzmotów i błyskawic: szmer ten
jest jak ów poszum w ciemnych wierzach świerków.
Gdy ten zamilknie w swoim górskim świecie,
żaden już podzwiek nie nastąpi po nim;
ale gdy tutaj, między pobitymi,
szmer ów przystanął, począł głos Saturna
rość niby organ, który wraz na nowo
brzmień rozpoczyna, kiedy przygłuszone
przestaje drżeć już powietrze od srebrnych,
nagle urwanych brzmień poprzednich... Oto
jak głos ten zwolna wzmagął się: „W mem sercu,
które jest własnym swym sędzią, nie mogę —
nie umiem znaleźć przyczyny, dla czego
to nas spotkało. Nie mogę jej znaleźć
ani w legendzie o pierwszym z dni świata,
zawartej w księdze o stronicach z ducha,
którą Uranus gwiazdzisty swym jasnym
zratował palcem od brzegów ciemności,
kiedy ją chciały lekko wzdęte fale
pogrążyć w swoich półmrokach — w tej księdze,
którą wy znacie, a którą dla siebie-m
za silny wybrał podnózek: niestety,
jak mało silny! W znakach, ni symbolach,
ani we wróżbach żywiołów, powietrza,
ognia, i wody, i ziemi, — w pokoju,
wojnie czy sporze wzajemnym jednego
przeciw jednemu, dwóm, lub trzem, lub wszystkim,
albo gdy każdy poszczególnie walczy
z trzema drugimi, jak ogień z powietrzem

*głośno się zmaga, kiedy strumień deszczu
zalewa obu i obu przyciska
do twarzy ziemi, przyczem, skoro znajdą
siarkę, poczwórna już tym biednym światem
wstrząsa i szarpie nawala, — w tej nawet
potwornej walce, z której potrafiłem
głęboką czerpać naukę, nie umiem
znaleźć powodu, przecz to nas spotkało:
Nie, nie! Choć śledzę, choć ślepię, nieomal
omdlewający, nad księgą natury,
nad rejestrami wszechbytu, nie mogę
dotrzeć do przyczyn, dla których wy, bóstwa,
wy pierwsi z widnych, dotykalnych bogów,
tak-ście marnie ulegli tej sile,
co, gdy ją z waszą porównać, nie wzbudza
żadnego strachu... A jednak leżycie
przezwyjętzeni! pobici! w pogardzie!
Mówię: „powstańcie, tytani!“ — jęczycie.
Mówię: „w proch z wami!“ — jęczycie! Cóż czynić?
O wielkie niebo, Ojcie niewidzialny!
Cóż ja wydołam? O bracia bogowie,
wskażcie mi drogę, jak bojować mamy,
jak mamy gniew swój ukoić szalony!
Podajcie radę! łaknie jej zgłodniałe
ucho Saturna. W tobie, Oceanie,
mieszka rozważa, szczytna i głęboka;
z podziwem patrzę, jak na licu twojem
myśl natężona rodzi pewne siebie
zadowolenie: dopomóż! dopomóż!”*

*Tak skończył Saturn; a wówczas bóg morza,
mędrzec - sofista, nie z gajów ateńskich*

*czerpiący wiedzę, lecz z mroku wód swoich,
wstał, z nieociekłym naokoło włosem,
aby poszeptem, który język jego
chłonał, w swych pierwszych wysiłkach, jak dziecko,
od tych pieniających się piasków nadbrzeżnych,
taki rozpocząć rozhowor: „Bogowie,
wy, którzy własnym dławicie się żalem,
szarpani gniewem, pożerani złością,
w kurczach ginący z tej bolesnej klęski,
przylepcie zmysły, ten swój słuch przytłumcie,
gdyż w moim głosie nie grzmi zapalczywość!
Przecież, kto pragnie, niechaj mnie wysłucha:
albowiem chcę wam dać dowód, jak chętnie
każdy się ugiąć powinien; a wiedźcie,
że w tym dowodzie niosę wam pociechę,
jeżeli czerpać chcecie ją z tej prawdy.
Prawo natury zmogło nas, nie siła
gromu lub Zeusa. O wielki Saturnie,
wszechświat atomów tyś przejrzał najlepiej,
ale żeś królem i że ślepym jesteś
właśnie przez swoją królewskość, dla tego
jedna twym oczom zakryta jest droga,
którą ja szedłem ku prawdzie wieczystej.
Więc przedewszystkiem: jak nie byłeś pierwszą,
tak też nie jesteś potęgą ostatnią
i być nie możesz. Nie jesteś początkiem
ani też końcem! Chaos to i Ciemność
stworzyły światło, ten najpierwszy owoc
wewnętrznych bojów, ponurych zaburzeń,
dojrzewających dla celów przedziwnych.
Nadeszła chwila dojrzenia, z nią światło —
i światło, z własnym skojarzone stwórcą,
wydało wszystką bezmierną materię.
I objawili się nasi rodzice —*

Niebo i Ziemia — w tej samej godzinie,
a potem świata objęliśmy władzę —
ty, pierworodny, i my, ród olbrzymów.
Teraz ból prawdy idzie, jeśli komu
będzie on bólem! Szaleństwo! Boć przecie
z spokojem znosić wszystką prawdę nagą
i wszystkie losy to szczyt wspaniałości!
Bacząc, co mówię: Jak Niebo i Ziemia
władyc doskonalsze, niż Chaos i Ciemność,
choć i te ongi miały panowanie;
jak zasię po nich widzimy Niebiosa
i Ziemię w kształtach potężne i piękne,
w woli i czynach wolne, a łączliwe,
oprócz tysiąca innych, jawnych znaków
czystszeżo życia, tak dziś w nasze ślady
wstępuje świeża, piękniejsza potęga,
z nas urodzona i na to, ażeby
wzbić się nad nami, jako myśmy ongi
zmogli chwalebnie dawną moc ciemności.
A przeto klęska nasza nie jest większą,
niż bezkształtnego upadek Chaosu,
sprowadzon przez nas. Czyż ta bryła gleby
może uragać lasom, które sama
wychodowała i ciągle hoduje,
a które od niej tyle czarowniejsze?
Czyż może ona nie uznać przewagi
zielonych gajów? Albo czyliż drzewo
śmie gołębiczy zazdrościć, że grucha
i że na śnieżnych polatuje skrzydłach,
kiedy jej wola, gdzie ma rozkosz swoją?
My to jesteśmy jak te drzewa w lesie,
tylko że z naszych wspaniałych gałęzi
nie wyszły blade, samotne gołębie,
lecz złotopióre orły, co szybują

*w swojej piękności wysoko nad nami
 i przez to muszą panować, albowiem
 takie jest prawo: Kto pierwszy pięknością,
 ten ma być pierwszy i władzą. Zapewne,
 przez to odwieczne prawo tak się stanie,
 że nowe plemię wtrąci kiedyś w smutek
 naszych zwycięzców, jaki nas dziś gniecie.
 Czyście widzieli wóz młodego boga,
 co moje zabrał dziedzictwo?... Słuchajcie,
 czy widzieliście to jego oblicze?
 ten wóz, naokół bryzgający pianą,
 zaprzężon w lotne, skrzydlate rumaki,
 stworzone przezeń samego? Jam widział,
 jak mknął po gładkiej, spokojnej przestrzeni,
 z ogniami takiej piękności w źrenicach,
 że smutne zaraz rzucił pożegnanie
 swemu Królestwu. Smutnie-m się pożegnał
 i oto-m przybył, ażeby zobaczyć,
 jak bezkłośnie przemogły was losy
 i czy nie mógłbym dodać wam otuchy
 w tym strasznym bólu. Przyjmijcie tę prawdę
 i niechże ona będzie wam balsamem.“*

*A kiedy przebrzmiał szept Oceanowy,
 umilkli wszyscy — z gniewu, czy dla tego,
 że ich przekonał i zawstydził? Jakaż
 myśl to odgadnie, choćby się najgłębiej
 zastanowiła? Przecież tak się stało,
 że nikt doraźnej nie miał odpowiedzi,
 oprócz Klymeny, na którą nie zważał
 żaden z obecnych. Lecz i ta nie na to
 poczęła mówić, aby odpowiadać,*

tylko, z przedziwną łagodnością w oku
na zasmuconych spoglądając bogów,
taką wargami poczerwieniałemi
zaniósła cichą, bojaźliwą skargę:
„Ojcie! jam tutaj najslabszym jest głosem
i wiem jedynie to, że znikła radość
i że ból wypełznął do naszego serca,
aby w niem zostać, ach! może na zawsze!
Nie chcę być wrózką złego, jeśli mniemam,
że takie słabe mogłoby stworzenie
odwrócić pomoc, która się nam z prawa
od bóstw należy wszechwładnych. Pozwólcie
wyjawić przecież mą troskę, pozwólcie
powiedzieć sobie, co doszło mych uszu,
co mi wyciska łzy i przekonywa,
że nas już wszystkie odbiegły nadzieje!
Stałam na brzegu, na uroczym brzegu,
dokąd z krainy ciszy, drzew i kwiatów
zalatywały przewonne powiewy.
Wszystko spokoju pełne i rozkoszy
jak ja cierpienia — tak pełne radości
i rozkosznego, łagodnego ciepła,
że serce moje poruszyła żądza,
by lżyć samotność, aby jej złorzeczyć
pieśniami skargi, muzyką tych naszych,
nieszczęsných bólów. Siadłam, wzięłam konchę
i jełam szepty przelewać w jej wnętrze
i snuć melodyę — o, już nie melodyę!
Bo gdym śpiewała, głuche muszli echa
śląc nieudolnie na tchnienia powietrzne,
z przeciwnej strony, od wyspy lesistej,
oblanej wodą, dźwięk przyłynął ku mnie
z pogwarem wiatru — dźwięk tak czarujący,
że mi zagarnął słuch i porwał całą.

*W piasek rzuciłam swą konchę, a fala
 wraz napelniła jej wnętrze, jak moje
 napelniał zmysły pogłos tej złocistej,
 nowej melodyi. W każdym rajskim dźwięku
 śmierć była żywa, — w każdym ich strumieniu,
 które płynęły wciąż, jeden za drugim,
 i znów się razem zlewały, jak perły,
 kiedy się sypią z przerwanego snura.
 I potem znowu jedna pieśń za drugą
 poczęły krążyć naokół mej głowy,
 niby gołębie, które pofrunawszy
 z swoich gałęzi oliwnych, muzykę
 mają w swych skrzydłach, zamiast piór milczących,
 i o chorobę wnet mnie przypawiły —
 razem: z zadrzota i bólu. Ból przemógł,
 i odurzone zatkam sobie uszy,
 gdy wtem, pomimo drżących rąk oporu,
 przedarł się ku nim głos przenajdźwięczniejszy,
 głos wołający: „Młodzieńczy Apollo!
 Apollo! młody, jutrzniany Apollo!“
 Chciałam uciekać, lecz głos mnie doścignął,
 Głos wołający: „Apollo! Apollo!“
 O ty! mój Ojcie! o bracia! gdybyście
 czuli mą boleść, gdybyś ty, Saturnie,
 czuł, co ja cierpię, nigdybyście moich
 nie potępili słabych słów, że śmiały
 mieć uroszczenie, by je wysłuchano.“*

*Głos jej popłynął jak potok lękliwy,
 który, krzemiennem wlokąc się łożyskiem,
 boi się spotkać z morzem; ale morze,
 wraz go spotkawszy, zadrztało: potężny*

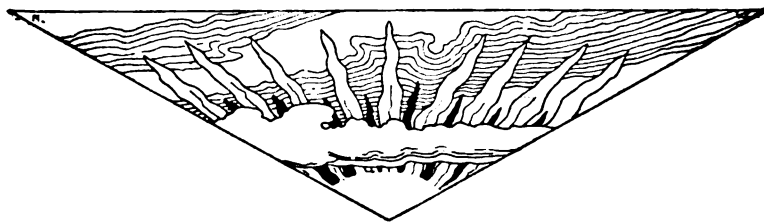
głos Encelada wielkim weszbrał gniewem:
Jak głuchy łoskot fal w napół ukrytych
jaskiniach turnic, huczały bałwany
ciężkich wyrazów, które z swego łona
wylewał, wsparty na łokciach — nie wstawał
z wielkiej pogardy: „Mamy-li, bogowie,
słuchać tu dzisiaj olbrzymów przemądrych
czy też przegłupich? Piorun za piorunem,
do ostatniego wyrzucan z zbrojowni
zdrajcy Jowisza, jeden świat za drugim
na moich piętrząc ramionach, niewielszą
sprawił mi boleść, niż dziecinne słowa
śród tych straszliwych pogromów. Tylani!
zbudźcie się ze snu! krzyczcie! drżycie! ryczcie!
Zapomnieliście o tych ciszach krwawych?
O tych hańbiących policzkach? Was wszystkich
zmiażdżyło ramię dzieciucha! Słyszycie?!
A ty, wrzekomy władco wód, czy dzisiaj
już zapomniałeś płomiennych błyskawic,
które smagały twe morza? Co? jakto?
Więc z odrętwienia mogło was obudzić
te kilka prostych słów mych? O radości!
Teraz ja widzę, żeście nie zgnębieni!
Teraz już widzę, jak oczu tysiące
goreją żądzą odwetu!” To mówiąc,
wyprężył w górę swą postać olbrzymią
i, wstawszy z miejsca, tak przemówił dalej:
„Teraz jesteście płomieniami, ja was
nauczę palić, ja wam dziś pokażę,
jakby od wrogów oczyścić powietrze,
jak porozżagwiać krzywe ognia groty,
i jak spopielić wzdęty obłok Zeusa,
jak młodzienszka tego w jego własnym
zdusić namiocie. O, niechaj odczuje

zbrodniczą krzywdę, którą nam wyrządził.
 Bo chociaż gardzę słowem Oceana,
 ja nad czemś więcej boleję tu dzisiaj,
 niż nad utratą królestwa: minęły
 chwile spokoju i senliwej ciszy —
 chwile, tak obce niweczącym walkom,
 gdy wszyscy niebios nadobni mieszkańcy
 schodzili ku nam z rozwartą żrenicą
 słuchać słów naszych. Było to, gdy jeszcze
 nie marszczyły się gniewnie wasze czoła,
 gdy usta wasze znały li jedynie,
 solenne dźwięki; było to, gdy jeszcze
 nie było znane skrzydlate zwycięstwo,
 bądź utracone, bądź też odniesione.
 A pamiętajcie, że dotąd Hyperion
 nie uległ hańbie, brat nasz najjaśniejszy,
 o, tak, Hyperion — oto jego promień!”

Wszystkich się oczy zwróciły ku licom
 Enceladowym, i gdy z ust tytana
 ku szczytom turnic popłynęło imię
 Hyperiona, spostrzegły, jak bladym
 przeblyskiem światła drgały jego rysy.
 Nie było w rysach tych gniewu, bo widział,
 że inne bóstwa tak samo płonęły
 żądzą pomśzczenia. Spojrzał po nich wszystkich
 i w twarzach wszystkich dostrzegł promień blasku.
 Ale najbardziej gorzał Saturn stary;
 włos jego siwy lśnił się jako piana,
 obryzgująca wokół piersi statku,
 kiedy północą wjeżdża do zatoki.
 I tak w tej bladej, srebrnej stali ciszy,

gdy światło jakieś, by odbrzask poranku,
przenikło naraz wszystkie strome skały,
wszystkie posępne schronie Zapomnienia,
wszystkie cieśniny, wszystkie przepadliska,
wszystkie te turnie, wszystkie czarne głębie,
słaby milczące, albo też ochryple
od rozhukanych, szalonych potoków.
I nagle wszystkie wieczne wodogrzmoty,
wszystkie siklawy, dalekie i bliskie,
przedtem w posępne otulone mroczą,
zaśniły w świetle w całej swojej grozie!
Był to Hyperion: jaśniejącą stopę
na granitowym postawiwszy szczycie,
ujrzał niedolę, którą światłość jego
w straszliwszym jeszcze ujawniła kształcie.
Włos miał złocisty, na wzór numidyjskich
skręcony puklów, a majestatyczna,
królewska postać rzucała olbrzymi
cień wśród swej własnej jasności, by ogrom
głazu Memnona przy zachodnim słońcu,
widzialny oczom wędrowca po Wschodzie.
I jęk wydawszy, jak harfa Memnona,
i załamawszy ręce, zamyślony,
stał tak milczący w głębokiej zadumie.
Zwątpienie zdjęło powalonych bogów,
kiedy przy sobie króla Dnia ujrzeli
pozbawionego otuchy: i lice
zakrył niejeden przed tą falą światła.
Lecz Enceladus dummem powlókł okiem
po swoich braciach, a na błysk tych źrenic
podniósł się Japet, i Kreus, i Forkus,
i wszyscy razem zwrócili swe kroki,
kiedy on wielką wystrzelił postacią.
I czterej razem wywołali głośno

*imię Saturna, a na to Hyperion
ze swego szczytu odkrzyknął: „Saturnie!”
Saturn zaś siedział obok Matki bogów,
w obliczu jego nie było radości,
jakkolwiek wszyscy bogowie z głębokich
poczęli wołać gardzieli: „Saturnie!”*



PRZEŁOŻYL
Jan Kasprowicz.

John Keats.

Z utworów Wasyla Stefanyka.



DZIADEK.

Odłożył grabie, usiadł na miedzy, lulkę zapalił i jał sam z sobą rozmawiać. Z początku pocichu, a potem głośno.

— Trochę trza spocząć, bo pokaż się jeno w domu, zaraz ci znajdą robotę. Synowa, aby zdrowa, zaraz rzeknie: Nie siedzicie-ż darmo, dziadku...

— A Bóg mi świadkiem, że ledwie przebieram członkami. A ręce, patrz, jak zgrzebło, a już cały miesiąc się nie golilem, a do cerkwi pono ścieżki zapomniałem. W czym pójdę, kiedy mi wszystko zabrali?

Głos dziadka wędrował po polu, z miedzy na miedzę. Ludzie się zglądali. A on nie przestawał się skarżyć.

— Ech, dzisiaj - ci dzieci! Ale ja, dziękować Bogu, pamięci nie utracilem jeszcze, pamiętam-ci ugodę notaryalną. Suchutki był panisko z bródką ten notaryusz.

On-ci tak synowi tłumaczył. Dla dziadka, mówi, dopóki żyć będzie, ma zostać pościel, on ma na niej spać, wylegiwać się, aby nawet do wschodu słońca. A gdy go na ławę położycie, powiada, i ziemią przysypiecie, wtedy dopiero przenoś się ty z ławy na dziadka pościel. A dla baby, mówi, ma pozostać zapiecek, na nim niech się wygrzewa, niech się Bogu modli, a gdy ją umyjecie i ręce na krzyż jej złożycie, wówczas niech synowa na zapiecek lezie.

Jesienny wiatr igrał z siwym włosem dziadka.

— Ale niech-no notaryusz pod wieczór zagładnie do chaty. Syn na pościeli, synowa na zapieceku, a ja ze starą na ziemi, na słomce się walamy. A to sprawiedliwie! A gdzież jest Bóg? Pono u tych ludzi niema Boga w sercu, och, niema...

Głową kiwał, że młodzi ludzie w sercu Boga nie mają.

— Gińcie, staruchy, szkoda łyżki strawy dla was. Mleczko spijają, serek zjadają, a my jak szczenięta na nich spozieramy. A ja im dał krówkę, dał owieczkę, dał pług, wszystko dał. Ludzie dają, i ja dałem. A dzisiaj oni powiadają: wy starzy, słabi — to jedzcie mało. Tak powiadają nam nasze dziatki.

Głos dziada drgnął, i dziad umilkł.

— I jak psów nas pogrzebią, dalibóg, nawet buta na nogi nie wdzieją...

Gromada bocianów zleciała na oczeret i zatrzepotała nad dziadem skrzydły, aż się przeląkł. W ciepłe kraje do odlotu się gotowały.

— Oho, już jesień. Tak, tak, niebawem będziemy mieli Boże Narodzenie...

— Chociaż ptak, ale rozumne stworzenie, tylko, że nic nie mówi. Jemu źle, i szuka sobie lepszej przystani. W zimie żab niema i zimno. A ono wie naprzód. Nie tak, jak człowiek, co musi biedować na jednym miejscu.

Wstał z miedzy, lulkę schował, wziął grabie i puścił się do domu. Jeszcze kilka razy obracał się, by popatrzeć na bociany. Wreszcie stanął.

— Nie wiedzieć, czy ze starą doczekamy, aż wróca? Pono ktoś z nas się minie, pono już bocianów nie ujrzemy.

SKON.

Gdy nadeszła głucha jesień, gdy z lasu liście opadło, gdy pole okryły czarne wrony, wtedy do starego Łesia śmierć przyszła.

Umierać trzeba każdemu, śmierć nie straszna, ale długo leżeć — męka. I Łeś męczył się. Chora wyobraźnia unosiła go w jakiś inny świat, a potem wyrzucała go z niego. A ten inny świat był boleśnie dziwny. I niczem Łeś nie mógł się oprzeć temu światu, tylko jednemi oczyma. Dlatego też owemi błyszczącemi, zmęczonemi oczyma miał się małego kagańca. Chwytał go się, trzymał, i wciąż się lękał, że powieki zamkną się, a on się stoczy w bezdenną otchłań.

Przed łóżkiem jego, na ziemi, po nieprzespanych nocach snem zdjęci, spoczywali rzędem synowie i córki. On się z wysiłkiem miał oczyma kagańca i zmagił się ze śmiercią. Powieki wciąż mu opadały, gdyby ciężar wielki

Widział dużo dziewczątek na podwórzu. Każda trzyma wiązkę kwiecica w ręce. Wszystkie spozierają na mogiłę, śmierci oczekują. Potem wszystkie zwracają oczy ku niemu. Chmura oczu sinych, i siwych, i czarnych. Chmura ta płynie ku jego czołu, muska je i ochładza...

Przetarł oczy, chwycił między palce żyłę na szyi, bo z karku mu głowę strącała, i pomyślał sobie:

„Patrz, oto anioły przed śmiercią ukazują się.“ A gdy tak myślał, z przed oczu jego uciekł kaganiec.

Pole równe, dalekie, od słońca spieczone. Błaga wody, drży i ziele przygarnia do siebie, by się z niego wilgoci napić. Orze na niwie i rękoma nie może utrzymać czepiela, bo pragnienie go pali w gardle. I woły widać pali, bo nozdrzami ryją wilgotną ziemię. Wypuszcza z rąk czepiele, pada na niwę, a ona go spala na węgiel...

Kaganiec wywiódł go z tego świata.

„I nie raz, i nie dwa bez wody na polu ginąłem, u Boga to wszystko zapisane!“

I znowu stoczył się.

U rogu stołu siedzi nieboszczka jego matka i śpiewa piosnkę. Głos ściele się po izbie cicho i smutnie i dochodzi do jego uszu. To owa piosenka, którą mu matka jako dziecku śpiewała. I on płacze i boleje, i dłońmi łązuje. A pieśń matki prosto w duszę idzie, i wszystkie męki z tą pieśnią tam płaczą. Matka dąży ku drzwiom, za nią i pieśń idzie i męki z duszy.

I znowu ukazał mu się kaganiec.

„Matka z tamtego świata ma zejść, by nad swoim dzieckiem zapłakać. Takie boskie prawo.“

Chłód mrozi mu członki, chciał kozuchem je przykryć; wtem zawarły mu się powieki.

Donośne dzwony jęczą i kresami głowy jego dotykają. Głowa trzaska się, z ust zęby wylatują. Serca dzwonów odzywają się, i padają mu na głowę, i ranią go...

Powłóczył straszniemi, nieprzytomniemi oczyma.

„Ślubowałem sobie dzwon zakupić, aby we wsi o pożodze znać dawał, ale ciasne roki były... Przebac mi, Boże miłościwy!“

I znowu stoczył się w otchłań.

Z góry, z ogromnej wysokości spadają na niego snopy jęczmienia. Padają i zasypują go. Oście lezie mu do ust, do gardła. Pali czerwonymi igłami, i zbiega się koło serca, i piecze piekielnym ogniem, i żga w samo serce...

Otworzył oczy już martwe i bezświatłne.

„Marcinowi nie dawali zarobionego jęczmienia i ten jęczmień śmierć mi sprowadza.“

Chciał dzieci zawołać, aby oddali jęczmień Marcinowi, ale krzyk przez gardło nie mógł się przecisnąć, tylko niby gorąca smoła po ciele się rozchodził. Wywiesił czarny język, wetknął w usta palce, aby wydobyć głos z gardła. Ale zęby zawarły się i ścisnęły palce. Powieki opadły.

Okna otwierają się w chacie. Do chaty wsuwa się biała płachta i snuje się bez końca i miary. Jasno od niej, gdyby od słońca. Płachta spowija go jak maleńkie dziecko, naprzód nogi, a potem ręce, plecy. Mocno. Jemu lekko, lekko. Potem wchodzi do głowy i łaskoce mózg, wciska się w każdy staw i miękko wyściela. A pod koniec obmotuje gardło coraz silniej, coraz silniej. Obiega gdyby wiatr dookoła szyi i obmotuje, obmotuje...

SZARA GODZINA.

Nie mógł usiedzieć: coś pędzało go od ściany do ściany. Chodził tylko wciąż po izbie. Meble i kąty zacierają się i giną w zmroku wieczornym. Grzebał we wspomnieniach z lat dawnych.

— To owa chwila, w której dzieci małe wybiegają z izby na łąkę i bawią się wesoło i zwawo. O tej porze

dziewczęta nie chcą pędzić bydła do domu, bo mówią, że gdy zorza wieczorna wychodzi na niebo, to głos się na rosie ściele, i śpiewają, aby głos się słał. A w zimie, matki kądziel przędą i śpiewają swe panieńskie piosenki, ale tak smutnie, jakgdyby tęskniły za laty młodei. A dzieci kupią się, szepcą za piecem i zasypiają bez wieczerzy. Dziwną jest szara godzina.

Chodził i tarł ręką czoło, jakby w czaszce chciał zamknąć wszystkie myśli, aby mu się nie wymknęły, bo pragnął gorąco je sobie przypomnieć.

— Ciekaw jestem, co też on porabia? Takim był szczerym przyjacielem. Pamiętam dobrze, jak raz siedziałem u niego w ogrodzie. Mówił, zda się, wtedy o białych chmurkach. Biała chmurka, mówi, ze złotemi brzegami przesuwa się po niebie, gubi białe lilie, i idzie dalej, i sieje, sieje mnogo tego kwiecica po sinem niebie — a za godzinę niemasz ani chmurki, ani lilij. Tylko błękitne niebo marszczy się, jak błękitne morze. Prawda, czegoś wtedy się smucił...

Chodził. Oczy łagodniały mu jak u dziecka.

— Ach, już zapomniałem ciąg dalszy. Zapominam pieśni matczyne! A do niedawna je pamiętałem. Zaraz. Pędzałem z Marylą owce w pole, na łąkę. Maryła wyszywała sobie rękawy w fasolki. Fasolki wyszywała na czerwono, ogonki na sino, a wolną między fasolkami przestrzeń obrzucała czarną włóczką. Musiałem owce zawracać, bo Maryła starszą była. Jedna srebrzysta owca była niesforna. Żadnej grzędzie nie darowała. Zrzuciłem krajkę z siebie i spętałem ją. Był spokój. Biegałem nieopasany popod wierzbami, gwizdałem i hałasowałem na całe pole. Potem Maryła mnie jeść zawołała. Jedliśmy chleb i ser z listka...

Usiadł na fotelu. Wspomnienia z lat dzieciństwa

gnały go, jak sen, na kwieciste jakieś łąki. Mnogo kwiatów, ziela, tylko rwać, rwać...

— Potem macierz przyszła do nas. Wraciała z pola, bo nosiła jeść robotnikom. Dała nam mleka i ogłądała rękawy Maryli. Upominała Marylę, aby nigdy nie brała po trzy nitki, tylko po dwie poza igłą, bo fasolki będą brzuchowate. A mnie mówiła, abym nie staczał się z góry, bo podreć koszulinę, albo sobie brzuch pokaleczę. „Nie swywoł, chłopcze, nieopasany, jak koń po polu, ale siedź sobie koło Maryli i owiec pilnuj!” A ja sobie leżałem koło matuli i biłem nogami o trawę, a matula mówiła: „Czy nie możesz chwilki cicho posiedzieć?” Wtem zleciał bocian i chodził koło nas. Matka wzięła mię na kolana i poczęła śpiewać:

*Oj, bocianie, nie koś siana,
bo się zrosisz po kolana.
Tylko niech ta czapla kosi,
co na bakier czapkę nosi.*

Pogrążył się w myślach, aby przypomnieć sobie dalszy ciąg pieśni, i nie mógł! Oczy mu posmutniały.

— Zaraz, zaraz. Matka poszła do domu, a jam biegał do wieczora za bocianem i śpiewał: „Oj, bocianie, nie koś siana...”

Rozpędzał się, jak chłopak, co chce rów przeskoczyć i zawsze nad samym jego brzegiem się zatrzymuje.

Pierwsze słowa pieśni wygłaszał głośno, ale dalszego ciągu nie zdołał sobie przypomnieć. Westchnął. Czar-na obwódka koło oczu jeszcze bardziej poczerniała.

— Mój Boże, nie mogę uchwycić wątku tej nici, co się urwała! Urwała się już wtedy, kiedy matka myła mi nogi i wydierała czyste onuce ze starej koszuli, a ojciec buciki czyścił. Plakaliśmy wszyscy wówczas, bo wyprawiali mię w świat na naukę. I chodziłem po świecie,

i giałem się, jak łożyna, dla kawałka chleba, i czułem na sobie setki ocz dumnych.

Ruszył ręką, jakby chcąc odpędzić od siebie te dumne oczy.

— Po latach przyjechałem w odwiedzinę do matki. Ojciec już nie żył. Macierz zgarbiona z kosturem w ręku siedziała na przyźbie i grzała się w słońcu. Nie poznała mnie. Potem witała się ze mną. „Nasza, synku, Maryla zgasła. Nie pisałam ci o tem, byś się nie martwił. Umierając, ciągle się wypytywała o ciebie. Durzyliśmy ją, że nadjedziesz. I jeszcze tego dnia, kiedy umarła, mówiła, że chciałaby ujrzeć cię bodaj przez okno, bodaj przez próg idącego. I umarła.“ Tak się ta nić urwała.

Nieświadomie powtarzał pieśń matczyną: „Oj, bocianie, nie koś siana...“ Tak z dziesięć razy powtórzył.

— Poszliśmy z matką na cmentarz. Macierz ledwie doszła. „Patrz, synku, oto grób Maryli. Już posadziłam i rutę i barwinek, i krzyż pomalować dałam, ale wisienki jeszcze nie posadziłam, aż w jesieni posadzę.“ Usiedliśmy koło grobu. Matka opowiadała mi o biednej Maryli. Mąż zły, dzieci drobne, bieda w chacie. Wiatr zdmuchiwał z wisien białe kwiecie. Kwiecie padało na grób i na nas. Zdawało się, że kwiecie zrasta się z białym włosem matczynym i że rosa z kwiecia spada na matczyne jagody. Przypomniałem sobie wówczas, jak pisałem owce z Marylą...

Łzy gorące stoczyły się na stół. Wstał i podeszedł do okna. Było już ciemno.

— Potem macierz umarła. Grób jej niedaleko grobu Maryli. Kwiat z wisienki matczynej pada na grób Maryli, a z Maryli na grób matki. Raz tam byłem. Siedziałem między temi grobami i przypomniałem sobie pieśń matczyną. Tylko nie mogę przypomnieć sobie dalszego jej ciagu. Posiedziałem trochę i poszedłem

z grobu. Tylko kwiecie wiśniowe z grobów leciało za mną, jak gdyby temkwieci em siostra i matka prosiły, bym nie odchodził...

Jeszcze długo chodził po izbie i szeptał nieświadomie:

*Oj, bocianie, nie koś siana,
bo się zrosisz po kolana.
Tylko niech ta czapla kosi,
co na bakier czapkę nosi — — —*

PRZEŁOŻYŁ

Michał Moczulski.

DROGA.

„Idę, matko, idę.“

„Nie chodź, synu, nie idź...“

Poszedł — a droga słała mu się przed oczyma wyrażna, daleka.

Mijał nowe wrota i okna bielutkie.

Kochał swą drogę i nie zbaczał z niej nigdy.

Za dnia była bezbrzeżna jak słońca promienie, a nocą drzemały nad nią wszystkie gwiazdy.

Ziemia kwitła i kwiatem każdym śmiała się do niego. Rwał kwiaty i stroił w nie bujne swe włosy.

Każdy kwiat rzucał mu perlę pod stopy.

Wesołe oczy, a czoło jasne, czyste jak źródło przy drodze leśnej.

I spotkał ludzi.

Po kolana grzęznąc w ziemi, padali i zrywali się w bezmiernej mnogości.

Czarną dłonią pot ścierali z czoła, i potężnymi rękoma ziemi się chwyтали.

Znużenie waliło ich na ziemię, dusili dzieci własne pod sobą i ryczeli w bólu.

Podnosili się i znowu padali.

A noc rzucała ich w sen, jak kamienie, jednego przy drugim, obróconych strasznymi twarzami ku niebu, niby morze głów ku morzu gwiazd.

Ziemia jęczała od uderzeń ich serc, a wichur uciekł od nich za góry.

Czytał w tych twarzach; pieśń wielką, bojową w nich wyczytał.

Z warg ich zdjął słowa, z czoła myśl przejął, z serca wyssał uczucie.

A kiedy słońce rodziło się we krwi i oczu ich pocałunkiem dotknęło — wtedy poczęła się pieśń w jego sercu.

Rozśpiewała mu się w duszy jak burza, rozkołysała się jak słowa matczyne.

I stał się dumnym, silnym. Wiatr nagiął ku niemu kwiat każdy.

Szedł drogą swą dalej.

Uginała się pod nim jak płótno.

Mijał wrota i białe okna mijał.

I znowu zobaczył ludzi.

Stali ławą. Przed nimi kłosiste morze złota, za nimi dzieci w cieniu snopów.

Prażył ich ogień. Żelazo płakało w ich rękach.

Zbladłe niebios pustynie wisiały bez duszy nad nimi.
Wszyscy byli odziani biało, jak na Wielkanoc.
Ale poznikały snopy nad dziećmi i żar wgryzał się
w ich płowe główki.
A oni znowu wzerali się w łany żółte.

Wyczytał ich rozpacz i niemoc.
Na czołach bruzdy tworzyły się jedna przy drugiej.
Usta zsychały się, bladły. Żółć zalewała serca.
I pieśń jego duszy zgorzkniała jak ziarno zepsute.
Zmącił się wzrok, a jasne czoło było mętne jak studnia przy drodze upalnej.
Moc jego i duma upadły na twardą drogę.
Struł się.
I leciał drogą jak ptak, co skrzydeł własnych nie czuje.

Na roli młodej, pod tęczą jasną, stała jego miłość.
Ziemia upajała się jej białymi śladami.
Wyciągnął ku niej ręce jak dziecko bezradne.
„Pójdź!”
„Nie mogę; tyś trucizna.”
Zachwiał się, a kiedy wchłonął w siebie swój wyrok, złożył na czarnej roli okruchy pieśni i powlókł się dalej.
Szedł jak cień spróchniałego dębu o słońca zachodzie.
A droga była mu ciemna, jak niewidomemu młode-
mu kalece.

Aż dnia jednego potknął się o grób matki.
Z oczyma suchemi zaszłochał i padł.

Czoło zarył w mogiłę i prosił matki. aby nań zawo-
łała dziecinnem jego imieniem.

Jedno słóweczko małeńkie niech wyrzeczce.

Prosił długo.

Potem głowę oparł o krzyż i uczuł chłód jego.

Wzdrygnął się, ucałował grób matczyny i jabłoń mło-
dą, i poszedł dalej bezimienny i samotny.

Daruj mi, Boże, resztę drogi mojej, — wszakżem nie-
zdolny iść po niej.

I z grobu na grób przeskakiwał jak suche kwiecie
ostu jesienią.

I minął sto grobów, a sto pierwszy był jego własny.

Przytulił się doń jak do łona matki.

ZWIASTUNY.

Wdowy to będą stare, i wnuki ich, i dziadowie, co
się koło dzieci swych tulą i co dnia słuchać muszą, jakim
ciężarem są w chacie.

Albo młode kobiety z dziećmi małemi, porzucone
przez mężów, co po wielkich miastach kędyś o nich po-
zapominali.

Iść będą w pole czeredą, mijać będą krzyże, nagie,
bez zieleni, zostawią za sobą błyszczące, gładkie drogi ubi-
te i włączyć się będą po ścierniskach posepnych — dzieci
szukać będą kłosów, a starzy korzeni zeszłorocznych.

I stary Michał iść będzie z wnukami, z chłopcami
dwoma i z Oksanką, najstarszą z rodzeństwa.

Chłopcy jak zrzebięta biedz będą przed dziadem albo się w tyle zostawać daleko, a Oksana wciąż iść będzie obok.

Stary niesie nędzną brudną płachtę na plecach i pokasłuje, a Oksana trzyma kromkę chleba w ręce dla chłopców i dla siebie.

Południe stoi nad nimi. I dziad przemówi do Oksany:

— Takie słońko, dzieciно, to mróz ma w sobie. —

Iść będą, iść, aż staną na niwie. Dziad zatrzyma się u miedzy. Oksana pójdzie środkiem pola, a chłopcy zaczną szukać po ziemi jam, źródeł przejrzystych, i kozików i batów, które pastuchy pogubiły.

Oksana każdy kłos podniesie, który napotka, i składać będzie do lewej ręki, a kiedy zgrubieje garstka, ułoży ją nad bruzdą, żeby łatwo potem było znaleźć. Szukać będzie po dołkach i rowkach, bo tam kłosów najwięcej. — Sto razy na minutę się schyli i wyglądać będzie jak przodownica. Z czasem zaczną jej przed oczyma biegać plamy żółte i sine, albo jedna połowa łąnu wyda jej się jak zwykle, a druga cała zieleniutka. Przystanie, oczy dłonią zasłoni i postoi chwilkę, a potem nagle rękę z przed oczu odejmie, i złudzenie zniknie.

Albo piosenkę zaśpiewa: zanuci ją sobie pocichutku, ze wstydem wielkim i z wielką uciechą, że już śpiewać potrafi.

Ton do tonu i słowo za słowem kłaść będzie z niepewnem drzeniem, jak dziecko maleńkie, co uczy się chodzić i białe nóżeta stawia z radością na ziemi. A co kłos podniesie, to piosenkę przerwie i zacznie nanowo z nowym zapalem.

A dziad rozmyślać będzie, dla czego mu tam coś odetchnąć nie daje; żeby tak rozedrzeć piersi i wyrwać ztamtąd krew zapiekłą, możeby potem żyć się dało jeszcze.

I wyciągać będzie korzenie z ziemi, kasłać i odpoczy-

wać. A przy robocie myśli przychodzić mu będą o wiosnie, o lecie, o zimie.

W głowie mu się zaroi, aż o zbieraniu i kaszlu zapomni.

Jak jest czem w zimie palić, to mniej głodno. Wstańiesz raniusko, śnieg odmieciysz z przed proga, w czapkę perzu nabierzesz, w piec rzucisz, i zaraz w chałupie weselej.

Kaska kartofle zwarzy, powstają dzieciśka, i już się znajdzie łyżka gorącej strawy dla nich, i piec ciepły, i tobie, dziadu, ciepło między niemi. Nie możesz lepiej, to niech i tak będzie. — Jak perz suchy, to bardzo przydatny. I pocznie wyrywać korzenie z ochotą i z siłą wielką. Ale myśl gonić będzie za myślą, i nie odpędzi ich stary.

Żeby choć doczekać, aż chłopcy podrosną, toby jej się wiodło, bobym to sam między ludzi porozysłał, żeby na siebie pracowali — a baba głupia co? — co ona wie? — tylko płakać potrafi! Lepiejbym ich na drogę wyprowadził niż ona.

Teraz na chłopców zawoła. Przybiegną do niego z wydrażoną dynią.

— Czemu to nie pomożecie Oksanie? Chce wam się jeść? Idźcie, bawcie się przy niej, bo jej się nudzi.

Chłopcy pobiegą do Oksany, a stary dalej snuć będzie myśli.

Zdrowe chłopcy, rosłe, żeby jeno doczekać. Młodszy zmysłny taki, jak stary. Butów się dopomina na zimę, bo, mówi, na piecu mu niedobrze. Tyle z nim pociechy, że jakby mu się zmarło, tobyśmy osierocieli.

Spojrzy na słońce, czy nisko zeszło, i na korzonki, czy ich dosyć zebrał. Potem Oksankę zawoła, aby mu pomogła znosić korzenie i z gliny je otluc. Naznoszą na jedną kupę i zaczną bić kijami. Słup kurzu nad nimi się wzniesie: dziad się zakaszle, Oksanka oczy zamruży, a chłopcy chleb jeść będą.

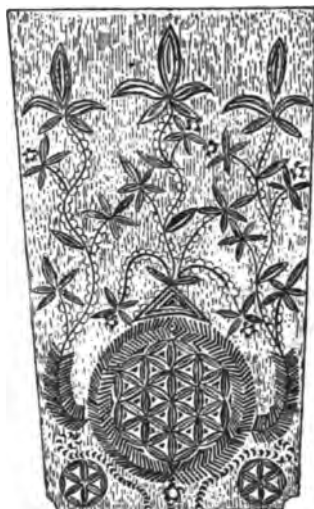
Słońce zachodzić wtedy pocznie. Z siół bliskich przypłyną na łąn dźwięki dzwonów i rozścielą się wraz z rosą po rżysku, na drogach beczec będą trzody i hukać pasterze, na polu oracze pługi z bruzd wyrzucą i do domu zabierać się będą. Szary mrok po dolinach powstanie; wrony do sadu ciągną, psy do chałup uciekają, bo przepiórek już łowić nie mogą po polach.

Stary Michał zacznie się żegnać, i otrzepywać kurz z koszuli, i głośno kasłać. Potem pełną płachtę korzeni napakuje, wnuki mu podadzą na plecy, i wszyscy wyjdą na drogę. Oksana nieść będzie wiązki kłosów, a chłopcy chować za pazuchą korzenie, co z płachty wypadną. Nim do domu dojdą, wypełnią im się pazuchy, a brzuchy od kurzu poczernieją.

We wsi spotkają się wszyscy, i ubogie wdowy, i wnukowie, i dziady, i młode kobiety, co to ich mężowie porzucili — wszyscy z perzem i wiązkami kłosów.

Zwiastuny to, że jesień nadchodzi.

PRZEŁOŻYL
Dr. W. M.



Towarzystwo.

(KRONIKA).



okój dawszy łowom,
Lew - król, na dziś syty,
Bawił się rozmową z Lisem,
Który chytrze tai
Każde trzecie słowo.
Nie przeto, by sumienie
Miał mieć od Lwa brzydsze,
Ale o, coś w grdyce
Dławi go, jeśli duszy
Podnieść ma przyłbicę.
Może to wynika ztąd,
Że jeszcze w szkołach będąc,¹

[jako szczenię,

Wyczytał w jakimś Adamie zwierzęcym:
„Język kłamie głosowi, a głos myśli kłamie.“
Dogmat ten miał w cenie
I nie chciał zbytniem mieleniem języka
Łgarstw przymnażać światu.
Co do Lwa, to jego mość wielmożna,
Wiedząc, że pod winą obraży majestatu
Nie słuchać ryku jej niemożna,
Wyrazy siała bez liku.

Gwarzyli o polowań ostatnich wyniku,
O zarznięciu świń paru i cieląt kilkorga,
O słuszności żądania od obywateli
Po zającu z morga,
I tak, gadu - gadu,
Ani się obejrzeli,
Jak na szczyty najwyższe
Weszła im rozmowa o tem:
Jak się ku stadu łań
Żerujących skradać,
Jak to serce przestaje bić
Przy łada szmerze,
Jak słodkie rozbewstwienia
Widuje dąbrowa,
Jak dymi purpurowa krew
Żłopana żywcem,
Jako matni się strzeże zwierz,
Jak, ranny, chowa
Przed człkiem - myśliwcem.

Wtem w antykamerze — dzwonek.
W jaskinię Żóraw wkracza.
Słynie z pocziwości ptak ten,
Natura prostacza, każdemuby z gardła
Wydlubywał kości,
Jak to było z onym wilkiem,
Który go za to kopnął
Nieco sarkastycznie.

Tak to w życiu mądrze, choć nie ślicznie,
Urządzone: dobra kwarcie
Odpowiada tyłaż miarka,
Albo i większa, złego.
Na to się sarka,
To paczy optymizmu idealne parcie,
Które nas upiększa,
Lecz — wyznajmy otwarcie —
Zali można inaczej?
Zda się, ani kapki.

— „A!” — Lew ryknął — „jest niecnota,

Zajączki młode żrąca, żabki,
 Gdy nam ssącym, wyjąwszy może kota,
 Ani śni się
 Komukolwiek przyspieszać zgon
 W państwie skrzydlatem, —
 Czyż nie prawda, Lisie? "

Z Lisem Żóraw jak z bratem.
 Bo choć raz na stypie
 Lis ptakowi dał barszczu
 Z dna płytkiej patery,
 A Żóraw Lisa karmił
 Z wąskiej szyi dzbana:
 Przecie lat już cztery minęło,
 Sprawa zapomniana
 (Czas wszystko umorzy)
 I dzisiaj żyją z Lisem Żóraw nienajgorzej —
 Osobno. Tylko tu, społecznie,
 Przy Lwie chcąc zaznaczyć
 Przedniość swą w dowcipie,
 Lis szydzi z nóg Żórawia
 I w one go szczypie.
 — „Możnaby u szwajcara zostawić te tyczki,
 Poniekąd wyjęte z grochu lub fasoli“ —
 Rzecze. — „Taka tyka,
 Gdy ją ugryźć w piętę,
 Uczuwa bóle w kroku zaledwie po roku.“
 Ptak za te przytyczki
 Kole dziobem napastnika,
 Nie chcąc przy Lwie - świadku
 Być na ostatku.

Tej krotchwili śmiech towarzyszył
 Lwa najlaskawszy.

Po małej chwili
 Drzwi gość odmyka nowy:
 Wół, zniedawna mąż krowy,
 A więc z byka wołem zostawszy,
 Lwu przyszedł bić czołem,

Tudzież podanie wnieść najpoddanejsze:
Że kiedy ojcem on, Wól, zostanie,
Niech względ na jego przyszłe cielęta
Majestat mieć raczy,
Gdy jego, Wołu, pilność i piecza
Będzie zajęta cnotą swej żony,
I jeśli który z jego smarkaczy,
Niedoświadczony,
Zejdzie mu z oczu;
Lub też odwrotnie — niechaj mu krowy
Nie ukalecza Lew za podatki,
Jeżeli zdybie ją na uboczu.

Rzekł dobrotliwie Lew. — „Widzim radzi,
Ześ nie jest, jako ów Ugolino,
O którym mówi poeta Dante,
Że zjadł swe dziatki.
Dojrzyć małżonki także nie wadzi.
Owszem, *eo instante*
Zakażemy lampartom
Twojej pani czynić wstręty;
Polecimy wszystkim wartom
Psów, szakali
Straż i baczność nad cielęty.
A propos, ileż tego macie na pociechę?“
— „Nic, ale pragnę mieć przychówek spory.“
— „To ci się chwali!“ —
Oznajmił jasnie - Lew, i wąs kręty
Zadrgał mu śmiechem,
Grzecznie pokrytym dworną radością,
Bo właśnie robić honory gościom
Wypadło innym.

Słoń baletowym zbliżył się chodem,
Jak gdyby wcale bez utrudzenia
Nóg dźwigał pale
I, niby kłode, tułów, na którym
Siedziała Wrona.
Ta, po przywitaniach ceremoniale,
Najtroskliwiej zaraz czyni

Brudy na inwentarzu ruchomym jaskini.
Co widząc, Lew oświadcza wszem,
 Że kona z nudy,
 Że wrota każe zamknąć,
By mu niechlujna, ze swym nieładem,
 W dom tu hołota
 Nie nałaziła;
 Lecz — że pijana
Może przystojniej zabawi pana, —
Prosi obecnych tu — na biesiadę.

Ruszyli do Wieprza
 Społecznem stadem,
Gdzie wino najwystalsze,
Gdzie wódka najkrzepsza,
Gdzie najskuteczniej pęczniał zwierz,
 Spit piwy.

Szli w parze: z Wroną Żóraw,
Prawiący jej o krajach dziwy,
Które poznał w przelotach był,
 Za dni tułactwa.
O grze fal barworodnych plótł,
O morza woni, pędzie, wrzeniu,
Szumie wiatru w górnych lotach,
O *table d'hôte*'ach błót przygodnych,
O krzykliwym i hardem upierzeniu ptactwa
Puszcz niegwałconych, pól niedartych brona,
 I o innych rozkoszach
Doznanych w wędrówce.

Wrona surowo gromiła mówcę:
Że to — powiada — morze, woń, kwiaty,
 Wiatry tułacze —
 Wszystko jest marność.
Najlepsza czarność, bo nie wymaga
 Blasku ni mycia.
Dobra jesiennych pól szarość naga,
Gdzie mgła, osiadłszy, na trawach, płacze
I ścierwo leży w stanie pół-zgnicia.
„Dobrze jest krakać za wsią, na płotach,

Czekając zimy,
Miły też wronom zaór ozimy,
Którego lubość dzielam z Wołem.“ —

Wół z Lwem szli społem.
O cnotach mówiono rodzin,
Gnoju, trójpółowce,
O cieletach, krówce...
(Wół Lwu się zwierza, iż dzieci —
Cała poezja zwierza,
Której trwanie byłoby dłuższe,
Gdyby nie rzeźnik i wychowanie).

Ze Słoniem Lis na bakier
Wlekli się, jak stadło,
Któremu się wielbienie
Nawzajem przejadło.
Bo Słoń czci postęp, Lis — dusza dzika,
Słoń kły wyszczerza,
Lis trzyma je w paszczy,
Więc przymierza niema.

Przybyli. Tu z Wieprzem dawno
I za pan - brat już piła Hyena —
Zwierz, towarzystwu rad,
Samotności nie znosi,
W pobliżu wielkich stad się słania,
Gdzie od bójk i kochania
Ziemia się trupami kłosi,
Na trupy — kat.

— „Ja funduję!“ — Lew ryknął. — „*Veritas in whisky!*
Nuże tam, fagasa!
Śledź, osłe, mięso, picie i wety — piorunem!
I likwory z kawą,
Kto chory, ma *vichy*.
Dalej, lać wam w pyski?
Sami? Wyśmienicie!
Jeszcze kolej!.. Jeszcze!..
No cóż? Nieruchawo?

Czy tu konwent mniszy?
Hej, grajków tu! Świerszcze,
Żaby, słowiki!"

Po szóstej kolejce, biesiadniki
Językom popuszczały lejce.
Ryk się z porykiem, słowo z słowem ściga,
Ale każde ku innej bieg kieruje mecie.
Lis plecie o habicie,
Wół rzyga,
Lew mu radzi *whisky* z miętą.
— „Przerwijmy“ — huczy Słoń ucięty — „picie,
Albowiem..."

— „Wiwat mówcy zdrowie!“ —
Krzyknięto. Poczem pito.
— „Otóż powiem swój pogląd
Na wszechbył, na życie...
Panowie! Świat to wielka figa,
Któraby każdy wyssał rad,
Lecz to zależne
Od zręczności trąby.
Każdy dźwiga, co uniesie,
Dola silnym sprzyja!“ —
Tu Słoń wzniesie jak maczugę
Wydłużenie ryja. — „Zatem,
Hypokrytą jest, kto żyje skromnie,
W istności własnej wązkim zakresie
Widząc zasługę.
Co do mnie, to ciała mikrokosmów wielu,
Traktuję, jako losem daną mi salate..."

— „Powiedz pan „*traktuję*,” będziesz.
Bliższym celu“ — rzekł Lis.
— „Prawda, prawda święta!“ —
Krzyknęły zwierzęta. — „Żyjmy chwilą!
Żyć nam niewiele dni. Hej, grać, kapela!“

W lot każdy zwierz nastroja krtai
I tnie jak z nut
Ten znany hymn społecznych trzód:

Rośnie wołowi róg,
Orłu — szpon.
Zguba nas łowi
Ze wszystkich stron.

Kto najmocniejszy, ten
Życie zgadł,
Kto słaby, mniejszy,
Czeka go mat.

Kto innych zjada, ten
Bywa syt:
Tak chce zasada
Walki o byt.

Gdy służy zdrowie, brój,
Morduj, grzesz:
Za to odpowie
Dziad twój — pra-zwierz.

Troska jedyna: rość,
Pić i jeść,
Podług Darwina —
Chwała mu, cześć!

Tu za oświaty zdrowie huknęły wiwaty,
Zdolne zbudzić nieboszczyka.
Zaczem, gronem pijanem
Owłada żądza uczonej muzyki
Ze śpiewem solo.
Więc, po przepiciu,
Proszą Hyenę, by zanuciła
Coś z fortepianem.
Koniki niechaj rzepołą pianem,
I bąk niech bzyka.

Ot co zawyla mistrzyni w wyciu:

— „Tak mi z przyrody wypadło,
Że kocham wszystkie samice,

Nie pomnąc, czyjeby były:
Owce, kobyły, oślice.

Póty wyję im najśłodziej,
Aż chwila luba przychodzi,
Że je porwę, że zachwycę.

Kocham wszystkie bez wyboru:
Cud, „tak - sobie,” czupiradło,
Bo jedna ich cena — padło,
Którę lubię, bom Hyena.“

— „Śliczności!” — Lew zaryczał. — „Bawię się
Jak króle.” Żóraw z Wroną
Wytknąwszy dzioby, jak czat piki,
Słuchali (każdy ptak wogóle
Do muzyki prawo sobie rości);
Chrzakał Wieprz, rad z gości,
Tylko Lis, świętoszek,
Pień cklivych nie znasza.

— „Bydło!” — rzekł Lwu — „Mość Wasza
Nie znajduje, że są nasiąknięci
Do wrębów... Ten Żóraw z dziobem,
Który miłą można mierzyć,
Ten Słoń, ważący, nie wiem ile kilo,
I ten hyeni śpiew o miłości!..
Do licha! Toć i moich chęci prąd
Mnie popycha do kwok, kokoszek,
I gęsiej pieczeni,
A wszelako z nim walczę,
Bo uważam za zło
Wszystko żreć zaraz, co mi w łapy wlało.

W ogólności, rani mnie to życie,
Kołem mi stanęło w krtani,
Zbrzydło to wieczne i zradne mamidło
Czegoś i wieczne upadki.
Dobrem jedynie bywa stan (ach, rzadki!),
Gdy się instynktu oprę pobudkom.

Lecz to trwa krótko,
I znów mnie jakieś chuci płazie schwyca.
To smutne! To boli!
Najtęższa cnota ulega skazie,
Co raz stworzone, ma być zepsutem...
Uroczłość piękna więdnie... nawet nie jest
Absolutem byt, wywleczony myślą
Z nieistnienia!..

Wieprzu, bracie, dolej!..
Może za życia znajdę granicą
Sposób wiecznego trwania w ekstazie,
Gdy to nie gnębią żadne zwątpienia,
Gdy sam się czuję synogarlicą
I widzę innych z duszą gołębią...
Tak, bo w świat moje *ja* się zamienia.
Wfruwa do tego dusz gołębnika
Cały dobroci mojej pierwiastek,
Ze mnie więc znika;
W takim zaś razie —
Niechaj mi Wasza Mość zechce wierzyć —
Ja me, wcielone, może już nie żyć.“
(A w myśli doda: — „No, samo przez się,
Gdy mnie, w postaci dobra, świat wessie,
To zawsze, jako ten zły ostatek,
Chyba nie szkoda w życiu się resztę
Latek przewartać.“) —

— „Droga otwartać,“ — rzekł Lew — „lecz pytam,
Co cię tak pili już
Elizejskie błonia zazwierzyć,
O których więdźmy wróżą napoły:
Czy jako woły tam się zobaczym,
Czy jako lwy tam będziemy bładzili?
W co się przedzierzga, kto tu umiera?
Czy tam są duchy, czy pustka szczera,
Dokąd ostatnie tchnienia polecą?
Nie wiemy.
Choć żywot kruchy,
Zawsze-ć ja wolę, jak ten z Homera
Achill, na ziemi być z mięsa, z juchy,

Nizeli żyć tam, jak kaduk wie co.
 Dla nieudolnych pociechą myty,
 A dla nas szczęściem jest — w paru susach
 Ciało rozprężyć i wkuć pazury
 W biodra gazeli;
 A przy trawieniu —
 Sierć prażyć w słońcu
 I słuchać trzmieli brzęku w bambusach...
 Żyjmy. Mrzeć — bliźnim dajmy pierwszeństwo.
 Widzę, żeś Słonia jest przeciwieństwo.
 Bo gdy czworonóg ten skórogruby
 Świat pragnie zmienić na swoje polcie:
 Ty chcesz swej zguby na korzyść świata,
 Ażeby dobra był wymiar większy,
 Lub mniejszy nierząd.
 Czemu ten zdjął cię samowstręt jakiś,
 Dziwny u zwierząt?
 Śmierć nie upiększy.
 Żyć łatwo, lubiąc pospołu siebie, jako też
 Innych, oraz ich zdrowia pić
 Jak ja Wołu...“
 Tu kub wychylił:
 — „Za zdrowie wasze, mój Wole luby,
 Któremu miłość krowia dni mai!
 Cóż, przyjacielu, powiedz, jak snadnie
 Szczęśliwość w życiu
 Posiąść wołową“.

— „Daję wam słowo!
 Ja, który-m darmo przeżuwał paszę,
 Ja, który-m gził się, brykał bez celu,
 I nieodbicie dążył do zguby:
 Gdym ja, ja poznał, nibym na nowo
 Rozpoczął życie,
 Które wypełnia
 Miłość, porządek i zdrowia pełnia.
 Jeżeli ja, byk marny i w grzechu,
 Dla krowy ideałem — zrozumcie — na zawsze
 Zostałem, tym jedynym — zrozumcie —
 No, to dla mnie tak błogim jest zachwytośtanem,

Że — zrozumcie — łąka,
Gaj, wygon, wszystko wokolutenieczko,
Co nęci buhaja,
Może dla mnie nie istnieć,
Byle *nią* paść oczy!
Jeżeli złób nas jeden w oborze spaja,
Będzie dla mnie gnojówka zdrojem,
Piasek — sieczka, słoma — sianem;
Jeżeli wspólne nas jednoczy łoże,
Jeżeli jedną ukochalim pracę
Kolo zagonu,
Barłóg wspólny materacem
Nam będzie z edredonu...
O ty, moje krowiątko, ryczące,
Gdy mnie niema, gdy mnie świeża
Woń traw pogna dalej!..
A raz mi się zwierza z rumieńcem,
Że się do niej pali byk sąsiedzki,
Lecz że ona ni mru - mru...
Zrozumcie: taka wierność, taka
Dusza bratnia!..“

— „Patrzaj“ — rzekł Lew do Lisa — „jak szczęśny
Wół, który krowie los powierza.“
Tu znacząco pomruknał, przyczem uwydatnia
Kłów szereg i wzrokiem przedziurawia ścianę,
Jak gdyby za nią dojrzał od Wołu krowiątko
To umiłowane.

— „Będzie ci ona hecki wyprawiać, mój Wole
Pocziwy,“ — Wieprz powiada. — „Kto kochaniem
Działa, wierzy, wzdycha czule,
Nie zna końca zachwytem,
Temu chętnie oddają krasnule kopyto, —
Które że z sercem nie jest tożsamość,
Więc każda bez mała
Kocha na boczku byczka sowizdrzała.
Naprawdę sapie Wół smętny, wychudły...
Rób jako Lwia - Mość:
Skacz, łap za kudły —
I po zabawie.“

— „Zbyt krótkiej,“ — Lis dorzucił. —
„Cóż mi za ponęta,
Jeśli zduszę kure,
Lub kaczkę zdławię nagle,
Nim onej duszę
Zadrasnę pazurem?
Co to gadać! Drobiu duszyczka
Tak różna od naszej,
Że skok zbyt jawny tylko ją straszy,
I albo zemknie ci do kurniczka,
Lub da się zjadać
Jak męczenniczka.
Dość na to-m kuty. Póty ją stroję,
Póki właściwej nie wyda nuty.
Więc się jej chwali wszystkie koguty
(Swoich rywali), to robi zacie
Względem kurusi, bo wtedy ona,
Chcąc mieć odrębny sąd,
Ganić musi.
Potem się uda, że tak ją biore,
Jak chce się wydać,
Bo każda, widać, lubi się okryć
Jakimś pozorem.
Czystą udaje, cnót chłodem ziębi
Ta, która grzeszna jest jak Mefisto;
Zaś dobra w głębi, uległa, tępa,
Ma wygląd sępa i grozi szponem.
Ja do tych płonę — powiem — najbardziej.
Umykam niby, objęty grozą,
Ona, zwycięzko gdacząc, mnie goni
Ku krzom i łożom,
A tam już po niej...

I nieobludne są też kokosze
(„Ot taką jestem i bierz mnie taką“).
No, tych nie znoszę,
To szkodzi smakom,
Bo każdy frykas wymaga pieprzu...
Dolej-no, Wieprzu!“

Po tej przemowie Wół zapadł w smętek
I przeciw krowie w duchu się burzy.
Słoń głośno chrapał.
Nie było chętek do picia dłużej.
Hyena z Wroną po kątach czekały.
Żóraw się taczał nietrzeźwym lotem.
I Lew miał w czubie. Wstał, przez pustotę
Odgryzł Wieprzowi ze schabów sadła,
I rzucił na stół trzy imperyały.

.

Wracali chyłkiem, senni. Dzień wstawał.
Noc bladła. Gaszono latarnie.
Do robót śpiesznie ludzie szli,
Gwarnie wóz zaturkotał
Na targ wiozący kmiotka i jego kobietę,
I stróża postać niewiotka
Z kłatw i skobli zgrzytem
Otwierała bramę.

Jan Lemański.

GLOSSY.

„Nadszceny.“ Każdą rzecz poważną, idącą z kądś z obczyzny, przyjmuje się u nas z niedowierzaniem i „surową“ (ale o jakże pachnącą partykularzem!) krytyką; wszystkie za to głupstwa i spekulacje zagraniczne znajdują, w warszawskich „pasterzach ludu,” gorących wielbicieli i opiekunów. Wobec pozowania dziennikarstwa naszego na straszliwą powagę, jest to, co najmniej, dość zabawne, a tem zabawniejsze, że zazwyczaj salwy pochwał i zachwytów wtedy dopiero u nas się rozlegają, gdy w danym kraju, z kąd rzecz idzie, dawno już spostrzeżono błagę, szwindel czy niedołęstwo i należyta dano im odprawę. W dziedzinę jakiegokolwiek sięgnąć sztuki, w czasy dawniejsze czy ostatnie, — wszędzie przykładów bez liku. Przypomnijmy sobie tylko, jakim jednozgodnem uznaniem cieszyły się u nas wszelkiego rodzaju makartyzmy, podczas gdy przedziwne, twórcze dzieła mistrzów prerafaelityzmu angielskiego dzisiaj dopiero (może przez wdzięczność za Burne-Jones'owski portret Paderewskiego, albo pod wpływem zbyt późno i z mierniejszych „pyłków“ poznawanego Ruskina) pojawiają się tu i owdzie w lichych reprodukcjach i z „wierszykami“ *ad hoc*, dzięki którym dziś nawet bez głębszego przechodzą wrażenia. — Barnumowskie reklamy firmy Sonzogno nigdzie, z wyjątkiem jednego może Wiednia, tak niesłychanych jak u nas nie święciły tryumfów. Toć wczoraj jeszcze Filharmonia, świątynia muzyki symfonicznej, muzyki *par excellence*, z uniesieniem witała, dźwiękami tkliwego *Intermezzo*, twórcę niezapomnianej *Cavallerii*. Tymczasem z Wagnera, acz krytyka warszawska wiele mu już dzisiaj „wybacza,” ciągle jeszcze kontentować się musimy Lohengrinem i Tannhäuserem, zaś Ryszard Strauss cieszy się, jak oczekiwać należało, wzgardliwym mianem dekadenta. — Czyliż potrzeba przypominać typową, niedościgłą w swej wyrazistości róż-

nicę przyjęcia, z jakim spotkali się w prasie naszej Maeterlinck i Rostand? Na rzecz pierwszego wyczerpano wszystkie Nordau'owskie zapasy obelg i przezwisk: dekadentyzmy, zwyrodnienia, rozkłady, schyłki, obłąkania, delirya, idyotyzmy, kalectwa duchowe, — niczego nie brakowało. Drugi wywołał taki potopowy zalew hymnów i dytyrambów, że przez chwilę sądzić można było, iż na złość, Platonowi, wypędzono z Warszawy wszystkich uczonych krytyków, a zostawiono samych poetów, którzy jednym rozmachem zdystansowali panegiryczny okres naszej literatury. — Na „secesyę“ ongi, gdy nazwa ta istotnie oznaczała coś w sztuce, starał się zwrócić uwagę — rzecz prosta, nadaremnie, *surdus canens* — jedyny chyba M. Wawrzeńczyk w *Przeegl. Tyg.* Dziś, gdy termin stracił pierwotne znaczenie i wytarzał się po wszystkich rynsztokach tynglowych i kawiarniarnych, gdy zerwały się wszystkie nici wiążące go ze sztuką twórczą, gdy rozlała się powódź bezdusznych szablonów i komunałów, stanowiących razem t. zw. „styl“ (oh!) secesyjny, — „secesya“, dzięki prasie, stała się w Warszawie prawdziwą obsesją. Gdzie się ruszyć, pełno jej wszędzie. Nikt dobrze nie wie, co ona ma znaczyć, ale wszyscy o niej mówią, wszyscy się nią zajmują. Nakleja się tę etykietkę na prawo i na lewo, identyfikuje się za jej pomocą sztukę i sztuczki, szczerą indywidualność i szablonowe efekciarstwo, twórczość istotną i sposobiki handlarskie, prawdziwe wartości i mizerye ostateczne. O pierwszych — objaw to charakterystyczny — mówi się nb. zawsze prawie z niechęcią, urąganiem, a niekiedy ze... zgrozą, o drugich — z nieujawnianą otwarcie, lecz łatwo wyczuć się dającą sympatją.

Dni ostatnie przyniosły niemniej przekonywające od wszystkich wymienionych przykładów widowisko.

W chwili, gdy pod pozorem obrony i reakcy przeciwko hakatyzmowi niemieckiemu szczepi się u nas nieróżniącą się niczem od niego zarazę wzajemnej nienawiści narodowościowej, gdy apostołowie tego hakatyzmu polskiego, próbując wnieść jego barbarzyństwa nawet w dziedzinę, gdzie nie masz dla nich miejsca, proponują wyrugowanie pism i książek niemieckich, nawołują do bojkotu względem myśli, nauki, kultury, sztuki niemieckiej, i bardzo rzadko tak energiczna, jak ze strony p. Mahrburga (*w Książce*), dostają odprawę, — jednocześnie dzienniki warszawskie, z pieśczołliwą i rzewną sympatją, popierają przesadzanie na nasz grunt jednego z najmizerniejszych, najbardziej płaskich i najczyściej spekulacyjnych produktów *niemieckich*, jakim są ueberbrette czyli nadsceny. — W chwili, gdy z powodu jakiegoś dramatu, obrazującego z niezwy-

klą intensywnością i w niezwykle ponurem oświeceniu odwieczny trójkąt cudzołódczy, na szpaltach dzienników i w głosach publiczności pogrzmiewa wybuch obrażonego poczucia moralnego; gdy ludzie, chadzający tłumnie, ze spokojnem sumieniem i zupełnie wyraźną satysfakcją, na oparte na samym trójkacie, tylko nieco weselsze lub sentymentalniejsze sztuki w rodzaju *Dam od Maksyma*, *Numeru o dwóch tóstkach* lub *Kontrolera wagonów sypialnych*, poczynają nagle rozdzierać szaty i wydawać krzyki spłoszonych indyków lub zawstydzonych gęsi, — w tej samej chwili, idealni krytycy i „literaci” (?), przesyleni i znękani „posepnymi wizyami” oraz „duszną, dręczącą, chorobliwą atmosferą” symbolistów, pełni tęsknoty „do słońca, do płatka wiosennego błękitu, do śmiechu dziecięcego i pieśni słowiczej” (*ah, ma chère!*), biorą w opiekę, dla ukojenia tej tęsknoty, coś, co jest zwykłym *café-chantant*, zwykłym tynglem, tylko nieco zamaskowanym, nieco obłudniejszym i skutkiem tego, na podobieństwo owych kart przeświecających, ohydnie w istocie niemoralnym. O nędzy tej sami Niemcy (naturalnie, niezainteresowani w „przedsiębiorstwie,” jak pp. Bierbaum lub Wolzogen), po rocznem doświadczeniu, twierdzą — jedni łagodniej, że „nie należy w niej upatrywać, nie już jakiegoś nowego ewolucyjnego okresu literatury, lecz nawet najdrobniejszego przyczynku do jej rozwoju” (*Das litt. Echo*, oct. 1901), — drudzy ostrzej, że jest to „ein dreister Missbrauch mit dem heiligen Namen der Kunst” i że „żaden sceniczny rodzaj niemiecki, żadna najmizerniejsza posada teatrów ludowych, żadna Adolf-Ernstiada, żadna najgłupsza operetka nie jest tak rozpaczliwie pozbawiona jakiegokolwiek nuty artystycznej, jak ueberbrette z r. 1901” (*Die Zeit*, № 381, 1902.) U nas tymczasem, ten zawołany tyngiel burżuazyjny, ten błyskotliwy dowód rozkładowego procesu dzisiejszych społeczeństw, ten owoc próchna wewnętrznego, atrofii myślowej i uczuciowej i hipokryzyi najwyższej — popiera się dziś właśnie i zachwala jako coś mającego związek ze sztuką i literaturą, więcej, jako coś mogącego je odnowić, ożywić, z więzów wyzwolić, jeszcze więcej, jako coś będącego sztuką samą, sztuką dzisiejszą, *modern*, „odpowiednią do nastroju psychologii (?) współczesnej,” jednym słowem „poezyą stosowaną.” Autor tego ostatniego, jedyne w swoim rodzaju, i zresztą przepisane od Bierbauma terminu przeprowadza całą kampanię w sprawie owej nowej sztuki, odnajduje — prawdopodobnie dla nadania jej smaczku paryskiego — jakieś nieistniejące pokrewieństwa między ueberbrettami i *cabaretami* francuskimi, robi przegląd poetów miejscowych, szukając kandydatów na deski nadszennicze, i gotów byłby nawet „dać firmę swoją przedsiębiorstwu,

gdyby mógł sprężyny jego trzymać w ręku.“ Gazety powiadają gorliwie czytelników o wszystkich projektach, zamiarach i urzeczywistnieniach w tym kierunku; gromady smakoszków nowej sztuki pielgrzymują z nabożeństwem na pierwszą próbę „secesyjnego“ widowiska (które zresztą okazało się niedość secesyjnym) w unikany dotąd — przynajmniej jawnie — teatryku Fantazy; inny „inicjator przedstawiń secesyjnych,“ mających odbywać się w gmachu Filharmonii (???), zaprasza grono literatów na sesję, owocem której jest uchwała, że każdym z wieczorów kierować będzie inny literat, objawiając w ten sposób własne, indywidualne pojmowanie nowych kierunków sztuki scenicznej i estradowej („oczywiście — dodaje gazeta — mowa była o pisarzach znanych oraz o krytykach fachowych“); wreszcie — *summa iniuria!* — jeden z młodych autorów, który mógł i powinien był mieć więcej szacunku dla prawej sztuki, proponuje odczytywanie w takim tynglu nadszencicznym poematów Kasprowicza oraz granie utworów Schumanna!

Ten ostatni fakt zwłaszcza skłania nas do kilku uwag kategorycznych. Śmiesznem byłoby chcieć zwalczać tyngiel w taką czy inną przyodzianą sukienkę: ten jest nieśmiertelny, jak nieśmiertelnymi są wszystkie płaskie instynkty w człowieku. Z góry beznadziejną byłaby chęć nawracania snobów, dających się uwodzić modom i reklamom dziennikarskim: ci są nieuleczalni. Że jednak wspomniane wyżej — bluźnierstwo (tak!), które padło z ust *artysty*, mogłoby zbałamucić nawet ludzi dobrej woli, szczerze i gorąco przejętych nowymi objawami twórczości, i — co gorzej — nawet młodych, wstępujących w życie artystów, uważamy za konieczne przeprowadzić wyraźną linię demarkacyjną między sztuką i falsyfikatami, które pod jej święte imię podszywać się pragną.

Sztuka nie jest rozrywka, ani też sposobem zadowalania tanich po dobrem trawieniu sentymentalizmów, oraz skłonności do pieprznych czy bezmyślnych żartów i do plotkarsko-pamfletowych aluzji. Sztuka ma na celu to, o czem myślał Michał Anioł, mówiąc: „Gdy czytam Homera, zdaje mi się, że na dwadzieścia stóp urastam w górę.“ To właśnie, to urastanie, to bezinteresowne, obce wszystkim przemijającym, doczesnym względom i okolicznościom, pogłębianie się i rozszerzanie wewnętrzne jest najlepszym probierzem istotności zarówno wrażenia estetycznego, jak i samego dzieła sztuki. Gdzie tego brak, tam o sztuce żadnej nie może być mowy. Ale takiego wewnętrznego urastania nie możemy sobie wyobrazić bez oderwania się od życia powierzchownego, bez jakiegoś zstąpienia ku głębszym warstwom swojej istoty. Dla tego świątynia sztuki, wyma-

gającej silnego wewnętrznego skupienia, nie może być jednocześnie przybytkiem zabawy, rozrywki, polegającej właśnie na rozerwaniu umysłu, na pozbawieniu go wszelkiego skupienia, na wywołaniu — milej może nawet niekiedy — indolencji i bez troskiego roztargnienia.

To zasadnicze przeciwieństwo, tę niewspółmierność sztuki i rozrywki czuli — wszystko jedno, wlednie czy bezwiednie — francuzi, wytwarzając jakgdyby dwie różne i nie mające ze sobą nic wspólnego kategorie: piosenkarstwa — i poezyi, *cabaretów* — i teatrzyków sztuki (*théâtres d'art*.) Rozrosła we Francyi XIX wieku tak bujnie, jak nigdzie snadź i nigdy, piosenka śpiewana (*chanson*) jest hybrydycznym rodzajem, nie mającym żadnego prawie związku ani z twórczością pokrewnych imieniem *chansonniers* starodawnych (żonglerów, truverów i menestrelów), ani — dajmy na to — z Verlaine'owskimi *chansons sans paroles*, ani z poezją wogóle. Jest to jakaś *poesis vulgivaga*, odbijająca bezpośredniem echem przemijające, codziennne zdarzenia i uczucia i chcąc bezpośredni, natychmiastowy znajdować w tłumie odzew. Rzecz prosta, że wobec tego wyrzekła się ona wszelkich rzeczy głębszych czy subtelniejszych, a co do treści poświęca się wyłącznie bądź rzeczom praktycznym (społecznym, politycznym, karykaturze obyczajów), bądź rozrywkowym (tanim sentymentalizmom, łatwym bohaterstwom, mniej lub więcej pieprznym czy brutalnym dowcipom, kalamburom i aluzjom.) Aczkolwiek też ma ona już dość bogate dzieje, szukać wszakże tych ostatnich należy w osobnych książkach (Avenel'a i innych): w historyach literatury czy poezyi francuskiej XIX wieku, *ostatnim wamiankowanym* „piosenkarzem“ jest Béranger. O późniejszych Piotrach Dupont, Gustawach Nadaud, a tem bardziej o jeszcze późniejszych Jouy'ch, Mac-Nab'ach, Arystydach Bruant, mimo znacznego częstokroć ich rozgłosu, nie wspomina się już zupełnie, jako o nie mających nic wspólnego z poezją. Urodziła się ta nowego rodzaju piosenka w postaci towarzyskiej zabawy w t. zw. *caveaux*, na zebraniach odpowiadających niemieckim posiedzeniom przy *Stammtisch*'ach. Później oparowały ją wszelkiego rodzaju tyngle i *café-concert*'y, znęcone jej powodzeniem. W ostatnich czasach, twórcy piosenek, bądź zniechęceni szablonową rutyną i kobotynizmem wykonawców tynglowych, bądź zapragnawszy wejść w bezpośrednią styczność z publicznością, bądź wreszcie zwabieni większym zyskiem materyalnym, jeli zakładać własne *cabarety* i śpiewać czy recytować w nich po dyletancku, ale z zacięciem indywidualnem swoje utwory, uzupełniając te produkcyje familiarnie rzucanemi dowcipami, humorystycznemi czy satyrycznemi cieniami chińskimi i tym podobnemi rozrywkami. Było w tych

karczemkach może nieco więcej smaku, świeżości i rozmachu indywidualnego, ale pozostawały one bądź co bądź zawsze tylko miejscem rozrywki, nie miały żadnej pretensyi do reformowania poezyi, ani do reprezentowania w jej rozwoju nowego okresu. Poeci przychodzili tu niekiedy, aby zabawić się, pośmiać, posłuchać piosenek i żartów, ale utworów swoich nie odczytywali w *cabaretach* nigdy, nawet ci młodzi, których książek — jak twierdzi protekcyjnalny informator Kurj. Warsz. — nikt kupować nie chciał. *Poesya* do szynczków tych nie zabłąkała się nigdy. Miała ona cały szereg świątynek swoich, w postaci ofiarnie i nie dla spekulacyi prowadzonych teatrzyków, z których wykluczone znowu były wszelkie efemerye, dowcipy, pieprzności, tanie sentymentalizmy, kędy przychodzono nie zabawić się przy szklance piwa lub czarce *cerises*, lecz upoić się podniosłemi wrażeniami, słuchając jakiegoś arcydzieła poezyi światowej, kędy nie żadne „nowe“ królowały „kierunki“, nie żadne „secesye“, lecz wszystko co potężne, głębokie, wielkie i piękne, to jest, jedyna, niezmienna, wieczna ta sama, prawa sztuka. Trudno zaiste dość wysoko ocenić zasługi tych małych scenek, na których z całym pietyzmem przyodziewano w kształt widomy arcydzieła twórcze, przed wystawieniem których cofały się — dla zbytnej ich poetyczności lub niedostatecznej sceniczności — wszystkie teatra europejskie. Tak — *Théâtre d'Art* wystawił, między innemi, *Cenci*'ch — Shelleya, *Doktora Fausta* — Chr. Marlowe'a, *Gościa nieprosszonego* i *Slepców* — Maeterlincka; *Théâtre de l'Oeuvre* dał — najwyższe poemata Ibsen'owskie: *Brand'a*, *Peer Gynt'a*, *Rosmersholm* i *Budowniczego Solnessa*, Ford'a — *Annabellę*, Otway'a — *Wenecyę zbawioną*, Króla Sudraki — *Mriksakatikę* (Vasantasenę), Kalidasy — *Pierścień Sakuntali*, cały szereg dzieł Björnsterne-Björnson'a, G. Hauptmanna, A. Strindberga, O. Wilde'a i nowych poetów francuskich: Beaubourg'a, Henryka Bataille, Henryka de Régnier, Rachilde'y, M. Maeterlincka, Karola van Lerberghe'a, P. Quillard'a i innych; naturalistyczny wogóle *Théâtre Libre* ma zapisać w rocznikach swych takie poematowe utwory, jak *Braci Zemganno* — E. de Goncourt'a, *Hanusię* Hauptmana, *Elen* — Villiers de l'Isle Adam'a, *Miedź* — Pawła Adam'a, *Mgławicę* — Ludwika Dumur'a, *Dyalog niesnany* — Alfreda de Vigny; *Théâtre Moderne* pochwalić się może wagneryczną trylogią Edwarda Dujardin'a, a *Théâtre de la Rose Croix* — wspaniałym *Babilonem* J. Peladan'a; *Cercle des Escholiars* zapisał się w pamięci kilku dramatami Ibsena, *Théâtre International* — *Wielkim Galeottem* Etchegey'a, *Théâtre des Poètes* — *Balladyną* Słowackiego, *Théâtre X* wreszcie, zawdzięczający byt swój pani Toli Dorian, — *Jesienią* Pawła Adam'a i Gabryela Mourey'a oraz

Axelem Villiers de l'Isle Adam'a. Wymieniliśmy tylko najważniejsze teatryki i najwybitniejsze ich widowiska, które charakteryzują dostatecznie cele, zamiary tych przybytków sztuki, oraz ogólną, panującą w nich atmosferę. Tu nie chodziło o sceniczność, o dowcip i zręczność Sardou'owską czy Dumas'owską, o tezę gromką lub o prawdę naturalistyczną, — tu chciano wielkiego, ożywczego tchnienia, prawej, głębokiej, twórczej poezyi. Tu nie ograniczano się nawet do formy dramatycznej, lecz niejednokrotnie przedstawiano, na tle odpowiedniej heraldycznej lub fantastycznej dekoracji, poemata liryczne i epiczne, zorkiestrowawszy je na głosy i uzupełniając deklamacyę szeroką mimiką hieratyczną. W ten sposób rozbrzmiały np. ze sceny *Théâtre d'Art* — *Kruk* Edgara Poe'go, *le Guignon* Stefana Mallarmé, *Pieśń nad Pieśniami* Roinard'a, *Statek pijany* Artura Rimbaud i inne. Wygnana z wielkich teatrów, poezya, pani dusz, tutaj pod każdą postacią znajdowała schron, i cześć jej należną, i entuzjizm gorący.

Wysiłki tych małych scenek, acz niespekulacyjnych i niereklamujących się hucznie, a przytem otoczonych wrogością urzędowej krytyki, nie przeszły — na miejscu, w Paryżu — bez skutków pocieszających: kilka większych teatrów, między innemi głównie Odeon, dało się przekonać i wydzieliło poezyi skromne zresztą miejsce w swoim repertuarze; zaprowadzone, zwłaszcza w *Théâtre Libre* i *Théâtre de l'Oeuvre*, nowości w sposobie gry, recytacji i wystawy utworów, coraz większy wpływ wywierać zaczynają; wreszcie, imponujący ten szereg wystawionych arcydzieł powiał ożywczem, krzepiącem tchnieniem na całą szczerą, entuzjastyczną młodzież artystyczną. Za granicę wszakże dobroczynne to oddziaływanie przedostać się nie mogło. Korespondenci dzienników cudzoziemskich, przyjeżdżający zwykle do Paryża jako do stolicy różnych *Moulin-Rouge'ów*, mieszały głuche wiadomości o tych znanych im przeważnie tylko ze słyszenia teatrykach z dytyrambami na cześć *cabaret'ów* Salis'owskich czy Bruant'owskich, które olśniewały ich swą hałaśliwą wesołością, swemi pozorami zupełnej swobody i naturalności i swoją pieprzną *rosserie*. Cudzoziemscy artyści i literaci, czasowo przebywający w Paryżu, również częściej zabłąkiwali się, w towarzystwie kolegów pracownianych lub stale nad Sekwaną mieszkających ziomków, do karczemek Montmartre'skich, kędy wskazywały drogę błyskotliwe afisze, świecące szyldy i reklamy dziennikarskie, aniżeli do skromnych, ukrytych w jakichś zapadłych kątach przybytków poezyi. Niedziw też, iż za granicą, skutkiem bałamutnych wieści i pojęć, przypisano *cabaret'om* paryskim to, co było zasługą sprzecznych z niemi do gruntu teatry-

kow sztuki, t.j., ożywczy wpływ na rozwój literatury, i że — jak się stało w Niemczech — skierowawszy naśladownictwo pod fałszywym adresem, stworzono, w ueberbrettlach i „pstrych teatrach,” pod firmą widowisk literackich, proste miejsce bezceremonialnej rozrywki, prosty tyngiel. Doświadczenie stwierdziło natychmiast, że taka mieszanina artystycznych i tynglowych pierwiastków ostać się nie może. Kilka poważniejszych rzeczy, kilka dzieł prawdziwej poezji, wstawionych tu i owdzie do repertuarów, przepadło z kretesem, podczas gdy nieróżniące się niczem od zwykłych tynglowych kuplety, fraszki i krotochwile szalaniem cieszyły się powodzeniem. I bardzo naturalnie, typ bowiem ogólny widowisk ueberbrettlowych zgromadził natychmiast odpowiednią tynglową publiczność, która chce się bawić śmiać, gwizdać, wyć, chóralnie powtarzać pieprzne refreny, a wcale nie ma ochoty podziwiać milcząc i w skupieniu „nudnych poezyj.” Tak więc literatura nie zdołała podnieść i uszlachetnić tynglu. Gorzej wszakże, iż ten ostatni zdołał *stygeltanglować* poezję i skłonić do mizernych wprost kompromisów garstkę z bogaczącymi repertuar „pstręgo teatru” pisarzy. Dość przerzucić gruby pierwszy tom Biblioteki Ueberbrettłów, zaopatrzony, zamiast przedmowy, w pomadkowy list p. Bierbauma do „kochanej, drogiej i niewymownie płowowłosej pani”... snobki. Jeżeli wyłączymy parę krzepszych akcentów u Liliencrona, Holza i Dehmela, — jakież przerażające ubóstwo treści, jaka monotonna i bezbarwna banalność, jakie oczywiste wzorowanie się na zupełnie nieliterackich piosenkach Volkssänger’ów niemieckich lub, co gorzej, na tynglowych kupletach francuskich! Toć zdarzają się nawet piosenki — dla smaczku, dla paryzianizmu, dla elegancyi, dla szyku (oh, jakże zresztą ciężko niemieckiego!) — upstrzone dłuższymi wstawkami lub przynajmniej jednowerszowemi refrenami francuskimi. A te, mające „robić” wesołość, rozmach i nonszalancję, onomatopeiczne wykrzyki: te „klingklangloribusch,” „laridah,” „eisasa,” „trara,” „juchhe,” „klingelalei” — u Bierbauma; te „hei,” „hüh,” „hurrah,” „hoppla,” „cia” — u Dehmela; te „Dorlille, Doréla,” „klingklarei,” „teisaratand” — u Finckha; te „rumplumplumplum,” „auau,” „tidli - tidli - tidlidei,” „hei, hei, hei Juchhei, knax” — u Heymela; te „klingkling, bumbum, tschingdada,” „hali und halo” — u Liliencrona; te bajeczne nazwiska „Frau Zibidill,” „Herr Bombardil,” „Frau Malupran,” „Geschwister Dimotant,” „Frau von Malogne” — u Schrödera; te „doaridi, o mei, o mei,” „platschepitsch,” „trippeltrab,” „klippelklap,” „trulala” — u von Wolsoгена; te przerażające rollinatyzmy Wedekinda — — wszystko to budzi naprzód uśmiech, potem niesmak, a wreszcie politowanie. Gdy przy-

pomnimy sobie, że to nie są zwykli, nieliczeni w dziejach literatury, piosenkarze, jak w *cabaretach* francuskich, ale samo czoło dzisiejszej poezji niemieckiej, jej najuznańsi i bądź co bądź najzdolniejsi, — spotrzegamy dopiero w całej jaskrawości, jak daleko zaprowadzić może kompromis *ueberbrettowy*.

I ten właśnie *ueberbrett* niemiecki, ten wyrazisty przykład, jak nawet dość mocny zaczyn poezji rozpuszcza się i ginie bez śladu w kwasie tynglowym, to przekształcenie się poetów w kłownów i kabotynów — podaje się w dziennikarstwie naszym jako wzór do naśladowania, jako sztuka, „odpowiednią do nastroju psychologii (?) współczesnej,” jako luby snobom nowomodny kierunek, jako odpowiedni dla poetów podgatunek sztuki stosowanej?! — Zaiste, objaw to wprost przestraszający, bo — jak wyraził się kiedyś *Mercur de France* — jest to „une sommaire notification de l'état d'âme actuel de la société vis-à-vis des poètes.” Różne gazety nasze powielekroć już oburzały się w różnych rubrykach zupełnie otwarcie, że za dużo mamy poetów. Teraz jasnem się stało, co zamiast poetów mieć pragną: — historyonów.

Kalwarye sztuki. Do Krakowa, Monachium i Paryża, gdzie „kształcą na artystów,” zjeżdża się rok rocznie gromadka chłopców z 5-ej, 6-ej i starszych klas gimnazjalnych, którzy, dla wagi zdrowia, dla braku zdolności do łaciny, arytmetyki lub innych przedmiotów, dla piątki z rysunków, zostali przeznaczeni „na malarzy” z łaski rodziców, opiekunów oraz któregoś z panów malarzy olejnych, posiadających już wyrobioną markę. Chłopcy ci nie zawodzą prawie nigdy nadziei rodziców, opiekunów oraz T. Z. Sz. P. Malują pilnie, rozprawiają szeroko, i (stosownie do milczących wskazówek T. Z. Sz. P., które udziela „głodowych” stypendyów) odżywają się bardzo lichy. Uczęszczają na „modele,” wieczorami „na akty,” wykłady ogólno-kształcące pomijają zasadniczo, anatomię biorą intuicyją, książek nie czytują zgoła, natomiast malują, malują i malują — szkice do rozlosowania między warszawskich miłośników sztuki. Po kilku latach dostają się wreszcie na „majsterszule,” a więc sami już wynajmują sobie modeli, sami ich usadzają i drapują, t. j., wyłącznie już sami komponują i malują swe obrazy: są, jednym słowem, starszymi malarzami, uważają się za dostatecznie „wykształconych na artystów.” Czas jakiś, z przywiązania do dawnych modeli, malują „włoszki,” „główki,” „madonny,” „mnichów przy beczce,” dla odmiany „kufel piwa i obwarzanki” lub inną martwą naturę; za-

wiódłszy się niebawem na miejscowych Kunsthaendlerach, zaczynają tęsknić do kraju w „śmigusach,” „fornalskich zaprzęgach,” „ulańskich pikietach” i tym podobnych „zalecankach”; wreszcie osiedlają się na stałe w Warszawie. „W kraju i dla kraju” staje się odtąd sympatycznym ich hasłem. Młody artysta zostaje wprowadzony w świat przez salony, dzienniki, reklamy i zakupy „do rozlosowania.” Zaczyna być płodnym, skrętnym i ruchliwym, zawsze coś niebywałego wykończy, coś fenomenalnego rozpoczyna, wiecznie gdzieś wyjeżdża i zkadś wraca, ustawicznie się roi, przetwiera i szweda po szpaltach pism codziennych. W porze wakacyjnej, „kiedy niema komu pisać,” zabiera głos publiczny w rzeczach sztuki na to, by przepisać kilka wierszy z Witkiewicza, potknąć się o nie i swoim ciężarem miażdżyć krytyków. Jest naturą artystyczną: świadczy o tem miły, ujmujący i towarzyski temperament oraz zawieszisty krawacik; jest dobrym obywatelem: świadczy o tem, prócz sympatycznego hasła, swojskość tematów i nienawiść do Niemców. Zyskuje więc popularność, zostaje na początek komitetowym jakiegoś baliku, wchodzi do wydziału jakiegoś towarzystwa, czasowej wystawy, jest przypadkowym sędzią konkursu, wreszcie zostaje członkiem przysięgłego w rzeczach sztuki europejskiej jury krajowego — i już, już widzę, jak go nam zazdroszcza — węgrzy.

Do Krakowa, Monachium i Paryża ściągają rok rocznie ciche gromadki tych, co po długich nieraz walkach i zawodach dotarli nareszcie z bijącym sercem i z żarem ciekawości w gorączkowych oczach tam, gdzie wrota sztuki stoją na ścieżaj otworem, gdzie przechodzą szerokim wiewem wielkie prądy europejskiej myśli, w których duch jedynie dojrzewa całkowicie; ściągają do tych zbiorów, galerij, bibliotek i mistrzów, którzy pouczą ich może, jak, przy pomocy narzędzia wrodzonych zdolności do pióra, pędzla i dłuta, dobyć z duszy to, co od dzieciństwa z taką mocą w nią padało, stając się w wązkich nieraz, dusznych warunkach rodzinnego i rodzimego życia tylko ciężarem ich piersi, tylko marzeń ich złudą. W szkołach i akademiach, ci są początkowo zawodni, nierówni, jakgdyby kapryśni: nieraz pracujący tak gorączkowo i twórczo, że wzbudzają poważne i ciche zastanowienie kolegów, głębokie a przenikliwe spojrzenie kierowników; to znów zniechęceni, w siły swe nieufni, kryjący się na swych poddaszach, szperający czegoś po bibliotekach; wreszcie uciekający jak od zmory od wszystkich książek, galerij, mistrzów i modeli — gdzieś w najgłuchsze kąty natury. Ich pochłaniania tak całkowicie to pasowanie się ze sobą, to borykanie się z wro-

gami swego ducha, że niestać ich na walkę z życiem. Ci mają tylko jedną, bierną metodę tej walki: zwięzanie swych potrzeb do minimum, do niemożebności, do absurdu, bo aż do tej granicy, gdzie rozwiewa się i znika zewnętrzna plastyczna treść życia, która jest dla plastyka racją jego egzystencji, gdzie wszelkie wrażenia, podniety, twórcze mocye, tę rosę niezbędną dla artysty, czerpać on musi ze wspomnień byłego życia, z coraz to wątleszego ciała i w końcu, pić niby krew żył własnych z tych dziwnych gorączkowych dni i nocy, w których zda się anachorecie, że zdoła osiągnąć wymarzoną przemoc ducha nad ciałem — z twórczych godzin na progu głodu i ascezy. I oto dumnego czoła donkichota tyka śmierć miłosierdną dłonią. „Idź inną drogą: drogą prawomyślnych, roztropnych, a sprytnych, drogą przeciętnych wymagań i łatwych zadowoleń, szlakiem naśladownictwa — aż do uznania! Inaczej życia zbędziesz: dziełu swemu poderwiesz korzenie własnymi rękoma.“ To ostrzegające tchnienie śmierci mrozi mu na razie tylko najsubtelniejsze kwiaty ducha, tylko mózg skuwa w żelazne obręcze bezwoli, tylko na skrzydła, gdy się rozprężą, rzuca pęta niemocy: — dotyka go tem kalectwem ducha, które lekarze zwą neurastenią. To upiorne lichy niesie ze sobą sieć, w którą omotuje ofiarę swoją i niewoli na długie lata. Bo albo czyni człowieka fanatycznym niewolnikiem nieważnego pomysłu, niewykonalnego zamiaru, jednej małej, ciasnej i dusznej idei, albo, co gorsza, tak mu rozdmucha, rozżarzy i rozhułka wyobraźnię, że zwiedziony rzuca się w nią jak w morze i pereł czynu szuka w marzeniach. Bo to narzędzie wyobraźni łamie się, kruszy i w pył rozpryskuje, ilekroć ręka do czynu się wyciągnie. Takim jest cichy dramat tych, co niewiadomo gdzie godziny życia swego gubią, taką jest smutna epidemia, która, omijając zwykłych ludzi, zabiera nam wokół najgłębsze nieraz umysły i dusze. Jest ona tem smutniejszą, że ludzie wciąż jeszcze wiedzieć o niej nie chcą, wciąż ją lekceważą, że dotkniętych tą niemocą spotyka wzruszeniem ramion, pośmiewiskiem i wzgardą pierwsza lepsza *bestia triumphans*. Gdy tymczasem nieraz jednej mocnej dłoni ujęcie leczy ją całkowicie i czyni z niedołęgi dzielnego człowieka. Mocnej i twardej — męskiej dłoni przyjaciela! nie pieściwej troski kobiecej, bo kobieta może być pożądaną i dobrą w łóżu i przy łóżu każdego, lecz nie tam gdzie wola jest chora.

Lekarze zwą tę niemoc duchową — neurastenią; tem imieniem zwie się dziś ryczałtem nie tylko każdą chorobę woli, lecz każdy nawet opad wewnętrzznego hartu. Lekarze, co z takim zaparciem zwalczają znachorów po wsiach, lubią w wielkich miastach występować

jako znachorzy społeczni; że zaś każdy owczarz chętnie uważa się za socjologa, więc w tym wypadku słyszymy zgodny chór: „Unikajcie wszelkich wysiłków ducha, wszystkiego, co przekracza normy naszych mózgów, tę wprawdzie pospolitą i szarą, lecz zdrową codzienność, dającą dochody, apetyt, dzieci, sen, nieruchomość i poważanie sąsiedzkie.“ Czy jednak bakterie tej epidemii, przed którą oni ostrzegają, nie dojrzewają właśnie najłatwiej w letniej temperaturze mierności, wśród tych upartych, Nielitościwych, prawie bizantyjskich szablonów dla dusz i umysłów, gdzie wszystko, co w te szablony wtłoczyć się nie da, tak ciężko i tak boleśnie walczyć nieraz musi, tak szybko i tak łatwo staje się ofiarą owej zarazy, którą lekarze zwą neurastenią?

Obarczeni tą niemocą przedstawiają najpodatniejszy pono materiał dla wszelkich chorób. Ona wytrąca im z dłoni ostatnią broń w walce z życiem, pozostawiając jakby na ironię złudne pozory fizycznego zdrowia, stawia ich w dziwnie żalonym stosunku do czynnego otoczenia, cofa dumnych w całkowite osamotnienie, wtrąca w rozpacz zawodu i wiedzy nieraz w nędzę ostateczną. — I oto któreś nocy zachłyśnie się taki własnymi łzami, zakaszle i bryźnie krwią na poduszki.

O suchotach mówić można, gdy się ma na myśli tysiące; pisać o nich niepodobna, gdy się widzi jednego.

W Monachium zmarł na suchoty artysta i malarz TEOFIL TERLECKI. Gdyby można było spróbować jego charakterystyki na podstawie tych licznych nieogłoszonych szkiców, pomysłów, fragmentów o charakterze linii lekkim i płynnym, gdyby wspomnieć te ołówkowe satyry, w których nie wpadał nigdy w gawędziarski ton „karykatury,“ lecz umiał streszczać się i skupiać do plastycznie niezbędnych a duchowo najistotniejszych zaznaczeń liniowych, gdyby wspomnieć, że w pociagu do tego rodzaju satyry szukał wypowiedzenia się i w słowie (pisywał po rusińsku), gdyby wreszcie... Lecz na tych niejawnych dokumentach publicznej charakterystyki opierać, niestety, niewolno. Sądzić go zaś podług tego, co po nim z ostatnich dwóch czy trzech lat pozostało (ilustracje w Tygodniku Ilustrowanym), i trudno i smutno i zawodnie, gdyż te rzeczy nie dają obrazu ani człowieka ani artysty. Na ogół odnosi się z tych rysunków wrażenie, że harmonijne i proste pomysły mącił w następstwie jakiś niepokój i niepewność, że ręką przestają kierować instynktowne odruchy talentu, że prowadzi ją pilna rozwaga, która kontury niepotrzebnie wzbogaca, linie wiję i płacze, kompozycję całą prze-

ładowuje szczegółami, czyniąc rysunek, w zamierzeniu liniowy, o charakterze stylizującym, barokową niemal ilustracją. Nigdy wszakże nie uciekał się do tej na zimno obliczonej łatwizny obrzydliwych i tanich efektów, mającej wśród szerokiego tłumu obok smaczków wiedeńskiego walor właściwej „secesyi” — tej z *Ver Sacrum*, kart pocztowych i bulwarowych kawiarni. — Większość ostatnimi laty opublikowanych jego rysunków była długiem spleconym konieczności, umożliwiała tylko przeciągnięcie ciężkiego życia człowieka po za zgasły żywot artysty, aż do mety niespełna lat 30-tu. Pozostało po nim mało, zbyt mało! Gdy się jednak zważy, jak ten człowiek w początkach swej pracy szczerze i wyraźnie do pewnych artystycznych zdążał celów; że mógł i, w innych warunkach, z pewnością byłby coś pozostawił; gdy się to wszystko uprzytomni, tem niżej należy pochylić głowę przed świeżą mogiłą.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

Nie bez powodu i nienadaremnie doba, w której powieść dominująca zdobyła stanowisko, zbiega się z epoką nagłego, niesłychanego wzmoczenia się prasy peryodycznej. W tem sekret imponującej supremacji ilościowej romansu nad innymi działami poezyi; w tem wyjaśnienie przerażająco małego procentu istotnych dzieł sztuki w rosnącej wciąż liczbie tomowych i wielotomowych opowiadań. Gdy punkt ciężkości czytelnictwa przesunął się z książek na gazety, autorowie, przeczuwając możność szerszego w tych ostatnich oddziaływania, sami pogarnęli się do suterren felietonowych czy innych wydzielonych literaturze kącików. Ponieważ jednak czytelnictwo zmieniło jednocześnie i charakter swój zasadniczo, stało się pobieżniejszym, jednorazowym, żądniejszym wiadomości i rozrywek aniżeli rzeczy głębszych i do medytacji wiodących, — więc poezya wierszowana i dramatyczna straciły odrazu wszelką możność współzawodniczenia z prozą opowiadawczą. Dramat mało kto z tych czytelników nowego rodzaju umiał i umie *czytać*; to wymaga już po niekąd zdolności do jakiegoś „wspólnictwa duchowego z autorem; ogromna większość woli zaznajamiać się z utworami dramatycznymi za pośrednictwem sceny, na której pracę wcielania wizji autora podejmuje za słuchacza aktor. Poezja wierszowana znowu, jako wymagająca niezbędnie pewnego skupienia i nienadająca się do przed-

biurowego lub poobiedniego przebiegania oczyma, do tego zaś zajmująca mało miejsca, a kosztująca wydawcę drogo, stała się w dziennikarstwie odrazu prawie jakimś *article haïssable*, o ile nie była piosenką łatwą, humorystką, kroniczką rymowaną, epigramatem lub kupletem. Powieść tylko zdolna była, z jednej strony, zapełniać w mierze dostatecznej niepolicone płachty peryodyczne, codzienne i tygodniowe, z drugiej zaś, łagodnie kołysać czytelnika sytuacjami i sentymentami fabuły, nie żądając odeń koniecznie wgłębiania się aż do dna w to, co niekiedy poza niemi dawała. Ona też stała się zwolna wyłączną podporą literacką dziennikarstwa.

Wkrótce wszakże okazało się, iż, stosunkowo do coraz większej gazet ilości, powieściopisarzy i nowelistów było za mało. Poczęto tedy wydierać ich sobie, licytować, nakłaniać dobrymi ofertami do pisania więcej i szybciej, niżby mogli i chcieli, drukować rzeczy ledwie zaczęte i później z numeru na numer dokańczane, jednym słowem, przetwarzać powołanie powieściopisarza na zawód i sprowadzać wolnego twórcę do roli stałego, systematycznego fabrykanta. Następstwa były jasne. Coraz rzadszem zjawiskiem stawał się powieściopisarz-artysta, w rodzaju jakiegoś Flaubert'a czy Bourges'a, zdolny poświęcić jednemu dziełu lat kilka czy kilkanaście. Coraz trudniej było spotkać powieść dobrze zbudowaną, należycie pogłębianą, wszelkich pozbawioną zbyteczności i podpórek, i artystycznie, ze stylem jakimś napisaną. Coraz więcej zdolnych pisarzy jęło — nie raz po pełnym świetnych obietnic debiucie — osuwać się powoli ku łatwej produkcji, *ergo* mierności. Coraz częściej znakomici nawet autorzy (jak np. Kraszewski) przyćmiewali blask doskonałych, pierwszorzędnych swych rzeczy całemi warstwami szarych robót obstalunkowych. — I ta jednak, w tak fatalny sposób spotęgowana twórczość istotnych powieściopisarzy z powołania nie zaspokajała potrzeb wystarczająco. Rekrutowano więc zajądło nowe „siły,” a gdy tych niedość było, nowe niemoce. Obniżono do minimum wymagania estetyczne, zastępując je natomiast przeróżnemi względami redakcyjnymi: społecznymi, politycznymi, obyczajowemi, partyjnymi, koteryjnymi — i poczytnościowemi. Forytowano gorliwie na powieściopisarzy i nowelistów różne miernoty i spryty reporterskie, jako najlepiej znające się na modach, kierunkach, usposobieniach, gustach i słabostkach czytelników. Zachęcano do pisania najniepowołanszych doktrynami o bezpośredniej wartości obserwacji (teorya „zbierania wzorków”), dokumentów ludzkich, zdarzeń i uczuć przeżytych. Ogłaszano konkursy, potęgując drzemiące w każdym człowieku grafomańskie skłonności ponętą rozgłosu i sutej na-

grody. Pracowano, jednym słowem, skutecznie, aby rozpasać i do stanu epidemii doprowadzić znaną już Juwenalowi jako *cacoethes*, ale dziś w dziedzinie powieści do ostatnich posunięta granic — chorobę pisania.

Mania ta, sama przez się niewinna i, co najwyżej, zabawna, staje się — przy współudziale druku, oraz zabiegów księgarskich czy redakcyjnych — szkodliwą i groźną nawet. Corocznie wychodzą z pod pras, naprzód w czasopismach, a potem w książkach osobnych, pod nazwiskiem powieści czy nowel, całe setki (we Francji, Anglii i Niemczech — całe tysiące) banalnych zwierzeń, płytkich pseudoanaliz, sentymentalnych lub burszowsko-rodzajowych anegdot, też mających udowodnić to lub owo, obrazków mających być dokumentem, historyjek z kluczykiem lub bez kluczyka, opowiadań „prawdziwych,” szkiców, które nie są szkicami, i nastrojów, których nastrój zamyka się w podtytule, jednym słowem, elukubracji niemających nic wspólnego z literaturą jako sztuką, pisanych bez talentu, często — kroć bez znajomości rzemiosła nawet, a niekiedy bez umiejętności pisania poprostu. Powie kto, iż niema się o co troszczyć, iż ten potop mizernych efemeryd przeminie bez śladu, i że po krótkim czasie nikt już o nich wiedzieć nie będzie? Niestety, same one przemina, ale ślad po nich pozostanie: w życiu. Jak ta ulewa nędz odbiera z wolna czytelnikom smak, wrażliwość i wszelką oryentację, świadczy dziś już — dajmy na to — jednoczesne i jednakie powodzenie Reymontów, Żeromskich, Przybyszewskich, z jednej strony, a wszelakich *Blichtrów* i gamastoniad, z drugiej. Jak ta marna „literatura” nazwyczaja do powierzchownego czytania, jak uniezdolnia do odczuwania głębszych rzeczy i do istotnego (bez snobizmu) rozkoszowania się nimi, — z łatwością również dałoby się udowodnić. Nawet czczość, banalność i niedołęstwo zewnętrzne, językowe, całej tej produkcji odbiły się już wyraźnie w niepocieszającym bynajmniej przekształceniu się zwykłej, towarzyskiej konwersacji warszawskiej, która jest dzisiaj zdumiewającym jakimś konglomeratem płasko-burszowskich i fałszywie-sentymentalnych, brutalnie-naturalistycznych i szczytnie (oh!)-idealnych... szablonów. — A wszystko to, przez wzajemne, powrotne oddziaływanie życia na dalszą znów twórczość, nader niepożądany kiedyś wpływ wywrze może. Zresztą, niepotrzeba nawet czekać przyszłości. Masowe te dostawy „towaru” literackiego teraz już w smutny sposób odbijają się na dobrych nawet autorach. Wytwarzając jakąś zgiełkliwą, targowiskową atmosferę, wyrwywają ich z koniecznego skupienia, bez którego nie może powstać prawe dzieło sztuki, czynią ich wrażliwymi — bez wiedzy

snadź i woli — na gusta i żądania chwili, skłaniają nieraz do fabrycznego eksploataowania jakiegoś zdobytego toniku, który znalazł poklask, budzą pożądanie nieustannego, codziennego rozgłosu, pchają — gwoli jemu — do pośpiechu i rozpraszania się na częste, choćby słabsze drobiazgi, uniemożliwiają przez to jakąś pełną dojrzałość dzieła, jakieś pogłębienie należyte, jakąś zupełnie skończoną, harmonijną budowę, jakieś Flaubert'owsko muzyczne czy Gautier'owsko plastyczne wykończenie aż do szczegółów, i czynią z wielu wyróżniających się utworów potężne nieraz, ale przepelnione wadliwościami i brakami improwizacye.

Zdawaloby się, że krytyka mogłaby i powinna kłaść tamę temu zalewowi miernot, przypominać utalentowanym, lecz dającym się porywać prądowi pisarzom o zadaniach i wymaganiach sztuki, wytykać wyraźne linie graniczne między literaturą a jej surogatami i oddzielać w ten sposób ziarno od plewy, kruszce szlachetne od aliażów nikczemnych? Niestety, dziś stokroć słuszniej, niż to czynił już w r. 1847 p. Alfred Nettement, przerażony „wszechwładztwem“ Sue'owskich „romansów felietonowych“, pytałby można: „que fait donc la critique? où est-elle? qu'est-elle devenue?“ Nawet we Francji, tym najkulturalniejszym i pełnym wspaniałych tradycyj kraju krytyki literackiej, — niedobrze się dzieje. Wszyscy prawie spadkobiercy „poniedziałków“ Sainte-Beuve'owskich w wielkich dziennikach, „ceux qui font l'opinion dans le monde des lettres“, zrażeni rosnącą wciąż epidemią powieściopisarską i widząc fizyczną wprost niemożebność uporania się z nawałą wychodzących codziennie tomów, wycofali się po dłuższych lub krótszych wysiłkach z pola walki — i bieżącą krytykę sprawozdawczą w prasie codziennej zastąpiły bądź komunalowe wzmianki bibliograficzne, bądź — co gorsza — reklamowe, płatne notatki w tekście (nie między ogłoszeniami), rozsyłane przez wydawców. Odtąd, o rozgłosie powieści i powodzeniu jej u szerokiej publiczności zaczęła wyłącznie stanowić mniejsza lub większa zdolność wydawcy jako *lanceur'a*. Ale Francya, na szczęście, posiada jednocześnie sprawdzian dla tych rozgłosów i powodzeń w wytrwalszej, a nieublaganej dla wszelkich fabrykatów, czysto estetycznej krytyce „młodych przeglądów“, i nadto wtóre, rzadsze sito w tak licznych, jak nigdzie, studiach literackich, które, zajmując się już tylko utworami i autorami istotnie wartymi badania, brakują kategorycznie — przez samo pominięcie — wszelki, choćby najrozwłośniejszy „towa“ powieściopisarski, a stanowiąc niejako ogniwo przejściowe między sprawozdaniami codziennymi i historią literatury, zamykają

wstęp do tej ostatniej — jeśli nie wszystkim, to wielu przynajmniej kabotynom, niedołączom i przemysłowcom.

U nas, gdzie niemasz ciągłej, świadomej siebie kultury artystycznej, gdzie literatura uważana jest za rozrywkę lub zbytek, o ile nie spełnia różnych innych jeszcze obowiązków, gdzie formułę „sztuka dla sztuki“ traktuje się jako absurd lub igraszkę, a żądanie, by powieść była przedewszystkiem dziełem sztuki, jako paradoks, — położenie jest stokroć gorsze. Wprawdzie bieżąca krytyka sprawozdawcza — może skutkiem stosunkowo mniejszej u nas i dającej się jeszcze ogarnąć produkcji powieściopisarskiej — nie opuściła, jak we Francji, stanowiska, owszem omawia każdą nową powieść czy nowelę na całych szpaltach, stronicach i arkuszach, ale, niestety, zajmuje się wyłącznie prawie streszczaniem ich fabuły, rozrzuwaniem się nad ich uczuciowością, polemizowaniem lub zgadzaniem się z ich tendencją, roztrząsaniem ich wartości moralnej, społecznej lub narodowej, jednym słowem, analizą idących od zewnątrz raczej i niestanowiących o wartości dzieła, oraz talencie autora, emocyj faktu lub sentymentu. Oceny z takich punktów widzenia, zacierając, zamiast uwydatniać, różnice między istotnemi, „żyjącemi“ dziełami twórczości, a przeróżnemi zaciekawiającemi, wzruszającemi lub udowadniającemi cośkolwiek „opowiadaniem“, „bałamucą“ nietylko czytelników, lecz i dobrych autorów częstokroć, a mogą to czynić tem bezkarniej, że wpływom ich nie przeciwdziała żaden z obu wskazanych we Francji korektywów. Nieliczne u nas „młode przegłady“ zajmowały się po ostatnie czasy wszystkim raczej, aniżeli sztuką i estetyką, i w sądach o dziełach twórczych różniły się od ogółu czasopism zawsze prawie „postępowym“ kierunkiem, ale nader rzadko sposobem i rodzajem oceny. Studya znowu *estetyczno-literackie*, zwłaszcza dotyczące literatury bieżącej, możnaby, w przeciwieństwie do całej masy przyczynków i monografij historyczno- i anegdotyczno-literackich, prawie na palcach policzyć. Ubóstwo pod tym względem próbowano niejednokrotnie tłumaczyć — niemożliwością jakichkolwiek ostatecznych wniosków o autorach żyjących, a więc rozwijających się jeszcze. Zapomniano wszelako, że konkluzye dotyczące *wartości estetycznej* dzieła nie zależą bynajmniej od jakichbądź tego rodzaju psycho- czy chronologicznych względów. Powodem rzeczywistym był i jest brak koniecznych kamieni węgielnych pod takie badanie estetyczne: brak wyrobionej wrażliwości i smaku, brak otrzaskania z prądami i teoryami literackimi różnych epok i krajów i, nade wszystko, brak jakiegokolwiek wyraźnej filozofii sztuki, jakichbądź kategoryczniejszych zasad i postulatów estetycznych. Po dziś prowadzą

się u nas poważne dysputy o różnych „kozich serciach,” jak np. czy powieść historyczna ma lub nie rację bytu, albo o ile Rzepa i Rzepowa, jako bohaterowie powieści, wyżej stoją od Płoszowskich i Skrzetuskich, albo jeszcze o roli powieści jako „mistrzyni życia.” Za to, o podstawowych, nieodzownych przy każdej ocenie kwestyach zachowuje się głuche milczenie, albo też zbywa się je uboczną, empiryczną, niekiedy sprzeczną z pozostałym rozumowaniem, a zawsze przemijającą bez wrażenia wzmianką. I to nie tylko w krytykach bieżących i studyach, ale nawet w książkach specjalnie teoretycznych. Tak np. w *Teorii poezji* Bema, w całym rozdziale o eposie w mowie wiązanej, mówią właściwie o *istocie* powieści jako dzieła sztuki tylko cztery ostatnie wiersze na stroniczce poświęconej *Don Kichotowi*.

Taki stan rzeczy zmusza nas do kategoryczniejszego, surowszego snadź niż w innych dziedzinach poezji, stosowania ścisłych wymagań estetycznych przy ocenianiu produkcji powieściopisarskiej. Czas zaznaczyć silniej to, o czym dawno już Michał Grabowski uważał za potrzebne przypominać: że powieść jest poezją, że zatem, jako dzieło sztuki, nie służy ona do rozrywki, iż rzeczą jej nie jest również wzbudzać śmiech, lub łzy, ani udowadniać lub zbijać jakieś tezy czy doktryny, lecz — jak powiada Paul Adam — „accroître la vigueur de l'esprit,” potęgować, rozszerzać ducha, powodować owo bezinteresowne, nieokreślne, całościowe urastanie, które odczuwał twórca Mojżesza przy czytaniu Homera. A to się dzieje, gdy powieściopisarz sięgnie wystarczająco ku głębiom, ku owym „choses merveilleuses qui se voient au-delà de l'île de Thulé”; gdy nie zadowoli się powierzchownym odtworzeniem jakiegoś oderwanego od całości, a więc martwego fenomenu, lecz da odczuć całą sieć niewidzialnych nici, pasem, ogniów, dzięki którym tenże spólpulsuje z wielką jednością bytu i jest właściwie tylko jedną z jej stron niepoliczonych; gdy — jak mówi Norwid — tak „zestosuje ustatkowany swój myślący organizm do ustroju nieustannego w harmoniach stworzenia monologu wiecznego,” że będzie mógł „na huczące morza działalności i energij rzucić z góry onemi wielkimi liniami, których zarysem i proporcją zwykł był Ajschylos postacić dwie urabiać z narodów i kroci”; gdy w mikrokosmie powieści swej da nam odczuć drgania wiecznych, nieprzemijających pierwiastków bytu; gdy, jednym słowem, jak określa znowu Paul Adam, powieść jego będzie „metaforą jakiejś filozofii,” albo, lepiej mówiąc, filozofią wyswitującą wielkimi zarysami z wirów i zameętów pełnego, wibrującego, tętniącego, ścichającego i zrywającego się znów — życia. Bo drugi warunek, by powieściopisarz nietylko myślał tę filozofię, ile czuł ją w zjawisk wicherze i podawał nie wy-

luskana, wyabstrahowana z życia, choćby nawet przeto miała nabrać wyrazistości większej, — lecz żywa, nieokreślnie w ruchu zdarzeń falująca, tu gubiąca się, a ówdzie znowu, gdzieśmy się najmniej spodziewali, wyblaskająca słonecznie. W tem określeniu, w tym postulatcie, dość miejsca dla wszystkich indywidualności, dla wszystkich rodzajów i formulek powieściowych; głębi, ech jedni bytowej, oraz wibracyi życia — od wszystkich żądać możemy i musimy. To są wymagania od — talentu.

Co do rzemiosła, uważamy za potrzebne ściślejsze stosowanie budowy epicznej, to jest, zamiast gawędziarsko, anegdotycznie chronologicznego opowiadania zdarzeń od początku do końca, żądamy ujęcia powieści w katastroficznym, że się tak wyrazimy, punkcie wypadków i umiejętnego wplatania tego, co z faktów poprzedzających okaże się koniecznem, w dzieje ostatnich tych rozwiązań. Ztąd wynika już i reguła nieodzownej ekonomii artystycznej: co nie jest konieczne do ogólnego wrażenia, jest zbyteczne. Wreszcie, sposób patrzenia, obrazy, język — są wtedy dobre, gdy są absolutnie własne, indywidualne i *eo ipso* nowe.

Na podstawie tego oddzielać będziemy powieściowe *dzieła sztuki* od „opowiadań” wszelakich.

Miriam.

TEATR.

Postulatem kategorycznym, od którego żadnej scenie, pod groźbą obrócenia się w prosty cyrk czy tyngiel, odstąpić nie wolno, jest *dominujące stanowisko* repertuaru. On musi być rdzeniem teatru, jego kością pacierzową, jego wyłączną racją bytu. Celem jedynym powinno być możebnie najlepsze wcielenie utworu dramatycznego; gra artystów i wszelkie sposoby inscenizacyi muszą być traktowane tylko jako środki do urzeczywistnienia tego celu. Wszelkie „sztuki,” niemające same przez się wartości i dające tylko pole do rozwinięcia efektów wystawowych lub okazania wirtuozyi aktorskiej, śpiewaczej czy tancerskiej, muszą być stanowczo wykluczone. Występy artystów, angażowanie sił nowych, debiuty i występy gościnne — winny być zawsze podporządkowane wymaganiom repertuaru, nie zaś naodwrot. Koniecznem jest także usunięcie wszelkiej dorywczości w repertuarze, zaprowadzenie w nim wyraźnego *ładu i planu*, a to tem bardziej, że ze względu na różnorodność publiczności uczęszczającej do wielkomiejskiego, zawodowo prowadzonego teatru

musi on być eklektycznym, nie może zamykać się wyłącznie w sferze dzieł sztuki, lecz z konieczności winien uwzględniać wszelkie rodzaje i kierunki, nie cofając się nawet przed melodramatem i wodewilem. Dla zapobieżenia złym skutkom tego kompromisu repertuarowego, dla ustosunkowania należytego tych różnych elementów i zachowania odpowiedniej równowagi, wydawałoby nam się pożądanem i ponieważ koniecznem nawet *wypracowywanie dokładnego planu całkowskiej kampanii rocznej* (z zostawieniem luk na przypadkowości, jak zjawiające się nowe dzieła i t. p.) *i ogłaszanie go w pismach na kilka miesięcy przed jej rozpoczęciem*. Wytwarzałoby to pewną celowość, okazywało odrazu w pełnem świetle, czego po kierowniku repertuaru spodziewać się można, oraz pozwoliło krytykom teatralnym wyjść z banalnych ogólników i konkretniejsze w ocenach sugerować pomysły. Rzecz prosta, iż, o ile teatr chce dbać o podniesienie kultury estetycznej i wytwarzanie sobie coraz szlachetniejszej publiczności, główna uwaga przy układaniu takiego planu musi być zwrócona na dział arcydzieł, co bynajmniej nie jest takim „nie-najtrudniejszym obowiązkiem,” jeżeli nie ma być rutynicznym i nie-prowadzącem do celu hołdowaniem tradycjom podręcznikowym. Do tego działu, w którym jednak cała nadzieja lepszej przyszłości, ciągnąć jeszcze trzeba pełną złych nawyków publiczność, a więc, nie polegając na samym wpływie arcydzielności, dawać rzeczy nie tylko doskonale, lecz nadto nieograne, nieznane, zewnątrzniemi nawet stronami zaciekawiające, i przeplatać wszechstronnie epoki, style, rodzaje, indywidualności. Widz przeciętny, nie mając wtedy pod ręką gotowych, wyszarczanych po wszystkich podręcznikach, komunalów do zreasumowania, lub raczej do zatarcia swoich wrażeń, będzie się może trochę wczuwał osobiście, wrażliwość jego zacznie rozbudzać się zwolna — i resztę zrobi już samo arcydzieło. — W dziele sztuk, czy to czysto rozrywkowych, czy tezowych, tendencyjnych, czy wreszcie kopiujących żywcem życie, — wybór mniejszej jest wagi. Tak czy tak, rzeczy te pozostaną zawsze tylko *malum necessarium*, chwilowo podtrzymującym teatr materyalnie, ale przeszkadzającym raczej, aniżeli pomagającym w dziele podniesienia kultury i smaku. — Przy wyborze „nowości,” gdzie już nowość dzieła sama przez się jest atrakcją wystarczającą, nawet dla szerokiej, niechętniej głębszym rzeczom publiczności, — jedynemi kryteriami winny być: talent autora i wartość utworu jako dzieła sztuki. Wszelkie uganiania się za bulwarowo-rozgłosnemi płodami reklamy, wszelkie sympatye czy antypatye do tych lub tamtych kierunków, wszystkie płytkie „moralności” — są tutaj zupełnie nie na miejscu.

Ogólne te uwagi stosują się jednak do repertuarów dramatu, opery i baletu. W dramacie nie wystarczy dorywcze, zdawkowe wystawianie jakichś zbyt już dzisiaj oklepanych i przeżytych *Zbójców*, jakiegoś byle jak obsadzonego *Hamleta*, jakiejś Pohlowskiej *Wasantaseny*, dla tego, że ona gdzieś tam miała powodzenie, jakichś wreszcie wiecznie tych samych sztuk Słowackiego, Fredry czy Korzeniowskiego z popisowemi dla tych czy owych artystów rolami. Tu trzeba sięgnąć ku mniej znanym rzeczom tych samych Szekspirów, Schillerów, Fredrów, Molière'ów, Słowackich, Sofoklesów, albo też: uzupełnić czy zastąpić je utworami innych członków plejady szekspirowskiej (Marlowe'a, Forda, Webstera, Beaumont'a i Fletcher'a); wprowadzić Shelley'a, Byron'a, Swinburne'a, Hebbła, Grabbe'go, Platena, Hamerlinga; zajrzeć od czasu do czasu do Corneille'a i Racine'a, którzy nie są tak zupełnie spleśniali, jakby się komu zdawało; przypomnieć sobie o teatrze hiszpańskim, starszym czy nowszym (Lope de Vega, Tirso da Molina, d'Almeida Garrett, Etchegaray), o Calderonie, o Alfierim i Goldonim; odważyć się czasem na Aj-schylosa, Arystofana, Kalidasa; wydobyć wreszcie z pyłu zapomnienia większość polskich twórców dramatycznych, nie opuszczając nawet — i zwłaszcza — opuszczonych przez komisję Magnuszewskich, A. N. Korzeniowskich, Faleńskich, Belcikowskich i t. d. — W operze, główną uwagę zwrócić trzeba na *dramat muzyczny*; ogarnąć zwolna, nie zadowalając się Tannhäuserem i Lohengrinem, całą, zwłaszcza późniejszą twórczość Wagnera; uzupełnić ją, dalej, *Ifigenią* i *Orfeuszem* Glucka przedewszystkiem, *Fideliem* Beethovena, *Wolnym strzelcem* i zwłaszcza *Oberonem* Webera, Mozartowskiemi wreszcie *Don Juanem*, *Weselem Figara* i *Zaczarowanym fletem*; z nowych zaś rzeczy zwrócić główną uwagę na d'Indy'ego, Charpentiera, oraz niektórych niesłychanie zajmujących twórców belgijskich i czeskich. To powinno być jądrem repertuaru i stałą jego podstawą. Poza tem, jak najszerzej winna być uwzględniana *nowa twórczość* swojska, a ostatnie dopiero miejsce może zająć ubieganie się za *modnemi* nowościami zagranicznemi. — Balet, który w ostatnich czasach zeszedł do rzędu cyrkowo-tynglowych widowisk, największych może potrzebuje zmian w repertuarze i wogóle w całym swoim rodzaju. Balet-dzieło sztuki nie jest wystawą łydek, zlepkiem sztuk akrobatycznych i efektów dekoracyjno-wystawowych, lecz poematem ruchów i linii tak ściśle szarmonizowanych z symfonią tonów, jak słowo z muzyką w dramacie muzycznym. „La danseuse,” powiada Mallarmé, „n'est pas une femme qui danse, mais une métaphore résumant un des aspects élémentaires de notre forme,

glaiwe, coupe, fleur, etc.“ Ciało tancerki, dodaje Rodenbach, powinno być tylko osią rytmu, od której wszystko zależy, ale która pozostaje w ukryciu. W orzeczeniach tych czuć ślady reformy wprowadzonej w dziedzinie tańca przez Lole Fuller i przez tancerki egzotyczne, japońskie i inne, a z zajęcia się poetów, twórców — tym działem sztuki teatralnej, można dobrze wróżyć o jego przyszłości. Zanim ukształtuje się taki balet, „adjuvant et le paradis de toute spiritualité (Mallarmé), — teatr, chcący już dziś podnieść kulturę i w tej dziedzinie, winien porzucić albo na drugi plan odsunąć widowiska mechaniczno-akrobatyczne, a oprzeć repertuar baletowy na takich muzyczno-choreograficznych poemacikach jak *Gisella* Adam'a, *Coppelia* i *Sylvia* Delibes'a, *Korrygana* Widor'a, lub nawet uciec się w razie potrzeby do starszych rzeczy Cherubini'ego, Glucka (Don Juan), Beethovena (die Geschöpfe des Prometheus) i t. d.

Samo już podporządkowanie repertuarowi pozostałych elementów teatru wskazuje jasno, że wykonanie nie może opierać się na występach pojedynczych solistów-wirtuozów, choćby najbardziej olśniewających, lecz na odpowiedności i harmonijnem zespoleniu wszystkich biorących udział w danem przedstawieniu czynników: kapelmistrza, orkiestry, chórów i *wszystkich* solistów — w operze; kapelmistrza, orkiestry i *wszystkich* tancerzy — w balecie; wreszcie, *całego* personelu sztuki — w teatrze dramatycznym. Osiągnięcie takiego idealnego zespołu jest rzeczą nader trudną, o ile — jak u nas właśnie — brak odpowiedniej szkoły, w rodzaju np. paryżkiego konserwatorium muzyczno-dramatycznego, przygotowującej ciągle nowy materiał do zapełniania luk w personelu i uzdalniającej przez należyte studia wszechstronne do pewnego stylu w grze. Balet warszawski posiada jeszcze swoją szkołę, acz do ostatnich dni bardzo złe, bo w kierunkunku akrobatycznym prowadzoną, ale opera i dramat rekrutują swe siły z najrozmaitszych stron i sfer, przeważnie takich, że dany artysta, dostawszy się na wielką scenę, musi, zamiast rozwijać swój talent i zbogacać indywidualność, pozbywać się na-przód różnych wad i złych nawyków, gdzieindziej nabytych, lub douczać się tego, co przy wstępie na scenę powinien był umieć. Ztąd najrozmaitsze gatunki i maniery gry czy śpiewu, ztąd niepodobieństwo należytego zestrojenia się, ztąd zła wymowa, nieumiejętność mówienia wierszy, fałszywe lub banalne pozy, ruchy, gesty, ztąd absolutny brak jakiegos stylu we wszystkim, co przewyższa poziom dramatu mieszczańskiego, ztąd niezdolność do szerokiej deklamacji w dramacie muzycznym, ztąd niski stan ukształcenia ogólnego i nawet kultury towarzyskiej. O potrzebie, o nieodzowności takiej szko-

ły muzyczno-dramatycznej na większą skalę pomówimy kiedyś obszerniej. Póki jej niema, cała nadzieja dla teatru w odpowiednim kierowniku artystycznym, którym może być tylko człowiek wszechstronnie ukształcony pod względem estetycznym, obdarzony smakiem wytwornym i czuciem artystycznym, umiejący wpływać ożywczo na poddany władzy jego personel i wszczepiać mu, że tak powiem, swe intencye. Dla opery, widzę, wskazanych na takiego kierownika lub kierowniczkę, — p. Bandrowskiego lub p. Kruszelnicką. Dla dramatu — trudniej kogoś zaproponować. Przeciwno przewadze żywiołu aktorskiego w rządach teatralnych walczyli niedawno wszyscy referenci komisji — i może słusznie. Więc literat-esteta? Ale gdzież go szukać? Póki chodzi o wystawianie Schöthanów, Schnitzlerów, Lavedanów, Sudermannów, Rostandów i nawet Hauptmannów, — zgoda, że łatwo znaleźć kilku nawet kandydatów. Jak tylko pomyślę wszakże o wielkim repertuarze, o arcydziełach poezji dramatycznej (a o te przecież chodzi najbardziej!), — zaraz przypomina mi się ten rezultat czysto warszawskiego estetyzmu, jakim był zmodernizowany (po meiningeńsku?) chór w *Królu Edypie*. I to u... „miłośników,” nie sztuki wprowadzie, lecz sceny.

Na zakończenie, słów kilka o tak zwanej *mise-en-scène*. Zbytecznem byłoby, rzecz prosta, wchodzić, *ad usum* teatru musowo podlegającego kompromisom, w rozbiór różnych zasadniczych pomysłów, reform i żądań, dotyczących bądź inscenizacji wogóle (Jarry, Lugné-Poe, Maeterlinck), bądź specjalnie wystawy dramatów Wagnerowskich (*Appia*, *Bryk*), lub nawet zastanawiać się nad osiągnięciami w tej dziedzinie urzeczywistnieniami (*Elisabethan Society* w Londynie, paryżkie *théâtres d'art*, teatr ludowy Pottechera.) Rozpatrzmy to kiedyindziej wyczerpująco z czysto teoretycznego stanowiska. Tu chcemy tylko zaznaczyć, że „mania erudycyjna,” w jaką wpadły, od wizyty meiningeńczyków, i krytyka teatralna i teatr sam, doprowadziła z wolna do zapomnienia o estetycznej stronie inscenizacji. Rozprawia się szeroko o zgodności kostyumów i dekoracji ze stylem epoki, wylapuje się troskliwie i gorzko reżyserzy wyrzuca każdy, choćby najdrobniejszy anachronizm, — ale za to linie i barwy w rążącym się częstokroć rozdźwięku, krzyczą wprost jedne przy drugich, ugrupowania bywają głęboko nieestetyczne, dobór figurantów ohydny, — i rzadko kto o tem słowo powie. Mniej często się to zdarza w tapicersko-meblowych inscenizacjach współczesnych; za to w operach, baletach i arcydziełach poezji dramatycznej, gdzie właśnie najdrobniejszy szczegół nieestetyczny może rozbić czar marzenia, przytrafiają się poprostu *horrenda*. Środek na to widzimy tymczasem tylko

jeden: oddać kierownictwo inscenizacji dobremu malarzowi. Tu nie wystarczy brać od malarzy kartony poszczególnych kostymów czy dekoracji; tu potrzeba ogólnego planu, skomponowanego w całości przez malarza, tu potrzeba pewnego oka artysty plastyka, aby przy wcielaniu tego planu nie prześliznęło się nic psującego harmonię ogólną. Czy jeden malarz ma zawiadywać tym działem, czy też lepiej każdą poszczególną inscenizację oddawać innemu, to już rzecz drugorzędna.

Z. P.

MUZYKA.

Filharmonia warszawska. Garść uwag luźnych.

Nie chcemy wchodzić w bliższy rozbiór kwestyi, czyjej zasłuzę — czy szczęściu — przypisać należy szybkie i stosunkowo imponujące ukształtowanie się filharmonii warszawskiej. Pp. Młynarski i Rajchman dowiedli niebywalej u nas energii, sprężystości, oraz umiejętności organizatorskiej, zdoławszy nakłonić do spółudziału i zarzykowania potrzebnych kapitałów cały szereg warszawskich „miłośników sztuki,” częstokroć nader luźno i wątpliwie ją miłujących. Z drugiej strony, mieli obaj rzadkie szczęście, że napotkali na swej drodze człowieka rzeczywiście i gorąco sztuce oddanego, posiadającego wielkie środki i szafującego niemi z niezwykłą na rzecz umiłowanej sprawy hojnością. Najważniejsza wszakże, iż trafili na chwilę odpowiednią i na grunt przygotowany przez długie, niemniej wytrwałe, niemniej uznania godne, ale prekursorskie, a więc niewywieńczone bezpośrednio w tych rozmiarach powodzeniem, wysiłki całego szeregu poprzedników. Faktem jest, iż różne czynniki — (przeszło 30-letnia zasłużona działalność Towarzystwa Muzycznego, gorliwe zabiegi osobiste kilku muzyków miejscowych, niejednokrotne, acz ostatecznie nieudane, próby stworzenia stałej orkiestry miejscowej, kilka cykli muzyki kameralnej, koncerty symfoniczne w Teatrze Wielkim przy pomocy orkiestry operowej, wreszcie, nawet symfoniczne produkcje Windersteinowskie) — podniosły w końcu tak dalece kulturę muzyczną wśród szerszych warstw ogółu, że powstanie filharmonii stało się prostą koniecznością, która nieco prędzej czy nieco później urzeczywistnienie znaleźć musiała. — To miarkuje stosunek zasług; to wskazuje zalety i wady filharmonii; to określa wreszcie (o czym kiedyindziej pomówimy obszerniej), jakiby winien być jej przyszły stosunek do Towarzystwa Muzycznego.

Filharmonia miała, w zasadzie, zadośćuczynić trzem nagłym potrzebom: dać odpowiednie pomieszczenie sztuce muzycznej, stworzyć organ wykonawczy dla najwyższego rodzaju tejże sztuki, wreszcie umożliwić obdzielanie tą sztuką szerokich warstw społeczeństwa. Przyjrzyjmy się, jak wyglądają te trzy postulata w urzeczywistnieniu dotychczasowem.

Gmach, zbudowany w 18 miesięcy, ale bynajmniej nieprzynoszący zaszczytu architektom warszawskim, pełny niewygód wewnętrznie, pozbawiony monumentalności i powagi od zewnątrz, przeładowany obcemi jego celowi ubikacyami dochodowemi, ozdobiony (?) „prawdziwemi“ podobno, ale przeważnie mizernemi, a gdzieśgdzie (plafon w sali głównej) wprost sromotnemi „dziełami sztuki“ (??), — nie przyczynia się wprawdzie do upiększenia miasta i każe żałować, że nie przyjęto planów Fellnera i Helmera; że wszakże zawiera dwie wielkie i wcale akustyczne sale koncertowe, więc spełnia wystarczająco swoje zadanie. — Na bezwzględne uznanie zasługują: dobór doskonałych istrumentów, przepyszny (z wyjątkiem brzydoty zewnętrznej) organ koncertowy, oraz — przede wszystkim — skompletowany świetnie przez p. Młynarskiego personel muzyczny. Zwolennicy swojszczyzny za każdą cenę podnieśli wprawdzie lament o „zamorskich“ flecistów, oboistów, waltornistów etc., ale Warszawa znalazła się nagle w posiadaniu pierwszorzędnej i na wstępnych już koncertach wcale dobrze zgranej orkiestry, której pod koniec zimowego sezonu już nawet bardzo wymagający Nikisch nic prawie nie znalazł do zarzucenia. — Niestety, doskonały ten instrument marnuje się i z czasem popsuć się może, skutkiem używania go do wszystkiego i nawet częściej do rzeczy nieodpowiednich, aniżeli do będących właściwem jego zadaniem. Filharmonia, która w podaniu do władzy o zatwierdzenie ustawy motywowała potrzebę swego istnienia tem przede wszystkim, że „kultura muzyczna w Warszawie nie przybrała rozmiarów odpowiednich jedynie z powodu *braku systematycznie prowadzonych koncertów symfonicznych*,“ i która pierwotnie miała w zamiarze głównie poważną muzykę w wyższym stylu, symfoniczną i kameralną, zapragnęła potem zmonopolizować wszelkie jej rodzaje: poważny i popularny, orkiestrowy i solowy, instrumentalny i wokalny. Wkroczone przez to w obręb działania innych, istniejących już i spełniających porządnie swoje zadanie instytucyj, a usprawiedliwiając to rozszerzenie zakresu koniecznością „szkolenia, urabiania, wykształcania publiczności,“ zapoznawano niesłusznie wszystko, co tamte instytucje uprzednio już dla umuzykalnienia Warszawy zrobiły, wszystko, dzięki czemu filharmonia musiała powstać i mogła

tak wielkie natychmiastowo osiągnąć powodzenie. Warszawa miała, bez filharmonii, dość muzyki solowej, wokalne i instrumentalnej, brakowało jej tylko muzyki orkiestrowej, symfonicznej, a że chciała i potrzebowała jej, że jej do tego nie było trzeba „szkolić,” świadczyło powodzenie koncertów symfonicznych w Teatrze Wielkim i nawet u Windersteina. Tylko nie trzeba w nią wmawiać, że przekarmienie ciężką strawą jest niebezpieczne. — Zapomniano nadto, że, nazwyczajając na koncertach popularnych szersze, potrzebujące jeszcze „szkolenia” warstwy publiczności do utworów lekkich, a nawet „trywialnych i banalnych” (których wykluczenie p. Grossmann na później dopiero obiecuje), nie zachęci się ich do utworów poważnych, a odbierze się skupienie i powagę należytą orkiestrze. Pierwszy to chyba na całym świecie przykład, że orkiestra filharmoniczna dawać ma jednocześnie i koncerty promenade. Gdzieindziej te ostatnie pozostawiono orkiestrom wojskowym i popularnym, nigdy znowu nie wdającym się w poważną muzykę. Wytwarzanie kultury artystycznej tą drogą, przerabianie w ten sposób melomanii na znawstwo jest prostem złudzeniem, a jeżeli — jak przypuszczał prof. dr. Bylicki — chodzi o robienie kasy, to wartoby się zastanowić, czy zbyt wielka ilość koncertów popularnych nie przynosi raczej szkody, i to potrójnej: demoralizując i orkiestrę i publiczność, oraz psując pośrednio interes koncertom, jeśli nie symfonicznym, to przynajmniej filharmonijnym. — Na czym znowu polega różnica tych ostatnich dwóch typów koncertowych? — zadał sobie pytanie tenże prof. Bylicki, i wnioskował bardzo słusznie, że koncert symfoniczny składać się będzie z utworów wyłącznie na orkiestrę, filharmonijny zaś z utworów wszelkiego rodzaju. „Nikt bowiem” — dodaje — „nie będzie słuchał w skupieniu poważnego dzieła orkiestralnego, jeżeli wie, że numer następny wypełni głośna śpiewaczka, słynny pianista lub skrzypek.” — Niestety, wnioskowanie jego było mylne. Symfoniczne koncerty, dawane podobno „dla prawdziwych smakoszy,” nie tylko nie są pozbawione solistów, lecz nawet hojniej w nich zaopatrzone, niż filharmonijne. I żebyż ci soliści wykonywali przynajmniej zawsze coś poważnego, szlachetnego, mającego jakibądź związek z symfonicznością koncertu! I to nie. Na IV-ym konc. symf., p. Gemma Bellincioni śpiewa arye operowe (Puccini’ego i Boito), oraz... cały wianuszek piosenek Tosti’ego; na V-ym, p. F. de Lucia uracza słuchaczy arją z *Werthera* i pieśniami neapolitańskimi; na wieczorach filharmonijnych pojawiają się arye z *Hugonotów*, z *Lakme* i t. p. Smutny obowiązek podrzędnej akompaniarki spełnia przy tem orkiestra, a tak łatwo

nazwyczajają się widocznie do tej roli, że potem tam nawet, gdzie jej przypada nie akompaniatorskie jedynie, lecz spólrzędne z solistą zadanie, zbywa dyskretnie swoje *tutti*, cofa się skromnie na drugi plan, uważa sama siebie za szare tło, na to tylko potrzebne, aby na niem w całej chwale wyblysnąć mógł wirtuoz-solista. Parę razy zaledwie, w ciągu wszystkich koncertów symfonicznych i filharmonijnych, zdarzyło nam się słyszeć mniej bierny, zaznaczający wyraźnie swe równie ważne stanowisko, wtór orkiestry: w pierwszym akcie *Wal-kiryi*, którego odegranie było może najwyższym *czynem* muzycznym filharmonii; podczas występów Ysaye'a; oraz — zwłaszcza — w koncercie c-moll Saint Saëns'a, odegranym przez Raula Pugno, gdzie doskonały fortepianista sam w sposób widoczny żądał od orkiestry nie akompaniamentu, lecz czynnego współdziałania. — Przewaga po stronie solistów na wielkich koncertach wywiera wpływ zły i na orkiestrę i na publiczność. Pierwsza, zajęta ciągle próbami to z tym, to z innym wirtuozem, niezawsze ma dość czasu i spokoju na doskonale przestudowanie samoistnych dzieł symfonicznych — i wykonanie ich niezawsze też jest takim, jakiego po dobroci orkiestry spodziewałyby się można (przypomnimy tylko niebardzo udaną IX-tą symfonię). Dla publiczności znowu, która nie umie się oprzeć fascynacyi tego lub owego rozgłośnego solisty i skupia całą uwagę na jego popisach, orkiestrowe numery programu stają się czemś w rodzaju muzyki antraktovej, przy której się, nie słuchając, odpoczywa, i wskutek tego przemijają zupełnie bez wrażenia. I oto jak wygląda owo stopniowe kształcenie, owo powolne rozbudzanie zamięłowania do najwyższego rodzaju sztuki muzycznej! Były prezes filharmonii zwierzał się jakiemuś *interviewer*'owi, że sam „sprzeciwiał się, aby na wielkie koncerty angażować po dwóch solistów, ale *większość zdań przemogła*.” Zdań akcyonaryuszów, naturalnie, bo filharmonia jest, niestety, spółką akcyjną, „musi” płacić przedewszystkiem dywidendę i słuchać ludzi, którzy — jeśli odrzucić obowiązkowe, wyszarzane frazesy o „idealach” — traktują ją jak interes bankowy lub przemysłowy. Ściągać publiczność! robić kasę! — oto, według nich, rzecz główna, oto co „stanowi o bycie instytucyi.” A więc — *utile dulci*, i to jak najwięcej rzeczy słodkich, jak najwięcej przyjemności dla „zwyczajnych śmiertelników, niesymfonistów,” bo tych jest większość ogromna, bo ci zatem prędzej mogą robić kasę. „Śmiem twierdzić” — puszcza się istotnie śmiało jeden z tych panów, gromiąc młodego muzyka za zarzuty przeciwko nadmiarowi solistów — „że niema na świecie miasta, któreby zapełniło wielką salę dla wysłuchania nieznanej symfonii początkującego kompozytora i innych *samych poważnych produkcji*.”

Zadowolenie z siebie doprowadza czasem do szczytnych naiwności. Śmiemy uśmiechnąć się, łaskawy panie, i spytać, po co w takim razie było przyczyniać się do założenia filharmonii? czy nie lepiej, rozumniej i pożyteczniej byłoby ufundować jakąś „instytucję dla niesymfonistów?”

Filharmonia musi zdecydować się, czy jest instytucją, czy przedsiębiorstwem, świątynią sztuki, czy miejscem rozrywki. Wolno jej być jednym lub drugim, ale od tego wyboru zasadniczego zależeć będzie w przyszłości pogląd krytyki na jej działalność. Nie zaprzeczamy, że filharmonia zrobiła, w krótkim stosunkowo czasie, dość dużo i w kierunku artystycznym (sprezentowała cały szereg kompozytorów polskich, dała poznać w doskonałym wykonaniu kilka dzieł kapitalnych sztuki muzycznej, obudziła ruch ożywiony i umiała zogniskować go u siebie), ale przewaga strony rozrywkowo-dochodowej była tak wielka, że nie pozwoliła wytworzyć się poważnej atmosferze *sztuki*. Koncerta w filharmonii zostawiają po większej części wrażenie albo „uprzyjemnionego” muzyką rautu, albo roztupanej, rozklaskanej, histerycznie rozszalałej, wyjącej na widok jakiejś „gwiazdy” — sali operowej. Ciszy, skupienia, powagi i tej milczącej wibracji całego tłumy słuchaczy, która jest jedyną oznaką istotnego podniesienia wewnętrznego, — dzisiaj tam nie szukać. I tak będzie, dopóki główny nacisk nie zostanie położony na wielkie dzieła symfoniczne, albo przynajmniej, dopóki jakiś osobny cykl koncertowy nie zostanie dla nich wyłącznie zarezerwowany.

✂

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZJA. — Dante Alighieri. *Nowe życie*. Przekład G. Ehrenberga. F. Hoeck. Warszawa. — Jan Kasprówicz. *Ginącemu światu* (Dies irae, Salome, Święty Boże, Moja pieśń wieczorna). Towarzystwo wydawnicze. Lwów. — Jan Kasprówicz. *Młodość*. Z ilustracjami E. Okunia i E. M. Lillena. Wydanie drugie. Księgarnia Polska. Lwów. — Z. Krasziński. *Niebożeństwo i komedia*. Pierwod i wstępna statja A. Kuršinakaho. Knihotzdatelstvo „Skorpion.” Moskwa. — Pol Levengard. *Georgina*. Préface de Maurice Barrès. P. Legendre et comp. Lyon. — Jan Rokytka. *Viděl jsem duši teny...* Nakl. spisovatelovym. Praha. — Wacław Wolski. *Niesnanym*. Warsz. Spółka Wydawnicza. Warszawa.

POWIEŚĆ. — E. Brausewetter (opr. G. Mewińska.) *Finlandya w oświeśleniu literackim*. Zbiór utworów pisarzy fińskich. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Świętopelk Czech (przekład P. Łaskowskiego.) *Jastrząb contra Hordliczka*. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Médias Golberg. *Lasare le Ressuscité*. Plainte en douze épisodes. Edité par le comité Golberg chez A. Wolff libraire. Paris. — Artur Gruszecki. *Wieksość*. Tomów 2. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Jan Adolf Hertz. *Z teki wraseń*. G. Gebethner i S-ka. Kraków. — Václav Hladík. *Trest*. J. Otto. Praha. — Tadeusz Kon-

czyński. *Śladem tęsknoty*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — Jan Lorentowicz. *Wybór nowel francuskich*. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Ks. Bolesław Maryjański. *Ester*. 3 tomy. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Dagny Przybyszewska. *Kiedy słońce zachodzi*. Przekład St. Przybyszewskiego. J. Fiszer. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *W godzinie cudu*. J. Fiszer. Warszawa. — Stanisław Przybyszewski. *Poesye proz.* J. Fiszer. Warszawa. — J. Sielski. *W pół drogi*. 2 tomy. Bibl. dzieł wybor. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz. *Płemia*. Tomy XXXVI i XXXVII. Tyg. Ilustrowany. Warszawa. — Józef Weyssenhof. *Sprawa Dołęgi*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — Jerzy Żulawski. *Opowiadania proz.* T. Paprocki i S-ka. Warszawa.

TEATR. — Em. szl. z Leszebradu. *Podpora štivota*. Drama ve 3 jednanich. E. Weinfurter. Praha. — Maurycy Maeterlinck. *Wnętrze*. Tłumaczył Zygmunt Sarnecki. H. Altenberg. Lwów. — Stanisław Przybyszewski. *Złotno runo*. Prijevodi iz poljakkoga. (Jako wstęp: St. Stoński. — Poljski Moderniste). Zbornik pouke i zabave II - III. Vlad. Jelovszek. Prag. — Francesco Zeppa. *Les âmes inquiètes*. (Anime Inquiete, traduit de l'italien.) Drame en trois actes. „l'Oeuvre d'Art International.“ Paris.

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE. — M. Guyan. *Zagadnienia estetyki współczesnej*. Przekład St. Popowskiego. Skł. gł. u J. Fiszera. Warszawa. — Władysław Jabłonowski. *Chwila obecna. Dążeń i usposobień*. J. Fiszer. Warszawa. — Dr. phil. Ludwig Klages. *Stefan George*. G. Bondi. Berlin. — Stanisław Przybyszewski. *Z gleby Kujawskiej*. M. Borkowski. Warszawa. — Wacław Wolski. *Włoty na Parnas*. *Profil duchowe poetów współczesnych*. Serya pierwsza. Warszawa. — Stanisław Zdzisławski. *Pierwotestek ludowy w poezji polskiej XIX wieku*. E. Wende. Warszawa.

HISTORYA. — Szymon Askenazy. *Sto lat Zarsądu w Królestwie Polskiem (1800 — 1900)*. H. Altenberg. Lwów. — Karol Szajnocha. *Jadwiga i Jagiełło*. Część I i II. Bibl. dzieł wybor. Warszawa.

PAMIĘTNIKI. — H. F. Amiel. *Z pamiętnika*. Tłumaczyła A. Kordzikowska. Studyum krytycznem poprzedził Wł. Jabłonowski. Stefan Demby. Warszawa. — Dr. H. Biegelsen. *Pamiętnik Juliusza Słowackiego*. Bibl. dzieł wybor. Warszawa.

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbars Polski*. Część I. Tom IV, zeszyt 1 i 2. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

NAUKI FILOZOFICZNE. — Dr. Teobald Ziegler. *Wiara i wiedza*. Przekład A. Kraenowolskiego. Przegląd Filozoficzny. Warszawa. — H. v. Helmholtz. *Liczenie i mierzenie z punktu widzenia teoryi poznania*. Przekł. prof. d-ra L. Silbersteina. Przegl. Filoz. Warszawa.

KRAJOZNAWSTWO. — Ks. Antoni Macoszek. *Przewodnik po Śląsku ciessyńskim*. Towarzystwo Wydawnicze. Lwów.

ANTOLOGIE. — Dr. Radovan Koszuticz. *Primiéri književnoga jezika poljskog (Wypisy polskie)*. Drukarnia państwowa. Belgrad.

VARIA. — Ks. Józef Adamezyk. *Wizerunki dostojników duchownych w salk rycerskiej na Jasnej Górze*. Nakł. autora. Warszawa. — *Album biograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX*. Tom II, zeszyt 1, 2 i 3. Nakł. M. Chelmońskiej. Warszawa. — Ks. Józef Londzin. *Zaprowadzenie języka polskiego w szkołach ludowych w księstwie ciessyńskim*. Towarzystwo Wydawnicze. Lwów. — *Na Pogotowie Batunkowe*. *Kalendarz informacyjno-encyklopedyczny na rok 1902*. Nakł. Tow. Dorańnej Pomocy Lekarskiej. Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA. (Warszawa). Listopad, grudzień 1901. — Z. Krajskiński. *Listy do Reeve'a*. — T. Konczyński. *Śladem tęsknoty*. — H. Biegelsen. *Nie-*

many szkic literacki Józefa Szujskiego. — W. Zaremba, H. Skirmunt, J. Przywiecki, K. Tetmajer: *Rozwieszone obrazy jesienne.* — St. Witkiewicz: *Aleksander Gierymski.* — Br. Kruczkiewicz: *Kwestya języków klasycznych w szkołach średnich.* — A. Maciejewski (Sewer): *Duch czasu.* — J. Tretjak: *Ignacy Krasiński.* — W. Bogusławski: *Reforma teatrów warszawskich.* — K. Tetmajer: *Z V-ej seryi „Poesyi.”* — *Piśmiennictwo.* — *Kronika miesięczna.* — *Wiadomości bibliograficzne.*

LA CRITIQUE INDÉPENDANTE. (Paris.) Octobre 1901. — A. Séché: *La critique indépendante.* — F. Fagus: *Critique du Théâtre (Théâtres d'hier.)* — P. Marcel: *L'Organisation matérielle des Expositions artistiques.* — J. G. Prod'homme: *Une nouvelle scène wagnérienne.* — Jan Lorentowicz: *Un livre sur la France (Félicja [Jasiński], Manggha.)* — Le mois: *Chronique des poètes, Les romans, Histoires et Littérature, Les livres d'Art, les Théâtres, A propos de critiques musicales, les Bâtelots d'Art, Revue des Revues, Echos, Memento bibliographique.*

LA GRANDE REVUE. (Paris.) 1-er novembre 1901. — Knut Hamsun: *Victoria.* — G. Rouanet: *les Héros d'Homère.* — C. Bouglé: *La Science contre la Démocratie.* — C. Lemonnier: *les Deux Consciences.* — E. Arène: *le Mois théâtral.*

HRVATSKA MISAO. (U Zagrebu.) God. I. Broj 1 i 2. — M. Nehajev: *Moderno i narodno.* — J. Koharić: *Memoari fra Grge Martića.* — Živan: *Pita i Poldika.* — Milan Szarić: *Studij slavenstva.* — Stj. Radić: *Koliko vrijede Slovaci.* — Vl. Jelovszek: *Najnoviji literarni boj.* — *Listak.*

KRYTYKA. (Kraków.) Październik, listopad, grudzień 1901. — A. Łada: *Ocknie-nie. Królowna.* — W. Tetmajer: *Stowarzyszenie polskiej sztuki stosowanej.* — T. Sobolewski: *Nowe poezye.* — L. Belmont: *O Lwie Tołstoj.* — Sewer: *Kobieta.* — M. Zaruski: *Z cyklu: Morze.* — Wł. Orkan: *W Świątyni. Ku słotcu.* — J. Pietrzycki: *Chorsy. Ciesza. Noc nadchodzi.* — T. Konczyński: *Ze wspomnień.* — J. Sten: *Wł. Orkan.* — A. Łada: *Tłumaczenia z Verlaine'a i R. Dehmia.* — J. Kasprowicz: *Marya Egipczyanka.* — P. Chmielowski: *Józef Weyssenhof.* — D-moi: *Fontes Melusinae.* — M. Olszewski: *Uwagi o sztuce japońskiej.* — F. Mirandolla: *Tęsknota.* — *Sprawozdania naukowe i literackie.*

KSIĄŻKA. (Warszawa.) Październik, listopad, grudzień 1901. — A. Mahrburg: *Jeszcze o tłumaczeniach.* — St. Zdzarski: *W sprawie broszur i druków ulotnych.* — *Krytyka.* — *Kronika czasopism.* — *Bibliografia.*

DAS LITTERARISCHE ECHO. (Berlin.) IV J. № 2-6. — W. Wolff: *Der Geistliche in der Litteratur.* — B. Lazar: *Alexius Benedek.* — A. Bettelheim: *Grillparzer in Frankreich.* — P. Seliger: *Zur Geschichte des Dramas.* — J. Schlaf: *Gerechtigkeit.* — R. Presber: *Vers.* — Fr. Lienhard: *Wo stehen wir?* — W. Golther: *Tristandichtungen.* — E. Mensch: *Ein Renaissance-Roman.* — J. E.: *Erzählende Kritik?* — R. Daric: *Der südamerikanische Roman.* — G. Adam: *Gorki in Deutschland.* — M. Osborn: *Aus der Kunstilliteratur.* — E. Pözl: *Karlweis.* — R. Hallgarten: *Neues von Grabbe.* — H. Uhde-Bernays: *Grabbe und Goethe.* — E. Meyer: *Französische Romane.* — S. Lublinski: *Künstler- und Stildramen.* — W. Manke: *Komponierbare Gedichte.* — M. Meyerfeld: *Neue englische Romane.* — G. Frhr. v. Ompteda: *Im Spiegel.* — M. Koch: *Die jüngste Literaturgeschichte.* — E. Engel: *Neue Klassikerausgaben.* — *Echo der Zeitungen.* — *Echo der Zeitschriften.* — *Echo des Auslandes* (Polnischer Brief — *J. Flach.*) — *Echo der Bühnen.* — *Kurze Anzeigen.*

LUMIR. (Praha.) Roční. XXX, čísla 1-8. — G. Preissova: *Kursata strycc Jana.* — J. K. Szlejhar: *Peklo.* — V. Hladik: *Evžen Voldan.* — J. Szumin: *Prsesasne sstiepy.* — Ot. Theer: *Oscarovane miesto.* — A. Broška, H. Jelinek, J. S. Mach, J. Muldner, J. Opolsky, M. Silen, J. z Wojkowicz: *Z básní.* — *Feuilleton:* V. Mrstik: *K soubornému vydání Zeyerových spisů.* — *Literatura.* — *Divadlo.* — *Hudba.* — *Výtvarné umění.* — *Zpravy a poznámky.*

IL MARZOCCO. (Firenze.) 1902. N-1, 2. — G. Marradi: *l'Italianità del Car-*

ducci. — A. Conti: *La chiesa di S. Ambrogio*. — D. Tumlati: *Bajardo*. — G. S. Gargano: *L'Analfabetismo musicale*. — Il Marzocco: *Dentro la cerchia antica. Contro i fili e contro le rotale*. — G. d'Annunzio: *Francesca da Rimini*. — L. Beltrami: *I disegni di anatomia di Leonardo*. — E. Corradini: *I cavalieri del lavoro*. — G. S. Gargano: *„Paristina“ al Niccolini*. — C. Cordara: *La musica*. — L. Zuccoli: *Un nuovo teatro e un nuovo giornale a Parigi*. — Diego Garoglio: *Michelangelo poeta*. — Gajo: *La „Francesca“ alla Pergola*. — A. Faggi: *Pro Philosophia. Lettera aperta*. — Commenti e frammenti: *Il romanzo sintetico. Vandalismi*. — Marginalia: *Gli amici dei monumenti*. — Notizie. — Bibliografie.

(Dokończenia.)

VARIA.

Zeszyty 9-ty oraz 10-11-12 (potrójny) wychodzą z druku jednocześnie z niniejszym i kończą pierwszą czterotomową seryę roczną Chimery. Warunki prenumeraty nadal podajemy w zeszycie ostatnim na str. 468.

Erratum. Między str. 189 i następującą po niej bezpośrednio str. 200-ną nic nie brak w tekście. Jest to tylko, wynika z niedbałości metrapaży, omyłka w paginacji.

Z powodów od nas niezależnych zmuszeni jesteśmy — pomimo bogatych kolekcji, jakie mamy do rozporządzenia — zaniechać planowanych na przyszłość wystaw.



CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

7, rue des Princes, Varsovie.

Sommaire du N-ro 7-8. Juillet-Août 1901.

TEXTE: R. de Campoamor — *Torralba le licencié*; Chr. D. Grabbe — *Plaisanterie, satire, ironie, et l'arrière-pensée plus profonde*; J. Kaspruwicz — *le Cantique de Saint François d'Assise*; V. Berent — *Pourriture*; St. Wyrzykowski — *Feux ailés*; M. Schwob — *la Croisade des enfants*; J. Keats — *Hyperion*; W. Stefanyk — *le Grand-père, l'Agonie, Sur la brune, la Route, les Annonciateurs*; J. Lemański — *la Compagnie*. — *Revue du mois*: Glosses, les Romans, Théâtre, Musique, Bibliographie, Divers.

PLANCHES HORS TEXTE: *Félicien Rops — la Grande lyre*; Jean Stanisławski — *les Peupliers (lithographie originale en cinq couleurs)*.

DESSINS DANS LE TEXTE — de Dębicki, Hiroshige, Turbia - Krzysztalowicz, Matlakowski, Okuń, Wawrzeniecki.

COUVERTURE de St. Dębicki.

OGŁOSZENIA W „CHIMERZE”.

„CHIMERA” przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcją artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i wogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykvarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcje prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące, itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz
petitowy lub jego miejsce 40 kop.
Na stronicach po tekście literackim za wiersz petitowy lub
jego miejsce. 30 kop.

MERCURE de FRANCE

Littérature. Poésie. Théâtre. Musique. Peinture. Sculpture.
Philosophie. Histoire. Sociologie. Sciences. Voyages. Bibliophilie.
Sciences occultes. Critique. Littératures étrangères. Portraits, dessins.
Revue du mois. Parait tous les mois.

Rédacteur en chef: *Alfred Vallette*.

Abonn: un an 24 fr., six mois 13 fr., trois mois 7 fr.

Paris. — XV, rue de l'Echaudé, 15.

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE

della letteratura e dell'arte contemporanea.

(Pubblicazione quindicinale).

Roma. — Piazza in Lucina.

Direttore: *Riccardo Quintieri*.

Abbon.: un anno fr. 20, sei mesi fr. 11.

CHIMERA

WARSZAWA — ULICA KIAŻĘCA 7.
Skrzynka pocztowa Nr 457.

Dwanaście zeszytów rocznie, każdy objętości
10 — 12 arkuszy druku.

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)
przyjmuje we wtorki i piątki od 1-ej do 3-ej pp.
Administracja otwarta codziennie od 11-ej do 3-ej pp.

Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

WYDANIE ZWYKŁE

	w Warszawie	z przesyłką pocztową	za granicą
Rocznie	9 rb.	12 rb.	35 fr. 27 mar. 33 kor.
Półrocznie	5 rb.	6 rb. 50 k.	20 fr. 15 mar. 18 kor.
Kwartalnie	3 rb.	3 rb. 50 k.	11 fr. 8 mar. 10 kor.

WYDANIE WYTWORNE

na robionym dla CHIMERY grubym papierze zeberkowym.
w Warszawie: rocznie, 30 rb., półr. 15 rb., kwart. 7 rb. 50 k.
z przes. pocztową: „ 32 „ „ 17.50 „ 8 „ 75 „
za granicą rocznie 95 fr., 75 mar., 90 kor.

Cena zeszytu 7-8 rb. 3.

Przedpłatę przyjmuje administracja (która odpowiada wtedy za regularne dostarczanie pisma), oraz wszystkie znaczące księgarnie w kraju i za granicą. NUMERÓW OKAZOWYCH SIĘ NIE WYSYŁA. PROSPEKT NA ŻĄDANIE.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcje dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmlankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS
(LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.)
ADRESSÉES A LA REVUE.

REKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.

ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

Druk Warszawskiego Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego.

CHIMERA



UNIV. OF
CALIFORNIA

TOM III. ZESZYT 9. WRZESIEŃ 1901.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
WARSZAWA -- KSIĄŻKA 7.

Digitized by Google

TREŚĆ.

№ 9. — WRZESIEŃ 1901.

MARYA MARKOWSKA	<i>Babie lato</i>	391
Inicjał J. MEHOFFERA, zakończenie E. OKUNIA.		
WACŁAW BERENT	<i>Próchno</i>	339
Ozdoby ST. KRZYSZTAŁOWICZA.		
TEODOR DE BANVILLE	<i>Wybór z poezyj.</i>	378
Inicjały ze starych drzeworytów.		
STANISŁAW WYRZYKOWSKI	<i>Ἐπερα, πάντα τέρατα.</i>	394
Inicjał z <i>Biblia sacra</i> z r. 1389 (Mss. № 7. — Bibl. Baw. we Lwowie), przerysowany przez K. NIEMCZYKIEWICZA.		
LEOPOLD STAFF	<i>Modlitwa przed czynem</i>	397
Inicjał z rękopisu francuskiego z XVI wieku.		
ANDRZEJ GIDE	<i>Filoktet</i>	399
Nagłówek i zakończenie E. OKUNIA.		
WŁADYSŁAW STERLING	<i>Sonet.</i>	433
ZYGMUNT BYTKOWSKI	<i>Prorok.</i>	435
WŁADYSŁAW NAWROCKI	<i>Z „Sonetów królewskich“</i>	440
ARNOLD BÖCKLIN	<i>Wyznania</i>	444
HENRYK ZBIERZCHOWSKI	<i>Sonet.</i>	455
MARYA ZAWIEJSKA	<i>Fragmenty.</i>	460
Nagłówek JÓZEFA AUCHENTALLERA; zakończenie ST. TURBIA-KRZYSZTAŁOWICZA.		
KAZIMIERZ WROCZYŃSKI	<i>Strofy</i>	472

KRONIKA MIESIĘCZNA 477

TREDECIM	<i>Glossy</i>
Z. P.	<i>Sztuki plastyczne</i>
	<i>Książki i czasopisma nadestane.</i>
CHIMERA	<i>Varia</i>
	<i>Spis rzeczy do tomu III-go.</i>
Nagłówek i zakończenie J. MEHOFFERA.	
	<i>Karta tytułowa do tomu.</i>
Winieta E. OKUNIA.	

AUBREY BEARDSLEY *Powrót Tannhäusera na Venusberg.*

Klisze rysunków wytrawiono w zakładach: B. WIERZBICKIEGO i S-ki, KIPMANA i SZYDŁOWSKIEGO, oraz w Warsz. Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczym.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pillica”

Składali: FELIKS DĄBROWICZ i MAKSYMILIAN HECKER.

Łamali FELIKS DĄBROWICZ. Odbijał na maszynie ALEKSANDER TATAROWSKI.
Pod zarządem JÓZEFA LENARTOWICZA.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апрель 1902 года.

2000



CHIVERO

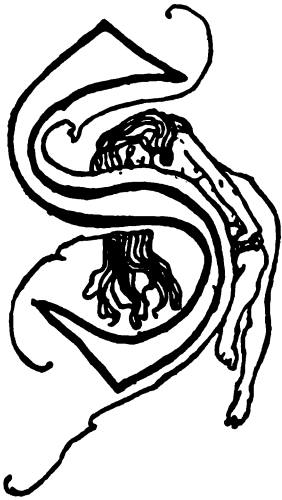


CHIMERA.



**TOM TRZECI. LIPIEC — WRZESIEŃ 1901.
WARSZAWA, KSIĄŻĘCA, 7.**

Babie lato.



*nuje się, snuje babie lato,
Po rżysku płynie, po zagonie,
I blaskiem dziwnym w słońcu płonie
Cieniuchna, mleczna nić —
Wrzeczono oto z bajki chwycić,
By wić przedziwo srebrne, wić!*

*Pajęcza nić,
Zaklęta nić,
Czepia się łodyg zwiedłej trawy,
Ostatni maku kwiat jaskrawy
Osrebrza cały i oplata;*

*Tam — gdzie ostróżki fioletowe
Na złocie ścierni haft swój kładą,
Niby błyszczący szych ulata,*

*By tej jesieni smętnej szata
W barwy mieniła się tęczowe;*

*Tam, na puszystą ostu głowę,
Na koniczyny czerwień bladą
I na piaszczyste, hen, rozłogi,
I na dziewanny szare kiście —
Gdzie kwiat ostatni lśni ogniście —
Gdzie się przegonów ciągną smugi,
Gdzie się grusz starych cienie kładą,
Na ich gałęzie rosochate,
Na ten pas między — wązki, długi,
Na szare stogi, sterty płowe,
Tam, na zagaje, na dąbrowę,
Aż do tej wody, do tej rzeki,
Na mokre łąki, na bagniska,
Gdzie się ta trzcina chwieje ślizka,
Gdzie tataraki, wodne ziele —
Tak się to srebro żywe ściele,
Jedna za drugą mleczna nić —
Wrzeczono oto z bajki chwycić,
By wić przedziwo srebrne, wić!
I płynie nić,
Zaklęta nić...*

*A śladem za nią, na ścieżyny,
Co się wśród pola bielą znaczą,
Pod tych niebiosów błękit siny,
Za bladą nicią tą tulaczą,
Nadpływa dusza —
Żalem gnana,*

*W dalekie echa zastuchana,
Z tęsknicą cichą.*

*Gdzie się na miedzach oset chwieje,
Łodyg cykoryi szare pęki,
Srebrne piołuny i bylice —
Poblądle zwraca, smętne lice,
To jej marzenia, jej nadzieje...
Uwiedle ziele...
I tylko wiatr
Roznosi jęki,
Trawami chwieje,
I nic się snuje,
Duszę chwyta
— Taka w niej siła niespożyta —
Ta zwiewna nic, tych wspomnień nic.*

*Ugorem przeszły znojne pługi,
Pobłyska w słońcu ziemia czarna,
Jeden za drugim zagon długi,
Na nowe plony, nowe ziarna.*

*Po skibach płynie, tam, powoli...
I krwi, i potu tyle, łez,
Na tych zagonach, na tej roli...
Bez zbiorów siewy...
Znojów kres,
Już kres!
I innym trud — a żal...*

*Z powietrznych cichych płynie fal
— Ani jej zerwać, ani skryć —
Ta srebrna nić, tych znojów nić.*

*Och!
To jakiś polem przeszedł jęk,
To jakiś ziemią wstrząsnął szloch,
Daleko hen
Zatoczył krag,
Niby na wodzie te koła,
I tam od łąk,
W poszumach trawy,
Głos idzie łzawy,
I woła,
I łka!*

*Z poszumem wiatru
Jedno imię
Jękiem nadleci,
Jak olbrzymie
Ziemi westchnienie — polem wieje,
Aż mu sawtórzą echem knieje,
W wiersbach zahuczy, w rokicinie,
W mgłach nieuchwytnych się rozplynie
To jedno imię — jedno imię...*

*Przędziwa nić,
Pajęcza nić,
Drży tem imieniem —
Żal, tęsknica,
Zaduma wstaje bladolica,*

*Powraca znów...
Powraca znów
Niezapomniana jedna nuta,
Z zaprzępaszczonych lat wysnuta,
Ta nić, ta srebrna nić —
Płynie nad polem, z wiatrem leci,
W jesiennem słońcu skrzy się, świeci
Ta dziwna nić,
Ta nuta,
Z przeszłości mgieł wysnuta,
Na życie całe
— Jak pokuta
Zaprzępaszczonych dawnych dni —
Omota duszę i pochwyci:
Taka w niej siła,
Taka moc
W pajęczej wątłej nici!*

*Niema boleści w niej, rozpaczy,
A smutek jeno, zadumanie,
Jakieś w przeszłości rozkochanie,
Tej — promienistej, pełnej dum...
Orłowe loty,
Skrzydeł szum,
I duchów moc...*

*I tak się czepia nić zaklęta,
Oplata duszę —
Wie, pamięta:
— To było, to było już.*

*Od liliowych wrzosów wstaje
I płynie, płynie na rozstaje,
Gdzie krzyż spróchniały czarny stoi,
Gdzie się czerwienią brzeźniak stroi,
Kamienie wielkie leżą...
I huczy wicher po przez łany,
Niesie przędzywa szmat stargany...*

O życie! biedne życie...

*I tak się czepia nic zakłeta,
Oplata duszę — wie, pamięta:
— To było... to było już...*

*Po tych ścieżynach, co się znaczą
I złem, i dobrem — i rozpaczą,
I słonecznemi smugi —
Nadpływa dusza...
Żalem gnana,
W dalekie echa zastuchana,
Z tęsknicą cichą.*

*Cicho...
Niech płynie ugorami,
I ornem polem, i łąkami,*

Gdzie się wysrebrza wstęga rzeki
W starej wierzbiny żółkłej ramie,
Gdzie rokiciny szum daleki,
Gdzie się echową skargą łamie
Fujarki nuta;
Gdzie z kotliny
Na pole dym się wlecze siny,
I szary kamień między strzeże,
I mająceją stare wieże
W bezchmurnym, jasnym nieb błękicie.

Cicho...
Niech w dawne płynie życie...
Niech się rozświecili, niech rozstęczy
Ten szlak, utkany z mgły pajęczej,
Litosnych Maryi rąk robota.
Niech się ta droga wiję złota
Bez szarpiącego wspomnień jęku.
Bez krwi zapiekłej z dawnej rany,
Bez tej rozpaczy,
Tej bez słowa,
Co się w grobowem: nigdy! chowa,
Bez zgrzytu struny potarganej,
Bez żalu i bez lęku...

Cicho...
Niech drogą płynie białą —
Już przeminęło, już się stało...
Uwiedły liście...
Było... było...
Mgły się wieszają nad mogiłą,
Pogodny zachód, jasny, złoty...

*I rzewność jeno, zadumanie,
I smutku powiew i tęsknoty,
I przedwieczorne zasluchanie,
I zachód jasny, cichy, złoty...
I tych pajęczych nici sploty,
I chłodnych kilka ros na rękę,
I tylko jeszcze dumać... śnić...*

*Bo płynie nieć,
Pajęcza nieć,
Zaklęta, dziwna nieć!..*



Marya Markowska.

Próchno.



chwili gdy Jelsky wychodził na ulicę, łuna pożaru tliła się jeszcze na niebie. Długie wycia i skomlenia świstawek fabrycznych zwiastowały ciemnym przedmieściom świt. Ledwo dostrzegalna mgła zmywała kamienice i bruk niby deszcz ulewny. Ostra woń miejskiego po-

ranku: zapach wilgoci, alkoholu i świeżego pieczywa. Śródmieście usnęło nareszcie i cisza legła na pustych ulicach. Gdzieś tam tylko oświetlone sutereny; wewnątrz, białe, jak cienie snujące się postacie, i ten cikliwy zapach ciasta i drożdży. — Jelsky wypróżniłby w tej chwili kieszenie za filiżankę czarnej kawy, ale kawiarnie były już zamknięte, czy też jeszcze nie otwarte. Czuł oskome w gardle i obrzydliwą niemoc w członkach. Księżyc lamp elektrycznych ćmiły się ponad ulicą już tylko zrzadka gdzie-

niegdzie rdzawem, ceglastem jaśnieniem. — „Ta oszczędność magistracka! — gniewał się Jelsky. — Ludzie, — filozofował wnet potem, — powinni żyć i spać naprzemian. To regularne zamieranie życia z tej tylko racyi, że słońce zaszło, przypomina stare przesady i jest resztką melancholii pocziwego żywota naszych dziadów.“

„Kawiarni!“ — dopominało się w nim jakieś rozprężenie wewnętrzne.

Po za olbrzymiemi szybami narożnych wnętrzy widniały jeno pociemku fantastyczne rumowiska krzeseł na stolikach. I tam tlił się, gdzieś w kącie, tylko jeden płomyk gazowy, rzucając, między te ruiny i na zgasłe, zmatowane lustra, tajemnicze żółte smugi. „*Tiens!* — Jelsky zatrzymał się bezwiednie, — w takich wnętrzach pokutować powinni samobójcy miejscy.“ Popatrzał, podumał, laseczką w bruki podzwonił i poszedł dalej. — Tuż za rogiem ulicy, wparte w węgiel, zadrzemanie i jakby przylepione do muru, czyhały maruderki nierządu. „*Mors syphilitica*“ — przypomniało się zkądś Jelsky'emu i stanęły mu przed oczyma ludzkie kalectwa. — Na przedmieściach wyły bez przerwy świstawki fabryczne. Jelsky'emu zdawało się, że słyszy suchy, suchotniczy kaszel wyschłych, zapracowanych kobiet, rzucających obfite pomioty żółtych, wzdętych i rachitycznych dzieci, zalegających jak robactwo przedmiejskie zaułki.

„Kawiarni!..“

Odpiał kołnierzyk i schował go do kieszeni, nastawił natomiast kołnierz sakpalta, zsunął cylinder na czoło, wcisnął ręce do kieszeni. Rój czarnych, dokuczliwych myśli przepląsał upartem nuceniem miłosnej piosenki:

Nietoperze ro-o-jem

Resztę krwi mej piją...

„Trzeba pisać sprawozdanie o Yvetce!..“

Ryk sygnałów fabrycznych zgłuszyły odległe, ponure grzmoty. Jelsky zmieszał melodyę i zaśpiewał w takt tych łoskotów dalekich:

Et du fer pour travailler...

„Ça ira, ira, ira!..“ — biły młoty parowe na przedmieściach.

Jelsky potknął się o coś białego. Podniósł z trotoaru wachlarz, obejrzał i powąchał go. „*Lilas de perse fleuri...* Lubie!.. której to z nich tak pachniały ramiona?.. Zaś ona pachnie z gospodarską wodą kolońską, co przypomina bóle zębów, migreny, rekonwalescencje po cięższych wypadkach porodów... Dziwię się, jak mąż mógł to znosić!“

Słychać wreszcie pierwszego przechodnia. Zbliżają się jakieś ciężkie, brutalne kroki. Jelsky, machinalnym ruchem, chowa wachlarz za pazuchę... Nie mundur wszakże, ale ubranie cywilne, co wzbudza w Jelskim grymas niesmaku.

— Gdzie się paliło?

— Nie wiem, — brzmi twardo wyniosła odpowiedź. Błysk oczu czujnych, podejrzliwych, i kroki oddalają się powoli. — „Majestat! — mruczy za nim Jelsky. — Król ciemności! Chamstwo węch ci zepsuje, nie wytropisz nic.“

Ledwo ten znikł na zakręcie, a tuż po za Jelskym, jakby z pod ziemi wyrosła, zjawia się baba w ciemnej chustce i ciągnie za sobą małego wyrostka o długich kruczonych włosach. — „*Signor! signor! — c'è..!* — słyszy za sobą Jelsky włoską mowę i obrzydliwy porozumiewawczy syk. Odgadując zamiary, rzuca im krótkie: „*va via!*“ — Przypomina sobie wachlarz i rzuca go im. Matka z dzieckiem dopadają do tego kęsa jak dwa psy.

„Jak te szelmy rzeźbiarze podle opłacają swych modeli!.. Także ofiary sztuki, — *tiens!*.. Chłopczyk wyku-

ty z kamienia zdoła prawdopodobnie, jako duszyczka, mogile niejednego opryska lub kokoty... *Ars longa, vita brevis...*"

Jelsky rozłożył ramiona i ziewnął na całą ulicę.

Cisza, pustka i senna wilgotna wokół, a jednak czuć budzący się gdzieś ruch; ucho nie słyszy, lecz odgaduje, z ciężkiej atmosfery oczekiwania wylawia jakieś westchnienia, szepty pacierza, prężenia zmęczonych członków; jak gdyby pod te ustawiczne obmierzłe świstki fabryczne rozbudziły się wreszcie i kamienie w brukach. Nagle...

Ave Maria, gratia plena...

Ciche, pośpieszne dzwonienie, jakby skowronkowy pierwszy wzlot przed świtem. Sygnaturka rozkołysała się, drga, bije, trzepoce się jak ptak...

Ave Maria, gratia plena...

A tam na przedmieściach wała już młoty pociemku, huczy i dudni już praca.

Jelsky zapalił cygaro, rozpiął palto, rozpiął kamizelkę, zdjął cylinder: coś tłoczy, dławi, dusi poprostu... „Przecież, u Boga, ta Borowska nie jest dziewczyną! A ja mam wrażenie, jak gdybym krzywdę dziecku...”

„Kawiarni!!!”

Na krańcach miasta rzucały pierwsze pociągi w nocną mgłę długie płaczliwe skowyty.



„Pierwsza beczka! — krzyknął jaskrawy szyld na mętnie oświetlonych drzwiach małego szynku. Jelsky, nie na-

myślając się, skoczył do izby ciasnej i cuchnącej jak słodowa piwnica. W brudnem świetle zakopconej lampki, kilka ciężkich, fałdami szerokich bluz twardo zarysowanych sylwetek. Mgła, para czy też mętna zadymka oddalała ich zaspanym oczom Jelsky'ego w głąb daleką i bezbarwną. W pośpiechu, na stojączkę, wlewali w siebie pierwszą dawkę dziennej trucizny. Jelsky siadł za stołem, dmuchnął w pianę podsuniętego kuffla, skrzywił się i kazał sobie zgotować czarnej kawy.

— Gdzie się paliło? — ziewnął niedbale.

— Składy drzewa nad kanałem... Dwóch ludzi upiekli... żonatych.

— Kto taki?

— Juścić straż... A od czego ona zresztą?... Może i tamci dwaj byli ubezpieczeni na żydowski dochód. Pożar to jest intratna rzecz. — Suchy, ochrypły i zły śmiech kilku basów, jak zgrzyt trybów w maszynach, plusk białej piany o kamienną posadzkę i ten zaduch chmielu, duszny, jadowity.

Dano wreszcie kawę, i Jelsky odnalazł myśl swoją.

„Taki ja dobry jak i Kunicki! — rozmawiał ze sobą, gryząc nerwowo ogarek cygara. — Oszczędzam zresztą jego wątłe siły nerwowe i ratuję karierę... Ty zaś mógłbyś adresować swój testament imieniem, ad personam, a nie pisać go jako list otwarty dla ochotników... Przedewszystkiem spaliłaby się, gdyby nie ja, — przez tę lampę. Następnie, ktoby ją docucił? kto dałby niezbędne dla rozpaczny echo? kto otrząsnąłby z tego odrętwienia w tumanie nieszczęścia? z tego lęku przed skupieniem myśli? z trwogi jakby nie przed tem, co się stało, lecz, że coś podobnego stać się wogóle może?... Ochotnik musi mieć stalowe nerwy!.. A potem to zatrzepotanie się kobiece: „pobiegnę! wstrzymam! uratuję!“ W czyichś oczach mu-

siała przecież wyczytać odpowiedź rzeczywistości: „nie wróci, nie cofnie się, wrócić nie zechce i nie może.”

Jelsky wspominał. — Gdy myśli przyniosły mu powtórzenie własnej wymowy, rozchmurzyła się nieco twarz, wyobraźnia zagrała żywiej, jędrniej, kapryśniej. Toć przemawiał jak Oktawiusz:

— „Jednakże Brutus był to dzielny mąż.” — „Ja nie przeżyję! ja żyć nie chcę!” — „Jednakże Brutus był to dzielny mąż.” — „Boże, mój Boże, co ja pocznę!” — „Jednakże Brutus był to dzielny mąż.” — „I co ja mu złego zrobiłam? za co? za co on mi życie zniszczył?!...” — „Jednakże Brutus...” — „O, wy wszyscy jesteście jednakowi!”

Chwała Bogu: „my”! To rozszerza pocieszająco widnokręgi. A więc my: — „My...” Jak ona serdecznie, jak poczcziwie i bezradnie płakała!.. „Pani, pani Zofio! — przyjaciele, obrońcy...” — „O, wy jesteście!...” Jak ona okropnie płacze! A więc znowuż „my”: — „My...” — „Niech pan idzie, niech pan natychmiast odejdzie! Ja w tym stanie, w takim ubraniu nie powinnam być z panem.”

Jelsky zatarł ręce. Ta literacka projekcja niedawnych wydarzeń dała mu zupełnie niespodzianie podniety i sensacje silniejsze niemal od samego faktu. „Ta scenka miała przecież w sobie kapitalne smaki,” — przyznawał we wspomnieniach. Bawił się więc myślą, przeplatał swe wspomnienia dopuszczeniami wyobraźni:

Jak to biedactwo bać się musi samotności, jak drży na samą myśl o niej. Ta wczorajsza jeszcze Zochna, którą układano prawdopodobnie do łóżeczka, dziś sama jedna, samiutka, w tem wielkiem, obcym mieście!

Bo miasto musi wszakże być rzeczą straszną dla Zochny?

...Ulica długa, długa... pełna światła, połysków, barw... ścisk, tłok, turkot. — Nie widać nic. I te toalety!

Je-jej, jakie toalety! Tam, na przykład, w powozie. Hm! hm! — dziwi się Zosia. — Czarnych, poważnych panów tyle, — i tych paskudnych, co kobiety zaczepiają. — O, jest „taka” kobieta; — druga, trzecia... Boże wielki, żeby mnie kto nie wziął za „taką.” — I Zochna poprawia pewno co rusz woalkę i kapelusz. I te wystawy sklepowe! Gdy się idzie bez męża, nie można się nawet wcale zatrzymać przed sklepem, bo zaraz wezmą za taką... O, spojrzał na mnie jeden pan, drugi, i tamten — nieśmiały. Obejrzał się raz jeszcze. I ten oto paskudny oczy wytrzeszcza. Władekby ci dał, — no?... „Włada, Władus, czy ja dobrze dziś wyglądam? Czy ładna jestem? Która ładniejsza: ja czy tamta w powozie?... Lubisz mnie... A co więcej lubisz: usta, oczy, czy też?... Patrz, jaki tam ładny szlafroczek w wystawie! O-jej!... Co więcej lubisz, Włada: włosy moje, czy też...” „Zocha, nie pleć!” — „Władus, wiesz, ja rada jestem: tak wesoło!... Patrz-no, patrz, tam w sklepie: jaką to niektóre bieliznę noszą. Czy przyzwoita może także...? Włada, kup mi taką. Albo nie trzeba, bo pieniędzy niema. Szkoda, że niema pieniędzy! Ale kup mi za to ciastko... albo lodów... albo szampana. O, to drogie, prawda! — nie można szampana. Chcę... chcę... — sama nie wiem. Zafunduj dorożkę. Albo nie, — pocałuj mnie lepiej.” — „Zośka, nie psoć na ulicy, bo ludzie śmiać się będą.” — „Niech się śmieją, nie boję się wcale, nic! — woła Zośka rezolutnie i tuli się, tuli do ramienia męża. — Patrz, Włada, tamten już czwarty raz naprzeciwko nas idzie. I jak śmiesznie patrzy! Władus, ja zrobię na niego oko, — można?... Wiesz, Włada, co? niektórzy pewno myślą: że ja jestem taka, a ty z tych paskudnych... Widzę, że ja się tym niemcom coś bardzo podobam... Cieszysz się, Włada? Ja się cieszę!”

Takie to, — myślał Jelsky, — odkrywcze podróże w obce, wesołe światy odbywała prawdopodobnie Zośka,

spacerując z mężem po ulicy. Ale samej wyjść na miasto: „brr!” — A teraz rozpacz i lęk samotności rysuje jej tą samą ulicę w ciemnych, ponurych i wrogich barwach. Sama jedna! Boże, co ona pocznie sama w czynnym wirze tych obcych, frasobliwych i zimnych jak metal twarzy. Tak myśli prawdopodobnie i drży jak liść osiny. „Zginę, przepadnę! Ja jestem słaba, niedołączna... O, ja jestem do niczego.” Nie, nie tak mówić nie należy. Ona jest tylko prawdziwą kobietą. To jest takie nowe, takie wyjątkowe! takie fenomenalne! To się powinno cenić jak skarb najdroższy życia, wielbić jak... Jednakże Brutus był to dzielny mąż.

„Niedobry! niedobry!...” Szłocha, skarży się, żali, pieści niemal tym płaczem. Z jaką bajeczną naiwnością, jak cudownie i pieściwie kocha ta kobietka samą siebie. Przecież to jest nadzwyczajny materiał na pyszną namiętnicę. Tam do dyabła! to się ceni rzeczywiście.. „Samotność dla kobiety w obcym mieście jest gorszą od piwnicznego grobu. Na bulwarach, każde męskie spojrzenie to oczy pajaka; po zaułkach jakieś mroczne, ponure życie: podejrzenia, policya, gnuśne knowania występków, areszty, cyrkuły, śledztwa. W domu zaś, po pokojach, wałęsa się duszna, złowroga cisza, z każdego kąta wypelza cień jak płaski gad i ostrem spojrzeniem pyta: co ty poczniesz? co poczniesz ze sobą?... Jednakże Brutus...” — „O, podły!”

„Samotność dla kobiety jest zgoła rzeczą straszną, wszakże Oktawiusz... Nie trzeba wzbraniać przyjacielowi rączki...” — „Ja jestem taka biedna, taka biedna, panie Jelsky!”

Chwała Bogu: „panie Jelsky.” To zwięża pocieszając widnokregi. Za serce chwytający cichy żal wyczerpanego płaczem dziecka. „Pani jest dzieckiem, dobrem, najlepszym, biednym i nieszczęśliwym dzieckiem.” — „Pa-

nie Jelsky, ja już sił nie mam... Boże, i te moje włosy. Niech pan na mnie nie patrzy." I jakby w tem bezwładnem oparciu się o niego, w poczuciu ludzkiej obecności, znajdowała nieco spokoju. „Niech pan puści rękę. Ja wiem, że pan jest dobry, zacny, pocziwy... Nie! nie klękać! Na miłość boską, co pan robi! Ja wcale nie jestem warta, żeby mnie kto!..” — Ostatnie zerwanie się głębokiego piersiowego płaczu.

„Pani, pani droga!.. pani Zofio!.. dziecko!.. biedna Zocha.”

„Panie Jelsky! mój panie Jelsky!..”



W cikliwej i dusznej atmosferze szynku przeciągały przed oczyma Jelsky'ego kalejdoskopowym wirem dziwnie postrzępione obrazy wspomnień. Nagle uderzył się oburącz po kolanach. — „Tiens! To jest *une scène à faire*. Przecież to jest świetne jako temat!”

— Kawy jeszcze!.. Macie tam cygara... Ognia! Dziękuję.

„Rzecz ma w sobie miłą, popularną psychologijkę, posiada sama w sobie warunki sceniczne. Zaś pikanterya sceny na tle leitmotywu rozpaczny jest wprost secesjonistyczna!.. A gdyby tak machnąć? Hm?... *Der Fall Angelica's, eine Familientragödie von Karl v. Jelsky*. Ja, — to jest on! — czuję to, będzie narysowany świetnie. Atmosfera moralna w sztuce nie powinna być zbyt poważna: *so, so, la-la! Wienerluft!*..”

— Ja pana pamiętam, — huknął mu ktoś basem nad uchem. — Pan z gazety?

— Mniej więcej.

Robotnik przed nim poczerwieniał w jednej chwili i zaperzył się jak indor.

— Ludzkie życie więcej warto niż żydowskie drzewo! — parsknął bez bliższych objaśnień. — Ludzi żonatych... Ubezpieczenie od wypadków powinno być magistrackie albo państwowe... Ludzi żonatych... O!

Zakrztusił się impetem własnego monologu. Chciał widocznie coś jeszcze powiedzieć, ale nagle zawrócił i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, że aż szyby jęły. Z gromady przed bufetem rozległ się pomruk aprobaty i potakiwania. Ten i ów rzucił jakieś zdanie w kierunku Jelsky'ego. Niebawem otoczyła go grupa robotników; posypały się gradem opowieści o pożarze. W rękach Jelsky'ego znalazł się wnet notes; pytania i odpowiedzi poczęły się krzyżować z błyskawiczną szybkością. Niedawne wspomnienia wraz z tematem sceny *à faire* odsuwały się coraz dalej i dalej...

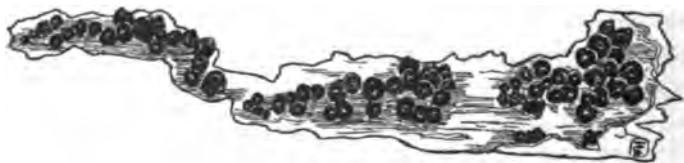
— Zrobi pan co do gazety?

— Toż robię!

— A straż na przedmieściach mamy podłą, — beczki dziurawe.

— Widział który z panów?

— Ja widziałem, jak z beczki ciekło.



Gdy otwierał drzwi do swego pokoju, spłoszył z przed biurka Müllera. „Mały“ zerwał się jak oparzony, rzucił się na łóżko i odwrócił tyłem do ściany. „Twórczość była,“ — wnioskował Jelsky. Nawiązało mu to w myślach nici zerwane przez wiadomości o pożarze. A że Müller do gawędy wciągnąć się nie dawał, filozofował sam: już sama obecność tego człowieka podniecała mu myśl i wprowadzała ją na tory paradoksów. Rozmyślał głośno o kobietach.

— Wiesz, to jest jeszcze wielki problem: kobiety uczciwe, czy heteryzm? Bo pomyśl tylko: — wywodził, krocząc z rękoma w kieszeniach po pokoju. — Kilka godzin rozpaczy i jęków, całe morze łez, trwoga samotności, lęki złych przeczuć, i — *le moment approche* — obojczyki sterczą żałośnie i proszą widza o współczucie; zaś smętny zapach wody kolońskiej gotów wprowadzić młodego marzyciela w nastrój anemicznego kwiatyzmu, skompromitować go pochwałą „szlachetnej dobroci,“ oraz narazić na propozycję „bądźmy przyjaciółmi.“

— O czym ty..? — zaniepokoił się nagle Müller.

— Chcę powiedzieć ogólnie, że kobiety w monogamii tracą zbyt łatwo właściwe kryterium wywieranego wrażenia. Jest to los podobny do fatum poety samotnika. Kobiety w monogamii zapominają, że na impresję składają się, prócz pełniejszych kształtów, jeszcze i fale mięciutkiego jedwabiu, obłoki koronek, lekki i dyskretny bukiet perfum, harmonijna całość w kompozycji otoczenia, wreszcie umiejętność, umiejętność, raz jeszcze umiejętność, — bodajby nawet w uśmiechu tylko. Zupełnie zresztą jak w poezji... Jednem słowem, uczciwe kobiety... — Jelsky strzelał niecierpliwie z palców, krzywił się, wreszcie machnął ręką i wytrząsnął jakby z rękawa: — *Ça ne m'amuse plus!*

Müller uniósł się na łokciach i zapatrzył w niego.

— Więc tamte?... Już tylko tamte!.. Jezus Marya, Jelsky!

— Noo? — przeciągnął niedbale Jelsky, gdyż w tej chwili był już zajęty czyszczeniem paznokci. — Jesteś dziś pokutny? Hm?..

— Jelsky! Jelsky!.. Dalej zająć już chyba nie sposób, dalej już ani kroku!.. Czy tobie, Jelsky, nie pachnie chwilami własny dowcip jak lufa rewolweru?

— Tym czarnym otworkiem, — odparł flegmatycznie Jelsky, — ziewa w skroń nuda, krzyczy rozpacz marzyciela. Ja żyję, staram się żyć jak najintensywniej. Zaś ty...

— Co ja?

— Marzysz, mały, marzysz niepoprawnie; w błotku nawet po uszy siedząc, marzysz. Wszelkie zło takich najłatwiej się czepia: nie dosięgnie się w życiu, omota w myślach... Albowiem popełniłeś nierozwagę, podobnie jak i my wszyscy, wybrawszy profesję artysty. Trzeba było zostać fabrykantem, kupcem, wszechstronnym lekarzem, lub estetycznie usposobionym prawnikiem. — Ci ludzie mają równowagę w życiu! Żółw jest w porównaniu z nimi stworzeniem eterycznie chwiejnym. U nich nawet nikczemność osadza się na dno duszy ciężko, solidnie, jakby dla zrównoważenia tej pesymistycznej melancholii, jaką ich napawa filozofia Maltusa i Darwina, nawet głupstwo występuje w szlafmocy zdrowego rozsądku lub w rozdartej szacie oburzenia, nawet interes stroi się w jubileuszowy frak społecznej zasługi... Ci ludzie mają równowagę! Panowie ci posiadają czasami córki na wydaniu. Jest to jedyne źródło, z którego sztuka może zaczerpnąć równowagi u społeczeństwa, oraz kapitalna ucieczka dla tych...

— Co uprawiają profesję artysty, — przerwał mu Müller.

— Chciałem cię tylko namówić, jak to codzień czy-
nie, abyśmy się poženili bogato.

— Jestem codziennem i cierpliwem uchem twoich marzeń.

— Mamy długi, Müllerku, mamy przeraźliwe długi! — Jelsky rzucił się na fotel, wyprężył ramiona i ziewnął przeraźliwie. — To jest mego katzenjammeru zwrotka zwykle końcowa i najsmutniejsza... Aa! — ziewnął po raz drugi. — Wogóle, jestem smutny; dość powiedzieć, że chcę pisać dramat... U-uch!.. Jestem zmordowany... sen-ny... Gdybym mógł obcować sam na sam z nieskończonością (w intymnem *tête à tête* bez dozoru teściowej ironii): — jednym słowem, gdybym był współczesnym poetą, połknąłbym nawet nieskończoność... Świat bywa przeraźliwie nudnym tynglem... Uu! — jakże mnie strzyknęło w nodze!.. Aktorzyska na scenie życiowej zmanierowały się doszczętnie i przestają już bawić... I ty, Müllerku, bywasz nudny z twem twórczem milczeniem... Co do mnie, lubię gadać pod wieczór, zanim zasnę; w przeciwnym razie gada we mnie melancholia... Zważ proszę, że i wtedy coś gada, zawsze i ciągle gada... Sumienie bywa hałaśliwym młynem.

— Na małej wodzie, — mruknął Müller.

— Trafiasz tem jak w sedno w genezę współczesnej twórczości poetyckiej... Mam dla siebie, prócz szacunku, i wyrozumiałość: ja wierszy nie piszę!

— Wiesz, Jelsky..? — Müller roześmiał się nagle i usiadł na łóżku. — Sądząc z wymowy i dowcipu, musiałeś dziś popełnić nielada nikczemność. — Jelsky pochwycił poduszkę z kanapy i cisnął mu ją z rozmachem na głowę!

— Psycholog! — zaśmiał się w odpowiedzi.



Wnet potem nachmurzył się, szlifując uważnie paznokcie środkowego palca u lewej dłoni.

— Do dyabła, trzeba na jutro rano przygotować artykuł o Yvecie... Mały, powiedz co o Yvecie! Podobala ci się Yvetta?. Ale jakże ta twoja biała rączka z łoży? Ona się dopełniała z Yvetką w kontraście. Słuchaj, Müller, czy to dałoby się zużyć w sprawozdaniu, — felietonowo niby?

— Można, wszystko można.

— Czy ci Yvetka nie przypominała kruką, a ta jej piosnka żerowego krakania nad padliną? Zaś ta twoja — sęp.

Müller zerwał się znowu i mówił szybko w nagłym gorączkowym podnieceniu:

— To woskowa lala szeleszcząca jedwabiem, białe ciało na plakaty mydeł toaletowych, trup z przepychem ubrany, flakon ekscytujących perfum, beczka do wlewania w nią szampana. To nie mówi wcale, uśmiecha się tylko jak automat za każdym dotknięciem. Widzisz: sęp - ścierwnik, z jego potwornym, ociężałym chłodem, z tą wstrętną sennością sytego ścierwem ptaka.

Jelsky jednym susem wyskoczył z fotelu i począł krążyć rezolutnie po pokoju.

— Chłop tylko w gorzałce smak znajduje. W takim spokoju jest bardzo coś!.. Na to mrozą szampana... Ta Galatea pozwala ci być Pigmalionem... E, Müllerku, jesteś dziecinny!

— Jelsky, porzućmy ten temacik, bo... bo ci lakierki opluje.

— Za własne grzechy?

— Jelsky!.. — zachnął się, czy też jęknął Müller i, upadłszy na poduszki, odwrócił się tyłem do niego. Ale Jelsky wpadł nagle w doskonały humor: przysiadł się na brzeg łóżka, począł łechtać Müllera i kułakować go żartobliwie.

— Dzieciuch!... serdeczny!... naiwny!... Jak-eś ty się, chłopcze, uchował na tym świecie?... Müllerku, Müllerku, nie miętoś ty sumienia, bo gotów-eś wygnieść wszystkie drożdże ze swego talentu.

— Poszedł precz!

— Bądź filozofem, poeto, i przyznaj, że bądź co bądź to są drożdże?

— Co?! Czego!?

— Sensacyi, temperamentu, a więc i sztuki. Z własnego życia należy jak z filozofii wyciągać nieubłagane konsekwencje.

Müller usiadł na łóżku.

— Kokoty?! — krzyknął i zatrzęsł się suchym zgrzytliwym śmiechem.

— Uch, jakiś ty trywialny! I śmiejesz się brzydko... A oczy ci świecą jak u wilka.

Zachłysnął się tym śmiechem Müller, począł kasłać i splunął wreszcie krwią w chustkę.

— Uch, jakiś ty — przekonujący!

Jelsky sięgnął po butelkę z lekarstwem. — Roztwórz dziób!.. Wypijesz tej obrzydliwości ze dwie beczki i będziesz zdrow jak fabrykant margaryny. Kunicki mówi, że mikstura jest ostatniem słowem. Rzecz nawskroś *modern*.

— On tak tylko, dla sugestyi, — odparł smętnie Müller. Roztrząsł go i obezwładnił ten kaszel.

— Widzisz go, jaki przebiegły!

Zamilkli. Jelsky pisał felieton. Müller leżał na wznak i wpijał się wielkimi, gorączkowemi oczyma w zwieszające się gdzieś z pod pułapu spłowiałe skrzydła wypchanego ptaka.



— Wiesz, — przerwał Jelsky milczenie, — stosuję formę do przedmiotu i piszę o Yvecie w stylu *decadence*. Zdańka krótkie, strzeliste, między słowa rzucam garść kropek i domyslników, metafory jakby żywcem wywiane z leksykonu: tu z patologii roślin, ówdzie z mineralogii, gdzieniedzie mała niespodzianka z Maeterlincka.

Nie wytrzymał Müller i parsknął śmiechem wraz z autorem. Jelsky zaś, pisząc szybko, rozprawiał dalej:

— Wałęsają mi się po wierszach jakieś reminiscencye chaldejsko-egipskie: zawdzięczam to oczywiście asocjacyom wywołanym przez sępa... Krytycyzm mój, jak widzisz, czuwa ustawicznie: pisząc najmodniejsze głupstwo, potrafię zachować zawsze pewne pozory sennej poprawności starego dobrego stylu. Miłośnikom tradycyj narodowo-literackich może się nawet przypomnieć drzemiący przed biurkiem redaktor z tabakierą w ręku... I cóż ty na to, mały? — dopominał się, nie otrzymując odpowiedzi.

— Jeszcze-ś za mnie nie odpowiedział? — zdziwił się Müller. — Jeśli chcesz koniecznie: jesteś dekadent umiarkowany, romantyk neo-praktyczny, radykał młodo-konserwatywny, artysta indywidualno-popularny, cygan cylindrowy; — jesteś, jednym słowem, dziennikarz europejski.

Jelsky zachnął się niecierpliwie: — To wszystko razem jest gadaniem z Bożej łaski neurastenika, wieszczego improduktywa z parafialnego zakątka czystej sztuki. Bój się Boga, Müller! wyście się zdążyli naprzykrzyć już rozsądkowi, życie z was się śmieje na całe gardło... Jak wy możecie samych siebie brać jeszcze na seryo?

— Nie bierzemy, Jelsky, nie; tylko w inny, mniej wesoły sposób, niżli ty to czynisz.

— No, — przeciał Jelsky, — jeżeli nas humor tylko różni!.. — Za karę nie przeczytam ci artykułu o Yvetce.

— Czytać! — kaprysił Müller opryskliwie.

— Jednak jesteś ciekaw, co w gazetce będzie stało, — he? Wy wszyscy jesteście jednacy: „Jelsky taki, Jelsky owaki, Jelsky nie jesteś codziennie genialny,” — a jednak żaden nie wytrzyma, żeby go nie przeczytać. — Mój kochany, znam ja swój tłumek! Inaczej nie byłbym dziennikarzem. Ja jestem nerwem waszego życia. Gdyby Jelsky'ego nie było, należałoby go stworzyć.

Müller stał już przy biurku i zapalał papierosa. Ćmil gwałtownie, chmurzył się, marszczył: widać było, że skupioną uwagą przejedzie jak ostrym nożem przez felieton Jelsky'ego. „Można lekceważyć sobie świat, ludzi, życie, samego siebie, własny talent, ale trzeba mieć talent, — zastrzegał na początku. — Inaczej, to wszystko stoi tylko na cynizmie. A ty mi się zawsze jak węgorz przemykasz.” — Słuchał więc i chmurzył się coraz bardziej. W chwili gdy chciał przerwać Jelsky'emu, zakaszał strasznie; ciało się zatrzęsło, twarz sponsowała, w gardle poczęło mu rzeźić, grać i chrypieć. W miarę tego kaszlu, wzrastał w nim upór i zawziętość, jadowita złość zbierała w oczach. Przemógł się i wyrzucił ochrypłym głosem:

— Staczasz się... beznadziejnie... w przepaść banalności! — Porwał go znów kaszel z brutalną, bezlitosną przemocą: zrywał mu piersi, miotał ciałem i rzucił wreszcie o łóżko. Ciało roztrząsł, duszy wszakże nie zmógł: na zmęczonej twarzy zaskrzepł hardy upór, a w poczerwieniałych, głęboko zapadłych i jakby mgłą zasnutych oczach jakiś zimny błysk nienawiści.

— Roztarł cię ten młyn, — wykrztusił z trudem, — na pył i proch uliczny... Nie wierzyć nawet w samego siebie i nie mieć talentu... To nie można, to już wcale nie można żyć... Słuchaj, Jelsky... czemu ty... czemu ty w łeb sobie nie strzelisz?

Jelsky porwał się na równe nogi. Pohamował się jednak w tejże chwili i składając papiery przeciął chłodno:

— Poczekam, aż ty umrzesz.

— Niedługo...

Uporawszy się z kaszlem, padł Müller rękoma na poręcz łóżka, splótł je i przyległ na nie podbródkiem; gorączkowem spojrzeniem wpijał się w Jelsky'ego, wgryzał mu się duszę, wlepił w twarz łzawemi i zaczerwienionemi od kaszlu oczyma.

— Chcesz?.. — szepnął przeciągle i dokończył wzrokiem swe pytanie. — Chcesz razem?.. chociażby zaraz?.. Ja zawsze gotów...

Jelsky nie pojął odrazu, zwrócił się jednak czujnie w stronę Müllera. Zdawało mu się, że od okna powiało w tej chwili chłodem, zwiastującym świt. Wstrząsnął się całym ciałem.

— Zaczynasz swoje? — rzekł. — Dawno nie było!.. Już ci dyabeł w wilcze ślepie wlaź!..

— A wiesz ty? — odbijał Müller cichym szeptem, wciskając podbródek w splecione na poręczy ramiona — wiesz? — Zgrzybiała kokota zwątpiła któregoś dnia o własnych wdziękach i przeraziła się swej brzydoty. Zmyła puder, szminkę, karmin, i pod suchą zjełczałą skórą zarysy swej trupiej czaszki ujrzała. — My, dziatwa Apollina! — he?.. To jest straszna klęska! — wielka klęska! — to się pomyśleć wprost nie da!.. He, he, Jelsky, — kochasz życie? Powiedz dowcip, Jelsky, zrób kalambur, rzuć paradoks! — He! — he! — he! — zatrzęsł się i zabeczał ochryple jak stary kozioł. Na zakończenie prysnął w kułak sztucznym forsownym, zgrzytliwym chichotem.

Jelsky'emu rzuciła się krew do głowy; dopadł go, schwycił za ramię i wciskał z całych sił w poduszkę.

— Zgrzyta, zgrzyta, zgrzyta grzech w tobie? — bełkotał gorączkowo. — Za bary wziął się grzech ze śmiercią... Twe sumienie nie jest gadatliwe; — ryje jak kret po ciemnej duszy... Nietyle przed grobem drżysz, ile

przed tem, że weń samotny wstąpić musisz. Nietyle rozpaczy się boisz, ile tej myśli, że w swych ciemnych nocach sam, zawsze sam jeden królować będziesz. „Czuj! czuj, co się we mnie dzieje!” — tak twój strach wielkiemi oczyma krzyczy. „Pójdź! pójdź! pójdź w tę ciemną noc moją, gdzie śmierć, dyabeł i hetera sabat tańeczny święcą...” Nie znosisz chłodu na cudzej twarzy, uśmiechu w cudzych oczach, pewności w ruchach nawet nie lubisz, nienawidzisz schludności w cudzem ubraniu: zgola wszystkiego, co o jakim takim ładzie wewnętrznym mówi... Znam ja mowę twej nienawiści! — Łasisz się wtedy i merdasz jak pies, jak wąż ślizkiem pochlebstwem oplatasz, jadowitemi wargami ślinisz i ruchliwym gada jęzorem szukasz, gdziebyś ządko mógł zapuścić...

Ścisnął go jeszcze mocniej za ramiona, uniósł nieco z łóżka i puścił jak piłkę o poduszki.

— Graj mi demona, — wołał — graj! Wiem przecie: z tynglu wracasz, powlokłeś się z jakąś tam... Rozpusta ze łba dymi. Znam te ciemne drogi myśli, po których wałęsa się twa dusza bezwładna.

Müller zwinął się w kłębek na posłaniu i, zaciskając suche ręce, syczał uparcie:

— Jak ty życie kochasz! jak ty życie ubóstwiasz! Bój się człowieku Boga, czem ty się będziesz w życiu oszukiwał? Talenciku nie masz, nie masz, nie masz!

— Idź szukaj swego po..! — Jelsky przeżuwał jakieś słowo, gryzł zda się w zębach, rozgniół i wypluł wraz ze śliną na środek pokoju. — A jeśli mi jeszcze choć raz coś z twego czarnego repertuaru zagrasz, wyrzucę precz. Zczeźnij, gdzie chcesz.

— Taak?..

— Żebyś wiedział.

Müller powstał z łóżka, zapiał flegmatycznie tużurek i sięgnął po swą pelerynę.

— Wiesz, — mówił, porajac się flegmatycznie z rozdartą podszewką zarzutki, — wiesz, co mnie w życiu najbardziej upokarza? Oto że nie umiając zarabiać potrafię się dostawać do egoistycznej kieszeni mych przyjaciół najpospolitszym wytrychem współczucia... Ile ja ciebie, Jelsky, kosztuję miesięcznie?

Jelsky podjął ze stołu niedawno odczytany rękopis i rzucił mu go pod nogi.

— Tyle tylko... Od czasu do czasu.

— Kochasz mnie, Jelsky? — Müller ze skupioną uwagą odgryzał przytem szmat podszewki. — Wierzyłeś we mnie? bardzo wierzyłeś? Pozwoliłeś na swem dziennikarstwie pasorzytować talentowi? — hę? — aby spłacić ten dług lichwiarski zdradzie marzeń własnych... Bo przecież każdy człowiek jakiś mały procencik temu lichwiarzowi przez całe życie spłaca. ...I stała się rzecz śmieszna: przywiązałeś się, Jelsky, przywiązałeś się za to, że mogłeś przed kimś z siebie i ze świata drwić, a jednak w kogoś wierzyć, wierzyć mimo wszystko... Ten śmiech twój na gruzach wszelkiej wiary, ten otwarty cynizm w życiu i dziennikarstwie, — wiesz Jelsky, — to dziwnie szlachetna w tobie rzecz: to szczerzy głos duchowego bankructwa. Pan jesteś: — czuję! von Jelsky! szlachcic polski!.. Widzisz, bo są inni, którzy dla tychże przyczyn, dla tego że wiarę we wszystko już stracili, sami siebie z namaszczeniem traktują... A ty jednak... jednak wierzysz w coś. I dla czego we mnie?!.. Widzisz, to przywiązanie jest także słowiańskim szczątkiem w tobie, ale ta pozostałość pochodzi z pospolitszych owiec polskich: w braku kogo innego, przywiązałeś się do prostego wilka... A zkąd ty wiesz, czy ja nie byłem polipem na resztkach twego talentu? Może ja ci połowę duszy wyssałem i we własnej dopiero uświadomiłem tę twoją połowę?! A wiesz ty, że ludzie wrażliwi, chwiejni, a do życia się garnący, modlić się powinni co

dzień: chroń mnie Boże od samotników, od osobowości silniejszych, bo wierę w siebie utracę i zmarnięję. A tyś mnie przygarnął. He!-he!-he!.. Czemu drżysz, Jelsky?... Imponowałem ci? Przyznaj szczerze... Jak ty bledniesz! jak ty okropnie bledniesz! — Imponowały ci ludzkie o mnie gawędy i wielkie pokładane we mnie nadzieje. A może imponowałem ci tem tylko, że byłem tak odmienny od ciebie. „Jeśli nie ja, więc taki, — myślałeś. — On jest tym wybranicem losu, pomazańcem kaprysu natury!“ Jak tobie rączki drżą, Jelsky!.. „On, — myślałeś, — dokona tego, czego mnie dokonać nie było sądzono. Ja ginę, niechże wiem choć to tylko, że fatum, co mi życie zniszczyło, jest warte życia. Sztuka, — he, Jelsky? *Sztu-ka*, ta bądź co bądź ostatnia i jedyna nasza wiara... Jak to w tobie głęboko, głęboko siedziało! I jak naiwnie, jak niedołąźnie wypowiadało się pod koniec. Przedwczoraj sprawiłeś mi parę spodni. He!-he!-he! — Jelsky! Dla sztuki? co?... Jak twoje rączki cudownie drżą! I nóżki, także!.. Siądź, Jelsky, na krzeselku, proszę ciebie. Siądź i powiedz dowcip... Bo milczysz już za długo; wprost nieprzyzwoicie jak na dziennikarza.

Jelsky odepchnął go od siebie brutalnie i osunął się na krzesło. Müller otulał się już w swą pelerynę, nastawił kołnierz, nacisnął beret i, stanawszy tuż nad nim jak wielki nietoperz, szepnął mu w ucho:

— Zrozum-że raz, ty niedołęgo, coś polską duszę dziecka zgubił, a piersi trocinami europejskiej kultury wypchał, jak się w tej europejskiej kulturze robi talent. Rzecz prosta, a sekret wielki. Trzeba mocno, tego, uparcie na własnym gruncie stać, trzeba mieć sto oczu, sto uszu i sto ssawek chciwych; do każdej duszy, która jest coś warta, trzeba jedną bańkę przyłożyć i wokół ssać, ssać i ssać! Każdą muchę wyssaną odrzucić precz i sięgać dalej, wyżej, szerzej! Pojąłeś nareszcie?! Tak się w Europie *robi*

talent! W Europie wszystko się dziś robi... W Niemczech natomiast fabrykują przeważnie etykiety. Rozjaśnij liczko, Jelsky, czerwoną chusteczką mignę ci przed oczyma, na ucho szepnę słówko, które rodzi dowcip w największym kretynie. Polip utalentowany zwie się nadczłowiek... Zrób dowcip, Jelsky! Do każdego słowa można przyczepić słówko „nad.“ Jeszcześ nie pomyślał, a już czytelnik się śmieje. He, - he, - he!.. Milczysz? ...Przykro, żeś stracił kontenans... Pocieszam się tylko, że jutro napiszesz paszkwil. — Ty pewno wciąż jeszcze deliberujesz nad tem, że ja, — jakże to mówi Hertenstein? — że ja „nasz byt usprawiedliwie“, — mój i twój byt!.. Marzyłeś (ho! ho! — marzyłeś! — troiło ci się, powiem inteligentnem słowem dowcipnego dziennikarza), troiło ci się, że w ciemne kąty naszego życia padną te jasne promienie, co wszystko rozświetlą, że na naszym śmietniku zakwitnie ten mistyczny kwiat, co ślepem zrządzeniem losu raz na lat setki z najbrudniejszych bodaj wyrasta kątów. Marzyłeś o cudownym kwiecie, co nawet ślinę dziennikarską bez szkody znieść może, bo za niego ludzie kiedyś wszystko przebaczą, wszystko wyrozumieją i jeszcze z błogosławieństwem wspomną. Tak-eś marzył. I zawiodłeś się!.. Widzisz, takie kwiatki na śmietnikach trudno się udają, one z pierśi ludzkich wyrastają. I nie gnojem się żywią, lecz krwią swego twórcy... Zrozumiałeś?.. Krwi sztuce potrzeba, krwi, bólu!.. He, - he, - he! — biedny Jelsky, biedny! I głupi! Bądź wesół, Jelsky, i pielęgnuj dowcip. Jużes mi więcej — niepotrzebny!..

Jelsky bladł, bladł przeraźliwie; dygocące wargi mięły wraz ze śliną jedno krótkie słowo.

— Łotr! — spadło wreszcie z ust.



Jelsky pozostał sam. Wokół cisza była i pustka; dudniało tylko miasto gwarem swym monotonnym i szumiało w uszach. Gdzieś na wieży wysokiej ocknął się zegar prastary, zazgrzytał ciężko i nową, nikłą godzinę dziejów głucho wydzwonił. Grały zegary w ciszy nocnej, płynęły echem ponad miastem, — wysoko, coraz wyżej, niby żórawich lotów podniebne skargi, i wlokły za sobą cały czasu płynącego smutek: i nadzieje zawodne, i troski rozpaczne, i żale spóźnione, i wspomnień krótkiego szczęścia ostatnie przeblyski. A zbierały zewsząd śmierć!

Jelsky czuł, jak dławi go w tej chwili nieobjęty wprost ogrom własnej i cudzej niedoli, ta straszna niemoc ludzkiej rozpacz, której losy nie użyczyły głosu; — czuł, że jego skarga niema pada w otchłań czasu, niby te godziny, co się górą poniosły, ciągnie ponad tem potwornem mrowiskiem ludzi krwawa i milcząca i wlecze za sobą połamane skrzydła.

„Jam już dokonany!” — pomyślał.

Na ulicy potoczył się z łomotem ciężki, ładowny wóz i przyniósł ze sobą głuchą, szarą trzeźwość jawy.

Próbował mimo wszystko poprawić felieton o Yvecie, ale ta praca sama z rąk mu wypadła. Już się do snu zamierzał układać, gdy spostrzegł na stole kilka zeszytów pozostawionych przez Müllera. Pochwycił je chciwie. Na okładce pierwszego rzuciło mu się w oczy grubemi literami wypisane zdanie:

Nonumque prematur in annum.

Horacy.

W pierwszej chwili te słowa uderzyły go w pierś, niemal jak głuchy wyrzut; lecz niebawem otrząsł się i mruknął: „Ba...!” — Wziął do rąk drugi zeszyt. „*Nonumque prematur...*”

„Ha! ha! Takąś ty, Müllerze, pułapkę na samego siebie zastawił?... Dla Horacego ta formułka była prawdopodobnie tylko figowym listkiem nieszczerzej skromności, dla ciebie stała się górą, przed którą stawaleś jako wół z bajki. Dziewięć lat, — bagatela! Inne, inne dziś czasy! Dziś nawet Horacy pisaćby musiał kuplety. Wiele zmieniło się od czasu Horacego. Oto Kopernik ziemię wyważył, gdzieś w ciemny kąt wszechświata stracił i w wir codziennego biegu rzucił; a gilotyny rewolucyi francuskiej zaśpiewały jej kankanową piosnkę: „dziś! dziś! dziś!” — inaczej: „grosz! grosz! grosz!” — Co brzmi po francuzku:

allons enfants de la patrie,

le jour de gloire est arrivé!

Inne czasy!..”

Rzucił okiem na pierwszą kartkę i czytał:

Trzeba mieć lotne nogi, by przez lat 9 z życiem się ścigać i nie pozostać w tyle, trzeba mieć dobre

śpichrze, by przez lat 9 świeżość myśli w nich zachować, trzeba daleko patrzeć, by przez lat 9 mózgi tylko zasiewać, trzeba mieć dużo lekceważenia dla tych, co po cudzych śpichrzach chleba tylko szukają, wiele wgardy dla szkodnych szczurów i myszy, co, cudzym niedostatkiem głodne, w samo serce się nieraz wgryzają.

Mnie nogi moje z pośpiechem w grób niosą, nieczystych dłoni zasiewy w duszę mi padały; — wdarł się grzyb w śpichrze moje: pleśń je niszczy, rdza pożera i sporysz wyplenia! A wgarda moja zawiścią się stała: życia-m zbył w samotności!

Do mnie żadne słowo zrozumienia, żadna dłoń otuchy nie trafiła, do mej samotności śmiech tylko i chichot tłumu dolatywał: „Żyj!.. Użyj!.. Kochaj!..” — Pochwycił mnie rojny i barwny gwar życia, padłem jak ćma w płomień. Zbyłem duszy w gwarze ludzkim! Ucisnęło mnie miasto, potwór piersi mi zdoławił.

I oto pierzchyły me myśli rojne jako ptaki przelotne, bo w duszy serdeczna nastąpiła posucha. Rozwiały burze zasiew płodny mej samotności. Na wielkiej tęsknot pustyni kraczą dziś tylko kruki nad mego ciała padliną.

Rzucicie mego trupa w kanały miejskie!



Jelsky urwał, sięgnął nerwowo po cygaro i zasnuł się niebawem smugami dymu.

— Kawiarni! — krzyknęło coś w nim nagle przy-
pomnieniem niedawnej wędrówki przez ulicę. Z gorącz-
kowym pośpiechem przerzucał kartki chaotycznego dzien-
nika, zatytułowanego dziwnie: myśli nieplodne. Znał
poczęści te kapryśne rzuty i skoki myśli; wiedział, że myśl
Müllera, z jakichbądź dziedzin dążąc, natrafia zawsze na
kobietę jako na mur! Ona była szczytem i uwieńczeniem
każdego pojęcia, wszelkiego rozumowania. W tym fanta-
stycznym gmachu myśli, dziwnych jasnowidzeń i gorącz-
kowych rojeń mieszkał tylko — harem.

Jelsky czytał:

*Jako małe śmieszne chłopię marzyłem o królew-
skiej kobiecie, zda się, na to tylko, by chęcią, myślą,
duchem sięgać wyżej, wyżej i jeszcze wyżej!.. A do
wysnionej tak-em się modlił:*

*„Jeśliś się w ciało już oblekła, znijdź ku mnie
łaską obietnicy Twej. Nie teraz, bom nie godzien.
Wejrzyj ku mnie i myśli swe skłoń w najlepszą godzi-
nę życia mego, kiedy cię godnie uczcić potrafię mych
krwawych tęsknot zasiewem, myśli płonem czy złudą.
Znijdź w godzinę dobrego zasiewu i błogostawionych
zbiorów, w godzinę bólu i narodzin, w godzinę du-
cha mego z Tobą cudownych zaślubin, w tę godzinę
rodzajną, godzinę pomazania!.. La sacra visione di
Te imploro, Beatrice mia!“*

*W Atene kochałem się samotnie i za niejedną
piękniejszą marzeń kwiata pocatunki od niej otrzy-
mywałem! — Marzyłem o kobietach szczerych i ser-
decznych jak dzieci, o królewskich, o boskich; o tych,
co są radosne i słoneczne jako kwiaty łąkowe, o tych,
co jako lilie są zmierzchowe, o tych, co jako białe
gwiazdy tytoniowych kwiatów po nocy migocą i legen-
dą wabią; o różach snilem królewskich, co raz na la-*



ta całe i na noc jedną tylko z pąku ciała przepychem się rozchyłą — i giną!

Marzyłem o nich wszystkich w samotni kiedyś; dziś marzę w białym oplocie ramion Lili, — Lili z kawiarni.

A jednak lubię Lili. Ja duszę w każdej kobiecie lubię!

*Lubię te chwile, kiedy w jej oczach za-
tłą się w czas zadumy jakieś zielonawe, bla-
de i odległe płomyki; twarz bieleje i przy-
stania się mgłą skupienia.*

*Tak w ciche, jasne i łagodne noce, na
grząskich bagnach wyiskrzają się ogniki
i błdzą senne po sinych mokradlach, póki
ich świt nie zgasi.*

*Lili jest biednem, smutnem dzieckiem
miasta. Gdy ją temi słowy pieszczę, drży
i tuli się do mnie jak dziecko. „Nie boisz
ty się, Lili, miasta?” — „Miasta?” powta-
rza i taką ciszę skupienia ma w oczach!..*

*„Patrz, słuchaj, pomyśl! — W tej chwi-
li wpadnie tu do ciebie pijana banda: brzęk
szkła, pijane śmiechy, ochryple głosy i śpie-
wki cyniczne. I ręce! — suche, białe, o lśni-
cych paznokciach, zdobne sygnetami, plu-
gawe dłonie pospolitych drapieżników! —
wszystkie one wyciągają się ku tobie. —
A wszystko wokół drga, tętni, wibruje. Mu-
zyka gra, — słyszysz, gra tem dziwnem tem-
pem, w którem się cynizm tak swywołnie
wypowiada. Extrablatt! — wołają... Extra-
blatt! — Najnowsze depesze!.. — „Naj-
nowsza powieść!..“ „Najnowsze arcydzie-
ło!..“ „Najświeższa plotka!..“ „Łatwy*

sposób zrobienia majątku!..“ „Porady sekretne!..“
 „Tajemnica ruletki!..“ „Jak zostać sławnym?..“
 „Jak zyskać szczęście u kobiet?..“ „Samobójstwo
 bankiera!..“ „Skandaliczny romans księżniczki krwi!“
 „Mord!..“ „Mord i rabunek!..“

— Kupujcie! kupujcie! kupujcie!

A artyści śpiewają:

Tak, tak, tak,
 W tem cały życia smak,
 W tem cały sztuki sens!..

„Lili, włącz na stół!“ „Lili, zaśpiewaj.“ „Lili,
 zdejm podwieszkę...“ „Szampana!..“ „Mord!..“
 „Mord i rabunek!..“ „Skandaliczny romans księ-
 żniczki krwi!..“ „Śmierć głodowa!..“ „Nekrolog
 poety.“ — „Kupujcie! kupujcie! kupujcie!..“

A teraz ty śpiewasz, Lili:

Spojrzyjcie tu! spójrzyjcie tam!..

Spojrzyj ty, Lili, na ich twarze! na te podłe, głucho
 bezmyślne i pijane uśmiechy, na to zwierzęce umęcze-
 nie w szeroko otwartych, zeszlonych oczach na białych
 jak kreda twarzach. — Tyle jadowitego smutku jest
 w tej chwili błędnej, kiedy blask lamp gazowych ze
 świtem żółknie, blednie i zamiera. A kiedy nagle
 światło zgasza, zda ci się przez chwilę, przez jedną
 krótką chwilę, że pośród trupów siedzisz...

A tam na krańcach miasta zawyją jak raniony
 potwór — sygnały fabryczne — —

Lili odpycha mnie, pada w głąb kanapy i myśli,
 chmurzy się, głuchy wstręt w sobie przetrawia. „Boisz
 się, Lili, samej siebie?“ Potakuje głową, prędko, gwał-
 townie: raz, drugi, trzeci... „No, Lili, Lili — dzie-
 ciaku ty!.. Widzisz, my oboje, jak przez cyganów

kradzione dzieci, na rozrywkę tłumu sztucznie hodowane; oboje w wielkiem mieście zbłąkani..." Lili zrywa się i pada mi na szyję. „My oboje!” — woła i wieszka się tak na mnie, jakby mnie wraz z sobą gdzieś w otchłań porwać chciała.

My oboje, Lili!..

*i ten smutek wielkich miast rozpaczy;
i te surowe wrota zamkniętych o świcie kościołów;
i te po rozpuszcie na rosę marzeń rozchylone białe kielichy tęsknoty, me poezye pisane o świcie;
i te życia mego ostatnie miesiące...*

My oboje, Lili!



Jelsky nie wytrzymał: zerwał się z miejsca, aby się zakrzętnąć koło czarnej kawy. Zapalił spirytusową maszynkę i czytał dalej:

...Wprowadził mnie tam Jelsky! Było to pierwszego dnia mej ostatniej wiosny. — Ona ma w sobie słoneczną radość łąkowego kwiatu, w pytającym błysku oczu niegasnącą do życia ciekawość, pąkową świeżość, co rosę wrażeń chciwie chłonie i duszę zawsze odradza; ciągłe zdziwienie, to wieczne i nieczyszczalne dzieciństwo duszy, co jest opoką, na której bogi greckie świątynię sztuki zbudowały.

Borowskiego poznałem dawniej. On samego siebie wspomnieniem przetrawia; na każde jego słowo odpowiadają dalekie echa: „kiedyś!” W nim jest coś z potężnych dębów, z ich głębokim poszumem starej legendy. Mimo że pień już murszeje, jest w tym dęczaku wiele dobrej krwi: jest niestrawiona wewnętrzna moc młodej rasy, czuć jędrność i siłę wielkich namiętności. — Lubię Polaków! — Jelsky! Jelsky! cóżś ty zaprzepaścić!..

Jelsky zaczerpnął kawy z maszynki i wychylił filiżankę do dna.

Lubię myśleć o tych młodych rasach na naszych brukach, o tych smętnych barbarzyńcach, których toczy rak kultury. Lubię te ich zawody naiwne i serdeczne na tej starej nierządniczy Europie wraz z jej wielkimi hasłami. W smutnych oczach tych barbarzyńców jest coś ze spojrzenia Lili, coś z błysków dzikich zwierząt spoglądających z klatki na tłumy świąteczne, coś ze sztucznych wybujałości cieplarnianych roślin, coś z dusznej i zgniłej woni oranżeryi. — Lubię ich, jak lubię Lili, jak lubię podzwrotnikowe storczyki w świetle lamp elektrycznych za zamrażniętą szybą sklepowej witryny. Myślę często o Pawluku i Jelsky'm i lubię ich porównywać.

Borowskiej opowiedziałem raz taką bajkę:

Było raz dwóch braci bliźniaczych, co w cieniu jednego dębu wzrastali. Dąb zgnił u korzeni, burza zniosła; zaś nawałnice rozwiały braci na wschód i zachód świata. Minęły lata, minęły czasy; dawnych ludzi dawne wiary spłynęły krwią do dwóch mórz. Inni ludzie, inne czasy, inne wiary! — morza nawet już inne! spotkali się bracia, spojrzeli i — za noże chwycili! — Czas, przestrzeń, dwóch wielkich duchów potę-

ga odmienna, wryły między nimi przepaść tak głęboką jak jednego stulecia myśl i tak wielką jak dwóch bogów nienawiść.

„Taką bajkę, pani, będą wam opowiadały kiedyś stare piastunki, bajkę o dwóch braciach.”

Patrzy, patrzy... Potakiwać nie chce, zaprzeczyć nie umie, i dziwi się, i spoziera zdumiona, „coś ty za jeden?” szepczą oczy, i ledwie zapytały, już się litować gotowe. I patrzy... Chryste, jakie oczy!.. I boi się i milczy: spojrzeniem bada, duszę nawskrós przeziernie. Przejrzała, i opuszcza oczy, Czy ta łza, ta na brzegach oczu pozostała łza — czy ją bajka moja pozostawiła?.. Czy może wiew smutku na ten kwiat ode mnie poszedł? Czy może rosa nowych wrażeń na niego padła?.. A może inne bajki starej przypomniały się piastunki?..

I między jej oczyma a spojrzeniem mojem błędzą dusze nasze, niże się ta nić zwiewna, nić pajęcza, co mnie do jej stóp na zawsze przykuje, wiążą się te struny złote, struny gędziebne, do których dłonie me ślepe rwą się same, omackiem, jakby z Boga wyższego nakazu.

O struny duszy kobiecej napięte, struny me harfiane!..

I rozchyliły się ku temu słońcu mych najgłębszych tęsknot najbielsze kielichy. Piers tchnieniem szerokiem się rozszerza, jakby moc nowa w nią wstąpiła, jakby w niej zadrgać chciały najczystsze, najgłębsze, najszczęsersze nuty, jakby zbudzić się w niej miała ta pieśń mi obiecana...

*Pieśń, co była już w grobie, już chłodna,
Krew poczuła, z pod ziemi wygląda
I jak upiór powstaje...*

Dajcie mi harfę taką! Dajcie mi wielkiego uczucia tchnienie szerokie, a zaśpiewam wam nowego życia hymn weselny!

...A że mam śmierć tylko przed oczyma, za życia — grobu głuchą samotność, i tych dwojga ludzi tak silne kochanie, i z kałem życia ciągle obcowanie, więc chyba krukom złowieszczym gotować będę krakania mogilne.

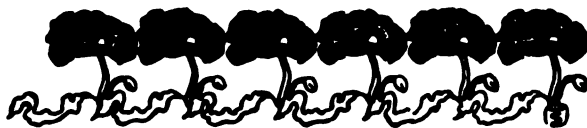
I pieśń ma legła znów w grobie.

*Więc znowuż: my oboje, Lili!
i ten smutek wielkich miast rozpaczy,
i te surowe wrota zamkniętych o świecie kościołów,
i te na rosę smutku rozkwitłe białe kielichy tęsknoty: me poezye pisane o świecie,
i te życia mego ostatnie miesiące...*

My oboje, Lili! —

A tam, ty — Zochna.

Imię twoje święte płacz mi z piersi wydarł i przede mną samym zdradził... Imię twoje święte szepczę i teraz mych nie wstydzę się nawet przed samotnością moją!



Jelsky ślaniał się jak fakir nad czarnym dymem, już go sine smugi wstęgami owiły, pochłonęła go chmura. Ćmił cygara bez końca, połykał kawę.

I czytał:

*Lubię, gdy strach upiorów o północnej godzinie
oczy mi zaokrągla, mięśnie na twarzy ściąga i przy-
czaja zmysły złudą oczekiwania. Wtedy czuć moich
skupienie rodzi wokół jakieś szepty, szmery, stąpa-
nia... Nie sam słyszę, ludzie już o tem gawędzą; drwią
ze mnie i boją się nieraz. Ja drwie, boję się i lubię
te moje chwile; pieszczę się niemi, bawię się gorączką
wyobraźni, co mi tętno serca tak rozkoszenie przy-
śpiesza.*

*A od czasu gdym ciebie poznał, temi chwilami
tylko żyję. Chcę ciebie wywołać, potęgą uczuć moich,
jasnowidzeń moich przemocą przed oczyma postawić.
Wspomnienia tych krótkich chwil przy tobie stały się
ducha mego soczewką, wszystkie promienie duszy w so-
bie jak w ognisku łączą i mózg mi palą. Znam
już słodycz wielu marzeń z Tobą, przy Tobie, dla
Ciebie: chociaż mi ciałem obca i daleka duchem, ju-
żesz moja! Wypiłem już haszysz wszelkich z Tobą
łączności i upojen, myśli moich wszechwładzą wiele
pieszczot ci już nakazywałem. Ale się przesycił ma-
rzeń moich uludą.*

Zjawu chcę!

*Patrz, — ja nigdy, przenigdy takiego skupienia
wszystkiego czucia i myśli nie zaznałem, takiego sto-
pienia się woli z twą myślą, duchem, ciałem! Jako
tygrys do skoku przyległy i zdobyczy czujny, przy-
czaiła się wola ma.*

Wola moja wzywa ciebie!

*Przyjdź, — jednym promieniem nadziei przyjdź,
a wówczas serce mi chyba ptakiem z piersi wyskoczy,
po tym promieniu do ciebie zleci, do stóp padnie i cho-
remi skrzydłami załopocze.*

Placzesz... Dlaczego mi się zdaje, że Ty tam u siebie w tej chwili płakać musisz?

Patrz! — już mi strach upiorów o północnej godzinie oczy zaokrągla, twarz ściąga i ramiona przęty... słyszysz te szmery, szept i stąpania wokół?

— Tu?!..

Coś echem się niesie, szmerem cichym się skrada.

— Czyś to ty?!..

Coś ze stołu spadło i echem wciąż jeszcze pada...

Słyszę, jak się tam miasto zdala burzy, słyszę świst głuchy i łoskot ciężki wzbierającej fali... Czy to brzęk złota, czy wiatru o szyby dzwonięcie?.. Twój-że to szept pieściwy, czy przytłumione tłumy szemranie: „Dziś! dziś! dziś!..” Twej-że to sukni szelest, czy też Lili chichot pijany?..

— Kto woła?!..

Słyszę: ztamtąd, zdaleka—to oni—te trupy w imię sztuki—wyją pijani w kawiarni, a błazny po tynglach z nich się śmieją: he, - he, - he!

Patrz! — oto lampa gaśnie. Już mnie ciemność grobowa płytą od świata oddzieliła. Ty się teraz mej woli oprzeć nie możesz!.. Nie widzę, nie słyszę, nie czuję nic! — Tobą być chcę, ciałem i krwią Twoją i duchem Twym, — woli twej objawieniem!..

Ty po grzęzkich bagniskach nad życia zgnilizną, ponad próchnicą zgłiszczy błędzący, biały, zwiewny, święty duchu...

— Spłyn!..

...Już cichą, ciepłą słoneczność kobiecej dobroci czuję, z chłodu twych dłoni odkupienie biorę. W mych lepszych uczuć agonii ostatnim przebytysku!

Już zapach włosów Twoich czuję, już puchowe dotknięcie ramion twoich wskrós ciało me przenika.

W kochania mego szale przedśmiertnym!

Przyjdź wiewem, zjaw się cieniem, powstań upiorem.

— Choodź!..

*Patrz, — ja wskrzeszam w myśli moc wielką,
bo wszystkich grzechów moich jawę i świadectwo!..
W trumnie ciało me niebawem legnie, a ty tej grobo-
wej skrzyni pokutnem wiekiem będziesz, jeśli się nie
zjawisz! Ja cię tem straszmem przekleństwem do nóg
mych przykuję.*

— Jaw się i stań!..

*I słyszę — szloch... Twój, Zochna, płacz roz-
paczny!.. Czego?.. czego ty tam płaczesz w tej chwi-
li?.. Kogo szukasz?.. W tym blasku lampy czer-
wonym... Upadniesz, upadniesz z lampą!.. Chryste,
ona się zapali!..*

*I te cisy grobowej głucho dudnienie słyszę, go-
dzin ciężki, ołowiany chód, tych godzin najbliższych,
co się po kłęsce pogrzebowym krokiem wloką.*

*Słyszę: — padł strzał! — Szum skrzydeł mu nie
zawtórował... Widzę: — osadził się ptak na gałęzi,
chwije się, lecz nie spada. Osunął się: bije ciałem po
gałęziach, liście strąca, skrzydłami łopoce, czepia się...
znów się stacza, pada, bije, — wyrznął o ziemię i krwa-
wi! Dyszy... Znów się porywa: tuż, tuż ponad zie-
mią jak kula sunie, czołga, wzbija się; znów pada,
na wznak się wali i skrzydła kurczowo pręży. Dyszy.
Pławi się we własnej posoce.*

*I widzę cienie dwóch rąk, co się po niego wycią-
gają... Ratuj duszę!.. Znów się porwie: po ziemi
kulą sunie, krwawą strugą barwi... A te cienie rąk
pełzną po wszystkich ścianach, ślizgają się jak węże...
Dłonie, dłonie drapieżce!..*

*Uduszą mi ptaka!.. Chryste panie, ptaka Twe-
go Bożego!..*



*Zgasło. Przesiliło ciało moc moją. Już turkot
wozów słyszę na ulicy... Opuściły mnie siły moje.
Ciało czuję, ból czuję. Tu w piersiach dławi, dusi...
I ten chłód, ten chłód okropny na czole, i to samro-
czenie nagle!.. Wiem, co to znaczy: — chustki! —
miski! — lodu! — Dobrze, iż lampa zgasła: nie chcę
widzieć tego. Ukryję się z tem, ślady zatrę, nie chcę,
by mi Jelsky swą wyższość zdrowego zwierzęcia współ-
czuciem okazywał. Nienawidzę współczucia!*

*A potem, sen krótki, gorączkowy; — a może om-
dlenie. Po zbudzeniu się trwoga, dziki lęk przed śmier-
cią i ta skrucha za chybionem życiem, zmarnowanym
posiewem. Jesteś, karzący mieczu życia? jesteś, szata-
nie mój? A trwoga ma i skrucha i żal jednym tylko
okrzykiem wołać umieją:*

Pisać chcę!!

*Jesteś, złej godziny mych narodzin kłatwo nie-
ubłagana, zjawiasz się nawet w godzinie śmierci, aby
mnie spowiedzią dobić.*

Pisać chcę!!

*...Rozwiały wiatry mej samotności płodne zasie-
wy. Na mych tęsknot pustyni kraczą tylko kruki nad
ciał i duchów padliną. Wszystko, co lepsze, głębsze,*

*trwalsze, runęło w gruzy. Więc już nic nie wskrze-
śnie? nic ciałem wizyi się nie oblecze? nic nie zmar-
twychwstanie w marzeń moich ostatnim mirażu? w no-
wego życia krzyku daremnym? Zmarniały dobre za-
siewy, — niechże więc kękol wszędzie i świadczy o ży-
cia mego krzywdzie i rozpacz! Legło me dobro,
niechajże zło moje swój sabat święci ostatni! — A po-
tem niechaj duch mój wraz z ciałem w piekło się zwali!*

*A więc kieruj ty mem piórem, szatanie, ty, co
patrzysz także w sumienia czcigodnych i zasłużonych,
w szlachetnych oburzeń bezmyślność i kłam.*

*Ty, fałszu życia płaszczu świątobliwy,
krwawego znoju bliźnich złotodajna żyło,
ból szlachetnych przepaścista studnio,
pochłoń mnie! zatrac mnie, bom w ostatniego Boga
ostatnią stracił wiarę!*

*Bezlitosnych udręczeń hojny ty szafarzu,
tajemnych przeznaczeń czarna twórcza ręko,
budujących bogów potępiony młocie,
nowych wartości nieśmiertelny twórco,
Szatanie, bądź wola Twoja!*



Jelsky ślaniał się wciąż jak fakir: otumanił go ten
dymny czad i, zda się, wszystkie wrota zmysłów zamknął,
aby jakieś inne drogi trwożnym czuciom i niepokojom

otworzyć. Oto wsparłszy głowę na ramionach słyszy szept twardy, ostry, dobitny, jak uderzenia młota w czaszkę:

— *Wszak hojnie darzę rozkładem uczuć i ducha roztęrką? Wszak hojnie ziarna sztuki sieję?.. Patrz! — jam jest sztuki waszej zabójczą potęgą!*

I w tejże chwili czuje, mimo że resztką władz tę myśl z uporem tłumi, czuje, że poza nim, tuż koło drzwi, ktoś w tej chwili stoi. Twarz bezradnie w ramiona ukrywa i szepcze cicho: „Boże mój, Boże, co to jest?” — Lecz w tymże momencie zrywa się błędnie i spoziera po za siebie.

— Müller?! — krzyknął krótko, a usta jakby w oczekiwaniu odpowiedzi pozostały uchylone.

Powrócił, znaczy się! — Ale milczy! — Peleryną swą otula się tylko szczelnie, głowę w kołnierz wciska, pochyloną twarz beretem przysłania... Stoi i milczy jak cień: w ciemnym kącie czarny, zamarły i dziwnie wyższy, dziwnie...

— Müller, — ty?!..

Jelsky czuje, jak mu mięśnie krzepną, drętwieją, skuwają się tą przeraźliwą niemocą gorączkowego snu. A tamten stoi pode drzwiami: czarny, zimny, pochyloną głowę beretem przysłania... Ramiona na piersiach skrzyżował i...

Spojrzał!..

Jelsky'ego jakby między oczy coś uderzyło: rzucił się w tył i ramionami załopotał. W sobie się zebrał, wtulił i twarzą do własnych dłoni przypadł. Bez wiedzy i woli, odruchowym jedynie instynktem dobrej krwi, chwycił krzesło i puścił je z całych sił w tamtym kierunku. Roztrzaskało się o drzwi na kawałki. Łoskot ten zbudził Jelsky'ego i spłoszył mu zmoreę z przed oczu. Zatoczył się do okna,

uniósł roletę i szarpnął zawiasy. Chłód wtargnął do pokoju, ciężkie dymy poczęły się wykłębiać na ulicę.

Mroźne powietrze poranku drgało czystem, dzwiecznem i pośpiesznem dzwonieniem sygnaturki kościelnej:

Ave - Maria - gratia - plena !

Na dachach domów sąsiednich kładł się szronem białym świt.



(Ciąg dalszy).

Wacław Berent.

Z poezyj Teodora de Banville.

ŻYCIE I ŚMIERĆ.



*jrzałem twórców, marzycieli,
Szlachetną gniewnych orłów brać,
Na czoł im wzniosłych czystej bieli
Znak Prawdy święty było znać.*

*A koło nich, jak dwa posągi,
Zrodzone w jednym twórczym śnie,
Związane wiecznie, dziś i ongi, —
Życie i Śmierć, siostrzyce dwie.*

*Ot Homer, żebrał wiekopomny;
Ajschyl bez żółci w sercu cnem,
Łysy, w starości dniach bezdomnej
Smagany mroźnym wichrów tchem;*

*Pindar, liryzmu źródło świeże,
Myrtisa boski uczeń; z rąk
Śmiało mu król cytarę bierze,
Jak koźlę lilii szdiera pęk;*

Oto mój ojciec Arystofan,
Ohydnych rażon kałem słów,
Walczy przed ludem, co klnie — profan,
Za bóstw Ajschyla święty huf;

Oto Sofokles pije mety
Tryumfem niegdys wrzących czar,
Skarżon o obłąd, odepchnięty,
Od dzieci swych ma wgardy dar;

Oto Owidyusz, czoło znaczy
Mu straszne piętno, trwożny zbieg
Mleko sarmackiej pije klaczy
W stepach, gdzie wiatr, a mróz, a śnieg;

O! na wygnaniu Dant; o! Tasso,
Co nagle w obłąd dziki wpadł,
Świeci wybladłej twarzy krasą
Z za czarnych turmy ciemnej krat;

Podobny lwu, co wzdycha, kona
Pod podłym batem strażnych sług,
Na żołdzie nędznym histryona
Oto — niestety! — Szekspir-bóg;

Oto Cerwantes, rab znękany,
W kajdanach swój wylewa żal;
Kamoens, brocząc z ciężkiej rany,
Z grzywami wściekłych walczy fal;

Oto — tak igra los zuchwale,
Bezmyślnie drwić z człowieka rad —
Corneille w ulicznym stąpa kale
W trzewikach pełnych dziur i łat;

*Cny bałwochwalca Racine pada,
Przez teatralny olśnion grom,
Który na korne sług swych stada
Miotał Ludwika wzrok — na srom ;*

*Chénier, z którego celnych grotów
Każdy w ofiary piersiach tkwi,
Broczy bezmyślnych nóż szafotów
Purpurą cudną swojej krwi.*

*Świecąc pierwotną swą świetnością,
Wygnańcy ci niebiańskich gniazd,
Pochodnie święte przed ludzkością,
Żrenice mieli pełne gwiazd.*

*O nasze trwożne bijąc uszy
Z łoskotem dźwięcznym słonych fal,
Głos ich ogromny grzmiał wśród głuszy,
Jako bezdenne morza dal.*

*A śmiech ich, pełny skier i błysków,
Zdawał się miotać w świata stęp
Strzały podobne do pocisków,
Jakie wyrzuca łucznik Feb.*

*Jednak, bez szczęścia, bez schroniska,
Pod nieb niechętnych mroźną mgłą,
Śród — królów, tłuszc — urągowiska,
Wlekli przez wieki nędzę swą.*

*Z zapalczywością gniewów całą,
Co drogie im, zwiewając w dym,
Życie szarpało mdle ich ciało
Wściekłym, niesytym zębem swym.*

*W motłoch wmieszawszy ich żebraczy,
Którego losem — wżgarda, szyd,
Wiodło ich z miast do miast, tułaczy,
W łachmanach szat — na srom, na wstyd;*

*By wyrzucić wściekłe jady swoje
I zgnieść ich cały święty ród,
Zlewało na nich zniewag zdroje,
Nędzę, wygnanie, chłód i głód;*

*I gnało w dal nędzarzy smętnych,
Bez wiary już w odkupień dzień,
Zmazawszy biel ich czoł poświętnych
Katami nieczystych ślin i tchnień!*

*Lecz wreszcie drużka pewna, wierna,
Wyzwalający niosła zgon;
Zmywała krew Śmierć miłosierna
Z ich nieznających zgryzot łon.*

*Wzorem surowych tych piastunek,
Co jednak pieścizną, kojąc łzy,
Miru im kładła pocałunek
Na ustach mdłych, kołysząc w sny.*

*Przed ich stopami powitalny
Kobierzec stała w blaskach słońca
Z krasnej purpury tryumfalnej —
Zwycięstwa znak wśród nędzy i burz.*

*A czoła ich promienne chwałą,
Przed zbójczym ludem, który iść
Za nimi nie chciał, dłonią białą
Wienczyła w lauru czarny liść.*



*ch, już nie pójdziem w bór,
[wawrzynów ścięto liść.
W basenie Amor-trzpiot
[i Najad białe mary
W słonecznych widzą skrach
[kryształów z lodu kiść
Zamiast milczących strug, co
[lały się z ich czary.
Wawrzynów ścięto liść, na
[grzmiący rogów chór
Uszczwany jeleni drży; już
[nie pójdziemy w bór.*

*Gdzie dziatwy zwawy rój, w lipcowe wonne skwary,
Po lilie pełne ros, co ranek rwał się iść,
Dziś koszą resztki traw, wawrzynów tną sztandary.
Już nie pójdziemy w bór, wawrzynów ścięto liść.*

ZE „STALAKTYTÓW.”



*ójdź. Słomiany kapelusz włoż
[na czarne włosy.*

*Zanim wrzawa się zbudzi,
[zabrzmią pracy głosy,*

*Pójdźmy zobaczyć ranek, jak
[na górach wstaje,*

*I z ulubionych kwiatów obrać
[łąki, gaje.*

*Nad brzegami źródełka
[zmarszczonego lekko*

*Nenufary złocistą mrugają
[powieką;*

W pól głębokiem milczeniu, w cichej sadów głuszy

Zostało coś, jak echo piosenki pastuszej,

A wietrzyki poranne, błędni bracia-gońce,

Strzepując jakby dla nas swe skrzydła pachnące,

Rzucają już na ciebie, uśmiechnięte dziecię,

Wonie brzoskwiń różowych i jabłonek w kwiecie.

ZE „STALAKTYTÓW.”

SKOK Z TRAMPOLINY.



*udowny kłown, wierzajcie mi!
Ja ufam sam, że przyszłe dni,
Których wciąż drgają widnokregi,
Z tą raną w boku ujrzą go.
Miał ubielone twarzy tło
W żółte, zielone, krwawe pręgi.*

*Po Madagaskar gdzieś aż het
Dobiegło imię jego wnet,
Bo według zasad (to nie bajki!)
Po coraz mniejszych próbie kół,*

*Jakby trudności żadną czuł,
Przez okrąg wreszcie skakał fajki.*

*Ciekawie praw nie musiał znać,
Nie wiedząc sam, wleźć mógłby snadź
Na Jakóbowej szczyt drabiny.
Gdy światła nań padł złoty słup,
Purpurą błyskał jego czub,
Jak żar przez pieca łśni szczeliny.*

*Do wysokości wlatał tych,
Że innych skoczków witał śmiech,
Gdy próżno wciąż przeżyli siły.
Zniechęcał ich, tracili hart,
Mruczeli gniewnie: „Chyba czart!
Żywem mu srebrem drgają żyły.“*

*Lud cały mu oklaski bił.
Lecz on, dobywszy nowych sił,
Do skoku sprężył się w połowie,
I — komu? co? któż wiedzieć mógł? —
Ten linoskoków król i bóg
Coś cicho szeptał w obcej mowie.*

*On trampolinie mówił swej:
„O sceno ma, dziś dać mi chcesz,
Swą inspirację fantastyczną!
Przyrządzie, co wzruszeniem drżysz,
Gdy rozpęd biore, mocniej wzwyż
Pchnij mię potęgą elastyczną!*

*Jam zwinny dziś, jak dziki kot.
O, daj mi skok! o, daj mi wzlot,
Ty, desko wątła a sprężysta,
Wysoko tak, by oczom znikł
Cały ten fraków czarnych szyk,
Gdzie handlarz — ten, ten — biuralista!*

*Przez niepojęty jakiś cud,
Jeżeli możesz, daj mi rzut
Aż do wyżyny niewidomej,
Kędy swobodnie — płacząc, rwąc
Złociste włosy planet, słońc —
Orły mijają się i gromy.*

*Aż do eteru gwarnych sfer,
Gdzie wycieńczone tchnienia w szmer
Bezsilny łącząc, w czarne noce,
Wichry, pijane żądzą złą,
Stargane, wściekle, ciężko śpią
Na bladym łonie chmur w pomroce.*

*Wciąż w górę, w dal, pod niebios sklep!
Aż w te lazury, których stęp
Ruchomej turmy naszej dachem!
Aż po tych Wschodów krwawych próg,
Zkąd płomienisty wstaje bóg,
Szalony gniewem i przestraczem.*

*Wyżej, wciąż wyżej! jeszcze stąd
Giełdziarzy w złocie widzę rząd,
Krytyków, panny żądne siał
I realistów świat napłask.
Powietrza! światła! w błękit! w blask!
Ach, skrzydeł! skrzydeł! skrzydeł! skrzydeł!“*

*I z giętkiej deski swej, jak ptak,
Klown wzbił się w lot szalenie tak,
Że wśród powietrznej przebił jazdy
— Przy wrzawie trąb — płócienny dach
I, w pragnień swych wciąż tonąc snach,
Potoczył się pomiędzy gwiazdy.*

Z „ÓD LINOSKOCZYCH.“

WYGNANIE BOGÓW.



ór posepny, złowrogi, groźny,

[na północy

Gallii. Sprężona, resztki

[dobywając mocy,

Gęstwa potwornych dębów

[służy miast podnóża

Wielkim, czarnym chmurzy-

[skom, z kąd wnet spadnie burza;

Ranek, drżąc, się przebudza,

[i już pierwsze gońce

Zórz drasnęły niebiosą, krwi

[strugą broczące.

Wszystko żałobne, blade; wichrem rwane liście

Jęczą; myślom bolesnym oddane wieczyście

Olbrzymy, skały głuche, po widnokrąg czarny

Jeżą się, w swej rozpaczach pogrążone marnej!

Biała w szarym półbrzasku, pośród mgły rozlanej,

Kaskada szłocha cicho w swym więzieniu z piany.

Liżąc zielone sosny o miedzianej korze,

Faliste morze kąpie podnóża ich, morze

*Smętne, kędy co chwila, skupione w gromadki,
Cezara Konstancyusza przebiegają statki.*

*Wtem — o zgrozo! żalobo! — kędy brzeg się spiętrza,
Ziemia wstrząsa się lękiem i drży aż do wnętrza,
A na jej chropowatym, trwogą zdjętym łonie
Niebiańskie rozlewają się ambrozyi wonie.
Wielki wiew oszalały szeleści w gęstwinie;
Jakaś złocista światłość błyska z za drzew, płynie,
Rośnie, wieszcząc tajemne a święte spotkanie,
I tam — bezkresne nieba! — na leśnej polanie,
Walczący śmionym blaskiem z dniem, co w mgły się stoni,
Znekani, w ranach, mrący a wzniosli, to oni,
Oni, wielcy wygnańcy, bogowie! — Nędzarze!
Dęby zgarbione laty. klonów smukłe strażę
Płaczą ich. Oto oni. Oto Zeus, Apollo;
Tuż Afrodyte, bosa (a nad czarną rolą
Stopa jej ma róż świetność z gwiazd połyskiem śnieżnym!);
Atena, która niegdyś, w eterze bezbrzeżnym,
Z jasnym wzrokiem, gdzie ogień walczy ze słodyczą,
Była błękitnych niebios głębią tajemniczą;
Dionyzos, Hefajstos, Hera, smętne lice
Chyląca; wszyscy inni — ziemię niewolnicę
Depcząc — idą. Królowie pozbawieni mocy
Idą ku zapomnieniu, wygnaniu, ku nocy,
Straszni swą rezygnacją, bledsi nad marmury,
Krwawiąc czoła o sęki zwisające z góry,
A czasem, gdy tak idą, gromada milcząca,
Znużenie tej wędrówki bez kresu, bez końca,
Wyrzywa z ust ich boskich jęk nagłego łkania,
Lub westchnienie straszliwe, które pierś rozrania.*

*Bo odkąd urągliwe cezary, o sławę
Ich zazdrosne, jak wilków wygnały ich ławę,*

Odkąd złote pałace w gruz padły ze szczytów
Olimpu opuszczonych, mocarze błękitów
Błądzą, znając łez gorycz, deptani zwycięską
Stopą głodu, starości, poddani wszem klęskom,
Wszem bólom, przed którymi ludzie drżą strwożeni,
I krew skłóte cierniami nogi ich rumieni.
Zeus, dziś starzec zgrzybiały, drży z zimna; skostniały,
W szmat purpury się tuli, włosy mu zbieleły,
Zbieleła broda; w głębi, gdzie wschód się rozpala,
Małzonki za nim smętne śród mgieł idą zdala.
Hera i Eurynome, Metis, Themis, Leto,
Wszystkie są tam, a każda trwożną jest kobietą,
Każda płacze. U czoł ich, uwilżonych rosą,
Lata orzeł, gdzie skrzydła strzaskane go niosą.
Ten, co ongi Pythona, straszną zabił żmiję,
Świętyni bóg ów likijski, w fałdach płaszcza kryje
Swoją srebrną łuk — złamany. Smutny w świętym szale,
Dionysz miękkiej Azji płacze zniewieściale,
A owe nagich kobiet rozszalałe zgraje,
Co niegdyś biegły za nim przez nieznane kraje,
Rozdętymi nozdrzami wiewy chłonąc wonne,
To dziś cienie, widziadła, wynędzniałe, płonne.
Hermes, zwinąwszy skrzydła, idzie na ustroni,
Marząc; thyrsos mu złoty dawno uwiądl w dłoni.
Atena, krwawy Ares, stanąwszy u kępy
Ożyn jedzą jagody; ze zbroi ich — strzępy.
Demeter, blada jeszcze po zniesionej męce,
Wiedzie córkę, piekielnej wyrwaną paszczęce.
Tylko Artemis płowa, groźnie chmurząc lice,
Rzuca się jeszcze wkoło i gwiazdne żrenice
Wbija w posępny ciemność pod boru namiotem,
Szukając nieprzyjaciół, by sięgnąć ich grotem,
A u kolan jej dmie się i furkocze głucho
Tunika lazuruwa, rwana zawieruchą.

Tymczasem, oczy wbiwszy w tór drogi tułaczey,
 Muzy przeciągle pieśni śpiewają rozpaczy
 O zniewadze wygnania, co łży ojca głowę,
 I burzą wybuchają ich hymny surowe.
 W głosie ich wszystkie niebios straconych gorycze;
 Drzewa, skały, zakąty boru tajemnicze,
 Czarne groty, ziejące z ciernistej gęstwiny,
 Współczują im, i morza wrzawliwe głębiny
 Wrą ode dna, a na ich fali rozhukanej,
 Zgrzybiaty, dzierżąc złomek trójzęba strzaskany,
 Pojawia się Posejdon, niesiony na grzywach
 Wałów. Za nim — zbiegowie na podmorskich niwach,
 Pontos, Keto i Nereus, Forkis, Tethys, cali
 W pianach, jękiem żalosnym skarżą się śród fali,
 O skał cyple w rozpaczy tłuką czoła blade,
 A roje Okeanid, zbiwszy się w gromadę,
 Szarpią śnieżne swe łona i żalą się męce
 Wielkich bogów, ku niebu cudne prężąc ręce.
 Boleść z ust im wydziera śpiewy dumy dzikiej,
 Zmieszane z nienawiści wściekłemi okrzyki,
 A z wybrzeża — tych szlochań, tych skarg strasznej burzy
 Afrodyte, czcigodna córą fali, wtórzy!

O boleści! jej cudne, z czystych śniegów ciało,
 Znosząc wichów zazdrosnych i burz gniew, zsiniało;
 Jej krągłe, twarde piersi, chłostane z kolei
 Skwarem słońc i mrozących podmuchem zawiei,
 Drgają całe, gdy krzyk ten rwie się z nich ponury.
 Twarz Kitajrei boska, wyniosła, na której
 Nic świętego nie zdoła zatrzeć majestatu,
 Ma zawsze świetność gwiazdy i różaność kwiatu;
 Lecz puszczone, stargane kędziory słoneczne
 Spadają na ramiona i kształty ich mleczne
 Rzeką roztopionego zalewają złota.

*Żywe światło ich — pożar w gąszcze boru miota.
Wicher płacze je, szarpie, rzekłbyś, że ich fala
Jej wewnętrznym bólem płacze, żalem się rozżala,
A gdy wielka królowa chyli skroni, splot siwy
W powodzi tego złota świeci potyskliwej.
Łzy Kiprydy spaliły długie rzęs jej włosy.
Drżąc, i ona wygnańcze oplakuje losy
Wielkich bogów, i podczas gdy rój Okeanid
Jęczy w morzu, jałowo grzmiaćcem w brzeźny granit,
Ona mówi w te słowa, a śmiech pełny szydu,
Wzdymającej jej serce rozpaczy i wstydu.
W zmroku, gdzie bój się ranka z czarną nocą isci,
Daje skargom jej gorzkim brzmienie nienawiści:*

*„Zertwy nasze! królowie potworni, tytani,
Których my strąciliśmy do Czasu otchłani!
Pierworodni Chaosu, o gwiazdzistych włosach,
Których tchnienie, spojrzenie wybuchały w ciosach
Orkanów! o Japocie! o Hyperionie,
Starszy od dziadów naszych! Dyono, co w łonie
Nosilaś mię! i ty, co — szlakiem zwycięstw, chwały —
Wzbiłeś się z dna Erebu, gdzie skrzydła twe spały,
Ty, najpierwszy, najstarszy z wszech bogów, Erosie!
Patrzcie, precz nas gna człowiek, cios nam śle po ciosie,
Krew wasza znów na zbójczych rękach naszych błyska,
Zwycięzeni pierzchamy w lasy, trzęsawiska.
Tak! pierzchamy! Ócz naszych, niebios toni zmiennej,
Nie odbija już w sobie szlak rzek srebrnopienny.
Życie, błogostawione, ukochane Życie
Samo nas się zapiera, nie chce nas mieć w Bycie.
Szczęśliw-żeś, zbójco nędzny bogów swych, człowiecze?
Puszcz głębie, góry, niebios promienne odwiecze —
Puste dziś, fale — puste: to królestwo twoje!
Któż pociesz cię teraz, pokrzepi na boje?*

*Zródelka leśnych dolin głosu już nie mają,
 Nie mają głosu groty, zbrakło głosu gajom,
 Oniemiała ta, z której pileś, wieszczu, struga!
 Morze — nieme dziś, ziemia — niema dziś jak długa,
 Nic cię nie zna na modrą puszcę niebios całą.
 Słońce, ogniste słońce bogiem być przestało,
 Już nie widzi cię! Z tego, co drga, żyje, dyszy,
 Świeci, z tego nic dzisiaj nie zna cię. W tej ciszy
 Nikt dziś nie wie, skądście, włóczęgi bezdomne,
 Nikt nie powie: „To człowiek. Ja go znam i pomnę.“
 Z Przyrody dziś już tylko groźna mara pusta,
 Bo złamane jej serce już nie bije. Usta
 Jej — zawarte, gwiazd oczy — wylupione. Nie śmij!
 Niedokończonych — nigdy nie dokonasz pieśni,
 A dzieci twe, nie wiedząc, co to natchnień wiry,
 Spytają cię, czemu tyś nazwę dawał Liry!*

*Oh! czyś śpiewał, czyś boje bojował najkrwawsze,
 Myśmy z tobą mówili półgłosem! I zawsze,
 Słyszac szept nasz, u twarzy czuleś niespodzianie
 Słodkie wonnych kędziorów naszych boskich wianie.
 Teraz ciesz się — i w trosce łzami zmywaj lico.
 Oto-ś nagi pod Tego strasliwą żrenicą,
 Który widzi powstanie, życie, śmierć tysięcy
 Światów i gwiazd, stuleci, i lat, i miesięcy,
 I przed którym żąbło prochu równe jest, czyży dymie,
 Tym łzom nocy, którym ty słońc nadajesz imię.
 Stało się. Już nie będziesz u wód żywych zdroju
 Pił nektaru poezyi! Bogowie bez boju
 Odchodzą, aby umrzeć, ale i ty zwolna
 Konać będziesz, nieszczęsny. Owa mimowolna
 Ekstaza, owo słodkie życiem upojenie,
 Ów pocałunek rzeczy, który niezwalczenie
 Drgał na ustach twych, prąd ów radości, miłości*

*Już w tobie, gdy go nie chcesz, nigdy nie zagości!
Nie zakwitną już nigdy myśli twe, olśnione
Czarem białych nagości. To życie — skończone.
Znoś szpetność, ból. Pokutuj, niepewny i trwożny.
My, tymczasem, wygnani przez twój szal bezbożny,
Pierzchamy, zapadamy w otchłań tajemniczą
I stajem się nicestwa straszliwą zdobyczą.
Żegnaj, Hellado! lasy, góry i doliny,
Żegnajcie, źródła żywe, marmury, wawrzyny!
Lecz, człowiecze, gdy Noc już włosów naszych złoto
I czoł blaski pochłonie, ty jeszcze z tęsknotą
Westchnień naszych czuć będziesz wianie w swej ustroni
I nasze — ojcobójco! — łzy na swojej skroni!"*

*Tak, w boskim gniewie, z bólem mówiła i trudem
Czigodna Afrodyta. Nad listowiem rudem,
Cały krwawy, zdobywca padłej mroków ściany,
Wstał Dzień, w ciemny, słowieszczący półmierzch przyodziany.
W dół olśnione światłością opuściwszy oczy,
Wielcy bogowie, we łzach, wśród mgły nieprzezroczej
Mdleli, topnieli w ogniu słonecznych promieni
I zanikali smutnie pośród błędnych cieni,
Zkąd jeszcze ich znekane wybłyśkały skronie.
Afrodyta, królowa w słonecznej koronie,
Ze swem łonem różanem i białością śnieżną
Zdała się też rozptywać pod płachtą bezbrzeżną
Mgły niepewnej, posępnej, zostawiając tylko —
W miejscach, kędy swą jasność rozlały przed chwilą
Jej piers bez skaz liliowa i kędziory lśniące —
Jakby odbicie śniegów i ognia gasnące.*

Z „WYGNANCÓW.“

PRZEŁOŻYL Miriam.

Ἔσπερε, πάντα φέρεις.



dpłynę z pierwszą falą za zło-
wrogą a jasną gwiazdą Lucife-
ra, co po nieprzejrzanym mo-
rzach śmiało serca ludzkie na
zagładę wodzi.

Odpłynę, gdy na śnieżnych
szczytach najwyższych gór wy-
tli się o zachodzie różano-złota
zorza, gdy wonny letni zmierzch
przymgli niebo i zamroczy oddale. O tej porze falują
nad wodami melodye, pełne cudnej i niewysłowionej
melancholii, i drzewa szumią, jak gdyby śpiewały. O tej
porze najśłodsze są usta, najpięszczotliwsze łona i naj-
piękniejsze oczy dziewczęce. I wszędzie kwitną cudy,
i wszędzie zamykają się kwiaty, a otwierają dusze ludz-
kie, podobne do kwiatów.

O tej porze, na tarasie marmurowego pałacu, co
wśród rozkwieconych i szumiących gajów wznosi się
wysoko nad ciemnym morzem, żegnać będę moich przy-
jaciół —

moich przyjaciół młodych i pięknych, w których zrenicach tlą się orle sny, których dusze są jako żywe źródła twórczej mocy i tajemniczej krasy.

Przy świetle smolnych pochodni, których płomienie wicherzą się i szumią smutno na powietrzu, będziemy pili wonne, złociste wino i będziemy rzucali dźwięczne czary w morze. Będziemy śpiewali kołyszące się z chwiejną falą pieśni i będziemy rzucali płonące pochodnie w morze, —

będziemy rzucali w bezdenne wiry płonące pochodnie, aby, lecąc w ciemność, krwawiły się groźnie i boleśnie, jak się krwawia strącone z jasnych szczytów dumne serca ludzkie.

A kiedy zatonie ostatnia dźwięczna czara i zagaśnie ostatnia smolna pochodnia, zejść w półjasną głęb' rozkwiecionych i szumiących gajów, gdzie mnie czekają moje siostry —

moje siostry, młode i piękne, w których zadumanem oku przygasa o wieczorze zimny blask klejnotów, a zapalają się drżące gwiazdy tęsknoty.

I będę patrzył, jak ich wiosenne, smukłe ciała przełatują w rytmicznym tańcu po miękkiej zieleni pachnących traw, —

jak im w rozwiane, śliczne włosy osypuje się z rozwahanych drzew woniejące kwiecie na podobieństwo gwiazd, które się z dróg mlecznych osypują nocą w wezbrane, rwące rzeki.

I będę słuchał ich pieśni, w których cieniu, jak w cieniu wierzby płaczącej, dobrze jest spocząć na chwilę tułaczkiej duszy.

A zanim odejdę, wezmę od każdej siostry mojej pocałowanie jest ust, a z włosów jej kwiecie, któremu krasą podobna: —

z balsamicznych, płowych włosów pierwszej, co ma oczy modre i świetliste jak przejaśniony błękit, wezmę różowiejący kwiat jabłoni;

a z pozłocistych, miedzianych włosów drugiej, której źrenice mienia się posepnie jak szmaragdowe dalekości wystygłych mórz polarnych, czarną gałązkę cyprysu;

i wezmę kwiecie z włosów tej, w której źrenicach świecą lzy jak opalowe perły na dnie przezrystej krynicy, i tej, której oczy błyskają, jakby się w nich co chwila rozniecały i gasły błędne ogniki, i tej, której oczu, świetniejących blaskiem ametystu, nigdy pod długą rzęsą dojrzeć nie można.

A z hyacynctowych, kruczych włosów ostatniej, której oczy jak u jasnowidzów czarne są, promieniste i jak śmierć wszechmocne, wezmę kwiat granatu, gorejący mistyczną purpurą. I czując, że mi twarz niemiej od długo tajonego bólu, pochylę się do jej stóp, jakgdyby po złoty klejnot, co się osunął z jej jasnej ręki między rosiste trawy i fijołkowe kwiecie.

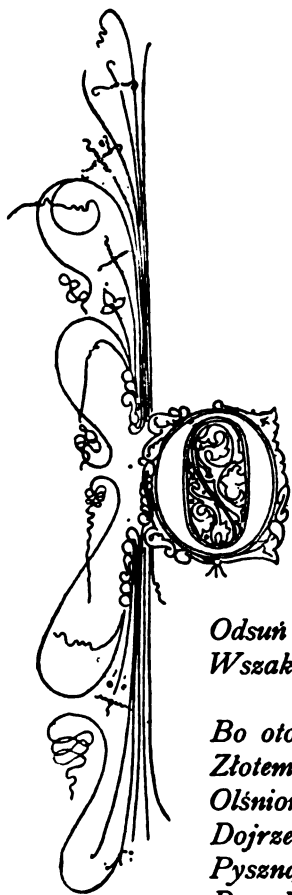
Wtedy na niebie, na odwiecznym, szafirowem niebie rozbłyśnie złowroga gwiazda Lucifera. Poprzez splątaną gęstwę liści i drżących puchów kwiatnych prześlizną się jej modre promienie i ku rozwidnionym błękitom podniosą łagodnie moje oczy olśnione.

I pójdzie za nią łódź moja, i poleci za nią serce moje w śpiewające cisze. A gdy wichry zawieją szaremi mgłami pustkowia wodne, gdy nagle błyskawica targnie ściemionem niebem i ukaże wśród mroków nad lecaącą w bezdeń łodzią słaniające się orły morskie, —

wtedy wszystko dokoła pocznie się stawać snem, pięknnością i niepojętem, nienazwanem szczęściem, jakie może było w przededniu stworzenia.

Stanisław Wyrzykowski.

Modlitwa przed czynem.
FRAGMENT.



*Odsuń mi, Panie, na jesień żywota
Dzień mego czynu... Oto stoję w wiosnie,
A karmią wiosny jest dzieła tęsknota...
Niech widzę, jako krzew mój bujnie rośnie,
Jak się w rozkoszy rozwoju szamota
Z wichrami, kiedy burza go ochłósne...*

*Odsuń na jesień życia cel mój, Panie.
Wszakże rozkoszą wiosny dojrzewanie...*

*Bo oto dusza ma jest jako drzewo
Złotemi ziarny pszczoł owiane rojnie,
Olśnione blasków słonecznych ulewą,
Dojrzewające ciężarnie, spokojnie,
Pyszna soczystych owoców odziewą,
Dorodnym plonem obarczone hojnie...
Piękno me teraz na soki się zmienia
W cudownej pełni świętego rodzenia...*

*Duch mój jest ciężki wnętrzną swoją treścią,
Bo owoc jego jeszcze nie strząśniony...
Szczęśliwą, pełną rozkoszy boleścią
Stawań się zwolna żrzeje upojony...*

*Jam teraz latem, cudowną powieścią
O przyszytych żniwach, co bogate w plony
Zbliża się w blasku chwały i zieleni...
Odsuń mi zbiorów czas i czas jesieni...*

*Duch mój jest drogą do celu, pochodem
Ciągłym, dążeniem wprzód nieustającym...
Nie bierz mi, Panie, w życiu mojem młodem
Rozkoszy ruchu i pędu! Stojącym
Jeziołem kres jest i spoczynku chłodem...
Nie daj, bym życia cel przed życia końcem
Osiągnął... Nie daj, bym jak spustoszałe
Był drzewo, które przeżyło swą chwałę...*

*Niedokonany czyn śpi jeszcze we mnie,
Cudnym zapasem jest moich śpichlerzy,
Wypełnia sobą moich skarbców ciemnie,
Jest siłą, która cicho we mnie leży...
Spełnione dzieło ucieka tajemnie
Z mojego ducha... między ludzi bieży,
Staje się złotym owocem, z jabłoni
Strząśniętym, skarbem jasnym cudzej dłoni...*

*Niedokonanym czynem jam bogaty...
Lecz idą parne przejrzałości noce.
Posłuszny jestem i niosę objaty...
Oto mi każą niezbadane moce,
Abym sam sobie dłonią był, co szaty
Złote mym sdom pozdziera, owoce
Moje... I duch mój musi treść swą stradać...
Idzie czas... Zaczynam z drzew owoce padać...*

Leopold Staff.



FILOKTET CZYLI TRAKTAT O TRZECH MORALNOŚCIACH.

AKT PIERWSZY.

Niebo szare, ciężkie, nad zaśnieżoną, lodowatą równiną.

SCENA I.

ODYSSEJ i NEOPTOLEM.

NEOPTOLEM.

Odyseju, wszystko gotowe. Łódź przywiązana liną. Wybrałem wodę głęboką, osłoniętą od Północy, bojąc się, aby morze nie zamarzło przy wietrze. A chociaż ta wyspa tak zimna nie zdaje się mieć mieszkańców, oprócz ptactwa gnieźdzącego się w skałach nadmorskich, umieściłem łódź w miejscu, kędy żaden przechodzień wybrzeżny nie może jej dostrzedz.

I dusza moja gotuje się także; dusza moja gotowa już do ofiary. Odyseju! mów teraz; wszystko gotowe. Przez dwa tygodnie, chyląc się nad wiosłami lub nad ste-

rem, wymawiałeś tylko twarde nazwy obrotów, którymi musieliśmy bronić się od wałów morskich; twe milczenie uparte powstrzymało wkrótce moje pytania; zrozumiałem, że wielki smutek przygniatał drogą twą duszę, ponieważ wiodłeś mnie na śmierć. I umilkłem także, czując, że wiatr unosił nam zbyt szybko wszystkie słowa na niezmierzoność morską. Czekałem. Widziałem, jak za nami oddalało się i nikło za widnokregiem morskim piękne otwarte wybrzeże skyryjskie, kędy ojciec mój niegdyś walczył, potem złote piaski lub głązy wysp, które kochałem, bo przypominały mi Pylos; trzynastcie razy widziałem słońce zstępujące w morze; co rano wychodziło z fal bledsze i wzносиło się mniej wysoko i z większą powolnością; aż nareszcie, czternastego ranka, oczekiwaliśmy go na próżno; i odtąd żyjemy jak gdyby po za granicami nocy i dnia. Lody pływały po wierzchu morza; nie mogłem spać z powodu ciągłej bladej jasności, i jedyne słowa, jakie słyszałem z ust twoich, zwracały mi uwagę na ogromne kry, od spotkania z którymi ocalało nas odpowiednie wiosła uderzenie. Teraz, mów nareszcie Odyszeju! dusza ma przygotowana; i to nie jak owe kozły Bachosa, wiedzione na objęcie w ozdobach świątecznych, lecz jako Ifigenia postępująca ku ofiarnikowi z prostotą, przystojnością i bez przystrojów żadnych. Niewątpliwie, wolałbym, umierając bez skargi dla dobra kraju, umierać, jak ona, w obliczu Greków, na jakiejś ziemi słonecznej, i okazać, przyjmując śmierć dobrowolnie, całą mą cześć dla bogów i całą piękność mej duszy; waleczna ona jest a nie walczyła dotąd. Ciężko, zaiste, umierać bez chwały... A jednak, bogowie! nie czuję goryczy, bom wszystko opuszczał z wolna, ludzi, wybrzeża słoneczne... i teraz, gdyśmy przybyli na ostrów ten niegościnnie, bez drzew, bez promieni, kędy śnieg okrył całą zieloność, kędy wszystko naokół zmrożone, pod to niebo, takie białe, takie mgliste, że wyduje się

drugą równią śniegową rozciągniętą nad nami, — tak daleko, tak strasznie daleko od wszystkiego... zdaje mi się, że to już jest śmierć; myśl moja tak bardzo z każdą godziną stygła i oczyszczała się, tak bardzo omdlewał we mnie każdy ślad namiętności, że tutaj ciała już tylko pozostaje umrzeć.

Ale przynajmniej powiedz mi, Odysseju, że tajemniczy Zeus, ubłagany krwią moją wierną, odda Grekom zwycięstwo; ale przynajmniej, słuchaj, Odysseju, ty powiesz im, że za to umieram bez trwogi... powiesz im...

ODYSSEJ.

Dziecię, ty wcale nie masz umrzeć. Nie uśmiechaj się. Teraz powiem ci wszystko. Słuchaj, nie przerywając mi. Gdybyż ofiara jednego z nas dwóch mogła bogów ubłagać! To, co przyszliśmy spełnić tutaj, Neoptolemie, mniej łatwem jest niżli umrzeć...

Wyspa ta, która wydaje ci się bezludną, nie jest taką wcale. Zamieszkuje ją Grek; zwie się Filoktet, i ojciec twój kochał go. Wsiadł on niegdyś razem z nami na okręty, które w pełni pychy i nadziei wyruszały z Grecji do Azji; był to przyjaciel Heraklesa, i jeden z najszlachetniejszych między nami; gdybyś nie żył do dzisiaj zdala od pól bitwy, znałbyś już jego dzieje. Któż nie podziwiał wówczas jego dzielności? i któż później nie nazwał jej lekkomyślnością? Ona to, na nieznaney wyspie, u której zatrzymały się nasze łodzie, uniosła go i wtrąciła w nie szczęście. Wejrzenie brzegów było dziwaczne; złe odpowiednie osłabiały naszą odwagę. Ponieważ wola bogów, jak mówił Kalchas, nakazywała na tej wyspie złożyć objawy, każdy z nas oczekiwał, aby kto inny wysiadł pierwszy; wówczas to Filoktet ofiarował się z uśmiechem. Na wybrzeżu zdradziecka ukłóła go zmija. Z początku, z uśmiechem pokazywał nam Filoktet, wsiadłszy z powrotem na

okręt, małą ranę tuż koło stopy. Nie była ona tak niewinna. Filoktet przestał uśmiechać się wkrótce; twarz jego pobladła, a nieco później, błędne jego spojrzenia nappełnił niepokój. Po kilku dniach noga nabrzmiała, ocieżała; i on, który przedtem nie skarżył się nigdy, począł jęczeć boleśnie. Z początku wszyscy zbiegali się koło niego, aby go pocieszyć, rozerwać; nie udawało się to nikomu; trzeba było go uzdrowić; gdy wszakże stało się pewnem, że cała sztuka Machaona zgoła nie oddziaływa na jego ranę, — i ponieważ jednocześnie należało się obawiać, by jego krzyki nie osłabiły naszej odwagi, — statek zbliżył się do innej wyspy, tej właśnie, i zostawiliśmy go tam, samego z jego łukiem i strzałami, o które chodzi nam dzisiaj.

NEOPTOLEM.

Jakto! samego! zostawiliście go, Odysseju?

ODYSSEJ.

Eh! gdyby miał umrzeć, moglibyśmy byli zatrzymać go jeszcze jakiś czas między nami. Ale nie — rana jego nie jest śmiertelna.

NEOPTOLEM.

Lecz w takim razie?

ODYSSEJ.

Lecz w takim razie, czyż mieliśmy narazić na upadek dzielność wojska całego, skutkiem jęków jednego człowieka? Widać, że nie zrozumiałeś tego!

NEOPTOLEM.

Czyliż krzyki jego były tak przerażające?

ODYSSEJ.

Przerazające, nie: żalosne, zmiekczejące litością dusze nasze.

NEOPTOLEM.

Czyliż przynajmniej nie mógł ktoś zostać, aby czuwać nad nim? Chory i sam tutaj, cóż miał począć?

ODYSSEJ.

Ma swój łuk.

NEOPTOLEM.

Swój łuk?

ODYSSEJ.

Tak: łuk Heraklesa. A zresztą, muszę ci powiedzieć, chłopcze; gnijąca jego noga wyziewała na cały statek najnieznośniejszą w świecie smrodliwość...

NEOPTOLEM.

Ah!

ODYSSEJ.

Tak. Nadto, choroba pochłaniała go całkowicie i czyniła nazawsze niezdolnym do jakiegobądź poświęcenia dla Grecyi...

NEOPTOLEM.

Tem bardziej. I my tedy, Odysseju, przybyliśmy tu...

ODYSSEJ.

Posłuchaj dalej, Neoptolemie: wiesz sam, ile pod Troją, oddawna skazaną, przelano krwi, ile zużyto dzielności, cierpliwości, odwagi; ogniska domowe zostały opuszczone i droga ojczyzna... Wszystko to nie wystarcza.

Przez kapłana Kalchasa bogi oznajmiły wreszcie, że tylko łuk Heraklesa i jego strzały, jako środek ostatni, umożliwią Grekom zwycięstwo. Oto dlaczego wyruszyliśmy obaj — błogosławiony niech będzie los, który nas wskazał! — i zdaje się, że teraz, gdy dotarliśmy do tej wyspy dalekiej, gdy wszystkie namiętności w nas wygasły, wielkie przeznaczenie spełni się наконец, i serca nasze, przejęte nawskróś poświęceniem, osiągną nareszcie cnotę najdoskonalszą.

NEOPTOLEM.

To wszystko już, Odysseju? A teraz, gdyś tak pięknie mówił, co myślisz robić? bo umysł mój wzdraga się jeszcze zrozumieć zupełnie twe słowa... Powiedz więc: po co przybyliśmy tutaj?

ODYSSEJ.

Aby zabrać łuk Heraklesa; czyliżes nie zrozumiał?

NEOPTOLEM.

Odysseju, twoja-ż to myśl?

ODYSSEJ.

Nie moja, lecz bogów, którzy mi ją zesłali.

NEOPTOLEM.

Filoktet nie zechce go nam oddać.

ODYSSEJ.

To też trzeba będzie wydrzeć mu go podstępem.

NEOPTOLEM.

Odysseju, nienawidzę cię. Ojciec uczył mnie, aby nigdy nie używać podstępu.

ODYSSEJ.

Podstęp jest silniejszy od siły; on nie czeka. Twój ojciec zmarł, Neoptolemie; ja żyję.

NEOPTOLEM.

A czyż nie mówiłeś sam, że lepiej byłoby umrzeć?

ODYSSEJ.

Nie że lepiejby było, lecz że łatwiej. Niemasz rzeczy zbyt trudnej gwoli Grecyi.

NEOPTOLEM.

Odyseju! dla czego mnie wybrałeś? czemuż ja właśnie byłem ci potrzebny do tego czynu, który cała moja dusza potępia?

ODYSSEJ.

Bo ja sam czynu tego nie mogę spełnić: Filoktet zna mnie zbyt dobrze. Gdyby mnie ujrzał samego, podejrzewałby odrazu jakiś podstęp. Twoja niewinność będzie nam osłoną. Czyn ten musisz ty spełnić; jest to konieczność.

NEOPTOLEM.

Nie, Odyseju! klnę się na Zeusa, że go nie spełnię.

ODYSSEJ.

Dziecko, nie mów o Zeusie. Nie zrozumiałeś mnie. Posłuchaj. Ponieważ udęczona dusza moja ukrywa się i zgadza, sądzisz-że, iż mniej smutny jestem od ciebie? Ty nie znasz Filokteta, a Filoktet jest przyjacielem moim. Mnie zatem ciężiej jest zdradzić go, aniżeli tobie. Rozkazy bogów są okrutne. Oni są bogami. Jeżeli nie mówiłem ci nic w ciągu żeglugi, to dla tego, że wielkie serce me w udęczeniu zapominało słów niejako... Ale ty uno-

sisz się, podobnie jak twój ojciec, i nie dajesz się przekonać.

NEOPTOLEM.

Ojciec mój umarł, Odysseju; nie mów o nim; umarł za Grecyę! Ah! walczyć za nią, cierpieć, umrzeć — żądaj, co ci się spodoba, — tylko nie tego, bym zdradzał druhów ojcowskich!

ODYSSEJ.

Dziecie, posłuchaj i odpowiedz mi: nie jest-żeś przyjacielem wszystkich greków bardziej, aniżeli przyjacielem jednego z nich? albo raczej, nie jest-że ojczyzna czemś więcej, aniżeli jednostka? i czyliż zgodziłbyś się ratować człowieka, gdybyś dla jego zbawienia musiał zgubić Grecyę?

NEOPTOLEM.

Odysseju, masz słuszność, nie przeniósłbym tego.

ODYSSEJ.

I przyznasz, że, jeżeli przyjaźń jest rzeczą nieoszacowaną, ojczyzna jest czemś droższem jeszcze?.. Powiedz mi, Neoptolemie, na czem polega cnota?

NEOPTOLEM.

Poucz mnie, mądry synu Laerta

ODYSSEJ.

Ucisz swe namiętności; poddaj wszystko obowiązкови...

NEOPTOLEM.

Lecz cóż jest obowiązkiem, Odysseju?

ODYSSEJ.

Głos bogów, porządek społeczny, poświęcenie siebie samego dla Grecyi... Podobnie jak widzimy kochanka,

szukającego dookoła po ziemi kwiatów najdroższych, aby je złożyć w darze ukochanej, i pragnącego umrzeć dla niej, jak gdyby, nieszczęsny, nie miał nic lepszego do oddania nad siebie samego, tak i ty — jeśli prawda, że droga ci jest ojczyzna — cóż mógłbyś dać jej zbyt drogiego? Nie zgodził-żeś się sam przed chwilą, że zaraz po ojczyźnie idzie przyjaźń? Cóż miał droższego Agamemnon nad córkę własną, jeżeli nie ojczyznę? Zabij wszystko w ofierze, niby na ołtarzu... A cóż ma znów Filoktet, na tej wyspie, gdzie żyje samotnie, cóż ma droższego nad ten łuk, do złożenia w darze ojczyźnie?

NEOPTOLEM.

Ale w takim razie, zażądaj go odeń, Odysseju.

ODYSSEJ.

Mógłby odmówić. Nie znam jego usposobienia, ale wiem, że porzucenie na tej wyspie oburzyło go na wodzów wojska. Podrażnia on może bogów swą myślą, a przestaje snadź — o zgrozo! — życzyć nam zwycięstwa. I być może, iż znieważone bogi zachciały przez nas ukarać go jeszcze. Zmuszając go do cnoty przez niewłasnowolne pozbycie się swej broni, bogowie będą dlań mniej surowi.

NEOPTOLEM.

Ale, Odysseju, czyliż czyny, które spełniamy pomimo woli, mogą być liczone za zasługę?

ODYSSEJ.

Nie sądzisz-że, Neoptolemie, iż chodzi o to przede wszystkim, aby wypełniły się bogów rozkazy? nawet gdyby się wypełnić miały bez zgody danego człowieka?

NEOPTOLEM.

Wszystko, co mówiłeś poprzednio, pochwalałem;

lecz teraz nie wiem już, co powiedzieć, i zdaje mi się nawet...

. ODYSSEJ.

Cyt! Słuchaj... Nie słyszysz nic?

NEOPTOLEM.

Owszem: poszum fal morskich.

ODYSSEJ.

Nie. To on! Przerazające jego krzyki zaczynają dochodzić do nas.

NEOPTOLEM.

Przerazające!? Odysseju, ja słyszę, przeciwnie, śpiew melodyjny.

ODYSSEJ, nadstawiając ucha,

Prawda, on śpiewa! Doskonały jest! Teraz, gdy został sam, śpiewa! Gdy był pomiędzy nami, krzyczał.

NEOPTOLEM.

Co on śpiewa?

ODYSSEJ.

Nie można jeszcze słów rozróżnić. Słuchaj: ale on się zbliża?

NEOPTOLEM:

Przestał śpiewać. Zatrzymuje się. Spostrzegł kroki nasze na śniegu.

ODYSSEJ, śmiejąc się.

I oto zaczyna krzyczeć znowu. Ach! Filoktecie!

NEOPTOLEM.

Rzeczywiście, krzyki jego są okropne.

ODYSSEJ.

Idź; zanieś prędko mój miecz na tę skałę; niechaj pozna broń grecką i wie, że kroki, które spostrzegł, są krokami człowieka z jego ojczyzny. — Śpiesz. Oto już się zbliża. — Dobrze. — Pójdź teraz; stańmy za tym kopcem śnieżnym; będziemy go widzieli, sami niewidzialni. Cóż za złorzeczenia pocznie miotać! „O ja nieszczęśliwy! — rzecze, — niechaj przepadną Grecy, którzy mię opuścili! Wodzowie wojska! ty, Odysseju przewrotny! wy, Agamemnonie, Menelaju! Bodaj choroba moja zżarła ich z kolei! O śmierci! śmierci, którą przyzywam codziennie, zostań — że głuchą na skargi moje? nie przyjdiesz — że nigdy? O groty! skały! przylądki! nieme świadki moich boleści, nie zdołacie — z nigdy...”

Filoktet wchodzi; spostrzega hełm i miecz, położone w pośrodku sceny.

SCENA II.

FILOKTET, ODYSSEJ, NEOPTOLEM.

FILOKTET.

Milczy.

AKT DRUGI.

SCENA I.

ODYSSEJ, FILOKTET, NEOPTOLEM.

Wszyscy trzej siedzą.

FILOKTET.

Niewątpliwie, Odysseju. Dopiero, odkąd jestem zdaleka od ludzi, zrozumiałem, co to jest cnota. Człowiek żyjący między innymi niezdolny jest, wierzać mi, do jakiegobądź postępu czystego i pozbawionego istotnie widoków osobistych. Zatem, wy... przyszlście tutaj... po co?..

ODYSSEJ.

Ależ, by się z tobą zobaczyć, drogi Filoktecie.

FILOKTET.

Nie wierzę w to ani na chwilę, i mało mnie to zresztą obchodzi; przyjemność, jaką odczuwam, oglądając was po tak długim czasie, jest wielka i wystarcza mi najzupełniej. Straciłem zdolność doszukiwania się w czynach ich pobudek, odkąd postęпки moje nie mają już przyczyn ukrytych. Dla kogóż miałbym udawać, czym jestem lub nie jestem? Troszczę się o to tylko, aby być. Przestałem jęczeć, wiedząc, że żadne ucho mnie nie usłyszy, przestałem życzyć sobie czegokolwiek, wiedząc, że nic tutaj nie mogę uzyskać.

ODYSSEJ.

Czemuż nie zaprzestałeś jęczeć dawniej, Filoktecie?
Zachowalibyśmy cię między nami.

FILOKTET.

Nie godziło się, Odysseju. Wobec innych milczenie
moje byłoby kłamstwem.

ODYSSEJ.

Podczas gdy tutaj?

FILOKTET.

Cierpienie moje nie potrzebuje słów, aby się poznać,
ponieważ znane jest tylko mnie.

ODYSSEJ.

Zatem, od naszego odjazdu zmiłkłeś, Filoktecie?

FILOKTET.

Bynajmniej. Ale skargi moje, odkąd nie posługuję
się niemi do wyjawiania moich cierpień, stały się bardzo
pięknymi, do tego stopnia, że mnie pocieszają.

ODYSSEJ.

Tem lepiej, mój biedny Filoktecie.

FILOKTET.

Nie żałuj mnie zwłaszcza! Przestałem, jak ci mó-
wię, życzyć sobie czegokolwiek, wiedząc, że nic nie mogę
uzyskać... Nic z zewnątrz, to prawda, ale bardzo wiele
od siebie samego; od owej to chwili życzę sobie cnoty;
zużywam na to całą swą duszę i, mimo boleści mej, od-
poczywam w spokoju; — odpoczywałem w nim przynaj-
mniej w chwili, gdyście... Uśmiechasz się?

ODYSSEJ.

Widzę, że znalazłeś sobie zajęcie.

FILOKTET.

Słuchasz mnie, lecz nie rozumiesz. — Nie cenisz-że cnoty?

ODYSSEJ.

Owszem: moją.

FILOKTET.

Jakaż jest ona?

ODYSSEJ.

Słuchałbyś mnie, lecz nie zrozumiał... Mówmy raczej o Grekach. Czyżby cnota samotna zatarła w tobie pamięć o nich?

FILOKTET.

Niewątpliwie, aby zatrzeć moje przeciwko nim oburzenie.

ODYSSEJ.

Słyszysz, Neoptolemie! — Zatem powodzenie wyprawy, dla którego...

FILOKTET.

...porzuciliście mię... cóż chcesz, abym o niem myślał, Odysseju? Jeżeli porzuciliście mię, to dla tego, aby zwyciężyć, nieprawdaz? Ufam zatem, dla was, że jesteście zwycięzcami...

ODYSSEJ.

A jeżeli nie?

FILOKTET.

Jeżeli nie, Hellada stanowczo wydawała nam się zbyt

wielką. Ja, na tej wyspie, zacząłem się stawać, pojmij-że, z dnia na dzień coraz mniej Grekiem, z dnia na dzień coraz bardziej człowiekiem... Jednak, gdy was oglądam, czuję... Achill nie żyje, Odyseju?

ODDYSEJ.

Achil nie żyje; towarzysz mój jest jego synem. Cóż to! szlochasz, Filoktecie?... ów spokój tak poszukiwany...

FILOKTET.

Achill!.. Dziecię, pozwól mej dłoni popieścić białe twe czoło... Od tak dawna już, od tak dawna, dłoń ma dotyka ciał zimnych jedynie; nawet ciała ptaków, które zabijam i które spadają na fale lub na śnieg, są, gdy dłoń ma zbliżyć się do nich, zlodowaciałe, jak owe wyższe strefy powietrzne, w których przebywają...

ODYSSEJ.

Wyrażasz się dobrze, jak na człowieka, który cierpi.

FILOKTET.

Gdziekolwiekbym był i do końca życia będę synem Grecyi.

ODYSSEJ.

Ale nie masz do kogo mówić.

FILOKTET.

Powiedziałem ci już; czyż-eś mnie nie zrozumiał? Wyrażam się daleko lepiej, odkąd nie mówię już do ludzi. Po za polowaniem i snem, mam jedno zajęcie: myślenie. Myśli me, w samotności, kędy nic, nawet ból, ich nie rozstraja, nabrały bystrości i polotu, tak, że niekiedy sam z trudnością zdążam za niemi. Zrozumiałem więcej tajemnic dotyczących życia, niżli mi odślonili wszyscy moi

przyjaciele. Zajmowałem się również opowiadaniem sobie samemu o swych boleściach i, o ile zwrot czy okres były bardzo piękne, o tyle wielką czułem ulgę; niekiedy, wymawiając je, zapominałem o swym smutku. Zrozumiałem, że słowa są daleko piękniejsze, od chwili, gdy nie służą do pytań lub prośb. Nie mając, dokoła siebie, uszu ani ust, posługiwałem się tylko pięknnością swych słów; wykrzykiwałem je po całej wyspie, wzdłuż wybrzeży; i wyspa, słuchając mnie, wydawała się mniej samotną; przyroda wydawała się podobną do smutku mojego; miewałem wrażenie, że jestem jej głosem i że nieme skaliska oczekiwały na ten głos, aby wypowiedzieć w nim swe choroby; bo zrozumiałem, że wszystko dokoła mnie jest chore... i że to zimno nie jest normalne, bo pamiętam przecież Grecję... I nauczyłem się zwolna głosić nędzę — raczej rzeczy okolnych, aniżeli własną; wydawało mi się to lepszem; zresztą, jakby ci to powiedzieć? była to ta sama nędza, i czułem ulgę tem większą. Potem, najpiękniejsze me stworzyłem okresy, mówiąc o morzu i nieskończonych jego falach. Mamże ci wyznać, Odysseju, — Odysseju! — niektóre były tak piękne, że szlochałem ze smutku, iż żaden człowiek słyszeć ich nie może. Zdało mi się, że duszaby mu [się na ich brzmienie przeistoczyła ode dna. Słuchaj, słuchaj, Odysseju! Nikt nie słyszał mnie jeszcze.

ODYSSEJ.

Nie mając nikogo dookoła, nauczyłeś się, jak widzę, mówić bez przerwy. Dalej-że, opowiadaj.

FILOKTET, deklamując.

„Uśmiechy nieskończone fal morskich bezbrzeża...”

ODDYSEJ, śmiejąc się.

Ale, Filoktecie, toż to z Ajschylosa.

FILOKTET.

Być może... Czy ci to zawadza?..

Rozpoczyna na nowo.

„Szlochania nieskończone fal morskich bezbrzeża...”

Milczenie.

ODYSSEJ.

A dalej...

FILOKTET.

Nie wiem już... pomieszało mi się.

ODYSSEJ.

Cóż robić! dokończysz innym razem.

NEOPTOLEM.

O, dokończ, proszę cię, Filoktecie!

ODYSSEJ.

Patrzaj! dziecię słuchało!..

FILOKTET.

Nie umiem już mówić.

ODYSSEJ, *powstając.*

Opuszczę cię na chwilę, byś mógł odszukać myśl swoją. Do prędkiego zobaczenia, Filoktecie. — Ale, prawda? nie masz tak twardej niewoli, żeby się w niej nie znalazła chwila jakiegoś odpoczynku, jakiegoś zapomnienia, jakiejs przerwy kojącej?..

FILOKTET.

W istocie, Odysseju. Pewnego dnia spadł mi pod nogi ptak, do którego strzeliłem i którego strzała moja zraniła tylko. Przez chwilę cieszyłem się nadzieją, że go ulecę. Ale jak uchować to wzruszenie powietrzne, które,

nie mogąc wzbić się, polatywało tuż, tuż nad tą ziemią skalistą, kędy zimno nadaje wodzie nawet, zmroziwszy ją, formy moich myśli logicznych. Ptak skonał; widziałem, jak skonał w ciągu godziny; chcąc go rozgrzać jeszcze, dusiłem go pocałunkami i tchnieniami. Skonał z potrzeby latania...

Tak samo, zdaje mi się, drogi Odysseju, że potok poezyi, jak tylko opuści me usta, zamarza i kona z niemożności rozprzestrzeniania się dalszego, i że ozywiający go drobnouchny płomyk zanika coraz bardziej. Wkrótce, żyjąc wciąż jeszcze, stanę się czemś zupełnie oderwanem. Zimno opanowuje mnie, drogi Odysseju, i lęk mnie bierze już dzisiaj, bo zaczynam w niem, i nawet w straszliwej jego surowości, znajdować jakąś piękność.

Stapam niewątpliwie po rzeczach i płynach stężalych, Nie marzę już nigdy; myślę. Zapomniałem smaku nadziei, i dla tego nie czuję już nigdy upojenia. Gdy położę tutaj, gdzie wszystko twardą jest skałą, cokolwiek... choćby nasionko nawet, odnajduję je po długim czasie w tym samym stanie; nie puściło kielków nigdy. Tutaj nic nie staje się, Odysseju: wszystko jest, wszystko trwa. Ostatecznie, można tu zaciekać się w myślach! — Zachowałem martwego ptaka; oto on; powietrze zbyt zimne nie da mu nigdy zgnić. I postęпки moje, Odysseju, i słowa moje, jak gdyby marznąc, trwają niezmiennie i otaczają mnie niby kołem skał coraz dostawianych. I, odnajdując je tak codzień koło siebie, każda namiętność zmiłknąć musi. Czuję Prawdę coraz bardziej — i chciałbym, aby postęпки me były podobnie coraz trwalsze i piękniejsze: prawdziwe, czyste, kryształowe, piękne, piękne, (Odysseju, jak te krystały szronu jasnego, w których, gdyby słońce się pokazało, słońce przeświecałoby całe. Nie chcę przeszkadzać żadnemu promieniowi Zeusa; niech każdy przechodzi przezemnie nawskróś, Odysseju, jak przez pryzmat, i niechaj

to światło przełamane uczyni każdy postępek mój godnym uwielbienia. Chciałbym dojść do największej przezroczystości, zniweczyć mą nieprzepuszczającą światła miąższość, chciałbym, abyś ty nawet, patrząc na postępowanie moje, czuł światłość...

ODYSSEJ, odchodząc.

No, no, bądź zdrow. Wskazując Neoptolema. Pogadaj z nim, skoro cię słucha

Wychodzi. Milczenie.

SCENA II.

FILOKTET, NEOPTOLEM.

NEOPTOLEM.

Filoktecie! naucz mnie cnoty...

AKT TRZECI.

SCENA I.

FILOKTET, wchodzi.

FILOKTET, poruszony do głębi niespodzianym podstępem i boleścią.

Ślepcze Filoktecie! poznaj swój błąd i płacz nad swem szaleństwem! Że też zjawienie się nanowo Greków mogło oczarować ci serce... Czy dobrze słyszałem? — Nie ma żadnej wąpliwości: Odyszej siedział, a koło niego Neoptolem; nie wiedząc, że tak blisko nich, nie zniżyli nawet głosu; Odyszej dając rady Neoptolemowi, uczył go, jak mnie zdradzić; mówił mu... Nieszczęśliwy Filoktecie! zatem, aby wydrzeć ci łuk, powrócili tutaj! Jakże on musi być im potrzebny!.. Nieoceniony łuk, oh! jedyne mienie, które mi pozostało, i bez którego... *Nadstawia ucha.* Idą! Broń się, Filoktecie! masz dobry łuk, masz pewne ramię. Cnoto! cnoto! Kochałem cię tak bardzo, w samotności! Milczące serce moje uspokoiło się, zdala od nich. Ah! teraz wiem, co warta przyjaźń, którą mi ofiarowali! I toż jest Grecya, moja ojczyzna? Odyszej, którego nienawidzę, i ty, Neoptolemie... a jednak, jak on mnie słuchał! Cóż za słodkie dziecko! Dziecko... równie piękne, oh! piękniejsze, niż był twój ojciec... W jakim sposób czoło tak czyste ukrywać może takie myśli? „Cnota,” mówił, „Filoktecie, naucz mnie, co to cnota.” Co mu odpowiedziałem? Nie pamiętam nic już prócz niego... I czy nie

wszystko jedno teraz, co mu rzec mogłem!.. *Nadsłuchuje.* Kroki!.. Kto to? Odyssej! *Chwyta za łań.* Nie, to... Neoptolem. *Neoptolem wchodzi.*

SCENA II.
FILOKTET i NEOPTOLEM.

NEOPTOLEM, wołając.

...Filoktecie! *Spostrzega go.* Ah! Zbliła się, jak gdyby słabnąc
ah! niedobrze mi...

FILOKTET.

Niedobrze?..

NEOPTOLEM.

Tys to zawichrzył mi duszę. Oddaj mi spokój, Filoktecie. Wszystko, co-s powiedział, zakielkowało w mojem sercu. Podczas gdy mówiłeś, nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Słuchałem; serce moje otwierało się szczerze i niewinnie na twoje słowa. Umilkłeś; ja słuchałem jeszcze. Ale oto wszystko się zmaca, i pełen jestem oczekiwania. Mów! niedość słyszałem... Trzeba poświęcać się, mówileś..?

FILOKTET, zamknięty w sobie.

...poświęcać się.

NEOPTOLEM.

Ale Odyssej poucza mnie również. Poświęcać się dla kogo, Filoktecie? On powiada, że dla ojczyzny...

FILOKTET.

...dla ojczyzny.

NEOPTOLEM.

Ach! mów-że, Filoktecie; teraz musisz dokończyć.

FILOKTET, wymijająco.

Dziecko... czy umiesz strzelać z łuku?

NEOPTOLEM.

Umiem. Dla czego?

FILOKTET.

Czy mógłbyś napiąć ten oto?..

NEOPTOLEM, zmieszany.

Ty chcesz... Nie wiem. Próbuje. Tak; być może. —
Oto widzisz!

FILOKTET, do siebie.

Co za łatwość! Zdawałoby się, że to...

NEOPTOLEM, z wahaniem.

A teraz...

FILOKTET.

Widziałem, co-m chciał widzieć. Bierze łuk z powrotem.

NEOPTOLEM.

Nie rozumiem.

FILOKTET.

Mniejsza o to, niestety!.. Zmieniając zdanie. Słuchaj, dzie-
cię. Czy nie zdaje ci się, że bogi stoją nad Grecją i więk-
szą mają wagę, niż ona?

NEOPTOLEM.

Nie, na Zeusa, tak nie sędzę.

FILOKTET.

I dla czegoż to, Neoptolemie?

NEOPTOLEM.

Albowiem bogowie, których czcze, służą tylko Grecyi.

FILOKTET.

Jakto służą? Są-ż jej poddani?

NEOPTOLEM.

Nie poddani... nie wiem, jak to rzec... Ale, widzisz, sam wiesz przecie, że nikt ich nie zna poza Grecyą; Grecya jest ich krajem, tyleż co naszym; służąc jej, czcąc ich; nie masz różnicy między nimi i ojczyzną moją.

FILOKTET.

A jednak, widzisz, ja mogę ci coś o tem powiedzieć, ja, który nie należę już do Grecyi — a... czcąc ich...

NEOPTOLEM.

Tak ci się zdaje? — Ah! biedny Filoktecie! człowiek nie odrywa się tak łatwo od Grecyi... i nawet...

FILOKTET, z uwagą.

I nawet?..

NEOPTOLEM.

Ah! gdybyś wiedział... Filoktecie...

FILOKTET.

Gdybym wiedział... co takiego?..

NEOPTOLEM, powracając do pierwszej myśli.

Nie, mów ty; przyszedłem, aby słuchać, a ty pytasz ciągle... Czuję dobrze, że cnota twoja i cnota Odysejsa

nie są tem samem... Ale gdy trzeba mówić, ty, co mówiłeś tak dobrze, wahasz się... Poświęcać się dla kogo, Filoktecie?

FILOKTET.

Miałem ci powiedzieć: dla bogów... Ale właściwie jest zatem coś ponad bogami, Neoptolemie.

NEOPTOLEM.

Ponad bogami!

FILOKTET.

Tak, skoro ja postępuję inaczej, jak Odyszej.

NEOPTOLEM.

Poświęcać się dla kogo, Filoktecie? Ponad bogami cóż jest takiego?

FILOKTET.

Jest... Ujmuje głowę w obie ręce, jakby przygnębiony jakimś brzemieniem. Nie wiem już. Nie wiem... ah! ah! nawet o sobie samym!.. Nie umiem już mówić, Neoptolemie...

NEOPTOLEM.

Poświęcać się dla kogo? Powiedz, Filoktecie...

FILOKTET.

...poświęcać się... poświęcać się...

NEOPTOLEM.

Ty płaczesz!

FILOKTET.

Dziecko! Ah! gdybym mógł wskazać ci cnotę...

Porywa się gwałtownie. Słyszę Odysseja! Bądź zdrow... Odsuwa się i mówi, odchodząc: Czy zobaczę cię jeszcze?

NEOPTOLEM.

Bądź zdrow. Wchodzi Odyszej.

SCENA III.

ODYSSEJ i NEOPTOLEM.

ODYSSEJ.

W czas przychodzę? Co powiedział? Czy dobrze mówiłeś, mój uczniu?

NEOPTOLEM.

Dzięki tobie, lepiej niż on! Ale mniejsza o to! — Odysseju... kazał mi napiąć swój łuk!..

ODYSSEJ.

Swój łuk! cóż za żarty! — I czemużeś go nie zatrzymał, synu Achilla?

NEOPTOLEM.

Cóż wart łuk bez strzał? Dawszy mi do rąk łuk, zatrzymał roztropnie strzały.

ODYSSEJ.

Zręczny przyjaciel!.. Czy domyśla się czego, jak ci się zdaje? Co mówił?

NEOPTOLEM.

Oh! nic, albo prawie nic.

ODYSSEJ.

A czy opowiadał ci znowu o swojej cnocie?

NEOPTOLEM.

On, który mówił tak dobrze przed chwilą, jak tylko zacząłem go pytać, zmiłkł.

ODYSSEJ.

A widzisz!..

NEOPTOLEM.

A gdy spytałem, gwoli czemu można się poświęcać, co nie byłoby zawsze tylko Grecyą, rzekł mi...

ODYSSEJ.

Rzekł ci?..

NEOPTOLEM.

Że nie wie. A gdy rzekłem, jak mnie nauczyłeś, że sami bogowie są jej podlegli, odpowiedział: Właściwie jest zatem coś ponad bogami, jest...

ODYSSEJ.

Co?

NEOPTOLEM.

Powiedział mi, że nie wie.

ODYSSEJ.

Eh! widzisz więc, Neoptolemie!..

NEOPTOLEM.

Nie, Odysseju, zdaje mi się, że rozumiem go teraz.

ODYSSEJ.

Że rozumiesz co?

NEOPTOLEM.

Coś. Bo, ostatecznie, samotny na tej wyspie, póki nas tu nie było, dla kogo, czy dla czego poświęcał się Filoktet?

ODYSSEJ.

Ależ, powiedziałeś sam: dla niczego. Cóż przyjdzie z cnoty samotnej? Mimo wszystko, co jemu się roi, wie- trzała ona bezużytecznie. Cóż przyjdzie ze wszystkich jego zwrotów i okresów, choćby najpiękniejszych... Przekonał-że cię? — Mnie także nie.

Jeżeli żył w ten sposób, samotny na tej wyspie, to tylko dla tego (dowodłem ci przecież), aby uwolnić woj- sko od swych jęków i swej smrodliwości; oto jego pierw- sze poświęcenie, oto jego cnota, cokolwiekby mówił inne- go. Drugą jego cnotą będzie, że, straciwszy swój łuk, znajdzie pociechę w myśli, iż to dla dobra Grecyi. Jakież inne poświęcenie mógłby sobie wyobrażać, jeśli nie dla ojczyzny? Cekał, widzisz, abyśmy przyszli ofiarować mu je... Ale ponieważ mógłby odmówić, lepiej będzie zmusić jego cnotę, narzucić mu poświęcenie — i zdaje mi się, że przezorność nakazuje uspić go. Widzisz tę łagiewkę...

NEOPTOLEM.

Ah! nie mów zbyt wiele, Odysseju... Filoktet milczał.

ODYSSEJ.

Bo nic już nie miał do powiedzenia.

NEOPTOLEM.

I zapewne dla tego płakał?

ODYSSEJ.

Płakał, że się łudził.

NEOPTOLEM.

Nie, on płakał z mego powodu.

ODYSSEJ, z uśmiechem.

Z twego powodu?.. Człowiek zaczyna coś przez głupotę, a potem z pychy nazywa to cnotą.

NEOPTOLEM, wybuchając łkaniem gwałtownym.

Odyseju! ty nie rozumiesz Filokteta...

AKT CZWARTY.

SCENA I.

FILOKTET, NEOPTOLEM.

Filoktet sam; siedzi; robi wrażenie człowieka przygnębionego boleścią—lub rozmyślającego.

NEOPTOLEM, wbiega gwałtownie.

Abym go tylko wczas jeszcze znalazł!.. Ah! to ty, Filoktecie. Czas nagli, posłuchaj mnie. To, co przyszedliśmy tutaj zrobić, jest niegodne; ale bądź wyższym od nas: przebacz mi. Przyszedliśmy... oh! wstyd mi to wyznać... skraść ci twój łuk, Filoktecie!

FILOKTET.

Wiedziałem o tem.

NEOPTOLEM.

Nie rozumiesz mnie... skraść ci twój łuk, powiadam... Ah! broń się!

FILOKTET.

Przeciwko komu? Przeciwko tobie? powiedz, mój Neoptolemie.

NEOPTOLEM.

Nie, rzecz prosta, nie przeciwko mnie: ja kocham cię i uprzedzam.

FILOKTET.

I zdradzasz Odysseja...

NEOPTOLEM.

I jestem w rozpacz... Poświęcam się dla ciebie. Kochasz mnie? Mów, Filoktecie. I czy to jest cnota?

FILOKTET.

Dziecko!...

NEOPTOLEM.

Patrz, co ci przynoszę. Ta łagiewka miała cię uspić. Ale ja ci ją oddaję. Oto masz. Czy to jest cnota? — Powiedz.

FILOKTET.

Dziecię! Krok za krokiem jedynie dojść można do cnoty najwyższej; to, co ty robisz, jest tylko podrzutem.

NEOPTOLEM.

Więc naucz mnie, Filoktecie.

FILOKTET.

Ta łagiewka miała mnie uspić, powiadasz? Bierze ją i przygląda się. Drobna łagiewko... ty przynajmniej nie miniesz się z celem! Widzisz, co robię, Neoptolemie? Pije.

NEOPTOLEM.

Jakto! nieszczęśliwy, alez to...

FILOKTET.

Poświęcam się. Uprzedź Odysseja. Powiedz mu... że może przyjść. Neoptolem, przerażony, wybiega z krzykiem.

SCENA II.

FILOKTET, później ODYSSEJ i NEOPTOLEM.

FILOKTET, sam.

I będziesz mnie uwielbiał, Odysseju; zmuszę cię do uwielbienia. Moja cnota wzbija się nad twoją, i musisz uczuć się zmałym. Uwielbij siebie, cnoto Filokteta! uraduj się pięknością swoją! Neoptolemie, czemu nie zabrałeś zaraz mego łuku? Im bardziej mnie kochałeś, tem ci to było cięższem: nie poświęciłeś się dostatecznie. Bierz łuk i strzały... Ogląda się. Już go niema...

Ten napój miał smak okropny; mdło mi się robi, gdy o nim myślę; chciałbym zasnąć jak najprędzej... Ze wszystkich poświęceń najszałem jest poświęcenie dla innych ludzi, bo wówczas człowiek staje się wyższym od nich. Poświęcam się, tak, ale nie dla Grecyi... Żałuję tylko jednego: że poświęcenie moje przyniesie korzyść Grecyi... Zresztą nie, nie żałuję tego nawet... Ale w takim razie, nie dziękuj mi: co-m uczynił, uczyniłem dla siebie, nie dla ciebie. — Odysseju, będziesz mnie uwielbiał, nieprawdaz? — Ale, czy będziesz mnie uwielbiał, Odysseju? — Odysseju! Odysseju! gdzież jesteś? Pojmij-że: poświęcam się, ale nie dla ojczyzny... dla czegoś innego, pojmij-że; dla... czego? Nie wiem. Czy zrozumiesz to? Odysseju! będziesz myślał może, iż poświęcam się dla Grecyi! Ah! ten łuk i te strzały mają służyć do tego!.. Gdzież je rzucić? — Morze! morze! Chce biedz, ale opada zmęczony przez napój. Nie mam sił. Ah! w głowie mi się mąci... On zaraz nadejdzie...

Cnoto! cnoto! szukam w gorzkim imieniu twojem nieco upojenia; czyżbym je wyczerpał już do dna? Pycha, która mnie podtrzymywała, chwieje się i ugina;

uchodzę i rozplywam się ze wszech stron. „Bez podrzutów; bez podrzutów,” mówiłem mu. Co się przedsięwzięje ponad własne siły, Neoptolemie, — oto jest cnota. Cnota... nie wierzę w nią już, Neoptolemie! Neoptolemie, niema cnoty. — Neoptolemie!.. Nie słyszy... Pada zmęczony i zasypia.

ODYSSEJ, wchodzi z Neoptolem i spostrzega Filokteta.

A teraz, zostaw mnie z nim samego.

Neoptolem, miotany najżywszym wzruszeniem, waha się z odejściem.

Ależ tak! idź gdziebądź; biegnij przygotować łódź, jeśli chcesz.

Neoptolem wychodzi.

ODYSSEJ, sam. Zbliża się do Filokteta i pochyla się nad nim.

Filoktecie!.. Nie słyszysz mnie już zatem, Filoktecie? — Nie usłyszysz mnie już? — Co robić? Chciałem ci powiedzieć... że zwyciężyłeś mnie, Filoktecie. I widzę teraz cnotę; i czuję taką jej piękność, że w obecności twojej nie śmiem już działać. Obowiązek mój wydaje mi się okrutniejszym od twego, bo nie widzę w nim takiego, jak w twoim, dostojeństwa. Twój łuk... nie mogę już, nie chcę już go brać: ty sam go dałeś. — Neoptolem jest dzieckiem: musi być posłusznym. Ah! oto on! Rozkazująco. A teraz, Neoptolemie, bierz łuk i strzały i nieś je do łodzi.

Neoptolem, strapiiony, zbliża się do Filokteta, skłania głowę, potem rzuca się na kolana i całuje Filokteta w czoło.

ODYSSEJ.

Rozkazuję. Niedosć-że ci, że mnie zdradziłeś? Chcesz-że zdradzić także ojczyznę? Patrz, jak on się dla niej poświęcił.

Neoptolem bierze z poddaniem łuk i strzały i oddala się.

ODYSSEJ, sam.

A teraz, żegnaj, twardy Filoktecie. Czy bardzo mną gardziłeś? Ah! chciałbym wiedzieć... Chciałbym, aby on wiedział, że znajduję go uwielbienia godnym... i że... dzięki jemu, zwyciężymy.

NEOPTOLEM, woła zdaleka.

Odysseju!!

ODYSSEJ.

Oto jestem.

Wychodzi.

AKT PIĄTY.

Filoktet, sam, siedzi na skale. Słońce powstaje na niebie zupełnie błękitnem. W oddali na morzu pierzcha łódź. Filoktet spogląda za nią długo.

FILOKTET, szepcze bardzo spokojnie.

Nie powrócą już; niema już łuku do wzięcia... —
Jestem szczęśliwy.

Głos jego nabrał niesłychanej piękności i słodczy; kwiaty dookoła
niego wystrzelają z pod śniegu, ptaki niebieskie zlatują się, nio-
sąc mu pokarm.



PRZEŁOŻYŁ
Zenon Przesmycki
(Miriam).

Andrzej Gide.

Sonety.

CHWILE.

*Bywają chwile dziwnego olśnienia,
Kiedy z powszedniej rzeczy i zjawiska
Nagle nieznana, piękna twarz wybłyśka
I w nieśmiertelną treść się wypromienia.*

*Bywają ludzkie słowa bez znaczenia,
Z których melodia nagle cudna tryska,
Płynąca stamtąd, gdzie rzeczy kotłyska...
Bywają chwile dziwnego olśnienia.*

*Bywają chwile palące, jak płomień,
Bywają chwile mocne wiekuiście,
Bywają chwile, które stać się muszą.*

*Bywają chwile wielkich uświadomień,
Kiedy się wierzy w jasnych cudów przyjście
I na spotkanie im wybiega — duszą.*

SKARBY.

*Jest skąpiec, który mienie swoje chowa
I bóstwu swemu składa na objaty.
To dusza. Skarb ma dziwny i bogaty:
Niewymówione nigdy, święte słowa.*

*I jest skarbnica złotopurpurowa,
Jedwabiem kryta, wśród ciemnej komnaty.
Jak muszle, szumią tam, pachną, jak kwiaty,
Niewymówione nigdy, święte słowa...*

*A gdy nadchodzi Święto duszy: oto
Perły, rubiny płoną, jak pożoga —
I te, co były, jak myśl piorunowa,*

*I te, co były pełne snu i Boga,
I te, co były męką i tęsknotą —
Skarby nadludzkie — zamilczane słowa!*

Władysław Sterling.

Prorok.

Nad nimi słońce gorejące...

Z okiem w ziemię wbitem słuchają...

Słowa starca płyną cicho, jednostajnie, spadają z głuchym, dalekim łomotem na zmęczone ich mózgi — tłoczą, przybijają je do ziemi...

Jak zmory sennej nekające mary, przewiewają przed nimi straszne przebytych czasów dzieje...

Jak złowrogiej pieśni pogrobowej uporna, ponura zwrotka, wraca wciąż, ponownie i ponownie, bezlitosny wyrzut:

Sami winni, sami winni, sami winni!..

Sto razy ich podniósł — sto razy od niego odpadli, sto razy ku zbawieniu ich powiódł — sto razy się odwrócili, sto razy ich ocalił — sto razy haniebnie go zdradzili...

— Sami winni... sami winni... sami winni!..

Słońce gorejące pali im rozbolełe głowy, słońce gorejące zawistnym żarem wpija, wżera im się w pękające

czaszki — ciche, jednostajne, ponure słowa starca spadają z dalekim, głuchym łomotem na znękane ich mózgi — tłoczą, gnębią, przybijają do ziemi...

— Nieszczęśni, potrzykroć nieszczęśni! — po tylu próbach i ponownych zawrotach, po tylu zbawieniach i ponownych zdradach — czego chcą od niego, czego chcą... czego chcą?..

Stoją w posepnem milczeniu. Czasem niewiasta która zdławionem zaniesie się łkaniem, czasem westchnienie stłumione w ciszy się rozplynie, czasem dziecię które u matczynego łona zgubionym jękiem zakwili...

— Czy nie da się przebłagać, czy po raz ostatni nie ulituje się ich potrzeby? — — —

Wielka, pusta kotlina w rozszałach słońca żarach omdlała gore...

Z poza czarnych zwałów kamiennych, z poza zeschłych traw i ostów żółtej powodzi, dzikiego anyżu kęp najeżonych, płonie krwawą łuną spękana, rozrysowana, rozszczepiona w głębokie jary ruda ziemia...

— Czy nie da się przebłagać? Czy po raz ostatni nie ulituje się ich potrzeby?..

Niech się zmiłuje nad nimi, bo zginą...

Niech się zmiłuje nad nimi, bo zginą, zczezną, przepadną!..

Gorejące słońce pali im rozbolale skronie, gorejące słońce rozsadza im rozwiązane czaszki, gorące rozszałale tchy anyżu kłębią się, wirują w ich znękanych mózgach — pustej, rozgorzałej kotliny krwawy pożar wielkiem, szerokiem kołem wkrąg poczyną się toczyć — — — — —

Ze ściśnionego zastępu jeden z mężów leniwie się wysuwa...

Z przymrużonych jego oczu błyskają raz po raz ukośne, chytre spojrzenia. Po wykrzywionych ustach jadowity błąka się uśmiech...

Milczenie — — —

W gorejącego słońca rozwścieczonych żarach, w dziekiego anyżu rozpasanych oddechach, pustej kotliny wielki, krwawy pożar szalonym pędem wiruje...

— Wielki, wszechmocny Boże! co będzie... co będzie... co będzie?..

Mąż o ukośnem spojrzeniu, o jadowitym uśmiechu, chyli się ku ziemi...

Jak kot kuli się, zczaja — przymknięte oczy rozwierają się szeroko, błyskają białkami, zieją straszną chucią...

Dygocącą ręką, rozwartemi jak szpony, kurczowo skrzywionemi, trzęsącemi się palcami dobywa, dźwiga ciężki kragły głaz...

— Wielki, wszechmocny Boże! — co będzie?.. co będzie?.. co będzie?..

Mąż rzucił się w górę — błysnął rąk rozmach — runął starzec rażony kamieniem...

Milczenie. . stoją w głuchem milczeniu...

Tylko dreszcz raz nimi wstrząśnie...

Jeden... drugi...

I coraz nowe...

I coraz częstsze...

I nagle: huragan, wielka, wyjąca burza zapamiętałej, ryczącej wściekłości, spienionego oblędu...

Zatłoczyli się, skłębili, sparli — zwarły się dyszące oddechy, zatętnił huczący szal w rozmiotanych skroniach —

w kurczowych podrygach rzucają się, spychają, zwalają,
 duszą, rwą, szarpia, rżęzą — krwawymi palcami rozdrapują
 twardą ziemię — dobywają, dźwigają, miotają na oślep krą-
 głe, czarne, ciężkie glazy...

Nad martwym ciałem zwierza się — wypiętrza wyżej,
 wyżej, wyżej, kamienna mogiła — — — — —
 — — — — —
 — — — — —

Cisza .. pustka...

Skrós zwału kamieni, złomów zwietrzałych kolumn,
 kapiteli, łuków — z wielkiej, pustej kotliny krwawego po-
 żaru czarno wypiętrzony kamienny kurhan...

Wpoprzek w cienką stali lamę wyciągnięty jeziora
 blask skrawy...

Wyżej gór białe zary...

Czasem z pod czarnego kamienia jaszczurka szara wy-
 pełźnie, jak błyskawica po zwałach się przewinie i w zie-
 mię zapadnie...

Czasem zkądś szakał z wtuloną kitą przybiegnie, mo-
 giłę dokoła obejdzie, jak dziecko żałośnie, przeciągle raz
 i drugi zapłacze i znowu pomknie...

Czasem gazela rozpędzona jak wryta przystanie, zdu-
 miona brązowe oczy szeroko rozewrze i znowu poprzez
 spękanej ziemi ziejące szczeliny w wielkich skokach po-
 pędzi...

Czasem skrajem kotliny jeździec jakiś chyłkiem jak
 mara się przesunie, rozwianą szatą białą w słońcu zabły-
 śnie i w widnokręgu się zgubi...

I tylko kraczącego ptactwa chmury kupią się i roz-
pływają...

I tylko wysoko, w blaskach zgubiony, orzeł samotnie
się waży...

Nad wysoko wypiętrzoną kamienną kurhaną,
nad rozgorzałą, pustą kotliną wielką, krwawym pożarem
gorejące słońce...

Zygmunt Bytkowski.

Z „Sonetów Królewskich.“

WANDA.

*Rzucam tobie, Wisto, mój wianuszek z ruty:
Nie popłynie z wodą, jeno w głębi leże...
W mym wianuszkę z ruty zagnieżdżą się węże,
Jako we mnie, winnej, miłowaniem strutej.*

*Rzucam tobie, Wisto, miecz o krzemień kuty,
Bo niemieckich wojów już on nie dosięże,
I mój pancerz złoty, i hełm, i pawężę,
Co mię strzedz nie znały od miłości lutej.*

*Chwyć mnie ninie, nurcie, Moraną zasmuty...
Rytygiera-m zmogła... siebie nie zwyciężę!
Mnie się nie imaly niemieckie oręże,*

*Choć ciebie krwi naszych zboczył doptyw suty —
Niech mię lud mój, Wisto, zna z fal twoich nuty...
Niech koję niewiasty i ukrzepiam męże!*

LUDGARDA.

*Do nóg Przemysława rozpacznie się winie:
„O mój królu panie... Niegdyś tobie droga,
Błagam zmiłowania... przez żywego Boga,
Nie bierz mi żywota... daj mi odejść ninie...*

*Do rodzica odpuść... boso w koszulinie...
U nóg jego życia dokonam nieboga,
I będzie mi, panie, twoja pamięć błoga —
Nie rzucę ci klątwy... choć pojdziesz niemkinię.*

*Do rodzica odpuść... w kraj, gdzie Łaba płynie...
Milczysz?... Jakaż straszna mnie ogarnia trwoga!
Przebóg! Już oprawca stoi w drzwiach u proga. —*

*Pomnij! Jak Ludgarda bez winy tu ginie,
Tak miecz braniborski ciebie nie ominie...
Pomnij!
O mój ojcie! Doloż moja sroga!*

JAN OLBRACHT.

*Hej! w gospodzie na Kleparzu dworak wodzi Basię...
Wierę... nie znam, jak Bóg miły, gładszej nad cie
Urzekły mnie modre oczy twe i krucze brewki, [dziewki.
Żem na umór rozmiłowan w cudnej twojej krasie.*

*Nie w zgrzebnem ci płótnie chodzić, jeno w altembasie...
Panią być... a nie szynkować miody i nalewki...
I raz po raz garść czerwieńców wyrzuca z sakiewki,
I raz po raz mocniej Başkę obejmuje w pasie.*

*A tu wpada do gospody cała tłuszcza... zda się,
Najazd żaków i żołdaków... i grzmią huczne śpiewki...
Hej, paniczu! Tam do dworek sobie smal cholewki...*

*A od naszych wiejskich dziewczek wara tobie... zasię!
Błysły kordy, krwią spłynęły... wstał krzyk poniewczasie:
„Dyć to król nasz miłościwy... jasny pan i krewki!”*

ZYGMUNT AUGUST.

*Szept złotowłosej słyszał Isaotty...
Do ust przypadła mu w cieniu kotary:
„Ja, królewiczu, kocham cię bez miary,
A ty — ty moje odtrącasz pieszczoty...*

*Wszystkich ku tobie drżą pożądań loty!
Wszystkich ku tobie płoną tęsknot żary!
Słuchaj! Okrutnej wzywam niebios kary
Na tę, co ócz twych zabierze mi groty!*

*Bodaj miłości twojej promień złoty
Żłudne jej tylko przywiódł szczęścia mary
I rychło w straszne zmienił je maskary —*

Bodaj by szczęścia z bólu i zgryzoty!“

*.....
A królewicza — rąk liliowe splety
Palą... rwie duszę cichy płacz Barbary...*

Władysław Nawrocki.

Wyznania.

Z czegoż mamy w tych czasach dzisiejszych czerpać podniecie do tworzenia artystycznego? — W czasach starożytnych dawało ją *życie*; bieg dzisiejszego życia tłumi raczej wszelką produkcję duchową. „Żyjemy“ dziś tak mało! Jakże my *mieszkamy*, na przykład? Te ubikacye nasze wystarczają zaledwie do „egzystencyi.“ Spędzamy dni, stłoczeni po cudzych kamienicach, z kąd wygnano naturę, światło, powietrze. — W jakież *stroje* ubierają nas przesady, nasz smak obcy wszelkiej sztuce i pruderya nasza? I tu niema nic dla oka, nic dla zmysłów! *Kształty ludzkie*, zwłaszcza kształty kobiece, oglądamy chyba w razie wypadku lub katastrofy. (Mimo że kobiety, w tem obowiązkowem, a skrętnem ukrywaniu tajemnic, same schną i przekwitają w tęsknocie). — *Rodzina*? — my jej nie mamy, ona nas ma. *Zona*? — bądźmy szczerzy! żadna z nich nie przejmuje się przecież poważnemi, prawdziwemi zadaniami życia. — *Dzieci*? — z początku może wiele radości, potem walka i troski.

Z czegoż więc czerpać dziś twórczość artystyczną? Pozostaje, dalibóg, tylko wino. Ono jedynie jest prawdzi-

wem użyciem, ono czyni z nas dopiero ludzi. Tylko wino pozwala nam tworzyć wbrew życiu samemu, ono jedynie darzy nas niekiedy godzinami, w których się zapomina o tym całym kieracie i w których zda się człowiekowi, że Bóg jeden wie, kim jest i gdzie się znajduje.

Kto nie uczy się ze wszystkiego (mówi Böcklin o książkach i obrazach), ten się nigdy niczego nie nauczy.

Niepodobna nauczyć się czegoś bezpośrednio od innych. Trzeba wszystkiego samemu doświadczyć. Starzy zwłaszcza mistrze niewiele nauczyć mogą. Toć ich obrazy tak się zmieniły, że trudno dziś wiedzieć, czego oni sami niegdyś chcieli.

Nie powinnyby się nadawać żadnych tytułów obrazom. Istotę rzeczy, o którą chodzi malarzowi, zatracają one zaledwie, i skutkiem tego przysyłają lub nawet z fałszywej przedstawiają strony sam zaród dzieła. Widz, dzięki im, zajmuje się materiałem, który można spotkać na każdej ulicy — i za którym chętnie kryje się niezdolność — zamiast autorem, który ma coś do powiedzenia. Na co on patrzył, co on odczuł, — tego nie widzi nikt, o to nikt nie pyta.

Kształty i barwy muszą być podporządkowane idei.

Jeżeli w ciągu roboty nagle się gdzieś *urwie*, to urwało się nie tu, nie w robocie, lecz z samego *zaraz* po-

czątku, w idei. Na nic wtedy wszelkie poprawki i przeróbki — wszystko to jest daremne zapychaniem dziur, wszystko to nic nie pomoże. Coś urwało się *w samym początku*, przed zaczęciem pracy, przy obmyślaniu i obliczaniu. Przeoczyliśmy wtedy właśnie ten wadliwy punkt, w którym — jak teraz nam się zdaje — *środki* nas zawodzą.

Uważaj, co na tobie wywiera wrażenie; gdy pojdziesz *dla czego*, potrafisz sam oddziaływać.

Nie jesteś przy malowaniu tak niezależnym, jak ci się wydaje. Zależysz od tego, co jest dla pracy twojej korzystnem.

Im prostsze środki, im szybciej wypowiedzieć można to, co się ma własnego do wypowiedzenia, tem mniej tracą się siły na pokonywanie oporności materiału.

Prócz szczęśliwej zgody wyobrażeń i środków, polega sztuka na poznawaniu i usuwaniu zbyteczności. To pochłania najwięcej czasu. Tem bardziej nie należy chcieć coś włączać. To precz, tamto precz, — wtedy dopiero błyska nagle światło, przyznające słuszność naszym wyobrażeniom, oraz wskazujące jak je wykonać należy: — o to, to! tegośmy szukali w rzeczywistości. Wszystko inne robi się potem już samo przez się i szybko: wówczas budzi się i przychodzi nam z niewołaną pomocą wszystko to, czem się jest, co się wie, umie, w pamięci ma, — nieraz niewiadomo, z kąd się to wszystko bierze. Tylko niech Bóg broni być pełnym fantazyi, — wyobraźni będziemy potrzebowali jeszcze dosyć *ad hoc*, aby ożywić rzeczy najistotniejsze. I ni-

gdy zbyt wybujało, lecz z rzetelną prostotą, nigdy artystycznie, lecz naturalnie!

Kierunki! Jest tylko jedna sztuka, lecz zarazem tyle indywidualności, ilu prawdziwych artystów, lub tych, którzy nimi rzetelnie zostać pragną. Aferzyści i ludzie, którzy zatrzymują się przed dowolnym ułamkiem natury, aby go naśladować, dając w najlepszym razie tylko wykrawek całości, naśladowując kształt zewnętrzny, — ci, artystami, oczywiście, nie są.

Malarz widzi i żyje oczyma. Tętni w nim coś nieuchwytnego, co łączy się z kształtami i barwą, ożywia rzeczy widziane i staje się wskutek tego czemś określonym.

Wolę chcę widzieć w każdym pociągnięciu pędzlem, nie zaś niewolnika!

Co nie jest zdecydowane, nie działa. Widz powinien się dowiedzieć z mego obrazu, jak przemawiało do mnie życie, natura i t. d.; dla tego, ja sam muszę to wiedzieć jasno i módz jasno wyrazić.

Kogoś, kto, zamiast szukać ogólnego wrażenia, zatapia się w szczegółach, mam za *durnia*. Nie malujemy przecież rąk i nóg dla kogobądź.

Gdy się ma parę barw i parę kontrastów, można już w zamierzony sposób oddziaływać na duszę ludzką.

G. Floerke: Co to jest obraz? Możliwie ścisły i wyrazisty, pełny jedności wewnętrznej wyraz czysto malarskiej, t. j., zamykającej się w granicach środków malarskich, wizji, ze wszystkimi wiążącymi się z nią asocjacyami myślowymi.

„No, tak,” rzekł Böcklin, a potem musi on jeszcze wywierać wrażenie ściśle dekoracyjne. Musi nie tylko wyrażać to, co malarz odczuł, lecz być nadto czemś wspaniałym, czemś najpiękniejszym, dominującym w miejscu, do którego jest przeznaczony.“

Nie widzę przyczyny, dla której miałbym malować piękne kobiety. Nie maluję przecie z grzeczności, ani też na to, aby się przypodobać jurnym gamoniom.

Gdy maluję wodę, nawiedza mnie wówczas to i owo: igraszki, o których nie wiem, kiedy i jak je widziałem, a które pozostały mi jednak.

Czego się nie szuka, tego się nie widzi.

Na miłość Boską, nie powinno się nigdy okazywać w nieodpowiednim miejscu, że się było pilnym uczniem, że się zdobyło umiejętność, że się dobrze rysuje i t. p. Na takie chłopięce samochwalstwa nie masz miejsca w pełnem jedności wewnętrznej pragnieniu artystycznem. Wszystko, gdzie trzeba.

W naturze, pomiędzy światłem i ciemnością istnieje

dla oka ludzkiego skala, którą można wyrazić stosunkiem: 1 — 100. Na palcu zaś, skala ta da się wyrazić: 45 — 55. — 50 zatem będzie moim *środkiem*, jeżeli chcę wystarczyć równie w świetle jak w cieniu. Już dla tego samego, niepodobna malować bezpośrednio z natury, bo zazwyczaj mimo wszelkich przystosowań, obiera się, w skutek wysiłków naśladowczych, za wysoką skalę w stosunku do środków rozporządzalnych i popada w niemożność wystarczenia efektom natury. — Nie, wszystkie stosunki skali muszą być przemyślane pierwiej w głowie i następnie z pamięci oddane na płótnie. Podług natury należy tylko sprawdzać, ale nigdy z paletą nie ślęczyć przed naturą.

Malowanie studyów powinno być wzbronione. W pracowni, studia do niczego nie są przydatne. Nawet ze stanowiska mnemotechnicznego, studia są głupstwem. Taki, co wciąż tylko chwilowe maluje z natury wrażenia, niczego się nie uczy i przy pierwszym odmiennym wypadku znowu staje bezradnie. — Weźmy prosty przykład. Rysuję z natury niezapominajkę. Przez to jednak nie dochodzę do jej zrozumienia, nie mogę jej sobie wyobrazić, kiedy i jak zechcę. Nie wiem, jak się to rozwija, jak cząstka jedna z drugą się łączy, jak barwy niebieska z żółtą do siebie przystają. Mogę tylko skopiować znowu to, co widzę. Ale spróbujmy przyjrzeć się niezapominajce i narysować ją z pamięci, czyli zdać sobie z niej sprawę, a potem dopiero porównajmy to, cośmy zrobili, z naturą, sprawdzimy i umocnimy swe wyobrażenia. Wyobrażenia jest niezbędną; naśladownictwo — zabójczem.

To mi artysta, to mi twórca, który, potrzebując np. małego palca, czeka, aż model czas mieć będzie.

Niech rzecz będzie jak chce niezręczną, lub źle narysowaną, — nie dbam o to: chcę w każdym pociągnięciu widzieć wolę, — to jest dla mnie wszystkim, poprawność niczem.

Istotnie monumentalne malowidło powinno być wielką improwizacją.

Ogromnie wiele rzemiosła jest w sztuce; wiele doświadczenia, wiele prób wszelakich potrzeba, wiele mechanicznej pracy. My wszyscy jesteśmy przecież awanturnikami bez kotwicy, bez steru, bez kompasu; — każdy w swojej łupinie orzechowej. Żaden z nas nie ma oparcia na rzeczach przeszłych. Każdy nic nie wie, w nic nie wierzy; — patrzy, próbuje.

Do śmierci się uczymy. Po latach dwudziestu, znajduję rozwiązanie czegoś. Gdyby ktoś był mi to wcześniej powiedział, gdybym to był wiedział wówczas, — iluż głupstw byłbym uniknął, o ileż dalej byłbym już teraz.

Właściwość, „indywidualność“ materiału pragną się również wypowiedzieć w dziele.

Głowa — to „fraszki!“ Ale wydobyć na przykład to, że tak niedbale oto spoczywa: — w tem sęk! Nogi są najtrudniejsze, nie dlatego, że na nich wokół wszystko chodzi — (ruch ramion nie jest wcale rzeczą łatwiejszą), — lecz że się stoi na nogach, że dźwigają one postać i jej

ruch. Niech tu brakuje najmniejszego drobiazgu, cały chłop jest wnet w nieporządku.

Et, co tam, piękne! Rzeczą każdą na właściwym miejscu jest piękna. Kolorystyczność! Brednie. Farba jest wtedy piękna, gdy cel swój osiąga.

Ci florentczycy! Gdy się powraca z Holandyi, — noc nas ogarnia. Toż to są dzieci! Obserwacyi, spotrzegawczości, tego u nich nie znaleźć. Po 50 latach nie zauważył jeszcze Ghirlandajo, że niektóre barwy zawsze się wybijają (to jest ich charakterem, który malarz uchwycić powinien), nie wie, że, na przykład, niektóre czerwienie (w naturze oczywiście) w rozmaitych odległościach rozmaicie działają. On ładuje to samo na przedzie, co i na tylnym planie. Ztąd brak przestrzeni, a więc brak spokoju. A poza tem: nawet obliczenia artystycznego, rachunku nieco większego nie byli w stanie ci ludzie zrobić. Nigdy nie wpadnie im nic do głowy, co się do rzeczy odnosić może. Gdzie został pusty kawał przestrzeni, tam maluje się czempredzej chwaścik, lub ogonek sukni, albo doniczkę z kwiatami. Jeden efekt, np. dywanu, muru, skoro raz został odkryty, powtarza się nielitościwie w kółko: chodziła czapla po czerwonej desce... Nigdy nie mają oni nic do opowiedzenia, nic do udzielenia: holendrzy pełni są tego aż po końce palców. Dziećmi są ci florentczycy! Biedne i puste stworzenia ci Botticellowie i t. d. Gdy tymczasem taki uczeń van Eycka jest pełen uczucia aż do najmniejszego drobiazgu, a mimo to każdy ten drobiazg został wysnuty z wielkiej całości, z ożywiającej wszystko, głęboko umiłowanej i nawskroś odczutej idei.

Nie! — taki np. Rogier van der Weyden! Aż do osta-

tniego wątku, do najmniejszej małości, takie to wszystko ożywione, tak przedziwnie zrozumiane, takie artystyczne, tak nigdzie nie „puszczane.“ Czem i jak to jest zrobione, pozostanie dla mnie wieczną zagadką. To wogóle nie wydaje się malowaniem. Nie widać w tem pracy, nie czuć borykania się z opornym materiałem. Olejem, werniksem, tem wszystkim, czem my dziś rozporządzamy, malowane to nie jest.

Kto robi ciągle to samo, jest prostym świniuchem. Człowiekowi, póki się zwie artystą, nie wolno mieć żadnej maniery. Każdy dzień nas odmienia. Co podobało się i wydawało dobrem 20-letniemu młodzieńcowi, nie może już poruszać dojrzałego mężczyzny. Co raz zostało osiągnięte, to już minęło. Każdy obraz, w tem znaczeniu, winien mówić coś innego, nawet gdyby był jakimś powtórzeniem.

Artysta nie powinien mieć ani specjalności, ani maniery. Karyerowicz i zręczny rzemieślnik musi ją posiadać: wszak po niej poznać go jedynie, ona wyszukuje mu swoistych wielbicieli, „jego“ miłośników sztuki. Mówię to w umyślnem zastosowaniu do społecznej sztuki francuskiej. Niemiec, który tak wiele umie, tak dalece już się przegryzł, zrobi potem coś odmiennego; — rzecz będzie może nie lepsza, on wszakże *pragnie* czegoś więcej. Taki paryżanin — nie! On stanie na miejscu i zrobi z siebie, wytwornego chicqueur'a. A to jest chamstwem! Gdyż ten, co tyle już umie, wie także, iż jest zawsze jeszcze coś wyższego, coś artystyczniejszego. Czy takie dążności dadzą „*hôtel*“ lub sławę dnia u „*Nation*,“ — to oczywiście będzie rzeczą mniej pewną.

Musiałbym być malarzem rodzajowym, gdybym nie wiedział, że chodzi o *to* i o *to*, i że tylko nierozum artystyczny może żądać jeszcze czegoś innego. Taki fryc rodzajowy, w którego, dajmy na to, bardzo porządnej scenie chodzi jednak jedynie o dwie np. miłe twarze Jej i Jego i co najwyżej o taki jeszcze lub inny ruch pomocniczy, — robi nadto psa, i kota, i piec (nawet z kalendarzem z danego roku), i wszystkie gwoździki fotelu, i jest — bardzo dumny z tego... mianowicie, że zdołał oderwać spojrzenie od głównej rzeczy i rozproszyc po różnych szczegółach.

Oponent: Można wszakże zrobić i to i tamto...

Böcklin: Nie, niemożna robić naraz jednego i drugiego, jeśli się chce być malarzem. Niemożna, jeżeli chodzi wyłącznie o dwie głowy, wykonywać nadto w sposób zajmujący butów i guzików. Bo, przedewszystkiem, wtedy właśnie nie osiąga się zamierzonej rzeczy głównej, a powtórę, mnóstwo równoważnych, skupionych koło siebie szczegółów nudzi poprostu.

Technika! Techniczną sprawność może mieć byle głupiec, każdy może się nauczyć.

Kto do sztuki wprowadza tendencję, ten nie jest artystą.

Ach, te wystawy! Łatwo byłoby na nie malować. Ale zabijają one, tak, jak „salony“ zabiły Francuzów. Każdy zadaje sobie jedno tylko pytanie: co „robi efekt,” i na tem opiera całe swoje obliczenie. Zwłaszcza, co robi efekt zdaleka: — taki lub inny niezwykły figiel perspektywiczny,

jakiś widok z góry, lub z dołu, jakiś brak horyzontu w obrazie, jakaś zygzakowata perspektywa i t. p. Wtedy celem artystycznym staje się poszukiwanie rzeczy silniej, brutalniej działających. I widzimy wszyscy, jakie powstają ztąd „kicze.“

W Niemczech niema słońca. Leży mi ono na plecach, ale go nie czuję. Cienie przymglone, chociaż niebo błękitne. Dopiero po drugiej stronie Alp, wszystko przesycone, przepalone światłością. Dzień cały karmiłem się światłem.

PRZEŁOŻYŁ

Maryan Wawrzeniecki.

Arnold Böcklin.

Sonety.

FECONDITAS.

*Chwila zachodu... wśród obłoków wienca
Dogasa słońce... chmura zwiewna, biała,
W przestrzeniach nieba jak szept skamieniała,
Czeka na przyjście swego oblubieńca.*

*Słońce jak gloria na świętym obrazie
Zniża się, pasy rozrzuca pasowe,
Na pierś jej śnieżną skłania złotą głowę,
Stapia się w krwawej miłości ekstazie,*

*Błogosławiona niech będzie moc twórcza!!
Pękają drzewa, wiatr do nieba spiętrza
Pył płodny kwiatów — lany zbóż się złocą —*

*Ziemia swe łono brzemienne rozkurcza
Tysiące istnień wyrzucając z wnętrza
Tknięta tworzenia przenajświętszą mocą!!*

WIERZBY W POLU.

*Białe bezkresne pole — pusto, szaro, mętno...
Słońce, od białych śniegów za mgłami oślepte,
Patrzy chorą źrenicą na ugory skrzepłe,
Gdzie pod śmierci całunem kona ziemi tętno.*

*Tylko wierzby na polu jak szkielety sterczą,
W jakiejś strasznej, rozpacznej pokurczone męce,
Z pod śniegu zamrożnięte wyciągają ręce
Z groźbą dla szarych niebios bezsilną, bluźnierczą.*

*Głuchy, samotny cmentarz wśród śniegowych łąków.
Jakiś orkan olbrzymi, spadły z sinej chmury,
Górą śniegu przywalił do ziemi tytanów.*

*Jeszcze widać po wydmach cielsk groźne kontury
I jeszcze sterczą w niebo po minionej walce
Długie, agonią śmierci poplątane palce!!*

KIEDY ROSY SPADNĄ...

*Krąg wody, jakąś niewidzialną ręką
Między traw sploty rzucony na łące,
Całując falą kwiatów stopy drżące,
Utworzył w ziemi zatokę małą.*

*Codzień, gdy róże zapalą się świtu,
Przez traw gęstwiny, wonne kwiatów sady
Cisną się rojne owadów gromady
Do zgubionego wśród trawy błękitu.*

*I zaglądają do nieba ciekawie,
Które na fali pocałunki kładnie
Z ogromnem słońcem zatopionem na dnie,*

*A kiedy rosy rozperłą się w trawie,
Z kwiatów chylących kielichy nad tonią
Spadają krople i dzwonią...
i dzwonią...*

I PRZYSZŁA SZARA WIECZORNA GODZINA...

*I przysła szara wieczorna godzina...
— Wszystko w naturze ścichło w jednej chwili.
Zanim się księżyc z poza wzgórz wychyli,
Zasnuwa ugór jakaś martwość sina.*

*Wiatr lekko smarszczył sennych wód powierzchnie
I między trawy ułożył się na dnie —
Czasem się promień na wód tafle kładnie,
Rozświecili głębie i bez śladu pierzchnie.*

*Za chwilę światła rozploną śród ciszy
I noc zapali złotych gwiazd miryady.
Tak cicho... zwolna zasypiają kwiaty...*

*Zda się, że teraz ludzki duch usłyszysz,
Jak w sennych chmurach dzień przekwita blady
I jak się rodzą jakieś złote światy.*

MODLITWA DO DUSZY.

*Pani gwiazd złotych i smutku królowo!
W ciemnościach życia do ciebie się modłę —
Żem Cię, syn własny, oszukiwał podle,
Udając wielkość myśli piorunową.*

*Żem był jak pielgrzym, co przez ugór idzie,
Pytając drogi pobladłemi usty,
Żem skrzydła szargał po domach rozpusty,
Chociaż coś we mnie w niemym tkąło wstydzic.*

*Pozwól się tylko odrodzić odnowa,
Bo drzemie we mnie moc huraganowa,
I zachowałem niby skarb w tej męce
— Kiedy mię porwie grzechu toń zdradziecka —*

*Ból, co nad wszystkim załamuje ręce,
I niezmqcone jasne oczy dziecka!*

Henryk Zbierzchowski.

Fragmenty.



I.

Cicho; ani jedna krzewina się nie zachyboce, ani jedna trawka nie zaszeleści, ani jeden ton najcichszego szmeru nie wionie w powietrze...

Upał duszący legł ciężką pierś i tysiącem żarzących ust ssął soki ziemi...

W wielkim ogrodzie, gdzie stoją zwarte drzew olbrzymich trzony — słońce z trudem przedziera się rzadkimi okami światła i rzuca tu i owdzie wysilone białe kwiaty słonecznych promieni na spopieloną ziemię.

Te oka świetlne mienia się czerwonym blaskiem smolnych igieł sosnowych na wielkim mrowisku...

Mrówki dźwigają spróchniałe resztki badyła.

Mrówki upału nie czują.

Idą, idą nieprzerwanie, zwartą lipką masą, rozsypują się, jak czarne paciorki szklane...

Idą, idą, dalej... dalej...

Jak armia życia nieustannie, wiecznie czynnego...

Nagle, oderwała się od pnia ciemnej lipy postać dziwna, niewidziana... Zjadliwy błysk kosił zielonawo-złote jej oczy...

Jak wielki szary motyl była jej twarz, jak przeznaczenie były zimne jej usta, białą kreską odznaczone.

Wężowym ruchem wysliznęła się z cienia i — stąpa raz, drugi, trzeci, dziesiąty w sam środek mrowiska...

Jak wody potoku, gdy nagle wichura gwał w nie rzuci, zalewają brzegi, — tak fala żywych ciał wylała się z pod strasznego nacisku stóp oszalałych.

Biegną, tłoczą się, spychają, walą ogłupiałe mrówki...

Daremnie!

Już ostatnie padły pod zajadłymi ciosami niszczącej mocy...

Co za tryumf piekielny drga na rozciągniętych wargach!

Jakże lekką i radosną staje się poczwarna postać!..

Nie dotyka prawie ziemi, mknie dalej...

Jaśminy tchną mdlejącą wonią, róże roztulają purpurą przesiąkłe płatki.

Nad ziemią zawisł mistyczny welon z woni kwiatów i zbóż kwitnących utkany.

W lubieżnym wygięciu liszka rozpręza wężowe ciało w objęciach kwiatnych...

Jednym ruchem, jak myśl nagłym, ciemna postać dosięga jej, miażdży piękne, włochate ciało rozkosznisi...

Z drgającymi niezaspokojoną żądzą usty — chwytając motyla, co zatulony w paku róży słodczyce spijał, i z wolna sypie nań garście spopielonej ziemi...

Motyl rozpacznie bije skrzydłami, rwie się, walczy...

Już, już wynurza się z pochłaniającej go ziemi.
Naprawdę! Nowa garść spada na wątłe jego ciało...
Słysząc chrzęst łamiących się skrzydeł...
Coś, jakby głębokie westchnienie, osypuje kilka ziarenek z mogiły tej strasznej — i nic... zgasło...
Chciwe bólu źrenice pasą się tą męką, — zwężają się, jad sączą w spojrzeniu...
Pochylona postać prostuje się i — upojona — leniwie kroczy...

Tam, na końcu długiej, cienistej alei — jasny pióropusz złotego światła rzucił się na wielką, żółtą muchę, co wisiała nieruchoma, ze sztywnie rozpostartymi skrzydłami, wydając delikatne, drżące brzęczenia.

Małe, srebrne muszki, jak oczarowane, otoczyły ją kołem; najśmielsza — zawisła tuż nad głową dzwicznej śpiewaczki.

Nagle, mucha podrzuciła się w górę, chwyciła srebrnoskrzydłą słuchaczkę... I znowu — w pióropuszu słonecznych blasków — cicho, śpiewnie zawisł punkt złocisty...

Śmiech dziwny, straszny zagulgotał i chrapliwym tonem przywarł do ust szarej postaci.

Przebiegle zadrgały blade wargi, wąskie źrenice skosiły się jeszcze bardziej rozradowaniem...

Zwysoka, zwysoka spuszczał się wielki pajak...

Chwila, i przeraźliwe brzęczenie rozdarło welon z aromatów kwiatnych utkany!

Już trzyma pajak w szponach brzęczyłotkę chytrą...

A wtedy wyciągnęła się koścista, sztywna ręka...

Ciemna postać rosła, rosła...

I — jak kosa trawę — zmiotła nagle kata i ofiarę.

Hahaha!

Hihih!

Piekielny skowyt wstrząsł krzewinami.
Zbudzony pies — gdzieś zawył.
I cicho.

Ogniste igły kłują ziemię, aż pęka jej łono spopie-
lone.

Jaśminy wyziewają wonie mdlejące. Róże roztulają
purpurą przesiąkłe płatki...

Bezszelestnym jak cień, ukradkowym krokiem — idyot-
ka mknie dalej.

II.

Wiem, napewno wiem ...
Myślisz o mnie ...
Myślisz i chciałbyś mię czuć blisko, blisko ...
W jaki szary zmierzch, mówiłbyś długo, cichuchno
o tem, czem byłeś niegdyś, niegdyś, czem jesteś i co ci się
śni w niespane noce ...
Prawda ?

Jakże ci mnie brak!.. jak brak!
I duszy, i serca, i oczu pieszczących twoje oczy ...
Wiesz, że my już przeszli i milczenia tajnie najstra-
szeniejsze ...
Wiesz, że się go nie lękamy, lecz dążymy poprzez
życie ku czarze jego rozkoszy ...
I przenika cię żar tęsknoty ...
Ja wiem, ja wiem ... ja wiem wszystko ...

Ile wtenczas w tobie buntu, żalu, że mija to życie,
a ty nie mnie kochałeś wtedy!..

Dlaczego to nie ja byłam?..
Dlaczego?... a dziś — zapóźno, dziś nie pora, nie po-
ra już...

Zapóźno, na to życie, które uchodzi.

Zawcześnie na to, które nadejdzie.

Czekajmy...

Śmierć — ta najbliższa — już bliska.

Czekajmy...

Że mówię ci *ty* — nie dziwisz się, prawda?
Nigdy inaczej cię nie nazywałam, nawet, gdy wątpi-
łam, żeś mi *tak* bliski...

Chciałabym cię nazywać *ja*, byś w nazwie nawet był
mi najbliższy, najszczerzy...

Uśmiechasz się...

Razem jesteśmy, — my przecież jedno... Cóż, że
nas morza głów ludzkich dzieli?..

My jedno...

Ironia!..

Słuchaj, czy ty kochając *ja*, tę nieznaną mi *ja*, — na-
prawdę, naprawdę ją kochałeś?..

Tak, tak — wiem przecież...

Tak być musiało...

Ja musiałam przyjść zapóźno.

Oczy ludzkie otwierają się zawsze zapóźno...

To, co wiemy, wiemy zapóźno...

A ty, a ja — to jedno.

Zapóźno stanęłam ci w oczach, i w marzeniu zapóźno...

Ale przypomnij sobie ten gaj pełny blasku rosy roz-słonecznionej w tęczyodrżące klejnoty?

Przypomnij sobie toń wody modrej, i białe progi marmurowe, i wielkie kwiaty o oczach sennie zmrużonych, i nas zapatrzonych w siebie...

Byłeś — niebem.

Ja — byłam ziemią.

Przeniknął duch twój we mnie.

Dałam ci ciało moje i staliśmy się jednym światem.

Ile w tobie ziemi, tyle we mnie bóstwa twego...

Harmonia...

Pradawne to czasy.

Bajka?

A więc bajka.

Była ziemia. Był wiatr.

Wiatr pożądał ziemi.

Ziemię — wstrętem wstrząsał.

Rozkielznane poszepty żądz szarpały jego spokojność wieczorną...

Sama mi się odda, sama — marzył.

— Ciszo, raj, cudzie, kocham cię, kocham...

Szmerem tchu kolistego otaczał ciało ziemi...

Zbliżył ku niej gorące wargi i rozbłysnął jak słońce, najwspanialsze ze wszystkich słońc miłości...

Słuchała Ziemia szeptu, słuchała chciwie, nie wiedząc, czyje to wargi płomieniem ku niej płoną...

Otworzyła oczy mdlejące rozkoszą i nagle — ujrzała nagość swoją...

Zrumienił ją wstyd...

Wstyd nasunął jej srebrzyste włosy, jak świeżo zroszoną ruń, na piersi nagie...

Z oczu padły łzy dziewiczego sromu...

Tysiące fiołków zakwitło, a kolor źrenic jej miały, zapach — jej ciała.

Owinęły ją liliową mgłą blasku swego, i w zieleni włosów, z oczyma rośnemi, Ziemia gorzała nie dla niego. Kochała niebo. Czekala na kochanka swego, czysta w swojej nagości...

Wstyd ją okrył — przed wzrokiem żądy wiatru...

A jemu szarpnęły żyły drapieżne dłonie pożądania, zburzyły mu krew kłębem węzów zielonej zawiści...

Oddech jego świszczał, dyszał...

Palil spojrzeniem jej delikatną szatę, — włosy jej białe i szarzały, spopielone piekłem żądy jego.

Oszalała wściekłość rozpętał w sobie, patrząc na jej zgrozę, pełną pogardy... — Jak zwierz dziki, rzucił się na bezbronną...

Jak zwierz, opasał ją tysiącem ramion, cisnął w szaleństwie uścisków niepodzielanych...

Kąsał i szarpał jej ciało...

Wysysał oddech z ust omdlałych...

Zdarł w strzępy szatę jej liliową.

Ginął jej członki.

Wpił się w obłąkane jej oczy tysiącem błyskawic...

W zapamiętaniu uniesień wszechpotęgi rodzaju — runął na jej pierś młodzieńczą rozognionem cielskiem . . .

Odszedł...

Długo leżała w omdleniu ziemia obumarła...

Nagość jej świeciła wśród mroku światów jak lilia
biała, strącona przez huragan...

A gdy rozwarły się bolesne oczy Ziemi, ujrzała swe
łono rozdarte hańbą...

W górze — Niebo leżało zimne, zczerniałe...

Umarło.

Widziało zbrodnię i w niemocy rozpacznej — umarło.

Ostatnim wysiłkiem w przedzgonnej już odrętwiałości
rzuciło szatę swoją na nieszczęsną Ziemię...

Umarło.

A Ziemia, pod płaszczem kochanka, w bolesnej nędzy
i hańbie — zrodziła poczęte w gwałcie — Życie.

Bajka. — A więc bajka...

III.

Zamknijcie usta Ciszy!..
Wyrwijcie jej język gadzinowy!
Uciszcie ją...
Niech zmilknie ta wiedźma ohydna.
Niech się nie pastwi nade mną...
Dość... dość!..
Głowa mi pęka od straszliwych jęków tej straszliwej
Ciszy...
Wiję się, zrywam i padam bez tchu...
Aaaa!
Masz!
Masz — tak! Masz!
Sztylet — w samo serce...
Nie, to nie serce, to kamień.
Nie drgnęło nawet pod żarem nadprzyrodzonym roz-
palonego bólem żelaza.

Cóż znaczy, prawda, cóż znaczy mój ból, mój krzyk
śmiertelnej kazi?

Dla niej — Ciszy — to szmer opadającego listka róży
polnej...

Dla niej — Ciszy — to posiew rosy...

W zapamiętałej, zdrętwiałej bezsile rozpaczy, gwałcisz
sama siebie — Ciszo!

Nie słyszysz już nic...

Nic...

Gdybyś usłyszała jeden z tysiąca swych jęków krwa-
wiących, nieszczęsna Ciszo, w łzach litości spłynęłabyś
nad sobą.

Ogłuchłaś, Ciszo.

Nieszczęsna Ciszo!

Wszystkie bóle narodzin i śmierci światów — tych,
co przeszły — i tych, co się staną — w tobie pieklą się,
Ciszo.

Wszystkie je masz pod sercem, pod sercem z głazu.

W konwulsyjnie rozdartych szczękach twoich jeden
szatański skowyt i jęk — wiódźmo dusz czuwających...

Litości, nie mogę patrzeć w ciebie, Ciszo ukrzyżo-
wana...

Jad sączą twe wargi...

Jad twój palący kąsa i rozdziera mi piersi omdlałe
rozpaczą...

Uciszcie Ciszę!..

Spłynicie ku niej niewinne uśmiechy dzieci i małych
staruszek białych...

Opaszcie jej głowę umęczoną tchnieniem ust miło-
snych i miłujących...

Do niej, przeczyste rąbki lilij śnieżnych!..

Do niej spływajcie, lzy rozkoszy!..

Falujcie, ciała piękne i niepokalane...

Wiążcie się, kwietne kopuły aromatów...

Niech spocznie ta wieczna tułaczka...
Niech śpi, śpi — wieki.
Odpocząć, odpocząć — od jej strasznego ryku, od
klęski jej wrzasku.
Litości!..
Zamknijcie usta Ciszy...
Piekło z niej się toczy na Ziemię u nóg jej sku-
loną...
Zamknijcie te wargi bólem zczerniałe...
Litości!..
.....



Marya Zawiejska.

PEAN.

*Część duszy świata dał mi Apollo w len, —
Z istotą rzeczy spletał w mistyczny sen,
Na pianę życia rzucił z góry —
W dźwięki fal, w twardą stal, w gór marmury.*

*I związał mocą dziwną — a pewną tak,
Na tłumy zjawisk w boski wprowadził szlak,
W rozdziale ją połączył znowu —
W świata tło życie szło, dzięki słowu.*

*Po kres przestrzeni rozwiął ją lotną mgłą,
I łzą bolesną, ruchu pragnącą skłą
Na tętą złożył ją naturze —
I dał czar bożych mar widzieć w chmurze.*

*Lecz czuł Apollo w duszy wieczności mus,
Jej nieśmiertelność czuł w zmianie form i pór,
Więc część jej oddał wszechistoty:
Niby kwiat padł w nią świat czarno-złoty.*

STROFA SAFONY.

*Powiedz — czemu płatki róż tracą wonie,
Czemu jesień liśćmi mży ziemię czarną,
Czemu chmurnie tuli mgła dumne skronie
W tęsknię cmentarną?*

*Czemu dzwoni smutnie tak rozdźwięk duszy
W opalowy, jasny dzień mdłej jesieni?
Iskry, płamy, gamy farb wichur prószy,
Miecie wśród cieni?*

*Na podłożu błysków, barw — czemuż dusza
Tak uczuwa śmierci sen strojny w złoto,
Klingę noża skrytą w mgle pióropusza,
Rozkosz z tęsknotą?*

*I dlaczego jaźni dreszcz tak ją trwoży
Zgonem w ciemni, w wichru szum, gdy mży rosa
Ciężkich, brudnych kropel dżdżu śród przestworzy...
— Mów — czarnowłosa!*

STORNELLE.

Miłości cicha!
Jakże ten szczęśliw, w czyjem sercu gości
Twój boski powiew, — kto tobą oddycha,
Cicha miłości! —
Z opalowego dajesz pić kielicha
Ekstazy pełne zaziemskiej jasności.

Chuci namiętna!
Gdy orkan gorgon na serce się rzuci,
Krwawe, drgające wypala w niem piętna. —
Namiętna chuci!
Tobą pulsują szaleństw dzikich tętna
Tobie klą ludzie z spokoju wyrzuci.

JESIEŃ.

Cicha tęsknota późnej jesieni.

*Liście żółtkłe i szeleszczące
Wolno na ziemię spływają drżące — —*

*Umierającej smętnej królowy
Zgon w purpurowej złota czerwieni —
Zgon cichy, cichy — prosty a rzewny — —*

*Wśród żółtych płatków, uschniętych liści,
Widać koronkę gałęzi ciemną — —
Z osypujących złoto swe kiści
Morze kolorów leży przede mną —*

*Jak smutnie szumi pod moją nogą
To zeschłe morze, jak mi się mieni —
I w dal tęczową ściele się drogą,*

*Na którą żółtkłe, szeleszczące
Liście powoli spływają drżące — —*

Cicha tęsknota późnej jesieni.

ZWĄTPIENIE.

*Żem wiele wycierpiał, choć krótkie me życie,
Żem z duszą swą w boje szedł wciąż płomieniste,
Żem jest nad przepaścią w bolesnym zachwycie —
Zmiłuj się, Chryste!*

*Że stoję w zadumie nad dziełem stuleci,
Że zrywam się atom w przestwory gwiazdziste,
Że w duszy ciemnościach sto komet mi świcci —
Zlituj się, Chryste!*

*Żem padał znużony pod prawdy ciężarem,
Żem patrzył nie widząc w kryształach słów czyste,
Żem Ciebie nie odczuł w cierpieniu prastarem —
Zlituj się, Chryste!*

*Zlej w duszę łask światło na męczenników Taborze,
Bym w ziemię te blaski słał niebios świetliste,
Daj życie, lub weź je, — lecz całe, o Boże! —
Usłysz mnie, Chryste.*

Kazimierz Wroczyński.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Walka o snobów. Gdy świeży powiew europejskiej myśli minie roгатki warszawskie i uzbroi polemistów i dziennikarzy, wszczyną się gwarna i hałaśliwa bitwa przed forum znudzonych kobiet, gadatliwych wyrostków i gnuśnych, napólsennych pocziwców. Z szanów nowych idei eksplodowały niegdyś jak bomby nazwiska Spencera, Comte'a, Buckle'a, Malthusa, Darwina i Haeckla; hucmem następowały dewotki; a z okopów św. Trójcy grzmiały ciężkie działa obywatelskości, społecznego zdrowia i wszelakich cnót i obowiązków. *Coram indolentia publica* toczyła się dowcipna walka o ideały, ścierali się styliści, parując nawzajem plotkę, fałsz i oszczerstwo. Zwycięzcy (*oba obozy zwyciężają w takich rasach równocześnie*) zwycięzcy składają broń wtedy dopiero, gdy *indolentia publica* znuży się walką, gdy w arsenale zbraknie bomb, gdy zatrute strzały dziennikarskie obezwładnią lub zniechęcą tych, co w gwar bitwy nieśli z dobrą wiarą rzetelną wiedzę i prawdziwy talent. Filozofia, nauki społeczne, a przede wszystkim wiedza przyrodnicza, wywiązawszy się znakomicie z roli publicystycznej tarczy i oręża, zakończyłyby pełny chwały żywot swój u nas, gdyby nie rozpaczliwe wysiłki garstki nieznanych ogółowi specjalistów, którzy poprzez hałaśliwą lecz jałową epokę walki, sięgnęli wstecz i próbowali nawiązać zerwane w początkach wieku nici. Bo w gwarze walki zapomniano bodaj i o tem, że przed tak niedawnymi stosunkowo czasy żyliśmy, jak każdy naród oświecony, nauką i sztuką równocześnie. Dziś wydaje się ludziom, że mała garstka tych, co swe życie sztuce poświęcili, — zgniebić pragnie naukę! — Publiczność, rozochociona widowiskiem walki, nudzi się w czasach spokoju, wyrzeka na oportunizm zapasników, na brak zapalnych podniet, czyli wielkich hasel, na bankructwo ideałów i nauki; pragnie polemiki bodajby kosztem myśli, łaknie

dziennikarskich *circenses*, grożąc w przeciwnym razie gnuśnem i tępem zubożeniem na wszelkie objawy duchowego życia.

To „zdiennikarzenie” społeczeństwa pragnie z kolei wprowadzić i nas na arenę. Już się snoby po amfiteatrach roją, już sobie obiecują widowisko, już gotowi klaskać, gwizdać, szczuć jednym przeciwko drugim.

Tym razem zawiodą się gorzko. Stokroć ważniejszą niżli wszelkie polemiki, wydaje nam się konieczność rozjaśnienia atmosfery wokół siebie, rozejrzenia się wśród naszych przyjaciół, oraz tych, co za nich uchodzić pragną.

Po smutnym typie *struggle-lifera*, któremu było wygodnie z teorią walki o byt, z Darwinem i Malthusem, z patosem hasła „pracy u podstaw,” — zjawił się oto typ nowy.

Artysta symulant, ten obrotny rzemieślnik, żądny popularności, a chciwy użycia—to najweselsze dziecko owej sztuki, dla której geniuszem jest lekkonogi Hermes, muzą — Venus vulgivaga, wyrocznią — dzień dzisiejszy. Kto nie zna tych zwinnych, skrzętnych, na wszystkie strony zezujących i wszędzie szukających sympatii — artystów? Nade wszystko skrzętnych? Kto nie zna tych, co mają przyjaciół przy każdej rogatce, protektorów w każdej sferze towarzyskiej, w każdym piśmie swych życzliwych, swoje warszawianki w każdym salonie, i na każdej ulicy co najmniej jedną alkowę z wielbicielką talentu? Panowie ci bywają zawsze kwintesencją czasu, o ile atmosferę jego wchłonąć można na ulicy i w salonach; są ekstraktem nowych prądów, o ile w wionie je do uszu gazeta lub moda. Są tak doskonale „w stylu...” tak znakomicie „à la...” że służą recenzentom za freblowskie wprost pokazy w ich prelekcjach o sztuce. Dzieje się to dla bardzo zrozumiałego powodu: szerokie koła wolą od nowej myśli i indywidualnych usiłowań, zmuszających bądź co bądź do zastanowienia, — ich karykaturę, dającą miłe poczucie wyższości i pozwalającą przy tanim nakładzie wiedzy i inteligencji odnosić łatwe zwycięstwa, lub, co dziwniejsza, z tą karykaturą jako z rzeczą bądź co bądź przystępniejszą zawierać ugodowe pakt. Przypuszczalny chorąży „nowego kierunku” pokonywa tymczasem snobów, którzy codziennymi pogromami waszak żyją i żyć pragną, i z tą armią ciągnie na sceptyków, którzy jako nieobecni mogą być uważani za pokonanych. Wreszcie czeka go główna batalia z filistrem. Czyż indywidualny motyw, przetransponowany na jaskrawy i kompromisowy efekt, stacza walkę z całkowitą indolencją: zwycięża oczywiście efekt. — I tak oto po bezkrwawej wojnie tryumfuje —

„kierunek.“ Oczywiście kierunek! — artysta symulant zawsze walczy w imię nowego kierunku, w imię „stylu...“, na chwałę „à la...“ ponieważ *on* sam nic nie przedstawia, ponieważ *w sobie* niema nic tylko nic takiego, co by zwyciężać potrzebowało i mogło, lecz nawet nic, z czemby walczyć było można.

Takimi są popularni chorążowie secesyi i modernizmu, równie secesyjni jak dekoracje modnych kawiarni, równie modernistyczni jak okładki na książkach nowych firm wydawniczych, równie przystępni jak wszystkie płaskości repertuaru nadsceny, równie popularni jak proklamowana i w zaczątkach już będąca *Localkunst*, równie niezmordowani jak pp. Bierbaum, Wolzogen i inni „pstrych teatrów inicjatorzy.“

„Trzeba z żywymi naprzód iść!“ — słychać wokół artysty symulanta. Złośliwe echo powtarza niesmacznym akcentem przezorne: „Naprzód z młodymi trzeba iść!“

Gdy ze wszystkich barwnych kwiatów puszek efektu został zebrany, nektar popularnych sensacyj doszczętnie wypity, nawraca się artysta: w wehikule, który go niósł, niema już nic do roboty. Z rozmachem życiowca skacze we wprost przeciwną stronę, w skutek czego, siłą bezwładu, runąć musi nieraz na ziemię. Nazywa się to: artysta znalazł wreszcie siebie, prawdopodobnie dla tego, że ustawicznie uganiając się za cudzemi cieniami, nakrył wreszcie swój własny.

Jest i drugi typ artysty symulanta, daleki od bezpośrednich widoków praktycznych, a więc znacznie sympatyczniejszy; — człowiek temperamentu i życiowej energii. Wywiązuje się bardzo poprawnie ze swych robótek, jest przytem pełen zapału i ognia w sprawach dotyczących kierunków, celów i ideałów sztuki, podnosi tyle wrzawy, gwaru i kurzu wokół siebie, że gotów sprawić wrażenie człowieka, który rozpaczliwie czegoś szuka. Dziś go porywa głębia da Vinciego, jutro zwycięża potęgą Michała Anioła; zrana jest spokojnym, jasnym i krzepkim grekiem, po obiedzie przeczulonym i łagodnie zmysłowym prerafaelita, po kolacyi błąka mu się po głowie Fragonard, po winie Rops, po likierach Przybyszewski, a po tak spędzonym wieczorze wśród bezsennej nocy trapią go wizye Goyi. Ale to wszystko nie ma nic wspólnego z jego pracą, — temperament artysty wyładował się doszczętnie w słowach, sprzeczkach, krytykach i projektach: dzieła zostają po staremu bardzo poprawną, bezosobową robotą, bez śladu dążeń w jakimkolwiek kierunku, bez najlżejszych prób pogłębienia swej pracy uczuciem i myślą. Da Vinci

z Fragonardem, Michał Anioł z Ropsem, prerafaelici z Goya, Helleni z Przybyszewskim poszli spać; indywidualność, o której się z takim łaskotem rozprawiało, wytarła się w słowach, postrzępiła w sprzeczkach, rozwiała w krytykach; do pracy niestarczyło jej wcale.

Jest to artysta czy filozof wypowiadający się jak Sokrates — przy winie wyłącznie; typ twórcy — pofajerantowego.

Jest to tragedia filistra rewolucjonisty, o ile dla filistra bywają tragedye, i o ile rewolucjonista przyzna się bodaj przed samym sobą do filisterstwa. Jakkolwiekby, na tej drodze dochodzi filister najłatwiej do symulacji, zaczyna się sobie podobać w groźnej roli rewolucjonisty, lubi być czerwiejszym od swego sztandaru, bywa *plus Tartarin que Tartarin de Tarascon*.

I to są także heroldzi secesyi wraz z modernizmem, równie secesyjni jak miejscowi gaduli o sztuce, równie modernistyczni jak były „Strumień“ (z nielicznymi wyjątkami co do treści i współpracowników) i jak wszyscy debiutanci dramatyczni (ci w czambuł należą do krańcowych modernistów, prawdopodobnie z racyi kontrastu do archaizmu naszego repertuaru), równie popularni i wytrwali bojownicy jak pan Bahr w Wiedniu, jak pani Laura Marholm na północy, jak podobni tym francuzi, czy holendrzy, czy skandynawi.

I ci się nawracają siłą tej konieczności, z jaką człowiek na swej wewnętrznej, najistotniejszej prawdzie w życiu skończyć musi. Ten rozłam upodobań z przyrodzonymi skłonnościami, sam przez się nie logiczny, długo trwać nie może; niepodobna w atlasowych pantofelkach Pierrota czy Kolumbiny pisać lekko przez całe życie wokół tych ciernistych ścieżek sztuki, na których inni bose nogi krwawią. — I oni się nawrócą, to jest, właściwie pozostaną tem, czem byli, tylko w miarę jak młodość i temperament opuszczają ich zacząć, opadnie i ten zapal do spraw dotyczących kierunków, celów i ideałów sztuki. Celem ich i ideałem stanie się oczywiście to, co przy wrodzonych skłonnościach osobiście osiągnięciem być może, na wszystko inne zacząć spojrzeć z tak bardzo zrozumiałym i tak łatwo nawet wybaczalnym wówczas sceptycyzmem.

Nazywa się to: artysta znalazł wreszcie siebie, ponieważ kręcąc się zupełnie zbytecznie na miejscu, na temże miejscu, na którym stał od dawna, położył się wreszcie spać — na laurach oczywiście. Te były już oddawna gotowe.

Jest wreszcie cała falanga symulujących, po salonach, rautach i buduarach, już nie artyzm, lecz zamięlowanie do niego, ta pospolita rzesza estetyków symulantów, głęboko przekonanych, że muzy ze

szczególną lubością usługują sytym, próżnym i wykwintnym, wykwinntym na zewnątrz. Są nawet kobiety, co na ten tonik artyzmu nastroiły swe nerwy seksualne. O nich mówićby wprost nie warto, gdyby nie dziwny objaw zawiści, jaki wywołują w pewnych sferach ci nasi na razie (niestety!) zwolennicy. „Nastaly czasy na kwiaty, społeczeństwo rzuciło się ku estetyce“ (!). Tych zwolenników odstąpić gotowiliśmy każdemu, co się po nich jawnie i bez wstydu zgłosi. Będziemy najszczęśliwsi, kiedy nastaną dla nich mody i czasy na inne nowinki. Tem łatwiej porozumiemy się z tymi, do których jedynie zwracać się pragniemy.

Tak więc, przyjaciele nasi, słowa nas nie powiążą, zwłaszcza tak wytarte jak secesya i modernizm. Połączyć nas może tylko sztuka, — ta jedyna i wieczna, co nie zna kierunków i hasel, lecz tylko twórczą moc i głębię artysty, który na niej swoje piętno wyciska, sztuka poczynająca się nie z prądów dzisiejszego dnia, lecz z twórczej potrzeby jednostki, sięgająca w głąb jej duszy po indywidualne źródła poezyi i artyzmu, sztuka dojrzewająca w samotności, bez której twórcy niema, i przy rzetelnych darach rzetelną wypowiadająca się pracą. Więc w pracy tylko spotkać się możemy, po jej owocach poznać się i ocenić wzajemnie. A na to nie trzeba koniecznie za ręce się trzymać, niekoniecznie trzeba się skupiać w jednym salonie czy w jednym czasopiśmie. Po przez dalekie kraje i obce mowy, po przez drobiazg osobistych niechęci, wbrew drażnieniu dziennikarzy i szczuciu polityków, a więc wbrew nienawiściom plemiennym, rasowym i narodowym, tacy ludzie poznają się i oceniają wzajemnie. Lecz jeśli gdzieś w głuchym zakątku zapragnie mała garstka swe najskromniejsze bodajby, lecz rzetelnie podjęte usiłowania zanieść pod ten wieczny znicz sztuki, jeśli na samym początku, przy pierwszych krokach spotka się z gniewnym pomrukiem sąsiadów lub arcywymownem ich milczeniem, jeśli z pomruków tych czy niemoty wylaniać się poczną po kątach ciche zaklęcia, że zniszczy się te usiłowania, jeśli się sąsiedzi gdzieś po kątach zaroją, denuncyując sobie wzajemnie na ucho, że oto są ci, co wnoszą rozkład obyczajowy w smutek naszego życia, wówczas ta garstka podać sobie musi na chwilę ręce, lecz na to tylko, by w gnuśnej atmosferze czcigodnej obłudy i szlachetnego fałszu wywalczyć prawa jednostce, jedności twórczej.

*Nicht zum Guten, nicht vom Bösen
Wollen wir die Welt erlösen,*

*Nur zum Willen, der da schafft —
Dichterkraft ist Gotteskraft!*

Po za tem, życie plynie bądź co bądź i u nas szerokiem korytem, niosąc i inne zagadnienia, na które każdy z osobna rozmaicie zapatrywać się może. Lecz wszystkich tych, którzy w rzeczach twórczości cośkolwiek mają wspólnego, łączy wiara, że na owym zniczu sztuki płoną trwalsze od miejsca, czasu i sąsiedzkich zapatrywań, niezależne, najistotniejsze i wieczne pierwiastki życia.

Tredecim.

SZTUKI PLASTYCZNE.

W ostatnich 8 — 10 miesiącach, ruch w dziedzinie sztuk plastycznych wzmógł się u nas imponująco. Wprawdzie do głoszonego (i oplakiwanego rzewnie) przez prasę „rozestetyzowania całego społeczeństwa“ bardzo jeszcze daleko, wprawdzie zjadła reakcja różnych „nierozumiejących“ elementów doby wczorajszej harcuje właśnie w najlepsze, w parze z godnie jej odpowiadającym snobizmem bezmyślnym, wprawdzie wiele najpiękniejszych zapoczątkowań znajduje się dopiero w stadium próby, dążenia, wysiłku, i udaremnia się niejednokrotnie lub deformuje pod nieprzyjemnymi wpływami, — ale, bądź co bądź, zatęchłą atmosferę artystyczną przebiegło świeże, ożywcze jakies tchnienie, a wśród całego szeregu dobrowolnych objawów są i takie, którym epokowe wprost znaczenie z góry przypisać można. W rzędzie tych ostatnich zwrócić dzisiaj chcemy uwagę na dwa fakty z zakresu szkolnictwa artystycznego: ministerium Najwyższego Dworu zezwoliło na otwarcie projektowanej w Warszawie szkoły sztuk pięknych, a jednocześnie prawie reforma t. zw. średnich zakładów naukowych, ze względu na niezmierną doniosłość wychowawczą rysunków, uczyniła je przedmiotem obowiązkowym i, co ważniejsza, uznała za konieczne, aby nauczycieli tego przedmiotu rekrutować wyłącznie z osób posiadających należyte wykształcenie artystyczne. Ogromnego znaczenia miejscowej szkoły sztuk pięknych niepotrzeba prawie objaśniać. Daje ona możliwość kształcenia się pod swoim niebem, wśród swojej przyrody, i pozwala adeptom sztuki łatwiej „pozostać sobą,“ aniżeli podczas studyów wśród zupełnie obcego otoczenia. Usuwa potrzebę zbyt wczesnych wyjazdów za granicę, co zwykle prowadzi olśnionych znajdowaną tam brawurową techniką wędrowców do niewolniczych naśladownictw. Skupia wreszcie na

miejsu grono ludzi (zarówno profesorów i uczniów) oddanych tylko sztuce, klnących się tylko na sztuce, mówiących i myślących tylko o sztuce, i wytwarza przez to istotną, od obcych przymieszek wolną atmosferę artystyczną, która pomału oddziaływa na całe społeczeństwo, uszlachetnia jego wrażliwość, kępuje zbyt „swobodne” sądy i wprowadza w traktowanie kwestyj, spraw i dzieł sztuki należną powagę. Dzieje się to wszakże tylko wtedy, gdy szkoła jest szkołą, nie zaś siedzibą takich czy innych doktryn. Chodzi zatem tylko o jedno, aby założyciele szkoły i wogóle członkowie komitetu mającego obierać kandydatów na kierowników artystycznych nie uważali tej chwili za odpowiednią do ujawniania jakichś anti-nowo-kierunkowych tendencji, lub do propagowania czy to sentymentalnej czy też sformułowanej przez pewnego krytyka „gnojówkowej” swojszczyzny. Szkoła nie zna żadnych kierunków, zna tylko zdolność lub niezdolność, a dobrym nauczycielem jest jedynie ten, co, pomijając wszelkie -izmy, najskuteczniej pomaga uczniowi do odnalezienia *siebie samego*, swojej najgłębszej istoty, do widzenia po swojemu i po swojemu wcielania tej wizji. — Artystycznie prowadzona nauka rysunków w t. zw. średnich zakładach naukowych niemniejszej jest wagi. Ma ona na celu nie wychowanie artystów, lecz wyrabianie wśród ogółu zdolności do odczuwania sztuki i piękna. Powszechny dzisiaj brak smaku, oraz wybitna gruboskórność estetyczna mas, nawet inteligentnych, są niewątpliwym rezultatem zupełnego w ciągu ostatnich lat 50-ciu zaniedbania tej strony w wychowaniu. Smak i wrażliwość na piękno są w części tylko darem natury, w drugiej zaś, może znaczniejszej, owocem należytego pielęgnowania zadatków wrodzonych. Kultura odpowiednia rozwija je wspaniale; bez kształcenia zaniknąć mogą zupełnie. W krajach niektórych, np. we Włoszech, poczucie estetyczne wyrabia się mimowiednie, pod wpływem otoczenia, niezwykle harmonijnej przyrody i co chwila rzucających się w oczy zabytków wielkiej sztuki. Gdzie tego brak,—tem większy kłasek trzeba naciskać na świadome i celowe wychowanie estetyczne, i to od lat młodszych, póki wszystko żywiej i łatwiej „drugą naturą” się staje. To tylko, to jedynie może powstrzymać szerzącą się zarazę snobizmu, położyć kres pysze gruboskórców estetycznych, chlubiących się niejednokrotnie swym analfabetyzmem w tym kierunku, i zwiększyć poczet, zbyt dzisiaj nielicznych i wyosobnionych, szczerych, istotnych, gorących miłośników sztuki. — Oba te fakty: powstanie specjalnej szkoły sztuk pięknych i zwrócenie uwagi w szkołach średnich na kulturę estetyczną, są właściwie posiewem na przyszłość, którego znaczenie kiedyś dopiero w całej pełni da się ocenić. Dzisiaj już

wszakże, przed ostatecznem urzeczywistnieniem i planowaniem, mają one wagę jako dowód zbudzenia się pewnych drzemiących do niedawna potrzeb i pragnień, które zaspokoić było ich celem. Zwłaszcza zaś założenie szkoły sztuk pięknych, jako rezultat inicjatywy i ofiarności prywatnej, wprowadza nas, przez tę mecenasowską cechę swoją, w dziedzinę objawów rosnącego zainteresowania sztuką wśród osób poza sztuką stojących. Zainteresowanie to najrozmaitsze przybierać może postacie: kolekcjonerstwa dzieł sztuki, pomagania kształcącym się artystom, wielkich realizacyj artystycznych, opieki nad zabytkami sztuki dawnej, dążeń wreszcie do uartystycznienia nawet przedmiotów codziennego użytku. We wszystkich tych formach i rodzajach doba ostatnia godne najbaczniejszej uwagi przyniosła zjawiska — i nie mi to, oraz ożywieniem niezwykle wśród artystów i w instytucjach sztuce poświęconych, zajmujemy się w przeglądzie następnym.

Z. P.

KSIAŻKI NADEŚLANE.

POEZJA. — Stanisław Barącz. *Impresye*. Księgarnia Polska. Lwów. — A. O. *Stare Miasto. Obraski z niedawnych lat*. J. Fiszer. Kraków. — Leopold Staff. *Mistrz Twardowski. Pięć śpiewów o czynie*. Księgarnia Polska. Lwów. — Józef Sładek. *Urywki postyczne*. Przekład Konrada Zaleskiego. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

POWIEŚĆ. — Jan Augustynowicz. *Pociągnięcia pędzłem*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — René Bazin. *Rodzina Oberlé*. 2 tomy. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa. — Wanda Grot-Bęczkowska. *W szponach*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — G. Daniłowski. *Z minionych dni*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — Sewer. *Wybór pism. Jedna noc w Londynie. Pan Piotr*. Nakład „Wędrowca.” Warszawa. — Sewer. *Wybór pism. Głódowa pożyłka. Pozytywiem w praktyce. Nice*. Nakład „Wędrowca.” Warszawa.

TEATR. — J. Łuszczewski. *Janusz Korczak*. Dramat w 3 aktach. Friedlein. Kraków. — Maurice Maeterlinck. *Théâtre*. 1-er vol.: *La princesse Maleine. L'intruse. Les aveugles*. 3-me vol.: *Aglavaine et Selvysette. Ariane et Barbe-Bleue. Soeur Béatrice*. P. Lacomblez éditeur. Bruxelles. — Jan Zakrzewski. *Ananka*. Dramat liryczny. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

STUDYA LITERACKIE I ESTETYCZNE. — Antoni Jasiński. *Przodownica sztuk plastycznych. Studium*. Skł. gł. u Wendego. Warszawa. — Ignacy Matuszewski. *Słowacki i nowa sztuka. Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej*. Gebethner i Wolff. Warszawa. — Jerzy Żulawski. *Prolegomena. Uwagi i szkice*. Towarzystwo wydawnicze. Lwów.

HISTORIA. — Karol Szajnocha. *Jadwiga i Jagiełło*. Część III i IV. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa.

PAMIĘTNIKI. — Aleksander Wybranowski. *Ongi w dworach i dworach szlacheckich*. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa.

HERALDYKA. — Adam Boniecki. *Herbars Polski*. Część I. Tom IV, zes. 3-ci. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

NAUKI FILOZOFICZNE. — Emil Boutroux. *Pojęcie prawa przyrody w nauce i filozofii społecznej*. Przełożył Wł. Spasowski. Przedmowa Ad. Mahrburga. Nakł. E. Wendego i S-ki. Warszawa. — Jan Mazurkiewicz. *Andrzej Towiański. Studium psychologiczne*. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

PODRÓŻE. — Jan Grzegorzewski. *Z pod nieba wschodniego. Nowele i fragmenty z podróży*. Towarzystwo Wydawnicze. Lwów.

ANTOLOGIE. — Julius Zeyer. *Myslenky*. Se spisu básnikových vybrala Marie Kalasova. Nakł. F. Štímaczka. Praha.

VARIA. — Klebs, Lepsius, Meynert, Bouchard, Weigert. *Zagadnienia z medycyny i nauk przyrodniczych*. Pięć odczytów zebrał i spolszczył Dr. W. D. Moraczewski. Lwów. H. Altenberg. — Pierre Leroy-Beaulieu. *Nowe społeczeństwa anglo-saksońskie*. Tłómaczył Klemens Podwysocki. 2 tomy. Bibl. Dz. Wybor. Warszawa. — Stanisław Piotrowski. *Wspólna własność ziemska w gminie wielkorosyjskiej. Studium ekonomiczne i społeczne*. Nakł. księg. E. Wende i S-ka. Warszawa.

CZASOPISMA NADESŁANE.

MERCURE DE FRANCE. (Paris). Novembre, décembre, 1901. — Fr. de Miomandre: *Remy de Gourmont*. — A. Rivoire: *Caresses*. — M. Gorki: *les Fermiers d'argent*. — E. Dujardin: *Petits poèmes d'autrefois*. — L. Bloy: *Exégèse des lieux communs*. — V. Joor: *le Giron d'Antoine Watteau*. — L. Delarue-Mardrus: *Visions*. — Rachilde: *Leur Vœu*. — M. A. Leblond: *Leconte de Lisle 1870 — 1871, la fin de sa vie*. — G. Danville: *l'Amour magicien*. — A. Beaunier: *Francis Vié - Griffin*. — Em. Verhaeren: *l'Art*. — H. de Régnier: *l'Amour et le plaisir, histoire galante*. — Stuart Merrill: *Trois poèmes du crépuscule*. — Dr. A. Prieur: *La science et le théâtre*. — Ch. Guérin: *les Nymphes de la Forêt*. — R. de Bury: *l'Almanach des Muses pendant la Révolution*. — L. Dumur: *Un coco de génie*. — Revue du mois.

MODERNI REVUE. (Praha). Říjen, listopad, prosinec 1901. — W. G. van Nouhuys: *Egídius a cistnec*. — Milosz Marten: *Mimo dobro a slo*. — Remy de Gourmont: *Moralka lašky*. — Arthur Machen: *Velký Bůh Pan*. — J. K. Huysmans: *Obluda v umění*. — J. Hilbert, St. Neumann, J. Holy, Viktor Dyk, Karel Toman, Ot. Brzezina: *Basnie*. — J. Holy, V. Dyk, K. Srde, O. J. Bierbaum: *Satyricon*. — *Měsíční hřídká*. — *Kronika*. — *Nové publikace*. — J. Aarts, J. Szir, H. Steiner, Steinlen: *Kresby a litografie*.

THE OUTLOOK. (London). № 198—204. 1901. — *Stylists in Paint*. — *The revival in english classics*. — *Mr. Kipling at Kamakura*. — *Robert Louis Stevenson*. — *The lotus eater*. — *The successor of Tennyson*. — 200 „*Novels of the year*.” — „*Patti, Patti*.” — *The two Shakespeares*. — *Constable the modern*. — *Midnight music*. — *Verses*. — *Short stories*. — *Reviews*. — *Literary Gossip*. — *A first glance of new books*.

PRZEGLĄD FILOZOFICZNY. (Warszawa). Rok IV, zeszyt 4. 1901. — Prof. Dr H. Struve, Ka. prof. I. Radziszewski, prof. dr. M. Straszewski, dr. W. M. Kozłowski, dr. J. Kodisowa, dr. W. Heinrich: *Co to jest filozofia*. — *Książki nadesłane* (bibliografia).

LA RASSEGNA INTERNAZIONALE. (Roma). Ottobre, novembre, dicembre 1901. — L. Zuccoli: *Agli amici del grigio, Uomini e fatti della vita italiana*. — D. Angeli: *Enrico Coleman, Onorato Carlandi*. — I. M. Palmarini: *l'Arte di Giotto*. — R. Pantini: *I problemi della vita*. — J. L. Pagano: *Jacinto Verdaguer, Angel Guimerà, Letteratura ispano-americana*. — E. Sansot-Oriand: *Jean Moréas*. — L. d'Ambra: *Il nuovo libro di Octave Mirbeau, Il nuovo romanzo di Paolo Bourget*. — R. Forster: *Molto strepito per... qualche cosa, Nouvelles conversations avec Eckermann*. — Jolanda: *Il vincitore*. — P. Hortal: *Il regionalismo in Francia*. — C. Le-

vi: *Cronaca drammatica*. — V. Fica: *Aubrey Beardsley*. — A. A. Bernardy: *Aurea consurgens Roma*. — R. de Gourmont: *Deux libri d'amore*. — L. Capuana: *Forse occulte*. — Cistiakov: *Caccia al lupo nella steppa*. — G. Natali: *La Critica del Leopardi*. — F. Sirola: *Rassegna tedesca*. — E. Corradini: *Del teatro stabile e dei comici*. — A. Beltramelli: *Giovanni Pascoli*. — G. Gerolai: *Candia all'epoca veneziana*. — A. Mori: *Charis e Marmar*. — Evelyn: *Studi critici di Ouida*. — O. Giglioli: *Kate Greenaway*. — E. A. Masino: *Carminé*. — G. Eekhoud: *Rassegna belga*. — G. d'Annunzio: *Francesca da Rimini*. — U. Ojetti: *Morale vecchia e giornalisti nuovi*. — Sem Benelli: *La "Francesca" di G. d'Annunzio*. — R. Lothar: *Teatro tedesco*. — *Appunti bibliografici. Notiziario generale*.

THE REVIEW OF REVIEWS. (London). Sept., oct., nov., dec. 1901. — „The eternal city.” — A Rabbi at Oberammergau. — The future of the english language. — The latest Kipling. — An unpublished poem by Robert Burns. — Robert Louis Stevenson's life. — Rudyard Kipling's „Kim.” — The voyage of Ithobal. — The revival of phrenology. — Mr. Henley on „Lewis” Stevenson. — The romance of art and poverty. — „Anticipations” by Mr. H. G. Wells. — Art in the Magazines.

LA REVUE DU BIEN. (Paris). Novembre, décembre 1901. — E. des Essarts: *Hellénisme*. — H. Mazel: *Les trois rois*. — G. Vanor: *Sur Henri Heine*. — M. Legrand: *Poèmes d'Henri Heine*. — P. Stapfer: *Le bien et le beau*. — J. Bonnefon: *Solidarité intellectuelle*. — *Bibliographie. Illustrations*.

REVUE FRANCO-ITALIENNE ET DU MONDE LATIN. (Naples). Décembre 1901. — *Une lettre de Théophile Braga*. — E. Gorra: *François Villon*. — J. P. Guerrero: *España contemporanea*. — P. Gourmand: *L'union panlatine*. — X. da Cunha: *Luz aurea*. — A. Ferrer: *Domenico Morelli*. — G. Potée: *L'espoir*. — Gr... aeculue: *Littératures latines modernes*. — *Portugal et Brésil*. — P. Durel: *Nonce Casanova*. — R. B. Binda: *Scvolassa*. — Ph. Lebeague: *Le poète Lambros Porphyras*. — L. Porphyras: *Les navires*. — *Chronique des lettres latines (Italie, France)*. — *Dans les revues*.

SRDCE. (Žamberk). Ržijen. 1901. — J. z Wojkowicz: *Vecserni píseň*. — Ot. Theor: *Karla*. — J. Opolsky: *Na pouští*. — M. Marten: *O otasce českého romanu*. — A. Venig: *Impromptu*. — O. Zenith: *Milenka*. — J. Naměstek: *Budhovy sochy*. — Em. szl. z Leszebradu: *Nassi moderní kritické*. — K. Botek: *Zbytcany život*. — K. R.: *Proti t. sv. kroacym romanum*. — *Kritika*. — *Literatura*. — *Divadlo*. — *Morava*. — *Slezsko*. — *Slovensko*. — *Drobné spravy*. — *Bibliografické spolupracovníku Srdce*.

SLOVANSKY PRZEHLÉD. (Prahá). Ržijen, listopad, prosinec 1901. — Fr. Kvapil: *Z nové poezie polské: Antoni Lange*. — P. Maternova: *Z nové poezie ruské. N. M. Minekij. D. S. Merežkovskij*. — M. Zdziechowski: *Ioan Maturanica jako lyrik*. — Szt. Radić: *Nejdokonalejší představitel slovanské myšlenky (Jirí Kristanid)*. — Ig. Horzica, Kom. Zawiliński: *Ke sporu česko-polskému v Těšinsku*. — J. Polivka: *Ke sporu česko-polskému v Těšinsku*. — *Dopisy: z Petrohradu, z Poznanie, z Krakova, z Chorvatska, z Bulharska, ze Slovenska, z Lutice, z Londyna, z haličské Rusi, z Korutan, z Krajiny*. — *Rozhledy a spravy: Slovane severozápadní, Slovane východní, Jihoslovane*. — *Posudky a osnomy*. — *Vyobrasení*.

THE SPECTATOR. (London). N 3327 — 3335. 1901. — *Stevenson's personality*. — *Mr. Munby's Poems*. — *Miss Benson's Animal Stories*. — *Superstitions of the Scottish Highlands*. — *The Annals of literary Judgment*. — *Dreams and their Meanings*. — *Modern Mexico*. — *The last of the old Impressarios*. — *Current literature*. — *Publications of the week*.

TYGODNIK ILLUSTROWANY. (Warszawa). N 43 — 52. 1901. — W. Sterozewski: *Jang-Hun-Tsy*. — Sewer: *W lesie*. — Wł. Beiza, K. Gliński, W. Gomulicki, Adam

M-ski, Orkan, Or-Ot, Selim: *Poesye*. — W. Trojanowski: *Wykstaicenie artystów*. — Ign. Matuszewski: *Krytyka koleżeńska i zawodowa*. — *Kroniki Sprawozdania. Ryciny*.

WISŁA. (Warszawa). Wrzesień, październik 1901. — Wł. Olechnowicz: *Rasy Europy*. — St. Sawicka: *Opis wesela w Biedrzychowie*. — Prof. J. Kral: *Najnowsze kierunki badań mitologicznych*. — St. Zdzisłowski: *Skarby tatrzańskie*. — Wuk Stefan Karadzić: *Pieśni serbskie*. — Z. Weyberg: *Muzeum tatrzańskie im. Chałubińskiego*. — *Poszukiwania*. — *Przegląd czasopism*. — *Drobiazgi ludoznawcze*. *Różne wiadomości. Bibliografia*.

ZVON. (Praha.) 1901. Říjen — prosinec. Svezity 1-7. — A. Jirasek: *U nas*. G. Preissova: *Podjesernické sny*. — K. Leger: *Trstí svadlenky*. — Zikm. Winter: *Amnestie na chvílku*. — Fr. X. Svoboda: *Povídka o lehém srdci*. — J. Chalupský: *Hudba barev*. — J. Korzenský: *Hostem u českého krajana ve Vladivostoku*. — K. V. Hájek: *Dobry člověk*. — M. Jahn: *Bolest*. — V. Hugo: *Z knihy: Post-scriptum de ma vie*. — J. Borecky, S. Bouszka, A. Breska, K. Czervinka, C. Duszek, X. Dvorzak, I. Geisslova, A. Heyduk, B. Jarovec, R. Jesenska, B. Kaminsky, A. Klaszterský, H. Pilbauerova, F. S. Prochazka, K. Rasver, M. Silen, A. Szkamp, J. Vetterovský, J. Vrchlický: *Básně*. — *Literatura*. *Díadlo*. *Hudba*. *Výtvarné umění*. *Tyden*.

VARIA.

„Stara, barbarzyńska Japonia...” — Warszawa pomściła Europę. Niech znają naszych! — „Uroczy” kraj „wschodzącego słońca” długo tonął w barbarzyństwie. Wielki przewrót w drugiej połowie ubiegłego wieku dał mu demokrację, militarizm, dążności zdobywcze — i wogóle smak do wszelakich słodczy „cywilizacji” europejskiej. Maluczko, a Japonia zeuropeizuje się nawet w sztuce, będzie miała w malarstwie swoich Bouguereau, w dramacie swoich Sardou, Sudermannów i Hauptmannów. I któż wtedy nie nazwie braćmi tych kosookich? — Cóż, kiedy — właśnie w chwili gdy oni rozwijają się tak pięknie — w Europie naszej „znajdują się usłudni” (jacyś Goncourt'owie, Duret'owie, Gonse'owie i nawet, o zgrozo, poważni, akademiczni Larroumet'owie) i poczynają „na olbrzymich trąbach reklamy” grać na cześć minionej, barbarzyńskiej epoki Nipponu, wysławiać, naprzód, te pstre papierki, które zwyczajko niby współzawodniczą z naszymi wielkimi płótnami w świecących ramach, a potem rozpyływać się w „czułościowych zachwytych” nad „karykaturalnymi, kuglarskimi jasełkami” teatru japońskiego. Naturalnie, do tych blagierów i reklamarzy paryzkich przyłącza się zaraz „garstka przesyconych kulturą i tęskniących za barbarzyństwem naiwnem modernistów” (których nazwisk znający ich dziennikarz za żadną cenę nie wyjawia), zaczynają po wszystkich krajach brzmieć peany i dytyramby na cześć Sady-Yakko, Kawakamiego, „Kesy,” „Gejszy i Samuraja,” u nas nawet zjawia

się pan (i to nie modernista, owszem bardzo miły i *tout-à-fait mangéable* wróg metafizyk), który uparcie powtarza: „ja kocham i wielbię japończyków; czy wiecie, że JA kocham i wielbię MOICH braci japończyków?” — i biedna Europa, lękając się, by jej nie nazwano „mamucią” lub „mydlarką,” daje się porwać tym głosom, a choć pocichu wzdycha do „bardziej wzruszających” Sudermannów i Hauptmannów, głośno nie śmie zaprotestować przeciwko „kultowi egzotycznego barbarzyństwa.” Sada-Yakko, po tryumfach paryżskich, zjeżdża do Wiednia, który, marząc nieustannie choć nadaremnie o rywalizacji z nadsekwańską stolicą (Naa, sagen sie mal, was ist Louvre im Vergleiche mit unseren Museen?), pragnie opornie się postawić tamtejszej „bladze.” Jakże nieśmiało jednak, jak tchórzliwie odzywa się p. Max Burckhard: „Es ist ausserordentlich schwer, über den wirklichen Wert des Gebotenen ein Urtheil abzugeben. Ein Werturtheil kann nur auf Vergleichung beruhen, wir können aber nur mit dem vergleichen, was wir kennen, und dieses ist wieder *nicht* der Mastab für eine fremde in sich abgeschlossene Kunst.” — U nas inaczej, my mamy odwagę, my czapkami zarzucać umiemy. Co nas obchodzi, czy znamy coś, czy nie znamy? Toć mamy „zdrowy rozsądek,” toć mamy smak wyrobiony na Rostandach i Sudermannach, toć umiemy greków w nawet adaptować i modernizować. Toć, zresztą, tak dawno już odkrył sekret Jagodyński: „Zkąd exystymacyi ludzie nabywają? Kto śmieie trzyma, śmieie też o tym trzymają.” Orzekli tedy „śmieie” wpływowi krytycy warszawscy: że repertuar teatru japońskiego składa się z samych „szopek,” będących jakąś parodią teatru, dobrych do areny cyrkowej lub na zabawkę dla dzieci, ale dla smakosza nie wytrzymujących porównania... z operetkami angielskimi; że gra japończyków — z wyjątkiem scen konania, zresztą także pozbawionych „tchnienia poezyi, owej mgły leciutkiej, łagodzącej potworność strasznego momentu” — jest wprost „karykaturalna i groteskowa,” że w „syczącej” mowie japońskiej niepodobna wyrazić „ani uczuć żadnych, ani uniesień, ani pieszczot,” że mimika aktorów japońskich polega wyłącznie na chorobliwych drgawkach i akrobatycznych podrzutach; że słynny taniec Sady-Yakko, przyodzianej nie w lube króciuchne muśliny i trykoty, lecz w draperyjne, powłóczyście szaty, nie daje, skutkiem tych licznych zwojów i fałdów, miłego widowiska „wdzięcznych ruchów, przegieć, żywości i t. p.”; że waryatem trzeba być, aby porównywać „małą, chudą kobietę, uszmińkowaną niefortunnie, o małych oczkach, dużych zębach i ptasim, piszczącym głosiku” do Sary Bernhard, Réjane’y lub Duse, a „parskającego ustawicznie jak kot” Kawakamiego do wielkiego artysty, jakim jest Mou-

net Sully; że, jednym słowem, zachwyty nad teatrem japońskim to prosta „błaga,” albo też — podobnie jak zapatrzenie się prerafaelitów angielskich w „naiwne formy” prymitywów — wyraz „dekadenckiego” nawrotu do... barbarzyństwa.

Uff! — „Zachowaliśmy tedy właściwy sąd krytyczny, gdy inni tonęli w pochwałach i reklamie.” Sądy warszawskie zrobiły nawet, zda się, wrażenie na japończykach, gdyż p. Sada-Yako, poznawszy je w tłumaczeniu, „zachowała wprawdzie głębokie milczenie,” ale następnych dwu wieczorów „stała dłużej niż zwykle przy otworze w kurtynie.” Naturalnie, odezwały się także odosobnione zdania (i my mamy swoich waryatów czy blagierów), że teatr japoński jest „zjawiskiem wysoce artystycznym w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu,” że ma on wyraźny „koturnowy charakter,” że chodzi w nim nie o żaden realizm fotografujący przejawy życia, lecz „raczej i jedynie o podniesienie tych życiowych przejawów do jakiejś wyższej potęgi,” że owe „nieprawdopodobieństwa,” tańce, walki fantastyczne są wspaniałą symbolizacją stanów wewnętrznych, że „całość scen posiada wartość malarską, której nie znaleźć w naszych teatrach,” że „Sada-Yakko i Kawakami są szczerymi i wielkimi artystami.” Ale w naszym „zdrowem” społeczeństwie takie głosy, na szczęście, przemijają bez echa — i publiczność nie tylko poszła za „wpływowymi” krytykami, ale nawet czynnie popierała ich mniemanie na przedstawieniach. Byłem na jednym z ostatnich. To, co na niem ujrzałem, dochodziło do szczytności. Miałem właściwie dwa widowiska: jedno przed sobą, drugie za sobą i naokoło siebie. Na scenie przewijały się baśnie i legendy miłosne i bohaterskie, grano poważnie, z przejęciem i przejmująco, tańczono hieratycznie, rozwiewano w szlachetnie faliste linie fałdy draperyj. W sali widzów odgrywano jednocześnie knajpowo rozbuchaną jakąś farsę, parskano głośno, lepiej od Kawakamiego, w najtragiczniejszych miejscach wybuchano śmiechem, rzucano sobie pachnące „gabinetem” dowcipy, chrzypały bez żenady głosy męskie, piszczwały rozkosznie ptasie sopraniki panieńskie. Wyszedłem nieco oszołomiony.

Co to było takiego? To umiejąca, lepiej od reszty Europy, zachować „właściwy sąd krytyczny,” „cywilizowana” Warszawa przypatrywała się „barbarzyńskiej” Japonii.

Okładkę do zeszytu niniejszego narysował Konrad Krzyżanowski.

CHIMERA.

Kazimiera z Jasieńskich Zawistowska,

poetka wielkiego, pierwszorzędnego talentu, zmarła w Krakowie d. 28 lutego r. 1902. — Śród pisarzy ostatniego pokolenia, była to jedna z najbardziej udarowanych natur twórczych: królewski przepych wyobraźni wiązał się w niej z dziecięcą prostotą i szczerością; rośna świeżość dziewczęca, „wonicząca stepem, łąkami i borem,” — z ogniem namiętności i uniesień mistycznych, którym płonęła „jak sosna w słońcu rozgorzała”; pogoda i słodycz, w których brały początek pieśni „polne i zbożne, kwietne, słoneczne,” — z nieukojonym jakimś smętkiem nostalgicznym. Wszystko to — w połączeniu z wysoką kulturą artystyczną, czcią zbożną dla sztuki i surowością wielką względem własnej twórczości — składało się na utwory uderzające przedziwną kobiecością i ogromną mocą uczucia, drgające życiem, krwią, a zarazem odsłaniające głębię jakąś tajemną, zaświatową, skupione niesłychanie i pełne wewnątrz, a grające barwami, jak owe „szlaki zdobne na marginesach sztywnych psalterzy.” — Uzupełniały tę twórczość oryginalną przepyszne ułomaczenia z Baudelaire'a, Vielé-Griffin'a, Mockel'a, Samain'a, Tr. Klingsor'a i innych. Przedsięwzięty w ostatnich czasach przekład wspaniałej tragedii Saint-Pol-Roux'a: „La dame à la faulx,” który mógłby być arcydziełem, śmierć przerwała w samym początku. — Mała liczba tych prac znana jest do dzisiaj nawet wielbicielom talentu ś. p. Zawistowskiej, bo poetka drukowała po czasopismach niewiele i niechętnie, a z ogłoszeniem zbioru własnego wahała się do ostatniej chwili. Teraz dopiero, zbożna pamięć najbliższych, zabiega około zupełnego wydania puścizny rękopiśmiennej.

Niedośpiwane zgasło młode życie. Ostatnie chronologicznie utwory świadczą, jak olśniewająco rozwijać się jeszcze i potęgnić zaczął talent poetki w chwilach bezpośrednio zgon niespodziany poprzedzających, — i nieodparcie snuje nam się po głowie, kiedy ją wspominamy, ów pełny melancholii niewymownej refren urwanych przedwcześnie i niepowrotnych rzeczy:

*Look in my face; my name is Might-have-been;
I am also called No-more... (D. G. ROSSETTI).*

Dla pamięci ludzkiej wszakże dość tego, co pozostało. Krótki sen życia ziemskiego przyniósł plon wspaniały — i poetka zamrtwychwstanie z chwilą, gdy wydanie zbiorowe miłośnikom go udostępni. To też, u drzwi grobu żegnamy ją z żalem, dobrą, serdeczną, siostrzaną, lecz jednocześnie witamy ją u progu tego nowego — w duszach ludzkich — żywota — —

...in perpetuum, soror, ave atque vale.



SPIS RZECZY,
UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.
(TOM III. — 1901.)

JÓZEF AUCHENTALLER.	
Nagłówek.	460
TEODOR DE BANVILLE (przet. Miriam.)	
Wybór z poezyj	378
AUBREY BEARDSLEY.	
Powrót Tannhäusera na Venusberg. Dodatek do № 9.	
WACŁAW BERENT.	
Próchno	123, 339
ARNOLD BOECKLIN (przet. Maryan Wawrzeniowski.)	
Wyznania	444
ZYGMUNT BYTKOWSKI.	
Prorok.	435

RAMON DE CAMPOAMOR

(przetł. Antoni Lange)

Licencyat Torralba (Część druga). I

CHIMERA.

KRONIKA MIESIĘCZNA: Varia 328, 488

STANISŁAW DĘBICKI.

Ozdoby w tekście 41-69-70 (przerys.); 228, 286

Okładka do № 7-8.

ANDRZEJ GIDE

(przetł. Zenon Przesmycki.)

Filoktet 399

CH. DR. GRABBE

(przetł. Wacław Berent.)

Żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie 41

HIROSHIGE

(przerys. K. Krzyżanowski.)

Nagłówek. 255

JAN KASPROWICZ.

Hymn św. Franciszka z Assyżu 103

JOHN KEATS

(przetł. Jan Kasprowicz.)

Hyperion (Księga II) 255

STANISŁAW TURBIA-KRZYSZTAŁOWICZ.

Ozdoby w tekście . . . 123, 125, 128, 135, 137, 138, 140, 148, 149,
154, 159, 165, 166, 170, 174, 175, 177, 179, 180, 183, 186,
200, 204, 205, 207, 210, 213, 220, 339, 342, 347, 348, 351,
353, 360, 361, 363, 365, 367, 370, 374, 375, 377, 471.

z

KRONIKA MIESIĘCZNA: Muzyka 321

JAN LEMAŃSKI.

Towarzystwo 286

MARYA MARKOWSKA.

Babie lato 331

W. MATLAKOWSKI.

Ozdoby z motywów ludowych 271, 285

JÓZEF MEHOFFER.

Inicyał 331

Nagłówek i zakończenie 491, 494

MIRIAM.

KRONIKA MIESIĘCZNA: Powieść 312

WŁADYSŁAW NAWROCKI.

Z „*Sonetów Królewskich*“ 440

K. NIEMCZYKIEWICZ.

Inicyał 394 (*przerys.*)

EDWARD OKUŃ.

Rysunki w tekście I, 10, 17, 29, 338, 399, 432

Z. P.

KRONIKA MIESIĘCZNA: Sztuki plastyczne 482

Teatr 317

FELICYAN ROPS.

Wielka lira. Dodatek do № 7-8.

MARCELI SCHWOB

(*przet. Zenon Przesmycki.*)

Krucyata dziecięca 229

LEOPOLD STAFF.

Modlitwa przed czynem 397

JAN STANISŁAWSKI.

Topole, autolitografia w 5 kolorach. Dodatek do № 7-8.

WASYL STEFANYK

(*przetłoczyli: Michał Moczulski i Dr. W. M.*)

Dziadek, Skon, Szara godzina, Droga, Zwiastuny 271

WŁADYSŁAW STERLING.

Sonety 433

TREDECIM.

KRONIKA MIESIĘCZNA: Glossy. 300, 477

MARYAN WAWRZENIECKI.

Ozdoby w tekście . . . 103, 104, 107, 113, 114, 117, 120, 122, 221,
230, 233, 236, 241, 244, 246, 249, 251, 270.

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI.

Strofy 472

STANISŁAW WYRZYKOWSKI.

Skrzydlate ognie 221

"Εσπερς πάντα φέρεις 394

MARYA ZAWIEJSKA.

Fragmenty 460

HENRYK ZBIERZCHOWSKI.

Sonety 455



CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

7, rue des Princes, Varsovie.

Sommaire du N-ro 9 Septembre 1901.

TEXTE: M. Markowska — *Les fils de la Vierge*; V. Berent — *Pourriture*; Th. de Banville — *Choix de poésies*; St. Wyrzykowski — *Ἐπερε, πάντα φέρει*; L. Staff — *La prière avant l'action*; André Gide — *Philoctète*; W. Sterling — *Sonnets*; S. Bytkowski — *le Prophète*; W. Nawrocki — *Sonnets royaux*; Arn. Böcklin — *Confessions*; H. Zbierzchowski — *Sonnets*; M. Zawiejska — *Fragments*; C. Wroczyński — *Strophes*. — *Revue du mois: Glosses, Art moderne, Bibliographie, Divers.*

PLANCHES HORSTEXTE: Aubrey Beardsley: *le Retour de Tannhäuser vers le Venusberg.*

DESSINS DANS LE TEXTE—de Auchentaller, Turbia-Krzyżtałowicz, Mehoffer, Niemczykiewicz, Okuń.

COUVERTURE de K. Krzyżanowski.

OGŁOSZENIA W „CHIMERZE”.

„CHIMERA” przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcją artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i wogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatoria i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcje prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące, itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz petitowy lub jego miejsce	40 kop.
Na stronicach po tekście literackim za wiersz petitowy lub jego miejsce	30 kop.

MERCURE de FRANCE

Littérature. Poésie. Théâtre. Musique. Peinture. Sculpture. Philosophie. Histoire. Sociologie. Sciences. Voyages. Bibliophilie. Sciences occultes. Critique. Littératures étrangères. Portraits, dessins. *Revue du mois.* — Parait tous les mois.

Rédacteur en chef: *Alfred Vallette.*

Abonn: un an 24 fr., six mois 13 fr., trois mois 7 fr.

Paris. — XV, rue de l'Echaudé, 15.

IL MARZOCCO.

Anno VII.

Firenze — Via S. Egidio, 16 — Firenze.

Conta fra i suoi collaboratori i più reputati poeti e prosatori d'Italia.

Prezzi d'abbonamento: anno l. 8, semestre l. 4, trimestre l. 3.

Fondatore: *Angiolo Orvieto* — Direttore: *Adolfo Orvieto.*

CHIMERA

WARSZAWA — ULICA KSIAŻĘCA 7.
Skrzynka pocztowa Nr 457.

Dwanaście zeszytów rocznie, każdy objętości
10 — 12 arkuszy druku.

Redaktor ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)
przyjmuje we wtorki i piątki od 1-ej do 3-ej pp.
Administracja otwarta codziennie od 11-ej do 3-ej pp.

Rodzaje wydawnictwa i warunki przedpłaty.

WYDANIE ZWYKŁE

	w Warszawie	z przesyłką pocztową	za granicą
Rocznie	9 rb.	12 rb.	35 fr. 27 mar. 33 kor.
Półrocznie	5 rb.	6 rb. 50 k.	20 fr. 15 mar. 18 kor.
Kwartalnie	3 rb.	3 rb. 50 k.	11 fr. 8 mar. 10 kor.

WYDANIE WYTWORNE

na robionym dla CHIMERY grubym papierze żeberkowym.
w Warszawie: rocznie, 30 rb., półr. 15 rb., kwart. 7 rb. 50 k.
z przes. pocztową: „ 35 „ „ 17,50 „ 8 „ 75 „
za granicą rocznie 95 fr., 75 mar., 90 kor.

Cena zeszytu 9-go rb. 2.

Przedpłatę przyjmuje administracja (która odpowiada wtedy za regularne dostarczanie pisma), oraz wszystkie znaczniejsze księgarnie w kraju i za granicą. NUMERÓW OKAZOWYCH SIĘ NIE WYSYŁA. PROSPEKT NA ŻĄDANIE.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

IL SERA RENDU COMPTE DE TOUTES LES PUBLICATIONS
(LIVRES, REVUES, MUSIQUE, GRAVURES, OBJETS D'ART etc.)
ADRESSÉES A LA REVUE.

RĘKOPISÓW SIĘ NIE ODSYŁA. Autorowie, nie zawiadomieni w przeciągu dwóch miesięcy o przyjęciu ich utworów, mogą odebrać takowe, przed upływem pół roku, osobiście w Redakcyi, lub drogą pocztową po nadesłaniu kosztów przesyłki.
ODPOWIEDZI NA LISTY jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

Druk Warszawskiego Tow. Akc. Artystyczno-Wydawniczego.



U.C. BERKELEY LIBRARIES



C031782363

M123873

CAS
B



THE UNIVERSITY OF CALIFORNIA LIBRARY

